

LYNN ERICKSON

*Po godzinach*

*Znalezione w necie: emalutka*

*Poprawione przez: elka\_\_82*

SCANDALOUS

*Tomowi i Debbie McKibbon,  
prawdziwym ranczerom z Kolorado,  
którzy pomogli mi wzbogacić tę książkę w szczegóły.  
I Lucasowi, który mieszka w okręgu szóstym  
i był wzorem naszego dorabiającego  
po godzinach policjanta.*

## Rozdział 1

Przyglądał się jej, kiedy wchodziła na podium, potem słuchał tego, co miała do powiedzenia.

Do tej pory bankiet przypominał wszystkie inne eleganckie przyjęcia, na których ludzie o znanych nazwiskach wygłaszali pełne okrągłych zdań przemówienia. Tym razem strażacy o czerwonych irlandzkich twarzach zdołali nawet wycisnąć kilka łez spod powiek swojego audytorium. Hej, skarcił się w duchu, ta gala ma zebrać fundusze na Stowarzyszenie Strażaków. To szczytny cel, nie bądź taki cyniczny.

Impreza odbywała się w sali bankietowej hotelu Marriott Marquis na Manhattanie. Długie stoły nakryte śnieżnobiałymi obrusami, kryształ, porcelana, mężczyźni w smokingach i kobiety w wieczorowych sukniach, które dużo więcej odsłaniały, niż zasłaniały. No i oczywiście cały legion strażaków w mundurach, z przypiętymi do piersi medalami za odwagę. Była też prasa, kamerzyści i reporterzy z mikrofonami na długich wysięgnikach. W klimatyzowanej sali panował przyjemny chłód, na zewnątrz - lepki upał czerwcowego wieczoru.

Przybyło kilka gwiazd filmowych, były burmistrz Giuliani i wszystkie grube ryby z Fundacji Ochrony Przyrody - organizatorzy bankietu.

Cel uznano za tak szlachetny, że policja zapewniła nieodpłatną ochronę - właśnie dlatego się tu znalazł. On, Nick Sinestra, detektyw z okręgu szóstego, zatrudniony w roli ochroniarza.

Zgłosił się na ochotnika, co ostatnio zdarzało mu się coraz częściej. Gdy był żonaty z Gwen, rzadko pracował po godzinach, jeśli tylko mógł się od tego wymigać, no ale wtedy miał po co wracać do domu. A tym razem chodziło o wielką galę, na której pojawiło się wiele znanych osobistości, co było doskonałą okazją...

Doskonała okazja, tak.

Ta kobieta na podium. Portia Carr Wells. Wszyscy wiedzieli, kim jest, rzadko jednak pojawiała się w światłach jupiterów, tak jak tego wieczoru.

- Jak tam, chłopie, masz coś ciekawego? - spytał Gil Howard. Był jego partnerem i też się zgłosił na ochotnika. Tyle że jemu chodziło o dodatkowe pieniądze.

- Nic. - Nick stał przy jednych drzwiach, Gil przy drugich. Poza nimi było tu jeszcze sześciu innych policjantów, pilnowali sześciu innych wyjść, w tym kuchennego i prowadzącego do wind, które znajdowały się poza salą.

Gil wrócił na swoje miejsce, a Nick przeniósł wzrok na Portię Wells. Pochylona lekko w stronę mikrofonu, położyła ręce na mównicy. Miała miły melodyjny głos. Uświadomił sobie, że wszyscy na sali ucichli i zaczęli jej słuchać.

- Jak wiecie - mówiła - mój mąż, Gary, był prezesem fundacji. Wiecie również, że zginął w tragicznych okolicznościach rok temu. Jestem tu dziś tylko dlatego, że on już z nami być nie może. Ale wiem, że podziękowałby wam serdecznie za tak liczne przybycie i byłby dumny, że pomaga zbierać fundusze dla pełnych poświęcenia strażaków ze stowarzyszenia.

Nick słuchał i patrzył, mrużąc oczy oślepiane błyskami fleszy. Portia Wells była ładną kobietą, o subtelnej, delikatnej urodzie. Miała blond włosy opadające miękką falą na ramiona i jasne oczy - z tej odległości nie widział, jakiego dokładnie są koloru - oraz złocistą, bardzo gładką skórę. Włożyła prostą czarną sukienkę z dość głębokim dekoltem w szpic i takim... Nie wiedział, jak nazywają to kobiety... takim czymś owiniętym wokół talii. Prawie żadnej biżuterii. Prosto, ale z klasą. Tak, ta kobieta miała klasę.

- Muszę jednak przyznać, że przyświeca nam także inny cel - ciągnęła. - Chcielibyśmy prosić o przeczytanie broszur na temat fundacji, które znajdują się na stolikach. Może kogoś zainteresują nasze cele i zechce je wesprzeć finansowo. Jesteśmy organizacją nonprofit i osiemdziesiąt sześć procent tego, co otrzymujemy w formie darowizny, przeznaczamy bezpośrednio na ochronę środowiska.

Jasne, pomyślał, nie ma to jak propaganda. Każda okazja jest dobra, by wygrać coś dla siebie. Po to właśnie są takie bankiety, czyż nie?

Słuchał jednak, bo jej głos był tak miękki i przekonujący, jakby

mówiła właśnie do niego, tylko do niego, spośród trzystu innych osób zgromadzonych na tej sali.

Wydawała się naprawdę zaangażowana. Wiedział, że była wdową, choć miała zaledwie trzydzieści sześć lat. Mąż zginął w wypadku samochodowym w stanie Kolorado, gdzie mieszkali. Jej matką była Judith Carr, sławna niegdyś aktorka, która w niejasnych okolicznościach wycofała się z filmu wiele lat temu, a ojcem były ambasador ONZ Richard Carr. Mając takich rodziców, Portia od najmłodszych lat była ulubienicą prasy.

- Naszą misją jest zachowanie różnorodności roślin i zwierząt tej planety poprzez ochronę środowiska, w jakim one żyją. Jak być może wiecie, nabywamy ziemie, by zapobiec zabudowie pewnych terenów, ale także współpracujemy z lokalnymi społecznościami, firmami i ludźmi takimi jak wy. Zdołaliśmy już objąć ochroną prawie pięć milionów hektarów w Stanach Zjednoczonych i ponad trzydzieści milionów poza granicami kraju. - Portia podniosła głowę i uśmiechnęła się lekko. Wydawała się teraz bardzo młoda, figlarna i pełna ciepła. - Ale dość już tej statystyki, to strasznie nudne, prawda? Tak uważał Gary, mój mąż, który zawsze starał się przekazać ludziom swój osobisty stosunek do kwestii ochrony środowiska. - Spoważniała. - Fundacja Ochrony Przyrody i Stowarzyszenie Strażaków mają wiele zbieżnych celów. W końcu naszym wspólnym zadaniem jest ratowanie życia - powiedziała, wiodąc wzrokiem po audytorium. - Dziękuję wszystkim bardzo

serdecznie za przybycie na dzisiejszą uroczystość i proszę o hojne wsparcie dla naszych dzielnych strażaków.

Aplauz. Pierwszy wstał znany aktor o opalonej twarzy i zaczął głośno klaskać. Natychmiast ktoś inny poszedł w jego ślady, potem wstały osoby siedzące przy jednym ze stolików, za nimi podnieśli się strażacy - i po chwili stali już wszyscy, jakby Portia Wells była maestro dyrygującym światowej klasy orkiestrą, która odegrała właśnie genialną symfonię.

Uśmiechnęła się ponownie, pochyliła głowę i chciała zejść z podium, ale jakiś człowiek chwycił ją za rękę i wyciągnął ją tryumfalnie do góry, jak rękę boksera, który zwyciężył walkę.

Nick widział, że mówiła coś z rumieńcem zakłopotania na twarzy. Należała do najniebezpieczniejszego gatunku kobiet, tych, które wzbudzają w mężczyznach opiekuńczość. W ciągu kilku minut owinęła sobie wokół palca wszystkich, którzy byli na sali.

Kelnerzy krążyli wśród stolików, dolewając wina do kieliszków i kawy do filiżanek. Kiedy Portia wreszcie ruszyła w stronę swojego miejsca, ponownie rozległ się szmer przerwanych wcześniej rozmów.

Nick patrzył, jak szła przez salę. Usiadła przy wysokim, starszym mężczyźnie o regularnych rysach, gładko zaczesanych do tyłu siwych włosach i mocno opalonej twarzy miłośnika golfa. Nowy przyjaciel? Jezu, facet mógłby być jej ojcem. Postanowił, że dowie się, kim jest jej towarzysz.

Przez cały czas Nick dyskretnie rozglądał się po sali, szukając jakiegokolwiek podejrzanego ruchu czy dźwięku. Robił to nieświadomie, automatycznie, ale nawet wtedy, kiedy przyglądał się Portii Wells, byłby w stanie wychwycić każdy niuans. Podobnie jak jego partner Gil. Nick spojrzał na niego z ukosa. Gil, w wypożyczonym smokingu, wyglądał imponująco. Był wysoki i potężnie zbudowany. Miał bardzo ciemną skórę i włosy ciągle jeszcze skręcone w dredy, które zostały mu po ostatniej sprawie, kiedy musiał wejść w środowisko handlarzy narkotykami. Nick zastanawiał się, czy wygląda równie dobrze jak Gil, czy też sprawia wrażenie przebranego w elegancki strój intruza.

Gestem przywołał go do siebie.

- Kim jest ten facet, który siedzi z Portią Wells?

Gil spojrzał na niego spod oka.

- Ten stary?

- Tak.

- Nie wiem. Spytaj któregoś z kelnerów.

Nick zaczekał chwilę, a potem przy pierwszej nadarzającej się sposobności zaczepił przechodzącego obok kelnera i zadał mu to samo pytanie.

- Nie mam pojęcia.

- A mógłby się pan dowiedzieć?

Kelner wzruszył ramionami, Nick sięgnął więc do kieszeni, wyjął banknot dwudziestodolarowy i włożył go do ręki kelnera.



- Czy teraz może się pan postarać o tę informację?
- Spróbuję - odparł kelner, wkładając banknot do kieszeni.
- Dzięki.

Miał nadzieję, że partner nie zwróci na to uwagi. Gil wiele wiedział o Nicku i jego nieudanym małżeństwie, znał nawet żenującą prawdę o Gwen. Prawdopodobnie znał Nicka lepiej niż ktokolwiek inny. Ale nie wiedział o jednej bardzo istotnej *rzeczy*, a Nick nie miał zamiaru go o niej informować.

Wrócił kelner.

- To Aaron Burkhart.
- Dzięki.
- Nie ma sprawy. - Mężczyzna odszedł szybko z dzbankiem kawy w ręce.

Aaron Burkhart. Kto to jest, do diabła?

Powinien to wiedzieć. Dlaczego „Star Gazer” nigdy nie chciał od niego informacji na temat tego faceta? To może być ktoś ważny. Ale brukowiec interesował się głównie Portia. Wyraźnie dali mu to do zrozumienia.

Otrząsnął się z poczucia winy, które ogarniało go zawsze, kiedy przyjmował ich zlecenia. W końcu to zupełnie nieszkodliwe - dostarczanie gazecie informacji o znanych osobach. W jakim hotelu ktoś się zatrzymał, co tam robił, w jakich restauracjach jada kolacje, gdzie robi zakupy i do jakiego chodzi fryzjera, jakie dania zamawia do pokoju.

„Znana aktorka wsiadła na statek kosmiczny obcych”. I tak dalej. Ludzie uwielbiają takie nagłówki.

Policjantowi łatwiej było zdobywać informacje tego typu niż dziennikarzom. Czasem wystarczył jeden telefon - paparazzi pędzili gdzie trzeba i robili zdjęcia. Był to szybki, łatwy i dochodowy interes.

W końcu nie wyrządzał nikomu krzywdy. Znani ludzie korzystają na zainteresowaniu mediów, dzięki nim istnieją. Nick nie był pierwszym gliną, który znajdował się na liście płac tego brukowca. Jeśli on nie dostarczy gazecie informacji, zrobi to ktoś inny.

Tego wieczoru na tapecie była Portia Wells. Wdowa, córka sławnych rodziców, której zaproponowano właśnie stanowisko prezesa Fundacji Ochrony Przyrody, którą to funkcję piastował wcześniej jej mąż. Zajmowała się spełnianiem dobrych uczynków, zbierała fundusze na szczytne cele. Ładna kobietka. Z klasą.

Znowu zaczęły go dręczyć wyrzuty sumienia. Starał się je zignorować, tak jak ignoruje się naciągnięte ścięgno. Zwłaszcza kiedy się wie, co się zrobiło, żeby je naciągnąć. Gdy się zasłużyło na ból.

Spojrzał na zegarek. Była dziesiąta trzydzieści. Wkrótce przyjęcie zacznie dobiegać końca. A on na razie nie miał nic ciekawego dla swojej gazety. Czasem tak bywało i nic nie można było na to poradzić.

Kilka osób opuściło już salę, mijając Nicka, skinęli głowami w jego stronę. Usiłował przybrać przyjemny wyraz twarzy, ale tkwił tam od czterech godzin w przyciasnych butach i był porządnie znudzony.

Zaczynał się niecierpliwić.

Wyciągnął szyję, by nie tracić z oczu Portii Wells. Ciągle siedziała z tym Burkhartem. Podchodzili do niej różni ludzie, rozmawiali, ściskali jej dłoń. Strażacy i ich żony, kilku dziennikarzy telewizyjnych, jakaś aktorka, niemłoda i chuda jak zapałka, ze zdecydowanie zbyt wyzywającym makijażem, ale sławna, bardzo sławna.

Nick spojrzął na Gila ponad głowami ludzi wychodzących z sali i wyciągnął dłoń do góry, a potem wskazał na swój zegarek. „Zaraz”, powiedział Gil bezgłośnie.

Nagle jego uwagę zwróciło jakieś zamieszanie. Ruch, podniesiony głos. Odwrócił się błyskawicznie w tamtą stronę i ruszył przed siebie, jeszcze zanim zdążył się zorientować, co się właściwie dzieje. Szedł przez tłum, usiłując zachować pozory uprzejmości, ale rozpychał się łokciami.

Jakiś mężczyzna, młody i szczupły, nachylał się nad Portią, zdecydowanie zbyt blisko, chwiejąc się i trzymając ją za ramię. Był najwyraźniej pijany. Nick widział, że Portia usiłuje się odsunąć. Aaron Burkhart wstał i położył nieznajomemu dłoń na ramieniu.

- W porządku - mruknął Gil. - To, co zwykle?

- Jasne.

Ich ruchy były szybkie, sprawne i wyćwiczone. Gil z lewej, Nick z prawej. Ciężka dłoń na ramieniu mężczyzny, druga zaciskająca się na jego łokciu. Prawie unieśli intruza w powietrze, a potem natychmiast

ruszyli z nim w stronę drzwi.

- Proszę pana, nie chcemy tu żadnych kłopotów - powiedział Gil.

- Idziemy, tylko spokojnie. - Nick szedł szybko i zatrzymał się dopiero za drzwiami, w wyłożonym miękkim dywanem holu przy windach.

- Ja tylko... ja tylko chciałem porozmawiać... - wykrztusił mężczyzna. - Chciałem jej tylko powiedzieć, że...

- Tak, proszę pana, rozumiem - odparł Nick. Mężczyzna załatywał alkoholem.

- A wy dwaj, to co... jej ochroniarze? - spytał z wściekłością.

- Czy mogę zobaczyć jakiś dowód tożsamości? - Gil poprawił swój smoking.

- Dowód tożsamości? A po co?

- Czy mogę zobaczyć pański dowód tożsamości?

Nieznajomy z niezadowoleniem wyjął z kieszeni portfel i wręczył go Gilowi, który rzucił okiem na prawo jazdy, a potem uważnie spojrział na mężczyznę, sprawdzając, czy to jego twarz widnieje na fotografii. Zawsze był bardzo dokładny.

- W porządku, panie Wesley, nie wyciągniemy z tego konsekwencji, ale proszę opuścić to miejsce.

- Ale dlaczego? Ja chciałem tylko...

- Dlatego, że mój partner tak powiedział - odezwał się Nick, który zaczynał już tracić cierpliwość.

Mężczyzna wsadził portfel z powrotem do kieszeni i mruczając coś gniewnie pod nosem, spróbował nacisnąć guzik przy drzwiach windy. Dwa razy nie trafił.

- Dupki - powiedział na odchodnym. - Nawet nie może sobie człowiek pogadać.

Przyjechała winda. Upewnili się, że do niej wsiadł. Potem spojrzeli na siebie, uśmiechnęli się i przybili piątkę.

- Stare, dobre metody - powiedział Gil.

- Nigdy nie zawodzą.

- Co za błazen.

- Pijany dureń.

- Nic dziwnego, że chciał sobie pogadać z tą Wells. Ładna sztuka.

- Hm - mruknął Nick.

Wrócili na salę bankietową, która była już prawie pusta. Nick rozejrzał się i dostrzegł Portię. Wychodziła właśnie bocznymi drzwiami w towarzystwie Aarona Burkarta - przyjaciela, protektora czy kim tam dla niej był. Może zabawi się do świtu albo pójdzie do pokoju hotelowego Burkarta. A może wróci do swojego hotelu. Istnieje jeszcze szansa, że uda mu się zdobyć jakąś pikantną plotkę. W końcu po to tu przyszedł.

Był policjantem w Nowym Jorku od osiemnastu lat, właściwie odkąd skończył college, wiedział więc dobrze, jak łatwo można śledzić niczego niepodważającą osobę. Burkhart miał lśniącą czarną limuzynę, o

szybach przyciemnionych tak mocno, że nie można było dostrzec, kto siedzi w środku. Samochód stanął przy krawężniku pod głównym wejściem do hotelu, Portia i Burkhart wsiedli do niego. Auto ruszyło powoli.

Nick pokazał swoją odznakę taksówkarzowi.

- Za tą limuzyną - powiedział. Chryste, tekst jak z kiepskiego filmu. - Będzie duży napiwek, jeśli uda nam się ich nie zgubić.

- Nie ma sprawy - odparł taksówkarz.

Limuzyna przyspieszyła. Nie na długo jednak. Zaraz potem skręciła w Pięćdziesiątą Piątą ulicę i zatrzymała się przed Peninsula Hotel.

Aha, pomyślał Nick.

Portia i Burkhart wysiedli. Pocałował ją w policzek, pochyliła lekko głowę i uśmiechnęła się do niego ciepło, a potem odwróciła się, kiwnęła z wdziękiem głową w stronę portiera, który ją pozdrowił, i weszła do hotelu.

Nick zapłacił taksówkarzowi i chwilę czekał przed budynkiem. Noc była bardzo ciepła. Zaczął się pocić pod pachami i na szyi, skępowanej sztywnym kołnierzykiem koszuli. Czuł się w tym smokingu jak idiota, buty uciskały go nieznośnie. Zdjął muchę i wsunął ją do kieszeni, a potem rozpiął górny guzik koszuli. Niżej były zatrzaski, których zapięcie zajęło mu wcześniej całą wieczność. Koszmar.

Podszedł do oszklonych hotelowych drzwi, wyprostował plecy i przybrał minę policjanta na służbie. Wszedł do środka, na wyłożone

miękkim dywanem schody, i rozejrzał się wokół. Portii nie było. W porządku.

Wyjął odznakę i ruszył w stronę recepcji, gdzie stał elegancko ubrany młody człowiek.

- Dobry wieczór. W czym mogę pomóc?

Nick pokazał mu odznakę. Recepcjonista spojrział na nią, po czym podniósł wzrok.

- Co mogę dla pana zrobić, panie...

- Detektywie.

- Przepraszam, detektywie.

- Należę do ochrony pani Portii Wells. Muszę wiedzieć, kiedy ma zamiar opuścić ten hotel. Nie chciałem jej już dziś niepokoić, rozumie pan.

- Oczywiście. Pani Wells wyjeżdża jutro.

Nick szybko przemyślał tę informację.

- Czy ma poranny lot z La Guardia?

- Nie sędzę. Pokój opuści dopiero po południu.

- W porządku. Dziękuję.

Nick wyszedł z hotelu. Późno zwolni pokój, więc zapewne ma jakieś plany na jutro. Może coś interesującego? Wróci tu wczesnym rankiem i będzie ją miał na oku. To niedziela, ma wolny dzień i nic innego do roboty.

Nigdy nie wiadomo, może jednak zdobędzie coś dla „Star Gazera”.

Czyż nie byłoby miło, gdyby mógł zadzwonić w poniedziałek rano do tego szmatławca i rzucić im jakąś bombę?

Złapał taksówkę na Piątej Alei. Mógł poprosić portiera z Peninsula Hotel, żeby po nią zadzwonił, ale wolał tego nie robić. Nie chciał, żeby zbyt wiele osób go zapamiętało. Poza tym w ten sposób nie musiał dawać mu napiwku. Opadł na tylne siedzenie klimatyzowanej taksówki, która ruszyła w stronę jego dzielnicy, i zaczął rozmyślać o minionym wieczorze.

Portia Carr Wells. Przypomnił sobie, jak stała na podium. Ładne włosy, proste, lśniące, nieugniecione w żaden wymyślny kok. Miękki głos. Z pewnością naprawdę wierzyła w swój cel - chciała ratować środowisko.

Pochodziła z Kolorado. Jej mąż był ranczerem, już nie żył. Wypadek samochodowy, było o tym głośno. Tragiczna śmierć młodego prezesa Fundacji Ochrony Przyrody. A teraz żona wypełniała jego publiczne zobowiązania. Może wkrótce sama obejmie funkcję prezesa. Nick musiał przyznać, że robiła bardzo dobre wrażenie. Dla takiej kobiety - łagodnej, nieśmiałej, delikatnej - życie na świeczniku musiało być trudne.

A może wcale nie była delikatna i nieśmiała. Może to tylko wystudiowana poza, pod którą kryje się oblicze ambitnej, twardej kobiety interesu?

Zastanawiało go to. Rozmyślał o Portii przez całą drogę aż do West End Avenue, gdzie wysiadł z taksówki pod swoim apartamentowcem.



Kiedy wszedł do mieszkania, było już dość późno. Włączył światło i zdjął marynarkę. Było późno, ale nie czuł się jeszcze zmęczony. Wziął do ręki telefon i wystukał numer Mii. Ona także należała do nocnych marków.

- Cześć, to ja. Obudziłem cię?
- Nie. - Usłyszała ziewnięcie. - Przepraszam. Jak minął wieczór?
- Rutyna.
- Szkoda.
- Jesteś zmęczona? Może się spotkamy?
- No... dlaczego nie?
- Przyjść do ciebie?
- Dobra.
- Dziewczynki już śpią?
- Od dawna.
- Zrzucę tylko ten cholerny smoking i zaraz tam będę.

Zdjął czarne spodnie i rozpiął koszulę, klnąc na czym świat stoi, po czym włożył koszulkę polo, džinsy i wyszedł w mieszkania.

Pieszko przeszedł pięć przecznic, które dzieliły go od mieszkania Mii Wong. Była rozwiedziona i miała dwie córki: dziesięcio- i dwunastoletnią. Drobna, delikatna i bardzo szczupła, miała oliwkową skórę i skośne czarne oczy. Piękna i egzotyczna. Wydawała się krucha, ale były to tylko pozory. Okazała się twarda, inteligentna i świetna w łóżku. Prowadziła na Broadwayu własny zakład kosmetyczny, w którym

zatrudniała sześć dziewcząt, pracujących od dziesiątej rano do dziesiątej wieczorem. Gardziła swoim byłym mężem, o którym mówiła: „ten, jak mu tam”.

- Cześć, kotku - powiedziała, otwierając drzwi. Nachyliła się w jego stronę, pocałował jej miękkie usta. Miała na sobie szorty i podkoszulek. Paznokcie u jej drobnych jak u dziecka stóp były pomalowane na czerwono. Paznokcie u rąk miały ten sam kolor, tylko na palcach wskazujących widniały jeszcze wymalowane miniaturowe kwiatuszki.

- Napijesz się piwa?

- Jasne.

Wzięła z lodówki dwie puszki, a potem usiadła obok niego na kanapie, podwijając pod siebie nogi.

- Więc widziałeś ją dzisiaj? - spytała. - Chciałabym wiedzieć, jaka ona jest. W co była ubrana?

Mia była jedyną osobą, która wiedziała o jego dodatkowym zajęciu. A w dodatku fascynowała ją Portia Wells.

- Ładnie wyglądała.

- Ładnie. O Boże.

Wzruszył ramionami i upił łyk piwa.

- Wygłosiła przemówienie. Była bardzo przekonująca.

- Co miała na sobie? No, Nick?

- Czarną sukienkę.

Mia przewróciła oczami.

- Wiesz, z takim czymś dookoła, o tutaj, wiesz, to tak jakby zachodziło...

- Tak, chyba wiem, o co chodzi.

- No, właśnie.

- Masz coś dla tej gazety?

- Nie, właściwie nie. Ale mam zamiar wrócić jutro do jej hotelu. Pochodzę trochę za nią, może coś z tego będzie. - Znowu pociągnął łyk piwa. - Był tam jakiś facet, który zaczął ją napastować. Musieliśmy go z Gilem wyprowadzić.

- Czego chciał?

- Kto to wie?

- Dużo było ludzi?

- Tak, pewnie ze trzysta osób.

Odstawił puszkę i przesunął palcem po policzku Mii, jej szyi, a potem piersi. Zachichotała.

- Hm - powiedział. - Przyjemnie.

- Chodźmy do łóżka - wymruczała. - Już późno.

Sypialnia była ciemna i pachniała kobietą. Mia nie włączyła światła.. Przez otwarte okno wpadały ciepłe nocne powietrze, odgłosy miasta i światło księżyca.

Przytulił ją do siebie i zaczął całować. Podciągnęła mu koszulę do góry i przesunęła dłońmi po nagich plecach. Potem odsunęła się, zdjęła koszulkę i sięgnęła do tyłu, by odpiąć stanik. Nagle znieruchomiała.

- Czy wydaje ci się, że jest miła? - spytała.

- Nie wiem, do diabła. Jasne, wydawała się dość miła - burknął i przyciągnął ją do siebie.

W niedzielę wczesnym rankiem pojechał swoim samochodem pod Peninsula Hotel. Innego dnia dotarcie tam zajęłoby mu godzinę, w niedzielę wystarczyło dwadzieścia pięć minut. Chciał być przygotowany, na wypadek gdyby musiał gdzieś za nią pojechać. Jeździł dość podniszczoną toyotą celicą z osiemdziesiątego ósmego w kolorze rdzawej czerwieni. Na Manhattanie najlepiej było mieć właśnie taki samochód, nie najnowszy, nierzucający się w oczy i niezbyt atrakcyjny dla złodziei.

Portia zapewne jest umówiona z kimś na lunch, może z tym Burkhartem. Albo z kimś innym, jednym z członków zarządu fundacji lub jakimś bogaczem, którego będzie chciała skłonić do ofiarowania dużej, wolnej od podatku darowizny na rzecz fundacji.

Fantastyczny sposób spędzania wolnego dnia. Nick ciągle był zmęczony po ubiegłej nocy. Zmęczony i poirytowany, więc łatwo było mu zapomnieć o wyrzutach sumienia. W jakiś pokrętny sposób miał za złe Portii, że zmusiła go do wstania w niedzielę o tak niehumanitarnej porze.

A Mia też... do diabła z Mią. Zawsze wyprawiała go do domu, zanim zbudziły się dziewczynki. W wyciągniętej ze spodni koszuli, z rozpiętym paskiem i bez skarpetek wrócił nad ranem do siebie. Niewiele

brakowało, a zasnąłby po drodze. W ostatniej chwili przypomniał sobie jeszcze, żeby nastawić budzik.

Dobrze się stało, że pojawił się przed hotelem tak wcześnie, bo Portia Wells wyszła o ósmej i wsiadła do sprowadzonej przez portiera taksówki. A więc umówiła się na śniadanie, nie na lunch, pomyślał Nick. Będzie siedziała w jakiejś kafejce, piła kawę i jadła croissanty, a on zanudzi się w swoim samochodzie na śmierć. I prawdopodobnie niczego się nie dowie. Zaczęło mu burczeć w brzuchu.

Taksówka wyjechała na prawie pustą ulicę. Nick ruszył za nią ostrożnie, trzymając się w odległości dwóch samochodów. Jego irytacja narastała z każdą chwilą. Zmarnowany poranek.

Skręcił za taksówką w West Side, zastanawiając się, w którym z modnych barów Portia Wells zje swoje śniadanie. Jechał, wystawiając łokieć za okno. Trafiłby za nią z zawiązanymi oczami... Ale taksówka nie zwolniła i po chwili wyjechała na West Side Highway, po czym nabrała prędkości.

Znudzenie i irytacja znikły jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki. Skręcił za jadącym na północ samochodem i przyspieszył.

No, no, pomyślał.

## Rozdział 2

W miarę jak taksówka zbliżała się do New Rochelle, Portia czuła, że jej zdenerwowanie narasta. Od pięciu lat nie odwiedzała matki, choć odbyła z nią w tym czasie kilka bardzo stresujących rozmów telefonicznych. Po każdej z nich zastanawiała się, czy coś, co powiedziała, nie wywoła u matki nawrotu depresji.

Pokazała taksówkarzowi drogę i skrzywiła się na widok boleśnie znajomego otoczenia. Wstrzymała oddech, kiedy samochód skręcił w Bonair Avenue, sunąc wzdłuż dostojnych, podniszczonych już trochę domów z czerwonej cegły, a następnie wjechał na prywatny podjazd prowadzący do domu Judith Carr. Gałęzie rosnących po obu stronach podjazdu drzew stykały się u góry, tworząc zielony tunel. Listowie było tu gęste i zielone. W przeciwieństwie do Kolorado gałęzie prawie nie przepuszczały światła. Podjazd był cichy, mroczny i ciepły.

Dom wyglądał dokładnie tak samo jak dwadzieścia lat temu, kiedy Judith się do niego wprowadziła. Nie, jednak niezupełnie - drzewa rozrosły się od tego czasu, podobnie jak nieprzystrzygane od dawna krzewy i rododendrony o lśniących, grubych liściach.

Ojciec Portii, Richard, utrzymywał z nią regularny kontakt - Bogu dzięki miała przynajmniej jednego w miarę normalnego rodzica - ale

mieszkał w Hilton Head, w Południowej Karolinie, ze swoją drugą żoną. Portię zawsze trochę onieśmielał. Jako dyplomata dużo podróżował i rzadko bywał w domu. Nie byli sobie szczególnie bliscy. Niedawno poinformował córkę, że Judith dostała nowy lek i czuje się o wiele lepiej. Napomknął, że Portia powinna odwiedzić matkę. Wprawdzie nie kazał jej spotkać się z nią, kiedy będzie w Nowym Jorku, ale wyraźnie dał jej do zrozumienia, że sobie tego życzy.

Zapłacił nawet za jej pokój w Peninsula Hotel, co przyjęła z wdzięcznością. Fundacja z pewnością pokryłaby koszty hotelowe, Portia jednak starała się unikać obciążania budżetu organizacji, jeśli tylko było to możliwe.

Więc przyjechała tu. Wysiadła z taksówki, stanęła na wysypanym żwirem podjeździe i spojrzała na dom - drewniany, na podmurówce, o wielkich ciemnych drzwiach i oknach składających się z wielu małych szybek, w których odbijała się głęboka zieleń drzew.

Poprosiła taksówkarza, by zaczekał, wyłączył więc silnik i wokół zapanowała cisza. Nie było wiatru, ale drzewa zdawały się oddychać w wilgotnym powietrzu. Jakiś ptak krzyknął przeciągle, inny mu odpowiedział.

Portia wzięła głęboki oddech. Ojciec wspomniał, że Judith ostatnio znowu zaczęła wychodzić z domu, incognito, w wielkim kapeluszu i okularach przeciwsłonecznych.

- To paranoja - oznajmił. Wydaje jej się, że będą za nią chodzić i

błagać ją o autografy. Jakby ktokolwiek jeszcze pamiętał, kim była.

Zmusiła się do wejścia na cztery stopnie wiodące do frontowych drzwi i podniosła rękę, by zapukać, ale przypomniała sobie o dzwonku i nacisnęła guzik. Słyszała, jak jego dźwięk odbija się w domu głuchym echem.

Czasami matka była nienaturalnie rozdrażniona; czasami płakała albo wydawała się dziwnie zalekniona. Zaburzenia psychiczne zaczęły się wiele lat temu, potem przyszło załamanie nerwowe i pobyty w szpitalu. Przed dwudziestu laty Judith wprowadziła się do tego domu. Po rozwodzie kupił go dla niej Richard. Teraz podobno jej stan znacznie się poprawił.

Portia usłyszała zbliżające się do drzwi kroki. Zacisnęła place na torebce i uśmiechnęła się z przymusem.

- Portia, kochanie - rozległ się znajomy głos. Anna była wieloletnią sekretarką i towarzyszką jej matki, a także garderobianą, kiedy Judith występowała na Broadwayu. Szczupła czarna kobieta, o jakby pozbawionej wieku twarzy, siwych włosach ściągniętych do tyłu i palcach powykręcanych przez artretyzm.

- Anno... - Portia uścisnęła ją serdecznie.

- Pozwól, niech ci się przyjrzę. Dawno cię nie widziałam. Co u ciebie?

- W porządku.

- Jesteś bardzo zdenerwowana, prawda?



Nigdy nie potrafiła niczego ukryć przed Anną.

- Jak ona się dzisiaj czuje?

Anna ujęła jej dłoń.

- Nieźle. Jest trochę rozdrażniona, ale poza tym całkiem dobrze.

Bardzo się ucieszy z twojej wizyty, kochanie.

Weszła za Anną do mrocznego wnętrza domu. Nic się tu nie zmieniło; te same zielono-brązowe sofy obite tapicerką w kwiatki, obrazy i bibeloty stojące na tych samych miejscach. Zdjęcia Judith jako młodej dziewczyny, drobnej, ciemnowłosej i ślicznej, z małym garbkiem na nosie, który dodawał jej urodzie oryginalności. Fotografie, do których Judith pozowała z różnymi znanymi osobistościami, producentami i reżyserami. I inne, zrobione podczas przedstawień, w których grała - *Szklanej menażerii*, *Otella*. *Naszego miasteczka*. A nawet zdjęcie, na którym prezydent i pierwsza dama wręczają jej kwiaty po jakiejś premierze. Ten dom był mauzoleum, pomnikiem upamiętniającym ten jedyny okres w życiu Judith, kiedy czuła się naprawdę szczęśliwa. Potem wyszła za Richarda Carra, urodziła dziecko i wpadła w depresję.

Anna wprowadziła ją do słonecznego pokoju z mnóstwem okien na drugim końcu domu. Umeblowano go bambusowymi sprzętami, które zarzucono miękkimi zielonymi poduchami.

Judith siedziała na jednym z foteli. Była taka drobna. Portię zawsze zdumiewała kruchość matki. Jej przywiedłą twarz pokrywał staranny makijaż, zbyt długie włosy ufarbowała na ciemny brąz. Miała na sobie

białą suknię.

- Portia, kochanie - powiedziała teatralnie, wstając i wyciągać ramiona.

- Mamo... - Portia objęła ją, wciągając w nozdrza boleśnie znajomy zapach Opium.

- Ciągle jesteś piękna, moja droga - powiedziała Judith.

- Dziękuję. Ty również, mamo.

- Tak, chyba nieźle się jeszcze trzymam.

- Dobrze się czujesz? - Standardowe pytanie.

- Owszem, dość dobrze. - Judith uśmiechnęła się i położyła dłoń o skórze suchej i cienkiej jak pergamin na ramieniu córki. - Zaczęłam znowu wychodzić z domu. To cudowne. Anna zabiera mnie do A&P i robimy zakupy. Dotychczas nikt mnie nie nagabywał, dzięki Bogu.

- To wspaniała wiadomość, mamo.

- Chodź, usiądź i opowiedz mi o sobie. Upiekłam z Anną bułeczki, napijemy się też kawy.

- Nie robiłaś sobie chyba kłopotu z mojego powodu?

- Moja droga, ktoś inny na to zasługuje, jak nie moje jedyne dziecko? W przeciwnym wypadku jaką byłabym matką?

Taką, miała ochotę powiedzieć Portia, która wysłała córce srebrny serwis do kawy w prezencie ślubnym, ale nie przyjechała na ślub. Taką, która знаła córkę tylko powierzchownie i nie wiedziała nic o jej życiu, małżeństwie i cierpieniu ani o pogrzebanych nadziejach na

macierzyństwo. Taką, która wiedziała, że Gary zmarł w ubiegłym roku, ale nie miała pojęcia o rozpaczy Portii ani o tym, że Todd Wells, syn Gary'ego z jego pierwszego małżeństwa, teraz z nią mieszka.

W przypadku Judith wszystko było powierzchowne. Jej życie stało się grą, sztuką teatralną. W ten sposób chroniła się przed światem i dlatego była tak skupiona na sobie, że aż okrutna.

Portia rozumiała zachowanie matki, ale i tak ją to bolało. Przed wyjazdem do Nowego Jorku godzinami rozmawiała ze swoją szwagierką i najlepszą przyjaciółką Lynette, która radziła jej otworzyć się przed Judith.

- Portia, życie jest zbyt krótkie. Porozmawiaj z mamą, opowiedz jej o swoich problemach, może zaskoczy cię życzliwością.

Ale Lynette nie byłaby w stanie zrozumieć kobiety pokroju Judith. Portia nigdy nie miała matki, której mogłaby się zwierzyć, na której mogłaby polegać. Matki, na ramieniu której mogłaby się wyplakać, ilekroć czuła się samotna i przerażona. Której mogłaby opowiedzieć o swoim szczęściu, kiedy zaszła w ciążę, ani o tym, jak straciła wszelką nadzieję na to, że zostanie matką. O tym, jak to jest być bezpłodną. Nie mieć niczego, co zostałoby po zmarłym mężu, nawet dziecka.

Nie mogła opowiedzieć Judith o tym, jak bardzo brakuje jej Gary'ego. O jego wdzięku i ambitnych planach. Ani o tym, jak trudny był jego syn - chłopiec, któremu jego własna matka prawie nie poświęcała czasu.

Ach, gdyby Lynette miała rację. Gdyby rzeczywiście Portia mogła porozmawiać z matką o tym, co było dla niej naprawdę ważne. Zwierzyłyby się jej ze swego przekonania, że śmierć Gary'ego nie była wypadkiem, że został zamordowany, że policja uznała ją za oszalałą z rozpaczy wariatkę i zamknęła sprawę po bardzo krótkim i powierzchownym śledztwie.

Myślała o tym wszystkim, siedząc naprzeciw matki, i czuła, jak słowa wzbierają w jej piersi. Przełknęła ślinę.

- Kawa i bułeczki? To miło z twojej strony, mamó - powiedziała.

Patrzyła na Judith, jeszcze drobniejszą w wielkim fotelu, i opowiadała jej o bankiecie, w którym wzięła udział poprzedniego wieczoru.

- Więc była tam Carol - powiedziała Judith. - Jak ona teraz wygląda?

- Jest za chuda i zbyt mocno się maluje.

- Jej makijaż zawsze był przesadny. Nawet wtedy, kiedy obie byłyśmy... młodsze.

- Poza tym wieczór okazał się bardzo udany. Zebraliśmy sporo pieniędzy. Nie wiem, ile dokładnie, ale myślę, że około stu i tysięcy. Widziałaś to w telewizji?

Tylko lekkie, niezobowiązujące tematy, nic poważnego.

- Tak, widziałam kawałek w porannych wiadomościach. Ślicznie wyglądałaś, moja droga.

- Wiesz, mamó, Aaron zaproponował mi stanowisko prezesa fundacji.

- Aaron?

- Mój przyjaciel, Aaron Burkhart. Opowiadałam ci o nim. Był prezesem fundacji przed Garym i ciągle jest jeszcze w zarządzie. To cudowny człowiek.

- Cudowny. - Judith uniosła jedną cienką brew do góry.

- To naprawdę dobry przyjaciel, mamó.

- I zaproponował ci stanowisko prezesa?

- Tak. To duży zaszczyt. Ale nie wiem, co powinnam zrobić. To ogromne zobowiązanie.

Właśnie to ją przerażało. Całe życie starała się schodzić ludziom z oczu i trzymać z dala od mediów.

Kiedy przyszła na świat, jej ojciec był już ambasadorem w ONZ, a matka znaną aktorką. Portia natychmiast znalazła się w centrum zainteresowania, które osłabło nieco dopiero wtedy, kiedy wyszła za Gary'ego i zamieszkała z nim na ranczo w Kolorado.

- Może zrobił to tylko z uprzejmości. Pewnie nie mówił poważnie i oczekuje, że odmówisz - powiedziała Judith.

Portia poczuła, jak ogarniają irytacja. Typowe, Judith zawsze deprecjonowała wszystko, co robiła jej córka. Uśmiechnęła się z przymusem.

- Myślę, że Aaron mówił poważnie.

- Czy przyjmując takie stanowisko, nie znalazłabyś się na świeczniku?

- Zapewne.

- Cóż, jesteś dorosła, zrobisz, co uznasz za stosowne.

Anna wniosła czarno-złotą tacę z chińskiej laki, na której stała srebrna zastawa: imbryk i talerz z bułeczkami cynamonowymi, cukiernica pełna kostek cukru, szczypce i dzbanuszek ze śmietanką. Leżały tam także lniane serwetki z wyhaftowanym w rogu monogramem.

Portia upiła łyk kawy i zaczęła skubać bułeczkę. Anna spytała o ranczo i o to, jak radzi sobie bez Gary'ego. Były to pytania pełne troski, takie jakie zazwyczaj zadawała Lynette. Portia zawsze rozpaczliwie pragnęła usłyszeć podobne słowa z ust matki.

- Na ranczu mamy teraz problemy. Słyszałaś pewnie o suszy? Od lat jest mało deszczu. Mamy mniej sztuk bydła i nie osiągamy zbyt dużych zysków. Ceny siana są bardzo wysokie. Randy robi, co może, ale jest naprawdę ciężko.

- Randy? - spytała Judith.

- Brat Gary'ego - przypomniała jej Portia.

- No tak, oczywiście.

- Przez całe lato mieszkał ze mną Todd, syn Gary'ego.

- Ten bachor?

Portia zagryzła wargi.

- Tak go kiedyś nazwałam, prawda? Cóż, Todd bywa trudny, nie przeczę. Jego matka ponownie wyszła za mąż i prawdę mówiąc ani ona, ani jej mąż nie są w stanie z nim wytrzymać.

- Ile ma teraz lat? - spytała Anna.

- Piętnaście.

- Boże, uchwaj nas przed nastolatkami - mruknęła Judith. - Ty byłaś w tym wieku niemożliwa.

Nie, mam, byłam cicha i nieśmiała i chciałam tylko, jak inne dziewczynki, chodzić do szkoły. To ty byłaś niemożliwa. A kiedy się rozwiedliście i zostałam wysłana do szkoły we Francji, musiałam zbyt szybko dorosnąć, pomyślała.

Po chwili oczy Judith zaszły mgłą i zaczęły wpatrywać się gdzieś w przestrzeń. Czas się pożegnać.

- Wiem, że musisz wracać do miasta - odezwała się Anna. Zawsze starała się chronić Judith.

- Tak, mam jeszcze kilka spraw do załatwienia - powiedziała Portia z wdzięcznością, biorąc do ręki torebkę.

Judith wstała.

- Prawie nic nie zjadłaś, kochanie.

- Jadłam już śniadanie, mam - skłamała.

- Wkrótce znowu do nas przyjedziesz?

- Spróbuję. Jeśli przyjmę stanowisko prezesa fundacji, będę pewnie więcej podróżować.

- Wiem, wiem. Młodzi ludzie są tacy zajęci.

- Postaram się niedługo przyjechać, obiecuję.

Portia czuła bolesne pulsowanie w skroniach. Nie mogła się

doczekać chwili, kiedy znajdzie się za drzwiami.

Judith wyciągnęła ramiona. Portia podeszła do niej, poczuła szczupłe dłonie matki na plecach, zapach perfum. Potem Judith odepchnęła ją lekko i spojrzała jej w twarz.

- Do widzenia, kochanie.

- Do widzenia, mamó.

Przysięgłaby, że w oczach matki błysnęły łzy. Łzy?

Anna odprowadziła ją do drzwi.

- Proszę, spróbuj znowu do nas przyjechać - powiedziała. - Wiem, że ona jest trudna, ale naprawdę cię kocha.

- Obiecuję.

- W takim razie do zobaczenia. - Anna pocałowała ją w policzek.

- Do zobaczenia. I dziękuję za opiekę nad mamą.

Anna otworzyła drzwi i Portia z ulgą wyszła na zewnątrz. Miała to już za sobą, mogła odjechać. Żółta taksówka czekała na podjeździe, niczym powóz Kopciuszka, obiecując ratunek.

Portia zaczęła schodzić ze schodów, ale zatrzymała się nagle. O samochód opierał się jakiś mężczyzna. Taksówkarz? Nie, oczywiście, to nie taksówkarz. Ten człowiek miał na sobie czerwoną hawajską koszulę i rozmawiał z kierowcą. Kto...?

Mężczyzna podniósł głowę, dostrzegł Portię i się wyprostował. Teraz zauważyła, że miał aparat fotograficzny. Podniósł go i zaczął robić zdjęcia.



- Och, nie - powiedziała stojąca w drzwiach Anna.

Mężczyzna podszedł do Portii, która zmartwiała, nie wiedząc, jak się zachować.

- Czy pani matka mieszka w tym domu? Czy Judith Carr tu mieszka?

Anna zeszła ze schodów - krucha, starsza kobieta, ale jej głos brzmiał stanowczo.

- Proszę opuścić to miejsce, młody człowieku. To posiadłość prywatna.

Reporter nie zwrócił na nią uwagi. Taksówkarz wysiadł z samochodu i próbował odciągnąć reportera, ale został odepchnięty. Aparat pstrykał nieprzerwanie, jak oszalały robot. Portia próbowała wyminąć mężczyznę. Zignoruj go, powiedziała sobie w duchu. To mali ludzie. Ale wrócił koszmar sprzed lat, koszmar uników i niepokoju, wstydu i upokorzenia. Zostaw mnie w spokoju, miała ochotę krzyknąć, ale zacisnęła zęby, wiedząc, że reporter czeka na jakąkolwiek reakcję z jej strony.

- Portia, czy w tym domu mieszka Judith Carr? No, Portia, możesz mi to chyba powiedzieć?

- Proszę - powiedziała, odwracając głowę, kiedy reporter skierował obiektyw aparatu na jej twarz. Cofnęła się i podniosła ramię, chcąc się zasłonić. Obcas jej buta ugrzązł w sypkim żwirze, straciła równowagę i upadła na jedno kolano. Ból ją otrzeźwił.

- Proszę odejść albo zawołam policję. Wstała niezgrabnie, otrzepała

kolano, czując, że jej policzki płoną z zażenowania, i ruszyła w stronę taksówki. Starła się nie utykać przy tym zanadto. Reporter zagroził jej drogę.

- Daj spokój, Portia, powiedz coś - nalegał. W jego oddechu poczuła nieprzyjemną woń dymu papierosowego.

Jakby nie dość na tym, na scenę wkroczyła kolejna postać. Portia dostrzegła kątem oka, że ktoś idzie szybko w ich stronę.

- No, kolego, czas się pożegnać - rozległ się męski głos.

Odwróciła się i spostrzegła obcego mężczyznę, który się do niej zbliżał. Był szczupły, wysoki, miał bardzo ciemne, kręcone włosy i gniewny wyraz twarzy. Koszula z podwiniętymi rękawami odsłaniała muskularne ręce. Spodnie w kolorze khaki były wygniecione. Reporter opuścił aparat i zmarszczył brwi.

- Hej, ja tylko...

Mężczyzna pokazał mu odznakę.

- Policja. Zjeżdżaj stąd.

- Co ty tu robisz, dupku?

Mężczyzna chwycił reportera za łokieć i obrócił go szybkim ruchem do siebie.

- Powiedziałem, że czas się pożegnać. Zrozumiano?

Reporter niechętnie ruszył w stronę swojego samochodu, który stał nieopodal w cieniu drzewa. Portia dostrzegła za nim kolejne auto, zaparkowane przy końcu podjazdu.

Nieznajomy odwrócił się do niej.

- Wszystko w porządku? - spytał z troską.

- Owszem, dziękuję. Tylko trochę zadrapałam sobie kolano.

- Wszystko w porządku! - zawołał do Anny, która ciągle jeszcze stała na schodach. - Nic jej nie jest.

- Portia... - zaczęła Anna.

- Idź, Anno. Mama musi być bardzo zdenerwowana.

Mężczyzna wręczył taksówkarzowi banknot i zanim Portia zdołała zareagować, ten wsiadł do swojego samochodu i odjechał.

- Przepraszam, ale muszę się jakoś dostać do miasta - powiedziała Portia.

- Nie ma problemu, podwożę panią. Pomyślałem, że po tym, co tu zaszło, będzie pani potrzebowała pewnej ochrony...

- Cóż... - Portia była kompletnie zdezorientowana. Kręciło jej się w głowie.

- Po to tu jestem.

Spojrzała na niego, nie rozumiejąc, o czym mówi.

- Czy mogę zobaczyć pańską odznakę?

Policjant wyciągnął z kieszeni odznakę i ją otworzył. Były tam numer, zdjęcie, imię, nazwisko i ranga.

- Detektyw Nick Sinestra, do usług, policja nowojorska, okręg szósty.  
- Uśmiechnął się szeroko.

Portia porównała jego twarz z tą ze zdjęcia. W rzeczywistości

wyglądał lepiej. Miał dwie wyraźnie zarysowane linie biegnące od nozdrzy do kąćków ust, ciemne oczy o ciężkich powiekach i dość duży, ale zgrabny nos. Sprawiał trochę egzotyczne wrażenie. Wyglądał na kogoś, kto niejedno już w życiu widział.

Nagle uświadomiła sobie, że już kiedyś widziała tego człowieka. Oczywiście! Ubiegłego wieczoru na bankiecie, on i potężny czarny mężczyzna z dreadami wyprowadzili pijaka, który się do niej przyczepił. Spojrzała na niego uważnie. Nick Sinestra pod domem jej matki: to nie mógł być przypadek.

- Cóż, detektywie, skoro odesłał pan taksówkę, obawiam się, że jest pan skazany na moje towarzystwo.

- Mogło być gorzej.

- Zwrócę panu za taksówkę.

- To nie jest konieczne.

- Ależ z pewnością jest - odparła i sięgnęła do torebki.

Nick położył jej rękę na ramieniu.

- Proszę się nie martwić, wrzucę to w kosza.

- Na pewno?

- Na pewno.

Podeszli do małego czerwonego samochodu, który z całą pewnością nie był służbowy. Mężczyzna otworzył przed nią drzwi, zaczekał, aż wsiadła, i zamknął je, po czym usiadł za kierownicą. Otworzył schowek na rękawiczki, grzebał w nim chwilę i wyciągnął paczkę chusteczek

higienicznych.

- Proszę sobie otrzeć kolano - powiedział.

- Dziękuję. - Przyłożyła chusteczkę do rany. Nick uruchomił auto i zawrócił na podjeździe. - Czuję się jak ostatnia idiotka. Zupełnie mnie to zaskoczyło. Nie mam pojęcia, jak ten okropny człowiek zdołał mnie tu znaleźć.

- Hm.

- A skoro już o tym mowa, nie bardzo rozumiem, skąd wziął się tu nowojorski policjant.

Spojrzała na niego spod oka, ale nie odrywał wzroku od drogi.

- Przyjechałem tu za panią.

- Co takiego?

- Zostałem przydzielony do pani ochrony na czas pobytu w Nowym Jorku.

- I nikt mnie o tym nie poinformował? - spytała zdumiona.

Nick wzruszył ramionami.

- Widocznie nie.

- Przykro mi, ale nie rozumiem. Więc miałam tu ochronę?

- Na to wygląda.

Portia przyłożyła dłoń do czoła. Było mokre od potu.

- Ale dlaczego?

Znowu wzruszył ramionami i zacisnął palce na kierownicy.

- Ja tylko wykonuję rozkazy.

- Nie chcę, by pan pomyślał, że jestem niewdzięczna, ale trudno mi uwierzyć, że nikt mi o tym nic nie powiedział.

Spojrzał na nią, po czym znowu odwrócił głowę. Nie odpowiedział i przez chwilę trwała cisza. Napięcie rosło, jak rachunek, który w końcu trzeba będzie zapłacić.

- Był pan wczoraj na bankiecie - powiedziała w końcu Portia. - Od razu pana rozpoznałam.

- Doprawdy?

- Razem z wysokim czarnym mężczyzną z dreadami wyprowadziliście tego pijaka. To był pan, prawda?

- Tak.

Ciągle nie mogła pojąć, jak to możliwe, że miała ochronę, o której nikt nie raczył jej poinformować. Obłąd. Ale w końcu to nie Jego wina, że go do niej przydzielono. No i z pewnością uchronił Ją przed nieprzyjemnym starciem wczorajszego wieczoru.

- Nie miałam okazji panu podziękować.

- Wykonywałem tylko swoje obowiązki.

- Cóż, tak czy inaczej, dziękuję.

Nie odpowiedział. Skreślił w Hutchinson River Parkway i ruszył w stronę Manhattanu. Zaczął padać drobny deszcz, więc łączył wycieraczki.

Portia doszła do wniosku, że nic więcej z niego nie wyciągnie. Dla niego to tylko praca. Może potrzebował pieniędzy. Pewnie ani ona, ani

jej matka nic go nie obchodzi.

Ale skąd ten reporter wiedział, gdzie jej szukać? Nikomu nie powiedziała o planowanej wizycie u matki, nawet Aaronowi. Chyba że paparazzi również za nią jechał. Przypuszczała, że to możliwe. Fakt, że przybyła do Nowego Jorku, nie był tajemnicą. Ten dziennikarz musiał się dowiedzieć, w którym hotelu się zatrzymała, i ją śledził.

Teraz prasa wie, gdzie mieszka Judith Carr. Paranoiczne lęki matki znowu przybiorą na sile. I to wszystko jej wina. Ale może nikogo to nie zainteresuje? W końcu nazwisko Judith Carr wielu ludziom nic już nie mówiło.

Tak czy inaczej trzeba ostrzec Annę. Boże, co za chaos. Ciekawe, dla jakiej szmaty pracuje ten reporter. Musi się tego dowiedzieć.

Cóż, stało się. Anna utrzyma media na dystans, choć zapewne Judith będzie zmuszona na jakiś czas zrezygnować ze swoich spacerów. Portia postanowiła, że zasugeruje Annie, by zwróciła się o pomoc do policji z New Rochelle, jeśli zajdzie taka potrzeba. Prasa wcześniej czy później straci zainteresowanie. Zawsze tak jest. Wystarczy zaczekać, aż jakiś inny biedak znajdzie się na tapecie. Boże, nienawidziła tego.

- Wie pan, dla kogo pracuje ten dziennikarz? - spytała, przerywając ciszę.

Mężczyzna milczał. Wyprzedził jakiś samochód, po czym wrócił na poprzedni pas.

- Nie, nie wiem - powiedział w końcu.

- Och.

Znowu chwila milczenia.

- Przykro mi.

Zbliżali się do Manhattanu. Portia spojrzała przez okno na zasnutę mgłą rzędy wysokich budynków. Po prawej płynęła rzeka Hudson, nad którą wznosił się wdzięczny łuk mostu George'a Washingtona, prowadzący do New Jersey. Powietrze było tu zupełnie inne niż w Kolorado, duszne i wilgotne, światło wydawało się przytłumione.

Ogarnął ją niepokój. Czowała się taka bezbronna wobec mediów, wydana na pastwę ich bezlitosnej ciekawości. Wydarzenia tego ranka były tylko preludium do tego, co będzie musiała znosić, jeśli przyjmie stanowisko prezesa Fundacji Ochrony Przyrody, nie zostawią jej w spokoju ani na moment. Ośmieszają, nazwą ekologiem z wyższych sfer, będą grzebać w jej przeszłości. Może nawet dowiedzą się o trzech poronieniach i wywloką jej osobistą tragedię na pierwsze strony gazet. Będzie jeździć po całym kraju i spędzać dużo czasu w Waszyngtonie, gdzie mieści się główna siedziba fundacji. A wtedy media całkowicie zawładną jej życiem.

Musi też myśleć o Toddzie. Czy istotnie powinna brać na siebie tak wiele obowiązków, skoro nie zawsze będzie mogła pozostawić chłopca pod opieką cioci Lynette i wujka Randy'ego?

Z drugiej strony, zainteresowanie prasy jej osobą może przynieść pewne korzyści - na przykład pomóc jej odkryć prawdę o śmierci



Gary'ego. Może. Gdyby jej wątpliwości dotyczące wypadku przeciekły do mediów, władze prawdopodobnie zostałyby zmuszone do ponownego otwarcia sprawy. Będzie musiała rozważyć wszystkie plusy i minusy.

Chciała podjąć decyzję, ale ciągle kręciła się w kółko. Tak, nie, tak, nie. Gary, Todd, fundacja.

- Zatrzymałam się w Peninsula Hotel przy Pięćdziesiątej Piątej - powiedziała.

- Wiem.

Oczywiście, że wiedział.

- Zdarza ci się mieć wolną niedzielę? - spytała.

- Czasami. To zależy, czy pracuję nad jakąś sprawą.

- Mówiłeś, że jesteś z okręgu szóstego.

- Zgadza się.

- Więc to chyba niezupełnie jest twój teren?

- Nie.

Nie był szczególnie rozmowny. Typ silnego, milczącego mężczyzny. Nie wiedziała, jak się przy nim zachowywać, czuła się niezręcznie, jak na szkolnych potańcówkach, które zdecydowane nie były jej żywiołem, albo wtedy, kiedy pierwszy raz wyjechała do Francji i prawie nie знаła języka.

Może właśnie dlatego tak szybko wyszła za Gary'ego. Był swobodny, uwielbiał rozmawiać i mógł robić to godzinami, bez względu na temat. Wszędzie czuł się jak u siebie w domu, zawsze imponował

mężczyznom i robił wrażenie na kobietach. Urodzony lider, pewny siebie, charyzmatyczny, zdecydowany.

Gary. Tak bardzo jej go brakowało. Przez tyle lat był centrum jej świata, a potem nagle zniknął. Bez niego nie potrafiła odnaleźć swojego miejsca w życiu, swojej drogi. Oczywiście od dnia, kiedy się poznali, wiedziała, że bardziej go potrzebuje, niż kocha. Gary także o tym wiedział. I nie przeszkadzało mu to. A ona z czasem go pokochała. Ale czuła się winna, że nie była w nim głęboko zakochana. A teraz Gary nie żyje. Będzie musiała żyć ze świadomością, że nigdy w pełni nie odwzajemniła jego uczuć, a co gorsza, nawet nie była w stanie dać mu dziecka. Czy to możliwe, że wyrzuty sumienia są jedynym powodem, dla którego w ogóle rozważała przyjęcie stanowiska prezesa fundacji? Czy robiła to wszystko dla Gary'ego?

Stary samochód podskakiwał na wybojach. Portia odwróciła się do Nicka. Policjant z wielkiego miasta... Musiał wiele tu widzieć. Na pewno miał do czynienia z handlarzami narkotyków, złodziejami i prostytutkami. Sprawiał wrażenie twardego i pewnego siebie człowieka, niepozbawionego jednak pewnego specyficznego poczucia humoru i tylko dlatego jej nie przerażał.

- Mieszkasz w mieście? - spytała z braku innego tematu do rozmowy.
- Ehem.
- Pochodzisz z Nowego Jorku?
- Z Bronksu.

- Założę się, że jesteś z jednej z tych rodzin, w których wszyscy mężczyźni pracują w policji.

Roześmiał się.

- Nie. Jestem jedynym gliniarzem w rodzinie.

Miał przyjemny śmiech. Miły głos. Spojrzała na niego z ukosa. Przypomina twarze mężczyzn ze starożytnych monet, greckich, rzymskich albo etruskich, pomyślała. Był, obiektywnie rzecz biorąc, bardzo atrakcyjny. Męski.

Było już po jedenastej, kiedy zatrzymał się pod Peninsula Hotel. Portia wysiadła i nachyliła się do okna samochodu.

- Dziękuję za podwiezienie. I za to, że pozbył się pan tego dziennikarza.

- Jasne, nie ma sprawy - wymamrotał w odpowiedzi, nie patrząc jej w oczy, i natychmiast odjechał.

Portia poszła do swojego pokoju i zaczęła się pakować. Ale cały czas miała przed oczami tę scenę: dziennikarz, Nick, który kazał mu zjeżdżać, jego czerwony samochód. Spróbowała myśleć o czymś innym, ale bez skutku. Intrygował ją. W jednej chwili starał się być uprzejmy, w następnej zachowywał się niemal gburowato.

Wszystko to wytrąciło ją z równowagi. Była zdezorientowana i nie wiedziała, co o tym myśleć. Gary zginął niecały rok temu, a ona już zaczęła interesować się innym mężczyzną, zupełnie obcym. Policjantem z Nowego Jorku, którego zapewne już nigdy więcej nie spotka.

Siedziała na brzegu łóżka, patrząc na swoje zadrapane kolano, i wciąż słyszała jego głos.

Był przy niej, kiedy potrzebowała pomocy - dwa razy w ciągu dwóch dni. Ale nie miał nic wspólnego z rycerzem na białym koniu, po prostu wyznaczono go, by ją ochraniał. Wykonywał swoją pracę, to wszystko.

A jutro? Pojutrze? Jeszcze później? Nie będzie Nicka Sinestry, by pośpieszył jej na ratunek. Nie będzie żadnego przystojnego twardego policjanta, który mógłby się nią zaopiekować. Chyba oszalała, sądząc, że zdoła podołać obowiązkowi Gary'ego. Czyżby zapomniała już, jakim koszmarem jest życie na oczach mediów?

Miała ochotę zadzwonić do Lynette, opowiedzieć jej o tym zwa-riowanym dniu, o Judith, cudownej starej Annie i tym obleśnym dziennikarzu. I o Nicku Sinestrze. Nick. Wyznałaby przyjaciółce, ile o nim myślała, razem wymyśliłyby pewnie jakiś łzawy scenariusz o twardym gliniarzu i bezradnej kobietce, a potem Lynette zaczęłaby się zastanawiać, w jaki sposób Portia mogłaby się znowu spotkać ze swoim wybawcą. Lynette była dobra w takich rzeczach. Była też jedyną osobą na ziemi, która wiedziała, jak bardzo samotna jest Portia.

Pomyślała o telefonie do Lynette, ale spojrzała na zegarek i uświadomiła sobie, że zaraz powinna jechać na lotnisko.

Najpierw jednak musiała coś załatwić. Podniosła telefon i wystukała numer informacji. Potem kolejny i czekała na połączenie. W słuchawce rozległ się kobiecy głos:

- Szósty okręg, oficer Webb.
- Przepraszam bardzo, wiem, że jest niedziela, ale czy zastałam może... eee... dowódcę?
- Zapewne chodzi pani o komendanta Fitzpatricka. Owszem, jest na komisariacie.
- Czy mogłabym z nim rozmawiać?
- Tak, oczywiście.
- Fitzpatrick - powiedział po chwili szorstki, męski głos.
- Dzień dobry, nazywam się Portia Wells, przyjechałam do Nowego Jorku, by wziąć udział w bankiecie wydanym wczoraj wieczorem na rzecz nowojorskich strażaków.
- Aha...
- Cóż, chciałam podziękować panu czy też osobie, której to zawdzięczam, za przydzielenie mi ochrony w osobie detektywa Sinestry.
- Sinestry?
- Tak, Nicka Sinestry. Był wczoraj na bankiecie, a dzisiaj...
- Przepraszam, czy może mi pani jeszcze raz podać swoją godność?
- Portia Wells.
- Panno Wells, o ile wiem, nikogo nie przydzielaliśmy do ochrony ani pani, ani nikogo innego. Owszem, detektyw Sinestra pełnił służbę na wczorajszym bankiecie, ale nic poza tym, a dzisiaj miał wolny dzień.
- Ale... powiedział mi, że...
- Przykro mi, musiało zajść jakieś nieporozumienie. Czy Nick

sprawiał kłopoty? Miała pani z nim jakiś problem?

- Nie, nie. Wręcz przeciwnie. Był bardzo pomocny.

Rozłączyła się, zupełnie skołowana. Jeszcze raz przypomniała sobie wszystko, co mówił tego ranka. O co chodzi? Czy Nick kłamał? Ale po co miałby to robić?

Wyszła z hotelu, złapała taksówkę i pojechała na lotnisko. W ciemnościach tunelu wiodącego poza Manhattan nagle wszystko zrozumiała.

Nick Sinestra nie został wcale wyznaczony, by ją ochraniać. Nie, on ją śledził, pojechał za nią do domu jej matki i zadzwonił po dziennikarza z tego brukowca. To on był za to odpowiedzialny, a udawał, że ją chroni.

Boże! Czuła się taka głupia... taka zdradzona. A chciała podziękować mu przez telefon, chciała usłyszeć jego głos. Dziecinne mrzonki. I czy naprawdę zamierzała poprosić go, by ją ochraniał, kiedy znowu przyjedzie do Nowego Jorku? Idiotka, powtarzała sobie w myślach, wściekła na siebie, a jeszcze bardziej na niego. Wściekła i zraniona.

Położyła rękę na czole, jakby chciała ukryć wstyd.

Kiedy samochód wyjechał w końcu z tunelu w siąpiący nieprzerwanie szary deszcz, uświadomiła sobie, że Nick musiał mieć wyrzuty sumienia, skoro przegonił tego reportera.

Chyba niezbyt wielkie. Zrobił z niej kompletną kretynkę. Gardziła nim. Szczur.

## Rozdział 3

Każdego ranka od trzech lat Nick spotykał się z Gilem w kafejce przy wejściu do stacji metra na Broadwayu. Nick zamawiał drożdżówkę z jagodami i dużą kawę, Gil kupował lifesaversy. Palenie rzucił wiele lat temu, ciągle był jednak uzależniony od energetycznych batonów.

Był wtorkowy ranek. Dziesięć po siódmej, ale już panował nieznośny upał.

- Cholera - mruknął Nick, rozluźniając krawat. Postawił kawę i ciastko na stole i zaczął grzebać w kieszeni w poszukiwaniu drobnych. - Powinienem wziąć prysznic, a kąpałem się pół godziny temu.

- Owszem, gorąco dziś. - Gil kiwnął głową. - Kawa pomoże ci ochłonać.

- Hm. - Nick upił łyk napoju.

Jego wzrok padł na ciągle jeszcze związane sznurkiem egzemplarze „Star Gazera”, które leżały na podłodze między „New York Timesem” a „Daily News”. Prosto z drukarni. Na okładce widniało zdjęcie Portii i jej matki oraz wielki nagłówek: MATKA I CÓRKA - BURZLIWE SPOTKANIE.

Zakrztusił się i wypluł kawę przez otwarte drzwi na chodnik.

- Wszystko w porządku? - Gil klepnął go w plecy.

- Eee, tak, źle przełknąłem. - Nick zakaszłał i spojrzał z niesmakiem na absurdalne zdjęcie Judith, najwyraźniej wyciągnięte z jakiegoś prasowego archiwum. Była na nim młodsza, ale wyglądała na mocno niezrównoważoną. Tuż obok było zdjęcie Portii zrobione przed domem matki. Miała uniesione ramiona, jakby szykowała się do odparcia ataku, rozwichrzone włosy i zsuwającą się z ramienia bluzkę. Kobiety były zwrócone ku sobie, sprawiając wrażenie, jakby zawzięcie się o coś kłóciły.

Bardzo sprytnie, Bern, pomyślał. Ty draniu.

Zakaszłał ponownie i zszedł za Gilem do podziemnego miejskiego piekła. Przepchnęli się przez tłum ludzi i stanęli na końcu i peronu pod wyłożoną białymi kafelkami ścianą.

- Na pewno wszystko w porządku? - spytał Gil, kiedy Nick wrzucił nietkniętą drożdżówkę do kubła na śmieci.

- Tak, w taki upał tracę apetyt. Ile tu może być na dole? Chyba ze czterdzieści stopni?

- Co najmniej - odparł Gil, zaglądając w tunel, jakby mógł w ten sposób sprowadzić pociąg. Dzięki Bogu wagony były klimatyzowane.

Nick nie miał ochoty powiedzieć partnerowi prawdy, zwłaszcza teraz. To zdjęcie... Ludzie posuną się do każdego świństwa, byle tylko sprzedać więcej gazet. Teraz, kiedy prasa dowiedziała się, gdzie mieszka Judith, nie dadzą jej spokoju. Cholera.

Skrzywił się, kiedy pociąg nadjechał ze zgrzytem, owiewając ich



podmuchem gorącego powietrza. Wsiedli i przepchnęli się na środek wagonu, bo wysiadali dopiero na Christopher Street w Village.

Nick cały czas miał przed oczami okładkę brukowca, aż w końcu zdołał przekonać samego siebie, że to nie jego wina. Portia miała zamiar zostać prezesem Fundacji Ochrony Przyrody, więc media wcześniej czy później namierzyłyby jej matkę, nawet bez jego pomocy. Była to tylko kwestia czasu. Nie masz się czym martwić, Sinestra.

Wyszli z metra w West Village i przekonali się, że nie było tu ani trochę chłodniej, powietrze natomiast okazało się jeszcze bardziej wilgotne, bo tu, na południowym krańcu Manhattanu, prawie zbiegały się rzeki Hudson i East. Obaj zdjęli marynarki i ruszyli pieszo wzdłuż West Tenth, gdzie w skromnym budynku z czerwonej cegły mieścił się komisariat okręgu szóstego.

Weekend też ma być upalny - odezwał się Gil. - Nazywają to „wydarzeniem pogodowym”.

- Kto wymyślił takie idiotyczne określanie? - Nick się skrzywił.

- Wydarzenie pogodowe. Też coś.

Komisariat” był jednym z dziesięciu na południowym Manhattanie i zajmował się całym West Village. Granice okręgu szóstego wyznaczały ulice Houston na południu i Czterdziesta na północy na wschodzie sięgał po Broadway, aż do Hudson River. Jeśli wierzyć policyjnym statystykom, od kilku lat przestępczość nieprzerwanie tu spadała.

Nick jednak nie do końca wierzył w statystyki. Uważał za to, że w

jego okręgu brakowało policjantów. Dla młodych wilków no akademii policyjnej było tu pewnie niezbyt interesująco. Tak czy inaczej, policjantów było za mało, a Nick i Gil nie mieli urlopu od ponad półtora roku.

Kiedy powstało Homeland Security, pojawił się nowy problem: w okręgu zatrudniono kilku ludzi z tej agencji. Nick został przydzielony do jednego z nich - TG, tak go nieoficjalnie nazywano. Na drugim piętrze żartowano, że to skrót od *tourist guide*, przewodnika oprowadzającego wycieczki. Nick uważał to za mało zabawne.

Mike, sierżant na służbie przy wejściu na pierwsze piętro, podlewał właśnie przywiedle kwiaty w plastikowych doniczkach.

Nick pokręcił głową.

- Po co to robisz? - spytał Mike'a.

- Trzeba rozweselić trochę to miejsce. - Mike delikatnie oderwał przekwitły kwiat z gałązki anemicznej różowej petunii. - Cynik z ciebie, Sinestra. Zatrzymaj się i powąchaj różę, człowieku.

- Różę? - prychnął Nick.

Tak naprawdę komisariat sprawiał wrażenie skrzyżowania więzienia ze szkołą. Nawet policyjne samochody parkowały po drugiej stronie, przy Charles Street, więc nie było ich widać. Cały budynek wymagał modernizacji, ale remont miał się rozpocząć od drugiego piętra.

- Mike przynajmniej się stara - zauważył Gil, kiedy otworzyli metalowe drzwi i ruszyli wąskimi schodami, wiodącymi do biur.

Kiedy Nick wszedł do biura, chłopcy z agencji ochrony stali koło jego biurka. Powiesił marynarkę na wiekowym krześle. Komendant wprawdzie życzył sobie, by jego detektywi przychodzili do pracy w garniturach, ale w budynku było tak gorąco, że wszyscy szybko pozbywali się marynarek.

- Dzień dobry - powitał go młodszy z dwóch pracowników Homeland Security. Nazywał się Richard Jacobson i był absolwentem Georgetown University. Po studiach zaczął pracować w NSA a potem trafił do okręgu szóstego. Dzieciak był w porządku. Do diabła, nawet się nie pocił. Do wieczora tkwił w marynarce. Nick przypuszczał, że tak dobrze znosił wysokie temperatury, bo wiele lat mieszkał w Waszyngtonie, upalnej stolicy wszechświata.

- Jasne, dobry. - Nick usiadł i zrobił miejsce na biurku, by przejrzeć pocztę.

Drugi z jego podopiecznych stał obok w milczeniu. Był starszy od Nicka, mógł mieć jakieś trzydzieści dwa, może trzydzieści trzy lata. Przedtem pracował w FBI. Nick nie wiedział, czy Weston Ramsey był zadowolony z przeniesienia. Właściwie niewiele go to obchodziło, ale musiał z nim pracować, dobrze jest wiedzieć, z kim wychodzi się na ulicę. Rick był w porządku. Wes był dupkiem pierwszej kategorii.

- Jakie mamy plany na dziś? - spytał Wes, wyciągając z kieszeni plan miasta.

- Eee, New York University i park.

- Washington Square. - Rick się uśmiechnął.

Wes mruknął coś pod nosem.

Nick powoli podniósł na niego wzrok.

- Park to serce okręgu. Odpowiadasz za ten obszar, zgadza się? Cóż, jak już mówiłem, to jego centrum. Jeśli tylko pogoda jest do zniesienia, kręci się tam mnóstwo studentów, turystów i...

- Transwestytów, alfonsów oraz dziwek - wtrącił cierpko Wes.

- Tak, ich także, Ramsey. Ale to też obywatele, chłopcze. I należy im się ochrona. Nie rozumiem tylko, jak to się stało, że wybrano do tej roboty ciebie.

- Dajcie spokój - odezwał się uspokajająco Rick.

- Może miałem ochotę na fajne mieszkanie z widokiem na rzekę - odparł Wes. - Homeland daje niezłe pensje. Ale nie pojmuję, co ty widzisz w tej dzielnicy, pełnej pseudoartystów, niedobitków lat sześćdziesiątych. Cóż - Wes wzruszył ramionami - co kto lubi.

- Odp... - zaczął Nick, ale w porę się opanował. Nianczenie tych dwóch dzieciaków, a przynajmniej Wesa, było tylko tymczasowym zadaniem. A rząd niezłe za to płacił.

- O której chcesz wyjść na ulicę? - spytał Rick, spoglądając na zegarek.

- Muszę sprawdzić pocztę, wykonać kilka telefonów i przejrzeć akta.

- I - wtrącił Gil, wystawiając głowę ponad dzielącą ich biurka ściankę z dykty - musimy się jeszcze zająć tymi śmieciami z Internetu. Nowy

nigeryjski scam\*. Dostaliśmy już osiemnaście skarg tylko z Szóstej ulicy. Jedną złożyła wczoraj matka któregoś z członków rady miejskiej.

Nick usiadł na swoim skrzypiącym krześle i westchnął ciężko.

- Cholera. No to mamy problem. Na ile ją orznęli?

- Ponad pięć tysięcy.

- Do diabła, matkę radnego?

- Aha.

Głowa Gila znikła.

- Cudownie - mruknął Nick.

Do południa siedział za biurkiem. Rick, jak zwykle wyrozumiały, zajął się naprawą starej okiennej klimatyzacji, która się zepsuła, kiedy pewien policjant z poważną nadwagą włączył ją na maksymalne obroty. Wes natomiast najpierw sterczał mu nad głową, a potem zaczął studiować statystyki przestępczości dostarczone przez Patrol Borough Manhattan South.

Na zewnątrz słońce niemiłosiernie prażyło spowite smogiem ulice miasta. Nick ruszył West Tenth Street, kryjąc się w cieniu budynków, kiedy tylko było to możliwe. Miał wrażenie, że zaraz się udusi. Nic dziwnego, że w upalne dni popełniano więcej zabójstw. Upał rozdrażniał ludzi, w wysokiej temperaturze szybkiej tracili panowanie nad sobą. Nie miał najmniejszej ochoty na spacer ze swoimi podopiecznymi po kampusie i parku - w którym poza zgrają podejrzanych stałych bywalców będzie zapewne także mnóstwo turystów. I mało cienia.

---

\*scam (ang.) - kant, przekręt.

Wszędzie chodzili pieszo, bo na Bleecker, Czternastej i Broadwayu zawsze były korki. Nick zaczął myśleć o punktach, które mogły się stać celami dla terrorystów. Czemu nie mieliby wysadzić w powietrze restauracji Mama Buddha, w której bywali znani pisarze, gwiazdy filmowe i wielu turystów? Albo Barnes&Noble? Albo kampusu? A najlepszym celem byłby ten wysoki apartamentowiec po drugiej stronie. Ktoś mógłby też wpaść na pomysł, by wysadzić się na środku Washington Square Park. Czemu nie?

Okręg szósty obejmował całe West Village, w tym słynną Bleecker Street, Forbes Museum - doskonały cel - i Szpital Świętego Vincenta. Bomba w szpitalu - to by było coś.

No i szkoły: osiem podstawowych, jedna średnia i dwie wyższe. I całe mnóstwo innych symbolicznych miejsc. Dlaczego nie wysadzić biur Village Voice?

Ale Wes miał inne zdanie.

- Kto miałby wysadzać taką zapyziałą kafejkę?

- Cóż... - zaczął Rick.

- Każdy - przerwał mu Nick - kto wie, że Allen Ginsberg czytywał tam poezje.

- Hm - mruknął Wes z powątpiewaniem.

- A dalej są dwie inne kafejki, prawdziwe ikony kultury, chłopcze. W jednej przesiadywał swego czasu Bob Dylan, a w drugiej Jack Kerouac. Byłby to poważny cios dla miasta, gdyby coś im się stało. Może dla

ciebie to nic nie znaczy, Weston, ale wielu ludzi podchodzi do tego inaczej.

- Wyluzuj, Sinestra - odparł Wes, sunąc obok wielkimi krokami. - Chciałem tylko powiedzieć, że terroryści wybrali raczej Empire State Building albo gmach ONZ.

- Doprawdy? - Nick zaczął tracić cierpliwość. - I dlatego w Tel Awiwie wysadzają autobusy i kawiarnie?

- W Jerozolimie podłożyli bombę w uniwersytecie - podsunął Rick.

- Właśnie - mruknął Nick.

Później Nick doszedł do wniosku, że czarę jego goryczy przepełniła nagła letnia ulewa. Najpierw gwałtowny deszcz, później znowu piekące słońce. Znad chodników unosiła się dusząca para. Gorzej już być nie mogło.

- No, zobaczyliśmy już wszystko - powiedział Wes, kiedy wrócili na komisariat.

- Chyba żartujesz. - Nick wszedł do środka. Dobry Boże, pomyślał. W budynku było jeszcze bardziej gorąco niż na zewnątrz.

- Nie żartuję, Sinestra. - Wes ruszył za nim po schodach. - Teraz już sami damy sobie radę.

Zanim Nick zdążył odpowiedzieć, wszedł Gil, z czołem zroszonym potem, i cisnął mu na biurko stertę papierów.

- Co za koszmar, człowieku. Ten nigeryjski scam... ilekroć sadzę, że to koniec sprawy, okazuje się, że był to kolejny fałszywy trop. Co za

gównu. Nie jestem komputerowym geniuszem.

Nick podniósł akta.

- Gdzie jest Farley? Może on mógłby nam pomóc...

- Farley został przesunięty. Do centrum.

- Poważnie?

- Tak. Chciał pracować tam, gdzie coś się dzieje.

- I komendant go puścił? Przecież tu i tak brakuje nam ludzi.

- Na to wygląda. - Gil wzruszył ramionami.

- Jak już mówiłem - wtrącił się Wes - myślę, że poradzimy sobie z każdym zagrożeniem terrorystycznym w tej okolicy. Nie sądzę, żebyśmy nadal potrzebowali twojej pomocy.

- Słucham? - Nick wstał odruchowo.

- Powiedziałem, że dziękuję za wycieczkę krajoznawczą. Teraz damy sobie radę sami.

- Co...? - Nick zaśmiał się sarkastycznie. - Sądziłem, że mówisz poważnie, Weston. - Nick wiedział, że komendant Sean Fitzpatrick stoi przy lodówce obok kserokopiarki, ale w tej chwili nic go to nie obchodziło. - Wiesz, Weston, ty jesteś tak tępy, że nie umiałbyś odróżnić zmiataacza ulic od terrorysty.

- Hej... - zaczął Gil.

- Co więcej... - ciągnął Nick.

Wes nadał się, zrobił krok do przodu i wycelował palec wskazujący w pierś Nicka.



- No, dalej - powiedział.

- Odpieprz się, Ramsey. - Nick odepchnął jego dłoń na bok. - Jesteś aroganckim dupkiem bez wyobraźni.

- Dlaczego... - zaczął Wes, ale zanim skończył, Nick go popchnął. Wes mu oddał. Obaj w tej samej chwili podnieśli pięści. zrobił unik, a jego pięść trafiła Ramseya w dolną wargę.

Na tym bójka dobiegła końca. Zanim Wes odzyskał równowagę, dziesięciu policjantów zaczęło ich od siebie odciągać, a w pokoju rozległ się ostry głos komendanta:

- Do mojego gabinetu, Sinestra. Ale już!

Nick otrzeźwiał nagle, jakby ktoś oblał go wiadrzem zimnej wody. Co się właściwie stało? Widział zdumione twarze kolegów i Gila, który z rezygnacją pokręcił głową. I Wesa, z przekrzywionym krawatem i białą chusteczką przyciśniętą do ust. Czuł występujące mu na czoło krople potu i klejącą się do ciała koszulę.

- Sinestra - powtórzył komendant. - Do mojego gabinetu.

- Cholera - mruknął Nick.

Tłumek policjantów rozstał się, by zrobić mu miejsce. Ruszył w stronę gabinetu komendanta. Szedł jak na ścięcie.

- Zamknij drzwi - powiedział Fitzpatrick. Nick zamknął je, metalowa żaluzja zabrzęczała głucho, uderzając o szybę. - Usiądź. Musimy porozmawiać.

- Tak, sir - odparł Nick potulnie.

Wiedział, że ma kłopoty. Nie żeby bójki nie wybuchały wśród policjantów wcześniej, i na komisariacie, i w ich ulubionej knajpie na Broadwayu, ale tym razem było inaczej. Sinestra został przydzielony do pracy z chłopcami z Homeland Security, bo miał to być dla niego odpoczynek, tak w każdym razie w ubiegłym miesiącu określił to komendant. Poza tym Nick zdawał sobie sprawę, że już od jakiegoś czasu nie wiodło mu się najlepiej, jeszcze zanim się rozwiódł, a Gwen związała się z nowym życiowym partnerem... tą kobietą. O słodki Jezu.

Wiedział, że kiepsko mu idzie. Przymykał oko na wiele drobnych wykroczeń w okręgu i tolerował pewne przejawy korupcji. Coraz mniej go to wszystko obchodziło. Był wyczerpany i stawał się coraz bardziej cyniczny. W ubiegłym miesiącu, zeznając w sprawie dilerów narkotyków przyłapanego w szkole średniej, skłamał pod przysięgą. Sprawa była niepewna, nawet prokurator spuścił szybko z tonu. Nick dopuścił się krzywoprzysięstwa, bo jeden z policjantów miał w tej szkole bratanka i diler, choć był już kiedyś oskarżony, jakoś się wywinął. Nick uznał, że warto trochę pomóc, i naciągnął nieco fakty. Czemu nie?

Ostatnio podchodził w ten sposób prawie do wszystkiego. Staczał się. A nowe zadanie zamiast entuzjazmu wzbudziło w nim przekonanie, że po świecie chodzi więcej dupków niż porządnych ludzi.

I właśnie jednemu z nich przyłożył. Spojrzał komendantowi prosto w oczy. Do diabła, gównu mnie to obchodzi, pomyślał.

- Przesadziłeś dzisiaj, Sinestra - powiedział komendant.

- Sir?

- Nie udawaj niewiniątka.

- Nie, sir.

Sean Fitzpatrick był potężnym Irlandczykiem, typowym nowojorskim gliną. Jego dziadek wyemigrował do Stanów i został policjantem. I tak to się zaczęło. Jeden Fitzpatrick za drugim, wujowie i kuzyni, ojcowie i synowie. W sumie dziewięciu. Sami gliniarze.

- Co ja mam teraz z tobą zrobić?

Chyba odebrać mi broń i odznakę.

- No?

- Nie wiem, sir.

- Daj spokój, wiesz, że powinienem cię zawiesić. Zdaję sobie sprawę, że to tylko głupia wpadka. Temperatura rośnie, nerwy puszczają. Zdarza się. Ale ci chłopcy to nasi goście. Gości nie należy walić pięścią w twarz.

- Nie, sir. To bardzo niegrzeczne.

Fitzpatrick uniósł tylko jedną brew.

- Masz zaległy urlop. Jak my wszyscy, do diabła. Kiedy byłeś ostatnio na urlopie?

Urlop?

- Jakieś osiemnaście... dziewiętnaście miesięcy temu. Ale Gil nie miał urlopu jeszcze dłużej.

- Gil także dostanie urlop, w swoim czasie. Pozwól, że ja się tym będę martwił.

- Tak, sir, ale i tak mamy mało ludzi, a...

- Miesiąc.

- Sir?

- Daję ci tydzień na dokończenie bieżących spraw. A potem nie chcę cię tu widzieć aż do sierpnia.

- Mie... miesiąc? Ale...

- Masz sześć tygodni zaległego urlopu. Wierz mi, poradzimy tu sobie bez ciebie.

- Tak, sir.

- I lepiej, żebyś wrócił z lepszym nastawieniem do pracy, Sinestra. Mówię poważnie.

Nick wstał z krzesła. Miesiąc.

- Sir - powiedział, otwierając drzwi. - A co będzie z nimi? - Ruchem głowy wskazał Wesa i jego kolegę. - Kto się nimi...

- To nie twój problem. A teraz zmiataj stąd i nie pokazuj się w okolicy przez miesiąc, bo w przeciwnym wypadku pożegnasz się z odznaką.

- Tak, sir - odparł Nick. Zamknął za sobą drzwi i się odwrócił. Wszyscy patrzyli gdzieś w bok. Wszyscy, poza Westernem Ramseyem, który uśmiechał się szeroko. Mimo spuchniętej, rozciętej wargi ten drań stał i się uśmiechał.

Pieprz się, pomyślał Nick.

## Rozdział 4

Portia spojrzała na zegar na tablicy rozdzielczej samochodu.

Było już prawie południe. Przed nią, na horyzoncie, wznosiło się Denver. Miała pół godziny, by dojechać do miasta, przecisnąć się przez wąskie uliczki i zaparkować przed Brown Palace Hotel. Była trochę spóźniona na spotkanie z Aaronem Burkhartem, który czekał już na nią przy stoliku w Ship's Tavern.

Kiedy wreszcie tam dotarła - co zabrało jej czterdzieści pięć minut - kelner zaprowadził ją do stolika, a Aaron wstał, by ją uściskać.

- Portia, jak na dziewczynę od krów wyglądasz wspaniale.

Roześmiała się. Dziewczyna od krów.

- Cóż, jeszcze rano byłam cała zakurzona i miałam siano we włosach, pomyślałam jednak, że doprowadzę się do porządku.

- Napijesz się czegoś? - spytał, kiedy usiedli naprzeciw siebie. - Wina? Herbaty?

- Mrożonej herbaty, poproszę. Po lunchu wracam na ranczo.

Przed Aaronem stał już kieliszek wina. Przez chwilę Portia także miała ochotę napić się czegoś mocniejszego, ale zmieniła zdanie.

- Jak ci idzie na ranczu?

- Kiepsko. - Westchnęła. - Tak mi się przynajmniej wydaje. Ciągłe

jeszcze sobie nie radzę. Obawiam się, że to Gary zajmował się wszystkimi ważnymi sprawami. Randy...

- To brak Gary'ego, prawda?

- Tak. Randy zawsze zajmował się bieżącymi problemami. Ja też trochę się już w tym orientuję. Ale banki, księgowość, decyzje, ile sztuk bydła trzeba sprzedać z powodu suszy... Cóż, powiedzmy, że ciągle się uczę.

- Ale z pewnością Randy i jego żona... Anette, tak?

- Lynette.

- Właśnie. Oni z pewnością biorą udział w podejmowaniu ważniejszych decyzji?

- Czasami. Ale to Gary był naszym mózgiem. Nie mówię, że Randy nie jest w stanie go zastąpić, chodzi tylko o to, że praca na ranchu to zajęcie od świtu do nocy. A Lynette ma dzieci. Troje dzieci, które wkrótce będą nastolatkami. Ma pełne ręce roboty.

Aaron kiwnął głową.

- Todd ciągle z tobą mieszka.

- Tak. - Uśmiechnęła się i uniosła brwi. Nawet jeśli przyjmę stanowisko prezesa Fundacji Ochrony Przyrody, to się nie zmieni.

- Nie mógłby zamieszkać ze swoją matką?

- Mógłby, ale nie chce. - Uznała, że powinna powiedzieć coś więcej.

- Brzmi to okropnie, prawda? Rzecz w tym, że matka Todda ma nową rodzinę, a chłopak nie najlepiej dogaduje się ze swoim ojczymem... poza

tym oni mają swoje dziecko. Wiesz, Todd czuje się tam jak intruz. Nie jest zachwycony życiem na ranczu... - bardzo delikatnie powiedziane, pomyślała - ale powoli się przyzwyczajają.

- Na pewno bardzo brakuje mu Gary'ego.

- O tak. Wiele o nim rozmawiamy.

- To dobrze.

- Tak. Dla mnie również.

Aaron zamówił dla nich steki i sałatki.

- Nie ma to jak wołowina z Kolorado - powiedział.

Portia przeprosiła go i poszła do toalety, gdzie wreszcie mogła przeczesać włosy i nałożyć szminkę na usta. Miała na sobie białą koszulową bluzkę, dżinsową spódnicę z paskiem ze srebrną klamrą, a na nogach wygodne sandały. Prosty strój, stosowny i dość zachodni.

W porządku, pomyślała, a teraz z powrotem do Aarona. Wiedziała, że pogawędka się skończyła i przejdą do sprawy, z powodu której Aaron przeleciał trzy tysiące kilometrów, czyli propozycji objęcia stanowiska prezesa fundacji.

Kiedy zaczęli jeść, Aaron poruszył ten temat.

- Cóż, Gary nie żyje od roku.

- Od dziesięciu miesięcy. Prawie.

- Tak. Fundacja działa całkiem nieźle, biorąc pod uwagę okoliczności. Byłaś niezwykle pomocna, cały zarząd ma wobec ciebie ogromny dług wdzięczności.

Pochlebiał jej. Owszem, udało jej się wypełnić wcześniejsze zobowiązania Gary'ego, w tym zorganizować bankiet na rzecz straży pożarnej w Nowym Jorku. Wygłosiła kilka przemówień na przyjęciach, ale z pewnością nie zastąpiła Gary'ego. Nie była nawet pewna, czy potrafiłaby to zrobić ani czy powinna. W końcu ta historia z prasą brukową zupełnie wytrąciła ją z równowagi. Była akurat w sklepie spożywczym w Castle Rock, kiedy jej wzrok padł na okładkę tej gazety. Czowała, że wszyscy w sklepie na nią patrzą. Patrzą i uśmiechają się drwiąco. A wszystko przez tego szczura. Nicka Sinestrę. Nicka zdrajcę, który oczarował ją pozą twardego gliniarza i zmysłowymi ustami. Och, jaka była głupia.

Przestała myśleć o Nicku i spojrzała na Aarona.

- Doskonale rozumiem twoje wątpliwości co do objęcia tego stanowiska - mówił. - To bardzo czasochłonne zajęcie, poza tym musiałabyś zaznajomić się z wieloma dziedzinami wiedzy, zanim mogłabyś się zająć niektórymi delikatnymi kwestiami. Ale to naprawdę nic trudnego, a ty jesteś bardzo inteligentna.

- Dziękuję. - Inteligentna, pomyślała. A Nick Sinestra tak ją omamił. No, dość tego, skarciła się surowo w duchu. Dość.

- Mówię poważnie. Wyczuwam twoje obawy i sędzę, że powinniśmy powiedzieć sobie wszystko otwarcie. Nie chcemy przecież popełnić błędu. Bardziej niż na czymkolwiek innym zależy mi na tym, byś była szczęśliwa. Wiesz o tym.



- Tak, wiem.

- Dobrze - powiedział. - Dobrze. Nie mam zamiaru cię okłamywać. Jeśli obejmiesz stanowisko prezesa fundacji, wzbudzisz zainteresowanie mediów.

- Wiem. - Czy Aaron widział okładkę „Star Gazera”? Nawet jeśli ją widział, nic na ten temat nie powie. Jest zbyt... delikatny.

- A to - ciągnął - będzie dla fundacji bardzo korzystne. Media przyciągną uwagę ludzi, a to z kolei pozwoli nam pozyskać nowych członków i, co za tym idzie, pieniądze na nasze cele. To plusy tej sytuacji. Ale zainteresowanie prasy i telewizji może też być męczące. Wiem, co o tym sądzisz.

Portia pomyślała, że od dawna już to wszystko rozważa. I znowu zaczęła się zastanawiać, czy Aaron widział okładkę tego brukowca. Rozłożyła na stole lnianą serwetkę, wygładziła ją dłonią i znowu zaczęła składać. W końcu podniosła głowę i spojrzała w błękitne, przenikliwe oczy Aarona.

- Czy naprawdę tylko tym miałabym być? Prezesem na pokaz?

Aaron uśmiechnął się ciepło.

- Dobrze określenie. Na pokaz, tak, ale nie tylko. Wzięłabyś na siebie wszystkie obowiązki związane ze stanowiskiem prezesa. Byłabyś bardzo zajęta. Zapracowana. Dlatego właśnie chciałem tu przylecieć i porozmawiać z tobą osobiście. Wymagamy od ciebie wiele, może zbyt wiele. Zwłaszcza jeśli chodzi o ranczo... I jest jeszcze Todd. Nastolatek.

Nie miałem pojęcia, że planuje zostać u ciebie. Teraz, kiedy omówiliśmy pewne kwestie, chcę, byś wiedziała, że zrozumiem, jeśli odmówisz. Cały zarząd zrozumie.

Portia kiwnęła głową.

- Tak, chyba musiałam usłyszeć to osobiście. Pomoże mi to podjąć decyzję.

- Więc postanowiłaś...

- Och, nie, nie, jeszcze nic nie postanowiłam. Potrzebuję kilku dni. Nie masz nic przeciwko temu?

- Absolutnie nie.

Portia przełknęła ślinę. Aaron powiedział swoje, teraz przyszła kolej na nią. Powinna zwierzyć mu się ze swoich obaw. Jak on zareaguje? Wzięła głęboki oddech.

- Jest jeszcze coś, o czym chciałabym z tobą porozmawiać. Powinnam być wobec ciebie szczerą. Mam dodatkowy powód, by przyjąć to stanowisko. Pewnie będziesz zaskoczony...

- Kogoś w moim wieku niełatwo zaskoczyć.

- Cóż, mnie się chyba uda. Sądzę... a raczej podejrzewam, że śmierć Gary'ego nie była wypadkiem.

- Słucham? - Spojrzał na nią z powątpiewaniem.

Pochyliła się do przodu, położyła ręce na stole i zniżyła głos.

- Nie wiem, ile Gary powiedział ci o projekcie, nad którym pracował. Ale są pewne rzeczy, o których nie wiesz.

- Słucham więc.

- Wiesz zapewne o deweloperze z Kolorado, Patricku Mahoneyu. Buduje kluby golfowe od Fort Collins po Colorado Springs. Pola golfowe, a także osiedla mieszkaniowe, obiekty sportowe, stadniny koni i tak dalej.

- Mahoney. Tak, kojarzę tego człowieka.

- Więc wiesz też, że Gary ściał się z tym człowiekiem z powodu projektu Panorama Ranch. Gary utrzymywał, że nie stać nas na kolejną potężną inwestycję na Front Range, zwłaszcza tak kosztowną w utrzymaniu. Cały zarząd był tego samego zdania. I nie chodzi tylko o kwestię wody, choć ciągle jej brakuje. Od lat panują tu latem wyniszczające susze, nie wspominając już o pożarach. Gary uznał, że czas zająć zdecydowane stanowisko. I wtedy zaczął rozmowy z ranczerem, który miał zamiar sprzedać swoją ziemię Mahoneyowi.

- Ten człowiek nazywa się Bili Nash, prawda?

- Tak. Wydawało się, że Nash chętnie przyjmie propozycję Gary'ego i sprzeda ziemię fundacji, by zapobiec jej zabudowaniu.

- Tak, wiem, że Gary prowadził negocjacje z Nashem.

- Cóż, projekt został już niemal zatwierdzony i wkrótce Mahoney kupi tę ziemię.

Aaron z niedowierzaniem zmarszczył opalone czoło. Wiedział, do czego zmierzała; wiedział też, że umowy dotyczące sprzedaży ziemi były co dzień łamane w całym kraju. Ludzie jednak na ogół nie mordowali się

nawzajem z tego powodu.

Jeśli nawet deweloper znalazł właściwą lokalizację, pozostawała jeszcze kwestia wody, praw do zabudowy i oporu miejscowej ludności, nie wspominając już o sprzeciwach ekologów. Każdy, kto miał dość pieniędzy, by wynająć prawnika, mógł przeszkodzić w rozpoczęciu inwestycji.

- Panorama Ranch to nie pierwszy projekt Mahoneya - powiedziała Portia. - On zna się na rzeczy i ma cały sztab prawników, którzy dla niego pracują. Ale, o ile się nie mylę, dotąd nie występował nigdy przeciw Fundacji Ochrony Przyrody. A Gary zwrócił się do sądu o zablokowanie projektu.

Aaron zastanawiał się przez chwilę.

- Muszę być z tobą szczery - powiedział w końcu. - Nadal nie rozumiem, dlaczego uważasz, że Patrick Mahoney mógł być zamieszany w śmierć Gary'ego. Tylko dlatego, że Gary sprzeciwiał się jego planom?

Portii nagle wydało się, że jej podejrzania są mocno przesadzone.

- Portia? Bardzo mi przykro, ale...

Spojrzała na niego z powagą.

- To nie tylko kwestia pieniędzy, choć w grę wchodzi ogromna suma. Są jeszcze inne rzeczy związane z wypadkiem. Gary kilka razy spotkał się z Mahoneyem. W pewnej chwili wydawało się, że Mahoney jednak się wycofa. Gary mówił, że ich spotkania były bardzo... rzeczowe, a nawet całkiem przyjemne. Ale później, tuż przed śmiercią Gary'ego,

nastąpił kryzys. Pokłócili się i Gary był bardzo zdenerwowany. Powiedział, że Mahoney mu groził. No i chodzi też o to miejsce, w którym wydarzył się wypadek. Gary doskonale znał ten zakręt. Nigdy, nigdy nie jeździł na tym odcinku z taką prędkością, z jaką zdaniem policji musiał wtedy prowadzić.

Aaron spojrzał na nią uważnie.

- A co na to wszystko policja? Zakładam, że z nimi rozmawiałaś.

Portia przewróciła oczami i westchnęła.

- Wysłuchali mnie. Rozmawiałam o tym z szeryfem Whitefeatherem. Ale bez dowodów... Colt to małe miasteczko. Pożary, susze, brak ludzi... Cab nie ma środków na śledztwo z prawdziwego zdarzenia. Poza tym szeryf i policjant, którzy byli na miejscu wypadku, twierdzą, że nie zauważyli tam nic podejrzanego. Ich zdaniem Gary przekroczył dopuszczalną prędkość, za szybko wszedł w zakręt, stracił panowanie nad kierownicą... - Poczowała piekące łzy pod powiekami i urwała, chcąc się opanować. Aaron Położył dłoń na jej ręce.

- Przepraszam - powiedziała łamiącym się głosem.

- Nie masz za co przepraszać.

- Tak czy inaczej, jeździłam tą drogą z Garym setki razy. W każdych warunkach pogodowych. Gary nigdy nie jeździł tam szybko. Nigdy. Wtedy też nie jechał szybko. Jestem tego pewna, tak jak tego, że siedzę tu teraz z tobą. - Na moment zamknęła oczy. - Cab Whitefeather myśli pewnie, że szukam kozła ofiarnego, że chcę oskarżyć kogoś o ten

bezsensowny wypadek. Może ty też tak uważasz. Ale to nie tak. Ktoś zepchnął Gary'ego z tej drogi. A znam tylko jedną osobę, która miała motyw.

- I jest to Patrick Mahoney.

- Tak. - Wytrzymała spojrzenie Aarona. Tak bardzo chciała, by zrozumiał, jakie to ważne. - I jeśli przyjmę stanowisko prezesa fundacji, chciałabym zwrócić zainteresowanie mediów na tę sprawę. - Dostrzegła troskę na jego twarzy. - Nie martw się, Aaronie. Nie wymienię nazwiska Mahoneya, ale mam nadzieję, że władze wznowią śledztwo w sprawie śmierci Gary'ego. Wiesz, jaki jest mój stosunek do prasy i telewizji, ale tym razem... tym razem chcę je wykorzystać w słusznej sprawie.

- Cóż - powiedział Aaron, odchylając się na oparcie krzesła. - Muszę przyznać, że udało ci się mnie zaskoczyć.

- Myślisz pewnie, że jestem szalona.

- Nie, oczywiście, że nie. Tylko... nigdy nie przyszło mi do głowy, że śmierć Gary'ego nie była po prostu tragicznym wypadkiem. Jeśli jednak w twoich podejrzeniach jest jakieś ziarno prawdy, zrobię wszystko, co w mojej mocy, by ci pomóc. Wiesz o tym. Radzę ci jednak, byś była ostrożna. Nie zaczynaj walk, których nie będziesz w stanie wygrać. I, na litość boską, nie zadawaj się z brukowcami.

Więc jednak wiedział.

- Takimi jak „Star Gazer”?

Kiwnął głową.

- Jak twoja matka to znosi?

- Jeszcze do niej nie dzwoniłam. Mam nadzieję... nie, modłę się, by Anna zdołała ją przed tym uchronić.

- Oczywiście.

- To dlatego tu przyleciałeś, prawda? Żeby udzielić mi reprimendy z powodu tej gazety?

Aaron westchnął.

- Częściowo.

- W porządku - powiedziała. - W porządku. Mam wiele spraw do przemyślenia.

Udusiłaby tego policjanta własnymi rękami, gdyby go znowu [spotkała. Ale to już przeszłość. Popełniła głupi błąd. To się więcej nie powtórzy.

Otrząsnęła się z rozmyślań i spojrzała na Aarona.

- Dam ci odpowiedź w przyszłym tygodniu.

- Doskonale. Nie chcę, byś brała sobie za dużo na głowę, zwłaszcza teraz, kiedy wiem, co podejrzewasz w związku ze śmiercią Gary'ego. Zapewniam cię jednak, że bez względu na to, co postanowisz, fundacja postara się nie dopuścić do wprowadzenia projektu Mahoneya w życie.

- To wielka ulga. Bez względu na to, co sędzę o Mahoneyu, ten projekt zupełnie nie ma sensu, jest zbyt rozległy. To całkowity brak odpowiedzialności. Jutro rano wyślę ci akta Gary'ego dotyczące tej sprawy.

- Dobrze. Jak wiesz, teraz nie zajmuję się już co prawda bieżącymi sprawami fundacji. Zasiadam w zarządzie, ale poza tym jestem na emeryturze. - Uśmiechnął się. - Ale chcę zobaczyć, co robił w tej sprawie Gary. Nawet bardzo.

Aaron na emeryturze. Akurat, pomyślała.

Zapewnił ją jeszcze raz, że Fundacja Ochrony Przyrody będzie się starała nie dopuścić do powstania inwestycji Mahoneya, bez względu na jej decyzję w sprawie stanowiska prezesa. Potem odprowadził ją do samochodu i odmówił, kiedy zaproponowała, że odwiezie go na prywatne lotnisko, gdzie czekał na niego samolot.

- Wezmę taksówkę - powiedział. - Nie ma problemu.

- Nadal jesteś jednym z pilotów? - spytała.

- O tak. Gdybym kiedyś miał przestać latać, natychmiast sprzedam ten odrzutowiec. To największa przyjemność.

- Kosztowna zabawka, Aaronie.

Roześmiał się.

- To niestety prawda.

Uścisnął ją i Portia wsiadła do samochodu.

- Przyślij mi akta Gary'ego i pozwól, że teraz ja będę się o wszystko martwił. Ty zajmij się ranczem i Toddem. I zastanów się nad moją propozycją, pamiętaj, że nie ma pośpiechu.

- Dziękuję. Naprawdę. Ta rozmowa bardzo mi pomogła.

- W takim razie warto było tu przylecieć.



Myślała o Aaronie przez całą drogę na rancho. Była mu bardzo wdzięczna za wsparcie, jakie jej okazywał. Pierwszy raz od wielu miesięcy odczuwała wewnętrzny spokój. Kiedy Gary zginął, była przerażona i bardzo samotna. Pełna smutku i gniewu, za to, że odszedł i sprawił jej taki ból. Poza tym dręczyło ją poczucie winy. Gdyby mogła mu to wynagrodzić. Gdyby bardziej go kochała. .. Cóż, przynajmniej opiekuje się Toddem. No tak Jest jeszcze Todd. I choć cieszyła ją jego obecność - no, na ogół - nie była to jednak krew z jej krwi. A to właśnie powinna była dać Gary'emu. Dziecko.

Jechała na południe drogą I-25. Front Rage wznosił się po jej prawej stronie. Podgórze było wysuszone, zbrązowiałe i przerażające. Po lewej, aż po horyzont, ciągnęła się preria. Nad nią lśniła kopuła błękitnego, bezchmurnego nieba. Tu i ówdzie, w oddali, wznosiły się tumany pyłu, wzniecane przez traktory jadące polnymi drogami, suchymi i spękanymi jak stary cement.

Dalej na południu zbocza Pikes Peak spowijał dym pożaru, który wybuchł między Durango i rezerwatem Indian Navajo. Był dopiero lipiec, a przez Kolorado przeszło dotąd aż dziesięć pożarów. Jeśli susza się utrzyma, będzie ich na pewno więcej. Portia zadrżała na myśl o tym, że błyskawica czy nieostrożnie wyrzucony niedopałek papierosa mogą w każdej chwili wywołać pożar w pobliżu Wellspring Ranch. To by ich zrujnowało. Już teraz brakowało pastwisk dla bydła i z pewnością nie zbiorą latem wiele siana.

Tuż za Castle Rock zjechała z autostrady międzystanowej i po chwili znalazła się w Colt, jednym z małych miasteczek, w których zaopatrywali się okoliczni ranczerzy. Były tam niewielki, ale dobrze zaopatrzone sklepy spożywcze, sklep monopolowy, fryzjer, stacja benzynowa, krawiec, sklep żelazny, jedna restauracja z ośmioma stolikami, która otwierała swe podwoje o piątej trzydzieści rano, czyli w porze śniadaniowej. Lunch podawano do drugiej, a kolację od szóstej do wpół do dziewiątej. Stał tam też bar.

W miasteczku nie było miejskiej policji, ale szeryf Cab Whitefeather miał swoje małe biuro, w którym oprócz niego pracowało jeszcze sześciu policjantów. Przejeżdżając obok niego, Portia pomachała do Caba. Tu wszyscy dobrze się znali. Z jednej strony, Portia była tym zachwycona, z drugiej, tęskniła czasem za ulicami Manhattanu. Ostatnio zastanawiała się, czy przyjęcie stanowiska prezesa fundacji nie pozwoliłoby jej korzystać z uroków wsi i wielkiego miasta jednocześnie.

Ale były jeszcze ranczo i związane z nim obowiązki, które zdawały się nie mieć końca. I Todd. Zanim skończy szkołę średnią w Castle Rock, miną jeszcze dwa lata. Dwa bardzo ważne lata jego życia. Todd potrzebował teraz stabilności, poczucia bezpieczeństwa. Potrzebował rodzica, który byłby z nim w domu.

Ranczo, całe tysiąc dwieście hektarów, ciągnęło się wzdłuż wiejskiej drogi i dalej, aż do podnóża gór. Portia mieszkała w starym domu, wybudowanym w latach dziewięćdziesiątych XIX wieku, po tym, jak

ranczo Wellsów w Nebrasce zostało zmiecione z powierzchni ziemi przez wielką zamieć w 1888 roku. Wówczas to Wellswie wraz z wieloma innymi rodzinami z Great Plan przenieśli się do Kolorado. Tu także zdarzały się zamiecie tornada, ale szczyty Continental Divide, wznoszące się na ponad cztery tysiące metrów, osłaniały Front Range przed wiatrami i zimnem.

Dom był typową wiktoriańską budowlą. Miał dwa piętra, ganek, duże okna i wysokie, choć małe pokoje. Wąskie, skrzypiące schody prowadziły z holu na piętro. Salon i jadalnia znajdowały się od frontu, kuchnia, łazienka i pralnia - na tyłach. Mała sypialnia na dole służyła Gary'emu za biuro. Na piętrze znajdowały się trzy pokoje i dwie kolejne łazienki. Portia zajmowała główną sypialnię; wcześniej dzieliła ją z Garym. Teraz, kiedy od jego śmierci minęło już trochę czasu, coraz łatwiej było jej zamykać za sobą drzwi tego pokoju, kiedy udawała się na spoczynek.

Randy i Lynette oraz ich troje dzieci mieszkali we własnym domu, który wybudowali dla nich rodzice, kiedy Gary ożenił się z Portią jedenaście lat temu. Okna starego budynku wychodziły z jednej strony na niezmiernie przestrzenie prairii, a od tyłu na góry, natomiast dom Randy'ego stał niżej, w przytulnej niecce, otoczony wysokimi drzewami. Droga prowadząca na ranczo mijając dom Portii i biegła dalej, do stodoły i obór - tam rozdzielała się na dwie węższe drogi, z których jedna wiodła na pastwiska, a druga do domu Randy'ego. Za jego domostwem także

ciągnęły się pastwiska i ziemie należące do BZZ - Biura Zarządu Ziemią. Było tam też wiele innych dróg wiejskich, błotnistych w czasie deszczu i zapylonych podczas susz, oraz niezliczone bramy. Mnóstwo ogrodzeń.

Portia zaparkowała w pobliżu garażu, wysiadła z samochodu i spostrzegła Todda, który wyglądał przez okno na piętrze. Miał pomagać wujowi, ale rano skarżył się na złe samopoczucie. Twierdził, że to przeziębienie, ale powiedział, że mimo wszystko spróbuje pomóc Randy'emu w pracy na ranczu. Portia wiedziała jednak, że zamknął się w swojej sypialni i zajmował się grami komputerowymi albo oglądał strony erotyczne w Internecie. Wiedziała też, że w tej chwili zapewne usuwa zakazane pliki z twardego dysku.

- Wróciłam, Todd! - zawołała, kładąc klucze i torebkę na stoliku w holu. - Todd?

Weszła na górę i zapukała do jego drzwi.

- Wejdz - odezwał się słaby głos.

- Jak się czujesz? - spytała, otwierając drzwi. Zatrzymała się na progu z ręką na klamce.

- Nie najlepiej.

- Jadłeś już lunch?

- Zrobiłem sobie kanapkę.

- Hm. Chyba nie siedziałeś cały czas w Internecie?

- Trochę siedziałem.

- No tak, nie wątpię. Cóż, dzwonił Randy? A może wstąpił tu do

ciebie?

- Tak, był tu. Koło jedenastej. Zaraz po tym, jak pojechałaś.

- I?

- I pojechał.

- Dokąd?

- Mówił coś o traktorze, który zepsuł się przy którymś z wjazdów na pola.

- Rozumiem. Nie prosił cię o pomoc?

- Nie.

- Cóż, jeśli czujesz się na siłach, może zmieniłbyś tę klamkę w drzwiach od składziku w stodole? Nową znajdziesz na dolnej półce koło bandaży.

- Jasne. - Todd wzruszył ramionami.

Siedział na nieporządnie poślany łóżku. Wczorajsze dzinsy, koszulka i skarpetki leżały na podłodze koło szafy na ubrania. W ogóle podłoga była zasłana płytami kompaktowymi, kolorowymi magazynami i kasetami magnetofonowymi, z których żadna nie znajdowała się w swoim pudełku. Na ścianach wisiały plakaty z gwiazdami rocka i aktorami z jego ulubionych filmów *Matriksa* i *XXX*. Portia wiedziała też, że pod materacem kryje się najnowszy katalog Victoria's Secret, firmy produkującej ekskluzywną bieliznę.

Todd był ładnym chłopcem. Był dość wysoki jak na swój wiek, a po swoich rodzicach odziedziczył wszystko to, co było w nich najlepszego.

Miał jasne włosy i cerę Gary’ego oraz ciemne oczy matki i jej delikatną budowę ciała. Teraz jego jasne włosy były krótko obcięte i zgodnie z najnowszą modą sterczały we wszystkich kierunkach. Na końcówkach widać było jeszcze gdzieś resztki farby. Chyba wyrastał już z farbowania włosów. A może nie. Portia była uszczęśliwiona faktem, że przekłuwanie różnych części ciała i wtykanie w nie metalowych ozdób wychodziło już z mody. Miała nadzieję, że kiedy ta moda wróci, Todd będzie już dorosły.

Przebierała się, kiedy dobiegł ją trzask zamykanych drzwi i odgłos zapuszczanego silnika subaru. Wkrótce Todd dostanie prawo jazdy. Na razie pozwalała mu jeździć po ranczu, choć w ubiegłym miesiącu pojechał aż do swojego kolegi w Colt. Próbowwała zabronić mu wychodzenia z domu, ale zagroził, że ucieknie, więc dała za wygraną. Gdyby Gary żył... Ale Gary’ego już nie było, a ona zbyt łatwo dawała sobą manipulować. Za szybko zaczynało jej się wydawać, że przesadza. Częściowo powodowało to dręczące ją ciągle poczucie winy. Właśnie, choć nie powinna, czuła się winna, że Todd tak wcześnie stracił ojca, że matka i ojczym go nie chcą... Cóż, to był jej krzyż i czuła, że musi go nieść. Choć w głębi serca wiedziała, że to śmieszne.

Posprzątała po Todzie w kuchni i wytarła ręce o swoje dżinsowe ogrodniczki. W jakiś niewytłumaczalny sposób potrafiła w jednej chwili włożyć wieczorową suknię i buty na wysokich obcasach, uczesać się i umalować twarz, a pięć minut później biegać po ranczu w workowatych

spodniach i poplamionym podkoszulku, z potarganymi włosami wciśniętymi pod czapkę bejsbolową. W obu tych wcieleniach czuła się całkiem dobrze.

Todd wziął subaru, wsiadła więc do furgonetki i pojechała tam, gdzie Juan i Hernando mieli pracować przy sianie. Poza Juanem i Hernandem, zatrudnionymi na stałe, ranczem zajmowało się kilku robotników tymczasowych, którzy mieszkali w Colt albo okolicy.

W gospodarstwie było mnóstwo pracy. Bydło trzeba było wypędzać na letnie pastwiska, a potem na zimowe. Młode byki musiały zostać wykastrowane i oznaczone. Potem należało zdecydować, ile sztuk sprzedać, ile krów pokryć i ile cennej wody zużyć na skąpe nawadnianie wyschłych pól.

Trzeba było karmić bydło, wzywać weterynarzy do chorych krów i koni i dwa razy w roku ścinać trawę i suszyć siano. Ogrodzenia i bramki ciągle wymagały drobnych napraw.

Portia znalazła w końcu Randy'ego, który naprawiał jedną z furtek.

Wysiadła z furgonetki, otarła czoło wierzchem dłoni i podeszła do szwagra.

- Cześć. - Rozmawiając z Randym, zawsze przybierała szczególnie przyjazny ton.

Randy mruknął coś pod nosem, nie przerywając pracy.

- Potrzebujesz pomocy? Mogłabym...

- Nie trzeba.

- Hm. Cóż, znalazłam Juana i...

- Pamiętałaś, żeby wstąpić do biura? Mamy zaległości w księgach.

- Nie, nie wstąpiłam do biura, bo najpierw trzeba przejrzeć rachunki.

Pomyślałam, że dziś po południu moglibyśmy...

- Sprawiam wrażenie człowieka, który ma dużo czasu?

- Randy, wiem, że jesteś bardzo zajęty. Ja też jestem zajęta. Ale rachunki nie mogą czekać.

Randy znowu burknął coś z niezadowoleniem.

- Może koło piątej, wpół do szóstej, uda mi się wygospodarować pół godziny - powiedział.

- Świetnie. Nie chcę wypisywać czeku, dopóki nie przejrzymy kosztów. - Nagle przyszedł jej do głowy pewien pomysł. - A może zrobimy dzisiaj żeberka z grilla? Mam świeżą kukurydzę, zrobię frytki. - Randy lubił jej frytki. - Mógłbyś przyjść z Lynette i dziećmi na kolację. Zajmiemy się rachunkami, czekając na żeberka.

- Może być. Najlepiej ustal to z Lynette.

Portia wzięła swój telefon komórkowy z furgonetki i zadzwoniła do Lynette, która przyjęła zaproszenie. Powiedziała jednak, że tylko jedno z dzieci będzie mogło z nimi przyjść. Pozostała dwójka miała spędzić ten wieczór z przyjaciółmi.

- Mam coś przynieść? - spytała Lynette.

- Deser, jeśli masz ochotę.

- Kupię w miasteczku lody. Może wyślemy Randy'ego z Paulem



wcześniej do domu, a same trochę sobie jeszcze pogadamy. Musisz mi opowiedzieć wszystko o tym okropnym brukowcu i seksownym policjancie, który tak cię zrobił.

- O Boże - jęknęła Portia.

- Daj spokój, to było w końcu twoje pierwsze spotkanie z mężczyzną od śmierci Gary'ego. Nie wyszło, ale na razie jeszcze się uczysz, prawda?

- Jasne. Uczę się. Ale nie mam ochoty rozmawiać o Nicku Sinestrze. Chciałabym o nim zapomnieć.

- Ha! Pewnie dlatego w taki sposób wymawiasz jego imię.

- Nie wymawiam jego imienia w żaden szczególny sposób. Nie zapomnij o deserze.

- Tchórz.

- Deser, Lynette - powtórzyła Portia. Wyłączyła telefon i odwróciła się do Randy'ego. - W porządku, wszystko ustalone. Do zobaczenia na kolacji.

- Dobra. A gdzie Todd? Ciągłe snuje się po domu?

- Naprawia klamkę w stodole - odparła, starając się, by jej głos nie zabrzmiał defensywnie. W każdym razie mam nadzieję, że ją naprawia, dodała w myślach.

- Musisz go prowadzić twardą ręką - mruknął Randy, ocierając dłonią pot z twarzy.

- Oboje bardzo się staramy.

- Oboje?

- Todd i ja. Staramy się. Od śmierci Gary'ego minęło zaledwie dziesięć miesięcy.

Kolejny pomruk niezadowolenia. Portia wsiadła do samochodu - odjechała, starając się, by spod kół nie poleciało na Randy'ego zbyt wiele kurzu. Boże, pomyślała, niektóre dni są cięższe od innych. Najlepsze zaś to te, kiedy w ogóle nie musiała widzieć się z Randym. Chociaż jednak sobie z nim radziła. Kiedyś kryła niedociągnięcia męża i łagodziła zadrażnienia w stosunkach między braćmi, którzy tak bardzo się od siebie różnili. Zawsze starała się zaprzyjaźnić z Randym. On jednak pozostawał obojętny na jej wysiłki. Wydawał się zbyt zajęty, by zwrócić na nią uwagę. Nawet wtedy, kiedy zaczęły się poronienia. Kiedyś Portia usiłowała przełamać lody między nimi, pytając go o radę w jakiejś sprawie dotyczącej Todda. Ale Randy tylko wzruszył ramionami.

- Teraz już niewiele można zrobić z tym chłopakiem. Gary powinien był więcej się nim zajmować, kiedy jeszcze żył.

Portia nie mogła bez przerwy wypłakiwać się w rękaw Lynette. Ta miała w końcu na głowie męża i trzech dorastających synów. Zdarzały się chwile, kiedy Portii chciało się wyć z samotności i strachu, że popełni jakiś błąd w księgach albo przelewach bankowych. Nocami leżała bezsennie w łóżku i zamartwiała się suszą i groźbą pożarów. Już stracili jedną trzecią stada - pastwiska były zbyt suche, by utrzymać przy życiu

wszystkie sztuki. Leżała w ciemnościach i zastanawiała się, dlaczego w ogóle podejmuje jakieś wysiłki. Może wszystko, co zrobi, i tak jest skazane na niepowodzenie?

Ale kiedy wstawał świt, znowu brała się do roboty, starając się wypełnić pustkę, jaką zostawił po sobie jej charyzmatyczny mąż. Pragnęła aprobaty, chciała mieć własne życie, ale nie udawało jej się zdobyć ani jednego, ani drugiego. A od śmierci Gary'ego jej stosunki z Randym, mimo starań Lynette, jeszcze się pogorszyły. Ku zaskoczeniu wszystkich Gary zostawił Portii połowę rancza. Nie Randy'emu, nie Toddowi - swojemu synowi - ale Portii.

Podczas odczytywania testamentu Randy stracił na moment panowanie nad sobą.

- Mój Boże, tak jakby jej była potrzebna ta ziemia! - wykrzyknął.

Gdyby wiedział... Portia miała bardzo mało własnych oszczędności. Od rodziców także dostawała niewiele. Pieniądze Judith topniały w miarę upływu lat, a ojciec Portii ożenił się ponownie dawno temu i od tego czasu często sięgał do swojego kapitału. Jego pieniądze - a raczej to, co z nich zostało - otrzyma jego obecna rodzina.

W domu rozmroziła żeberka i przygotowała kukurydzę. Potem włożyła do garnka ziemniaki. Randy lubił, żeby były ugotowane, a później podsmażone na patelni z cebulą i zieloną papryką. Potem znowu się przebrała - włożyła krótkie spodenki w kolorze khaki i sandałki. Włosy, starannie ułożone na spotkanie z Aaronem, były teraz całkiem

potargane. Przeczesała je i spięła z tym głowy.

Todd musiał zabrać ze sobą psy, bo kiedy zobaczyła je pędzące podjazdem, domyśliła się, że jedzie za nimi samochodem. Dzięki Bogu. Nie była pewna, czy przypadkiem nie wymknął się jednak do miasta.

Któregoś dnia policja zgarnie go za brak prawa jazdy. Na razie, zapewne z powodu śmierci Gary'ego, Cab przymykał na to oko. Nikt nie wiedział jednak, jak długo to jeszcze potrwa.

Trzasnęły drzwi i psy rzuciły się do miski z wodą, stojącej na ganku na tyłach domu.

- Todd?

- Tak, to ja, jestem w salonie.

- Doprowadź się do porządku. Randy i Lynette będą na kolacji.

- O nie.

- O tak.

- Cudownie.

- Zmieniłeś kłamkę?

- Tak. Zatrzymałem tę starą. Wydaje mi się, że to wuj Randy założył jaw ubiegłym roku. Od początku się zacinała.

Czasem Portii wydawało się, że jest jednak nadzieja dla tego chłopca.

- W porządku, wezmę ją jutro. Aha, zadzwoń do Lynette i powiedz jej, że psy są u nas, dobrze?

Zawsze coś.

Kolacja okazała się dość udana. Lynette nigdy nie była najlepszą

kucharką i chętnie przyjmowała wszystkie zaproszenia. Randy uwielbiał smażone ziemniaki, tak jak je przyrządzała Portia. Rozmawiali o finansach, przy czym udało jej się nawet utrzymać przyjemną atmosferę. Todd zdołał nauczyć Paula, swojego młodszego kuzyna, nowej gry komputerowej, nie używając przy tym słów nienadających się do druku.

Po kolacji dorośli usiedli pod wielkim drzewem na tyłach domu. Słońce powoli chyliło się ku zachodowi, znad gór nadpływało chłodne powietrze. Nikt nie powiedział ani słowa na temat pięknego wieczoru i bezchmurnego nieba. O tej porze roku powinny zacząć się deszcze, które nadciągały zwykle od strony Zatoki Meksykańskiej i padały przez cały lipiec. Ale tym razem nic nie wskazywało na to, by miały nadejść. Pogoda nie należała więc do najprzyjemniejszych tematów.

- Wiecie - powiedziała Portia - że byłam dziś na lunchu z Aaronem?

- Jasne - odparł Randy.

- Cóż, rozmawialiśmy o stanowisku prezesa fundacji.

Fundacja Ochrony Przyrody także nie była najlepszym tematem. Randy bezustannie powtarzał Gary'emu, że to „tylko banda świrów, którzy przykuwają się do drzew, bo mają za dużo kasy i za mało do roboty”.

- Wiecie - ciągnęła Portia - że Aaron zaproponował mi objęcie tej funkcji po Garym.

Lynette klasnęła w dłonie.

- To wspaniale, Portia - powiedziała z entuzjazmem.

Randy spojrział na żonę z ukosa.

- Myślę, że potrafiłabym pogodzić tę pracę z moimi obowiązkami tutaj, na ranczu. Martwię się jednak o Todda. Mam nadzieję, że jeśli będę musiała wyjeżdżać, co nie powinno zdarzać się zbyt często, będziecie go mieli na oku. Zresztą wszelkie podróże odłożyłabym do rozpoczęcia roku szkolnego. Wtedy Todd będzie już miał prawo jazdy i...

- Do czego właściwie zmierzasz? - spytał Randy. - Todd to nie nasza sprawa. Powinien być w Denver ze swoją matką. - Znowu spojrział na Lynette, jakby chciał powiedzieć: „Ty się do tego nie wtrącaj”.

Portia westchnęła.

- Rozmawialiśmy już o tym. Todd nie przepada za swoim ojczymem. Chce zostać tu ze mną.

- Jeśli tu będziesz.

- Zawsze tu jestem. W ubiegłym tygodniu musiałam wyjechać na kilka dni, ale przecież tu mieszkam. Jeśli nie możecie się nim zająć od czasu do czasu, poproszę żonę Juana, żeby z nim została, kiedy mnie nie będzie.

- To chyba lepszy pomysł - mruknął Randy. Lynette miała taką minę, jakby zaraz miała się rozplakać.

Świetnie. Cóż... chciałam tylko powiadomić cię, że istnieje taka możliwość. Wiem, że nie jesteś... zachwycony tym pomyliłem, ale fundacja stanowiła istotną część życia Gary’ego. Myślę, że chciałby,

żebym dokończyła to, co zaczął... projekty, nad Którymi tak ciężko pracował. Bez względu na to, co sądzisz o fundacji, zdajesz sobie chyba sprawę, że była to pasja twojego brata. Uważał, że to pomaga także farmerom i ranczerom, a poza tym...

- Posłuchaj. - Randy wyprostował się na ogrodowym fotelu. - Rób, jak uważasz. Dla mnie to bez znaczenia.

Obojętność wobec niej, sposób, w jaki na nią patrzył, ton jego głosu - wszystko to boleśnie ją raniło. Na każdym kroku dawał jej do zrozumienia, że jest tu zupełnie zbędna. Portia także się wyprostowała.

- Cóż - powiedziała, wzywając na pomoc całą swoją dumę - pomyślałam po prostu, że ci o tym powiem. Postanowiłam przyjąć propozycję Aarona i zarządu.

Nie była to do końca prawda, ale co tam.

Lynette spróbowała potem wysłać Randy'ego z Paulem do domu, on jednak zachowywał się jak zazdrosny dzieciak.

- Nie pójdę sam do domu z Paulem, podczas gdy wy dwie będziecie tu siedzieć i plotkować - oznajmił. - Mowy nie ma.

I Lynette powędrowała do domu z mężem i synem.

Potem Todd zamknął się w swoim pokoju, a Portia posprzątała kuchnię i usiadła w dawnym gabinecie Gary'ego na tyłach domu. Próbowwała się zrelaksować. Miała ochotę poprosić Todda, by zszedł na dół i pooglądał z nią telewizję, ale Todd najwyraźniej dobrze czuł się tego dnia sam ze sobą, co wcale nie zdarzało się tak często. Nie cierpiał

rancza. No, właściwie nie tyle rancza, co tego, że czuł się tu odcięty od świata. Oczywiście jeszcze bardziej nie cierpiał swojego ojczyma.

W końcu podniosła słuchawkę i zadzwoniła do New Rochelle, do matki. Chciała się dowiedzieć, jak Judith radzi sobie z zainteresowaniem mediów, wzbudzonym przez Nicka Sinestrę i „Star Gazera”.

Telefon odebrała Anna, dzięki Bogu.

- Anno? Tu Portia. Co słyhać...? A mama? Naprawdę?

Potem do telefonu podeszła Judith. Ku zdumieniu Portii nie była ani w połowie tak wytracona z równowagi, jak można było przypuszczać.

- Och, mój Boże, kochanie, widywałam swoje zdjęcia na okładkach gazet mnóstwo razy. Prawdę mówiąc, jestem tylko zdziwiona, że ktoś jeszcze może się mną interesować. To, gdzie mieszkam, chyba nikogo obecnie nie zaciekawi.

Portii natychmiast ulżyło.

- Cieszę się, że cię to nie zdenerwowało.

- Miałabym być zdenerwowana faktem, że ludzie mnie pamiętają? Nie, ani trochę. Jestem tylko trochę zaskoczona.

- Och, mamó - powiedziała Portia. - Oczywiście, że ludzie cię pamiętają.

Jak mogliby zapomnieć, pomyślała.



## Rozdział 5

Zażenowany i wkurzony, że stracił panowanie nad sobą i wszczął bójkę z Ramseyem, Nick wyszedł z pracy wcześniej i wszedł do metra przed godziną szczytu. Mimo klimatyzacji w pociągu było bardzo gorąco. Kto teraz zajmie się chłopcami z Homeland Security? Cóż, ktokolwiek to będzie, zapewne z radością powita wiążącą się z tym podwyżkę. Mimo to Nick czuł się winny. Nikomu w tej chwili nie była potrzebna dodatkowa praca. Nikt nie miał ochoty wałęsać się po ulicach z dwoma nieopierzonymi naiwniakami, którzy uważali, że odebrali zbyt staranną edukację, by tkwić w jakiejś starej dzielnicy, gdzie niewiele się dzieje. W każdym razie Ramsey tak właśnie uważał. Pewnego dnia, już niedługo, dostaną swoje własne biura. Ale Homeland Security dopiero co powstało i ciągle badało swoje terytorium.

Zresztą cóż go to teraz obchodziło? Jemu udało się na jakiś czas zerwać ze smyczy.

Tydzień na posprzątanie biurka, a potem miesiąc wakacji.

Miał zamiar wstąpić do Mii po drodze do domu i powiedzieć jej, że czekają go cztery tygodnie wolności. Może uda mu się spędzić z nią trochę czasu. Z nią i jej dwoma córkami. Wynajmie domek w Jersey, nad oceanem, będzie leżał do góry brzuchem i się opalał. Coś w tym rodzaju.

Na wybrzeżu temperatura była zwykle jakieś dziesięć stopni niższa, a poza tym jeśli człowiekowi zrobiło się za gorąco, mógł w każdej chwili wskoczyć do wody. Tak, świetny pomysł - tydzień, może nawet dziesięć dni z Mią nad morzem.

Zamiast tego pojechał dalej, aż na Bronx, bo nagle postanowił odwiedzić rodziców i zobaczyć, jak znoszą te upały. Miał mnóstwo forsy ze „Star Gazera” za informacje o Portii, więc może uda mu się namówić matkę, by przyjęła nowy klimatyzator do sypialni. Upał był nie do wytrzymania.

Tony i Sophia Sinestra mieszkali w spokojnej, mieszanej etnicznie dzielnicy, trzy przecznice od stacji metra, w domu z czerwonej cegły. Spocony, z marynarką przerzuconą przez ramię i krawatem wciśniętym do kieszeni, szedł powoli ulicami, które niewiele się zmieniły w ciągu ostatnich czterdziestu lat.

Wszystkie domy były tu podobne do siebie - ceglane, z drewnianymi okiennicami i gankami. Do wszystkich wiodły identyczne chodniki z betonowych płyt, a ogródki oddzielały od siebie jednakowe ogrodzenia z kutego żelaza. Ogródki te były właściwie tylko niewielkimi trawnikami, ale - zabawna rzecz - wszyscy tu mieli spalinowe kosiarki. Wszyscy, poza panią Ferrarą, która wolała tradycyjną kosę. W sobotnie poranki, kiedy okoliczni wyciągali swoje kosiarki, panował tu ogłuszający hałas. Tym, co odróżniało trochę domki od siebie, były rosące przed nimi kwiaty. Niektórzy bardzo o nie dbali, innym wystarczała trawa. Pan

Shelley hodował przed swoim domem róże, których zazdrościli mu wszyscy sąsiedzi. Mama Nicka miała rękę do kwiatów, uprawiała prześliczne ostróżki, a nawet krzak azalii przy schodkach wiodących na ganek. Sadziła też mnóstwo innych kwiatów, ale Nick nie znał ich nazw.

Jego ojciec miał teraz sześćdziesiąt pięć lat i wkrótce planował przejść na emeryturę. Od czterdziestu siedmiu lat pracował w jednej fabryce - w oczach Nicka był to niewyobrażalny wyczyn. Dziadek Nicka, imigrant z maleńkiej włoskiej wsi, pracował w tej samej fabryce przez pięćdziesiąt lat, aż pewnego dnia padł trupem na fabrycznej podłodze. Wylew. Bez wątpienia do końca był z siebie dumny.

Mimo lat ciężkiej pracy i marnych zarobków przodkowie Nicka zachowali tę zdumiewającą dumę, jakby dopiero co zeszli ze statku na Ellis Island i wygrali los na loterii. Uczelnia? A po co komuś wykształcenie, skoro można mieszkać w ładnym domku i ma się co włożyć do garnka? Do diabła, młodszy brat Nicka pracował w tej samej fabryce tekstyliów i wydawał się całkiem zadowolony ze swojego losu. Nawet mieszkał w tej samej dzielnicy, z tą samą od piętnastu lat żoną i dwójką dzieci. W domu podobnym do tego, przed którym stał teraz Nick.

- Nikko! - Matka rozpromieniła się na jego widok. - Dlaczego nie zadzwoniłeś? Chodź, chodź, ojciec jest w salonie. Przyniosę ci piwo. O, tak się cieszę, że cię widzę. Doskonale wyglądasz. - Położyła mu dłonie na policzkach i przyglądała mu się tak, jakby go przed chwilą urodziła. Pięć palców u każdej ręki, pięć u każdej stopy...

- Ty także dobrze wyglądasz, mamó. A to piwo to może jakieś lżejsze, dobrze? Muszę dbać o linię.

Matka tylko machnęła ręką i poszła do kuchni. Nick poczuł zapach pieczystego. No jasne. Był wtorek, we wtorki zawsze na kolację podawała pieczeń. W kuchni mogło być czterdzieści stopni, a jego matka i tak włączała piekarnik. Jeszcze gorsze były wieczory ze spaghetti. W kuchni było wtedy tak parno, że nie dało się jeść. Oni jedli. Nick na ogół nie był w stanie.

Wszedł do salonu; ciemna drewniana podłoga zaskrzypiała znajomo. Potem stanął na perskim dywanie, który wcześniej należał do jego babki ze strony matki.

- Cześć, tato - powiedział, przerzucając marynarkę przez oparcie kanapy.

Ale ojciec tylko wyciągnął rękę. Sekunda... oglądał właśnie wieczorne wiadomości. Te same, odkąd tylko powstała telewizja.

- Hm - mruknął Nick. Usiadł i wziął butelkę piwa, którą podała mu matka.

Jak oni to wytrzymują? Tę rutynę, monotonię, dni podobne jeden do drugiego, niepostrzeżenie przechodzące w miesiące, a potem lata. Te same meble. Stary fotel ojca obity sztuczną czerwoną skórą, z szerokim podnóżkiem. Ciemnoczerwona, kwiecista kanapa. Tania japońska lampa na rzeźbionym stoliku. Lampa z ciemnozielonego szkła na drugim stole koło okna. Serwetki pod bibelotami i na wszystkich podłokietnikach -

koronkowe, ręczna robota jego babki.

W kącie przy drzwiach, za którymi znajdowała się jadalnia, w oszklonej serwantce stała kolekcja figurek z porcelany należąca do jego matki. Małe figurki dzieci, królików, kotów, ptaków i porcelanowe kosze z kwiatami. Skarby jego matki.

Nick popijał zimne piwo, owiewany od czasu do czasu podmuchem powietrza z podłogowego wentylatora. W tle mruczał telewizor. Nagle, ni stąd, ni zowąd zaczął się zastanawiać, co też ktoś taki jak Portia Wells pomyślałby o tym domu, o jego rodzicach.

Został na kolacji - pieczeń wieprzowa, pieczone ziemniaki i marchewka. I domowy sos mięsny jego matki, najlepszy, jakiego kiedykolwiek próbował. Mimo upału i duchoty, jakie panowały w małej, przeładowanej sprzętami kuchni, jadł z apetytem. Nawet poprosił o dokładkę.

- Co słyhać w pracy, tato? - spytał, przeżuwając.

- Nie mów z pełnymi ustami, Nikko - skarciła go matka.

Nick przełknął.

- Przepraszam. Więc, co słyhać w pracy, tato?

- Dobrze, dobrze. Pamiętasz Joego O'Hurleya? Mieszka dwie przecznice za sklepem pana Kline'a. Właśnie dostał awans. Jest teraz kierownikiem działu.

- Jezu - mruknął Nick. - Ile on ma lat? Sześćdziesiąt?

- Sześćdziesiąt dwa.

- Tyle co ja - wtrąciła matka.

- Wygląda na to, że trzeba długo pracować, żeby zaczęło się to opłacać.

- Do diabła, synu, ja zostałem kierownikiem działu dopiero po... ile to było? No, w każdym razie po trzydziestu kilku latach.

- Hm - mruknął Nick. Jak to możliwe, że jego ojciec jest tak cholernie dumny? W końcu każdy chce trochę poprawić swoją sytuację, prawda? Każdy, ale nie jego rodzina. Oni byli wcieleniem zadowolenia z życia, choć żyli od wypłaty do wypłaty, często płacili rachunki z opóźnieniem, miesiącami oszczędzali na nową lodówkę, a szczytem ich marzeń był nowy grill ogrodowy, który można było podarować znajomym na Gwiazdkę. Na Gwiazdkę, bo w zimie grille są znacznie tańsze.

- A co u ciebie, Nikko? - spytała matka. - Kiedy w końcu dostaniesz urlop? Uważam, że źle was tam traktują.

- Skoro już o tym mowa, właśnie dostałem miesiąc urlopu. Od przyszłego tygodnia.

- Miesiąc? - zdziwił się ojciec. - To chyba dość niezwykle.

Nick przełknął i pokręcił głową.

- Nie, w końcu trzeba go wykorzystać. Mnie się tego sporo nagromadziło.

- Cały miesiąc - powiedziała matka. - Masz już jakieś plany?

- Jeszcze nie. Może wyjadę na tydzień czy dwa nad morze.

- Och, to byłoby wspaniale.

- Może moglibyście tam do mnie przyjechać.

- Nie sądzę - odparł ojciec. - Ja dostanę dwa tygodnie wolnego, ale dopiero w październiku.

- Więc może na weekend? Johnny też mógłby przyjechać, z żoną i dziećmi.

Johnny był młodszym bratem Nicka.

Ale ojciec tylko pokręcił głową.

- Johnny był już na urlopie. Zabrał dzieciaki na weekend w góry.

- To nie znaczy, że nie może teraz pojechać nad morze, choćby tylko na kilka dni.

- Wątpię, czy mu się uda. - Ojciec otarł usta serwetką i wstał. - Dwa dni nad morzem to kupa forsy, a oni oszczędzają na nowy komplet mebli do sypialni. Dottie oglądała go w Jackie's Furniture Warehouse.

- Dobra, nieważne. - Nick westchnął i napotkał spojrzenie matki. Przynajmniej ona go rozumiała. Kiedy Nick dostał stypendium na uniwersytecie, z całej rodziny tylko matka go popierała.

- „Po co tracić czas w szkołach? - spytał wtedy ojciec. - Trzeba ci tylko dobrej pracy. Żebyś miał za co żyć”.

Nick został w kuchni z matką, która wkładała naczynia do zmywarki. Był to jeden z tańszych, podłączanych do zlewozmywaka, modeli, na który długo oszczędzali. Ojciec dał go matce w prezencie urodzinowym. Czy naprawdę nikt z rodziny nie spostrzegł, że coś tu było nie tak?

Zmywarka do naczyń na urodziny?

Matka starła kuchenny blat, podpięła wąż zmywarki do kranu i odwróciła się do syna.

- Widujesz czasem Gwen? Dużo o niej myślę. Taka miła dziewczyna. Jaka szkoda, że tak się to wszystko potoczyło, ale kto mógł przypuszczać? - W jej głosie słychać było żal.

- Nie, nie widuję jej - odparł Nick. - Od rozwodu nie utrzymujemy ze sobą kontaktu.

- Cóż, szkoda. Była taka ładna i inteligentna. Nie rozumiem po prostu, jak...

- Daj spokój, mamó. To już skończone. Gwen postanowiła pójść inną drogą. Tak to określiła.

- Żałuję, że nie mieliście dzieci. Może to by...

Nick uznał, że czas zmienić temat.

- Jak sprawuje się wasz klimatyzator w tym upale?

- Ten w sypialni?

- A macie inny?

- No nie, ale działa bez zarzutu.

- Akurat.

- Nikko.

- Do licha, mamó, i tak byś mi nie powiedziała. Wiem o tym.

- Za dużo się martwisz. Całkiem dobrze nam się z ojcem żyje. Jesteśmy zadowoleni, Nikko. Co dnia patrzymy na to, co dostaliśmy od



życia, i jesteśmy za to wdzięczni. Na świecie jest mnóstwo ludzi, którzy mają znacznie mniej. Czasem tyle, co nic. A my mamy wszystko, czego kiedykolwiek chcieliśmy.

Beznadziejna sprawa.

- Jasne, mamó, oczywiście. Ale dostałem właśnie dużą podwyżkę za pracę z tymi chłopcami z Homeland Security, a mnie nie potrzeba tyle pieniędzy. - Nie wspomniał o grubej forsie ze „Star Gazera”. Matka nie musiała o tym wiedzieć. - W każdym razie - powiedział i wyciągnął z kieszeni zwitek banknotów, po czym wyjął z niego cztery studolarówki - chciałbym, żebyś to wzięła. Kup nowy klimatyzator.

- Nikko. - Pokręciła głową. - Klimatyzator działa całkiem dobrze. Zatrzymaj te pieniądze.

- Weź je, mamó, proszę cię. I kup w takim razie klimatyzator do salonu.

Nick nie miał wątpliwości, że ojciec słyszy tę rozmowę. Słyszy i nie jest zachwycony. Cóż, do diabła z nim.

- Weź te pieniądze, mamó. Zrób to dla mnie.

- Och, Nikko. - Westchnęła, ale wzięła pieniądze. Wiedział, oczywiście, że włoży je do puszki po kawie, którą trzymała w szafce nad tosterem. Mimo dumy i dezaprobaty ojca zdawała sobie sprawę z tego, że pewnego dnia dodatkowe pieniądze mogą się bardzo przydać. Najprawdopodobniej jednak banknoty będą nadal tkwiły w puszcze po jej śmierci.

Nick wszedł do metra, pojechał na Manhattan. Wszedł po schodach na ulicę i otarł pot z czoła. Ciągle jeszcze było jasno, choć powoli zapadał letni zmierzch, i utrzymywała się bardzo wysoka temperatura. Na Broadwayu ludzie wyprowadzali psy na wieczorny spacer do Riverside Park. Biedne psy, nie pobiegają sobie dzisiaj. Było za gorąco nawet dla zwierząt, a może zwłaszcza dla nich, biorąc pod uwagę futra, których nie mogły zdjąć.

Wystawione na zewnątrz stoliki restauracyjne były przeważnie zajęte, ludzie mijali się w drzwiach ze sklepów i apteki. Poruszali się powoli. Najtłoczniej było przed kinem. W taki wieczór nie ma to jak parę godzin w klimatyzowanym wnętrzu.

Mieszkanie Nicka znajdowało się przy West End w starym budynku bez windy i portiera. Było dość przestronne, a jego okna wychodziły na ulicę i drzewa Central Parku. Okolica była stosunkowo bezpieczna, wejście do domu zawsze jasno oświetlone, drzwi na dole zamykane na klucz. Wszyscy uważali, że absolutnie nic im tu nie grozi, bo na trzecim piętrze mieszka policjant. Nie wiedział, na ile słuszne jest to przekonanie, ale rzeczywiście od czasu, kiedy wprowadził się tu trzy lata temu, nie zdarzyło się ani jedno włamanie.

Rzadko wstępował do salonu Mii, który znajdował się na rogu Broadwayu. Czuł, że mimo późnej pory w salonie będzie mnóstwo ludzi. Lato, pora sandałów.

Był trochę podekscytowany. Jeśli w ogóle potrafił jeszcze przeżywać

jakieś ekscytacje. Cały miesiąc urlopu. Pomysł wynajęcia domku nad morzem coraz bardziej mu się podobał, zwłaszcza że w mieście można się było ugotować. Ciągłe był spocony.

Minał aptekę, sklep monopolowy i zajrzał przez okno do salonu Mii. Sporo ludzi. Na krzeselkach przy wejściu czekało kilka kobiet, trzy podnoszone fotele do pedikiuru były zajęte, podobnie jak cztery stoliki manikiurzystek.

Nawet Mia pracowała. Zwykle zajmowała się tylko kasą i odbieraniem telefonów, chyba że było bardzo dużo ludzi. Tak jak dzisiaj. Może jednak zadzwoni do niej jutro rano?

A, do diabła z tym. Pchnął drzwi. Sztuczny ptaszek w drewnianej, wiszącej przy drzwiach klatce zaćwierkał. Kupił go dla niej w Chinatown. Za jedyne dwanaście dolarów. Mia była zachwycona prezentem.

Spostrzegła go teraz i uśmiechnęła się, nie przerywając malowania paznokci siedzącej przed nią kobiety, której druga dłoń tkwiła w miseczce z jakąś mazią. Klienci salonu nie zwrócili uwagi na Nicka. Były to w większości kobiety, choć znajdował się między nimi jeden wysoki, przystojny Murzyn, który przyszedł na pedikiur. Nick postanowił, że powie o tym Gilowi. Gil zapewniał go kiedyś, że tylko bogaci biali, męskie prostytutki i pedały chodzą na pedikiur.

Manikiurzystki były Chinkami, w różnym wieku. Wszystkie miały na sobie luźne, barwne zakłady ze stójką pod szyją i udawały, że nie mówią

po angielsku. W ten sposób unikały zagadywania przez klientów. Im więcej klientów, tym więcej napiwków. A Mia powiedziała mu, że jej dziewczęta najczęściej zarabiają na napiwkach.

Krzesło obok Mii było puste i Nick przysunął je do jej stolika.

- Cześć - powiedział.

- Cześć. Jestem zajęta. Może wpadniesz o dziesiątej? Dziesiątej trzydzięci? - Ani na chwilę nie przerywała pracy.

Tego wieczoru była ubrana w szmaragdowy żakiet, a włosy miała spięte w kok za pomocą pałeczek z laki. Na użytek klientów. Miała kilkanaście takich żakietów. Wszystkie pochodziły ze sklepu w Chinatown. Wyglądała w nich wspaniale.

- Idę do domu, obejrzę wiadomości i pójdę spać - odparł. - Chciałem tylko spytać, czy nie miałabyś ochoty wyjechać na parę dni nad morze. Oczywiście z dziewczynkami.

- Dostałeś urlop.

- Cały miesiąc.

- No, no.

Klientka Mii zmierzyła go od stóp do głów i Nick skulił się w sobie. Przyjście tu nie było chyba najlepszym pomysłem. To, co miał do powiedzenia Mii, mogło poczekać do rana.

- Nad morze? Do Atlantic City?

- Nie. Nie cierpię tego miejsca. Myślałem o Ocean City albo o tym małym miasteczku, wiesz, Margate. Mają tam słonia, taki drewniany...

Zresztą nieważne. Chodzi mi o to, że miejsce jest bez znaczenia. Wildwood, Cape May... - Wzruszył ramionami.

Teraz już kilka kobiet słuchało ich rozmowy.

- Wildwood jest dobre dla dzieci, Cape May jest fajne - odezwała się jedna z nich.

- Dzięki - mruknął Nick nieszczerze i spojrzał na Mię. Przysunął się bliżej i nachylił w jej stronę. - No i co o tym myślisz? Przyszły tydzień albo jeszcze następny?

Jezu, ależ tam było gorąco. W nosie zaczęło go kręcić od ostrego zapachu lakieru do paznokci i acetonu.

Mia westchnęła i poklepała siedzącą przed nią kobietę po umoczonej w miseczce ręce, co było najwyraźniej znakiem, że pora na zmianę dłoni.

- Hm... Nick, nie jestem pewna, czy to dobry pomysł.

- Co? Morze? Ocean City?

- Nie. Nasz wspólny wyjazd.

- Możesz zabrać ze sobą dziewczynki. Przecież mówiłem...

- Słyszałam. I to bardzo miłe z twojej strony, naprawdę. Większość mężczyzn... tak czy inaczej, dziewczynki mają mnóstwo zajęć, chodzą na basen, na gimnastykę...

- Więc może mogłyby zostać z ojcem przez parę dni?

Mia przerwała w końcu swoje zajęcie i spojrzała mu w oczy.

- Chodzi chyba o to, że nie chcę nic zmieniać.

- To znaczy?

- No wiesz, między nami. Bez zobowiązań.

- Och. Och, jasne, w porządku. Pomyślałem po prostu, że zapytam.

Wiesz.

Lepiej zniósłby jej odmowę, gdyby rozmawiali w cztery oczy. Klientka Mii spoglądała teraz na niego z lekkim, ironicznym uśmiechem na wargach.

- Rozumiesz mnie, prawda, Nick? Nie jesteś zły?

- Do diabła, nie. Po prostu miałem taki pomysł. Nic się nie stało. -

Wstał i odstawił krzesło na miejsce. - No to do zobaczenia.

- Na razie - odparła Mia.

Kiwnął głową. Kobieta znowu uśmiechnęła się pod nosem. Pieprzyć to, pomyślał, idąc w stronę drzwi. Pieprzyć je wszystkie. Wyszedł z salonu i wyprostował się z godnością.

## Rozdział 6

Nick miał już serdecznie dosyć siedzenia w dusznym, przegrzanym biurze przed ekranem komputera. Poza tym był w tym kiepski. Jego mocną stroną była praca na ulicy, wśród ludzi z marginesu, z którymi potrafił rozmawiać ich własnym językiem. prostytutki, alfonsi, drobni handlarze narkotykami - umiał z nich wyciągnąć więcej niż jakikolwiek inny gliniarz. Bezdumni, do diabła, znał ich wszystkich po imieniu, tak jak kieszonkowców i właścicieli małych zadymionych barów, którzy na tyłach swoich przybytków zajmowali się hazardem. Płotki. Umiał się z nimi zaprzyjaźnić i skłonić ich do mówienia.

Żyj i daj żyć innym, to było jego motto. Smutni alkoholicy, biedne prostytutki, wychodzące na ulicę, by móc wykarmić dzieci, narkomani, których wysyłał na detoks po to tylko, by wkrótce znowu zobaczyć ich na ulicy. I tak w kółko.

Starał się ich nie aresztować, całej tej siatki swoich informatorów. Czasem dawał im pieniądze, drobne sumy, tyle tylko, żeby starczyło na jedzenie i kolejną butelkę taniego wina. Potrzebował ich, znali kulisy przestępczego świata i mogli doprowadzić go do prawdziwych przestępców. A oni potrzebowali jego; wielu z nich zawdzięczało mu życie.

Ale teraz tkwił przed komputerem, mrugając załzawionymi oczami, i próbował dotrzeć do źródła nigerskiego scamu.

Scam zawsze zaczynał się od oferty napisanej przez nieznaną osobę w imieniu jakiegoś byłego dygnitarza rządowego. Dziesięć milionów dolarów w Nigerii albo innym państwie Trzeciego Świata należy przetransferować do banku w Stanach Zjednoczonych. Ofierze obiecuje się spory procent za przechowanie całej sumy dla właściciela. Tyle tylko, że najpierw należy wyłożyć pewną kwotę na opłaty, potem kolejną - na dalsze opłaty. I tak dalej. Trwa to tak długo, aż ofiara zmądrzeje albo skończą jej się pieniądze.

Matka radnego dała się orznać na pięć tysięcy. Problem w tym, że Nick nie miał pojęcia, jak dotrzeć do źródła e-maili. Wszyscy inni wyszli i pracowali nad swoimi sprawami. Na dusznych ulicach miasta. Cholera.

Miał tylko dwa dni, by zakończyć śledztwo. A potem urlop. Co, na litość boską, będzie robił przez cały miesiąc?

To była kara za złe zachowanie: telefon, Internet, papierkowa robota. Jeszcze dwa dni koszmaru.

Jakiś mężczyzna usiłował naprawić okienny klimatyzator, który nadal nie działał. Na biurku Nicka stał stary hałaśliwy wentylator. Zazwyczaj porywał mu tylko kartki papieru i zrzucał je na podłogę.

O drugiej po południu, po rozmowie z kolejną ofiarą nigeryjskiego scamu, Nick odsunął się od biurka i założył ręce za głowę. Czuł pot spływający mu spod pach i jego zapach. To ta koszula - podobnie jak



wszystkie inne, uszyta z poliestru. Nie trzeba jej było prasować, ale kleiła się do ciała, kiedy się spocił. Tandeta. Ale z drugiej strony, czego można się spodziewać, jeśli człowiek kupuje koszulę po czternaście dziewięćdziesiąt na Trzydziestej Czwartej ulicy?

Mechanik przestał uderzać młotkiem i włączył wiertarkę. Jej cienki wizg wwiercał mu się w mózg.

A potem, jakby dla dopełnienia tego udanego dnia, do pokoju wszedł Weston Ramsey. Miał na sobie jasnoszary letni garnitur, perłową koszulę i błękitny krawat w dyskretny wzorek. I plaster na górnej wardze.

- Jak leci? - spytał zarozumiale.

- Och, super - mruknął Nick.

- Ciągłe pracujesz nad tym scamem z Nigerii? Gil coś o tym wspominał.

- Tak?

- Może mógłbym ci pomóc?

- A nie masz czegoś ważniejszego do roboty? Na przykład zbawić świat, czy coś w tym rodzaju?

- No dobra, Sinestra, proponuję zawieszenie broni.

Dwa dni, pomyślał. Na pewno uda mu się wytrzymać dwa dni z Westonem Ramseyem.

- Dobra - odparł niechętnie. - Zawieszenie broni.

Ramsey usiadł przed komputerem Nicka i zaczął klikać w takim tempie, że Nick nie potrafił się zorientować, co się właściwie dzieje.

- Bardzo trudno dojść do źródeł takiego scamu - mówił, nie przerywając pracy. - Zazwyczaj są gdzieś na innym kontynencie, więc w grę wchodzi ograniczenia prawne. O, mam tu coś ciekawego, adres w Anglii. Hm.

Gil Howard wszedł do pokoju, jego ciemna twarz lśniła od potu. Spojrzał na Ramseya i uniósł brwi. Nick wzruszył ramionami.

- Cześć, Howard - powiedział Ramsey. - Może ty lepiej sobie radzisz z komputerami niż twój partner?

- Nie sędzę.

- Ludzie. - Ramsey pokręcił głową i uderzył w kilka klawiszy. - Jezu, ależ ten system jest powolny.

W końcu kliknął „drukuj”. Drukarka zarzęziła, zaklekotała i po chwili wypuściła kartkę papieru.

- Proszę. To niewiele, ale przynajmniej można od tego zacząć - powiedział Ramsey.

Gil podniósł kartkę i przeczytał.

- Dzięki.

- Do usług.

Nick zacisnął zęby i milczał.

Na wieczór dostał kolejne zlecenie ze „Star Gazera”. W Central Parku miał się odbyć bezpłatny koncert rockowy, jedna z tych wielkich letnich imprez, w czasie których między drzewami biegają półnagie

małolaty, pijąc, ćpając i podrygując w takt ogłuszającej muzyki. Jak zwykle policja licznie obstawiła miejsce wydarzenia. Policjanci, setki policjantów, którzy wezmą dodatkową kasę za nadgodziny, bo zgodzili się ochraniać społeczeństwo przed nim samym.

Bezpłatny koncert. Dobre sobie.

Jego zadaniem było dostarczyć gazecie informacji o gwiazdzie głównego zespołu, chudym, zaćpanym i już niemłodym gitarzyście, na widok którego nastolatki wyły jak opętane. Gitarzysta, Tommy Boy Franz, właśnie ożenił się po raz czwarty, jak zwykle z piękną blondynką, a plotki głosiły, że już zaczął ją zdradzać z dziewczyną z ekipy technicznej.

Gazeta domagała się zdjęć Tommy'ego Boya i jego najnowszej kochanki. Zbliżeń, które będą dobrze wyglądały na pierwszej stronie. Kiepskie oświetlenie, zaskoczone twarze.

Już to widział: TOMMY BOY FRANZ I JEGO NOWA MIŁOŚĆ.  
CZWARTA PANI FRANZ W DEPRESJI.

Tak się złożyło, że Nick wiedział, gdzie zatrzymała się gwiazda rocka. Nie miał najmniejszych trudności z uzyskaniem tej informacji. Kilka telefonów do odpowiednich ludzi - a Nick znał kogo trzeba - i miał adres w kieszeni. Oczywiście nie dał go swojemu szefowi ze „Star Gazera”. Do diabła, gdyby to zrobił, nie byłby mu już potrzebny.

Pojechał więc metrem do Central Parku, zjadł hot doga z musztardą i kiszoną kapustą, a potem wmieszał się w tłum.

Było tak gorąco, że pocił się nawet wtedy, kiedy stał bez ruchu. Upał zmienił tę imprezę w prawdziwe piekło. Dzieciaki dostawały białej gorączki, puszczały nerwy. Nawet spokojne policyjne konie zaczynały się pocić.

Dziewczęta odsłaniały prawie wszystko - ramiona, nogi, brzuchy. Obcisłe szorty, spódniczki tak krótkie, że ledwo zakrywały pośladki. Jezu, do czego zmierza ten świat?

Dostrzegł starego kumpla z akademii policyjnej.

- Kenny - powiedział. - Co ty tu do licha robisz na służbie?

- A, Nick, potrzebuję dodatkowej kasy. Drugie dziecko w drodze.

- Drugie? Nie wiedziałem, że doczekałeś się pierwszego.

Kenny uśmiechnął się wstydliwie.

- Tak, jestem teraz głową rodziny - powiedział z dumą.

Nick ruszył dalej, przepychając się przez tłum. Kenny ma dzieciaka? Wygląda na to, że wszystkim układa się w małżeństwach. Co jest z nim nie tak? Z jego życiem? A może wszystko jest w porządku, tylko on jest za głupi, by zdać sobie z tego sprawę.

Muzyka zaczęła grać, tak głośno, że Nick nie mógł uwierzyć, by ktokolwiek mógł to długo wytrzymać. Trzymał się z tyłu, przymykając oko na butelki przechodzące z rąk do rąk. W powietrzu unosił się zapach marihuany.

Raz musiał przepłoszyć parkę, która zbyt ostentacyjnie obnosiła się z woreczkiem pełnym trawki. Robili skręta tuż pod jego nosem.

- Cześć, dzieciaki, jestem z policji. Naprawdę chcecie to robić tutaj?
- Chyba żartujesz, frajerze.
- Nie, nie żartuję, frajerze. Tym razem was nie aresztuję. Zabierajcie się stąd.

Chłopak szeroko otworzył oczy. Dziewczyna chwyciła go za rękę i pociągnęła za sobą. W ciągu sekundy znikli w tłumie. Muzyka znowu zaczęła grać, bum. Bum bum. Tommy Boy miotał się po scenie jak wściekła małpa, wywrzaskiwał swój tekst i łapał się za krocze.

Nick stanął na tyłach sceny. Jeden z policjantów, z którym kiedyś pracował, podszedł do niego i pogadali chwilę. „Co porabiasz? A co u Gwen? Och, przepraszam, nie wiedziałem, że jesteś po rozwodzie”. I tak dalej.

Zaczął się przechadzać, starając się nie potknąć o wijące się wszędzie kable i szukając wzrokiem dziewczyny, którą podobno posuwał Tommy Boy. Ekipa techniczna składała się głównie z mężczyzn, więc nietrudno było ją zauważyć. Stała przy jednym z tych wielkich reflektorów, z papierosem zwisającym z warg. Wysoka, ciemnowłosa, sprawiała wrażenie twardej, ale była atrakcyjna. Długie, długie nogi w opiętych dżinsach i podkoszulek z napisem **TOMMY BOY ROCKS**.

W porządku.

Czekał tam, rozglądając się wokół, i popijał kawę, której nalał sobie ze stojącego na stoliku dzbanka. Kiedy koncert się skończył, muzycy wrócili za kulisy, spoceni, na ostrym haju. Bóg jeden wie co brali.

Czekał jeszcze chwilę, cierpliwie, starając się nie rzucić za bardzo w oczy. Potem Tommy Boy wsiadł do limuzyny i Nick pojechał za nim taksówką. Wiedział, dokąd Tommy się wybiera, ale chciał mieć pewność, że nie zatrzyma się na spotkanie ze swoją laleczką gdzie indziej.

Tommy Boy pojechał prosto do apartamentowca i wszedł do budynku. Nick zapłacił taksówkarzowi i ukrył się w bramie naprzeciwko. Nie musiał czekać długo; tuż przed pierwszą dziewczyna przyjechała taksówką. Wysiadła. Rozejrzała się szybko dookoła i weszła do budynku.

Nick odczekał chwilę, na wypadek gdyby postanowili wyjść. Jeszcze na miasto, a potem wyjął komórkę i zadzwonił. „Star Gazer” przyśle fotografa i rano będą mieli swoje brudne zdjęcia.

Cóż, czego mogą spodziewać się sławni ludzie, którzy prowadzą się w taki sposób?

Kiedy wreszcie dotarł do domu, był bardzo zmęczony, ale tej nocy nie było mu dane odpocząć. Automatyczna sekretarka mrugała czerwonym światełkiem. Miał ochotę ją zignorować, ale pomyślał: A może to Mia? Może zmieniła zdanie? Nacisnął guziczek i wysłuchał wiadomości.

- Nick, mówi Gil. Przykro mi, że niepokoję cię o tak późnej porze, ale Doug wpadł po uszy w gówno. Jesteśmy w okręgu siódmym, o ile pamiętam, znasz tu kilku gości. Może mógłbyś do nich zadzwonić czy

coś w tym rodzaju?

Cholera. Doug miał czternaście lat i zaczynał sprawiać kłopoty. Wpadł w złe towarzystwo i Gil miał powody, by się o niego martwić. Nick znał chłopaka od małego. Doug w kolizji z prawem. Cóż on u licha narobił?

Nick zadzwonił na komórkę Gila i musiał czekać dłuższą chwilę, zanim jego przyjaciel odebrał telefon.

- Cześć, stary, co się dzieje?

- Dzięki Bogu - odparł Gil. - Doug wpakował się w niezłą kabałę.

- Co zrobił?

- Pił alkohol. Złapali go na stacji metra na Delancey Street z butelką.

Wraz z jego koleżkami.

- W porządku, Gil. Zaraz tam będę.

- Och, Nick, nie musisz tu przyjeżdżać. Jest bardzo późno. Może mógłbyś po prostu...

- Będę tam za dwadzieścia minut.

Pojechał swoim samochodem, wiedząc, że będzie mógł zaparkować przed komisariatem na Pitt Street. Nie było dużego ruchu, dotarł na miejsce w rekordowym tempie. Wszedł do betonowego budynku i znalazł Gila w holu. Siedział na krześle ze spuszczoną głową.

- Dzięki, Nick - powiedział.

- Kto jest na służbie?

- Wesley Dominic.

- Dobra. Kto aresztował Douga?

- Facet nazwiskiem Vinny Cooper i jego partner Rudy Gentile.

- Gentile. Znam go. Są tu jeszcze?

- Cooper pojechał do domu. Gentile czeka na rodziców reszty dzieciaków. - Gil przewrócił oczami. - Niektórzy z nich bardziej zasługują na aresztowanie niż ich dzieci.

- Chodź, pogadamy z Gentile'em.

Rudy Gentile był krępy męczyzną o okrągłej twarzy. Jako mały chłopczyk z pewnością przypominał cherubina.

- No - powiedział - dzieciaki mają po dwanaście, czternaście lat i butelkę taniej wódki w papierowej torbie. Wszystkie narąbane, jeden nawet wyrzygał nam się w wozie. Chryste, przydałoby im się trochę dyscypliny.

Nick wiedział, że Gil ma ochotę rozwalić Rudy'emu nos i spojrzał na niego ostrzegawczo.

- Słuchaj, Rudy, puść chłopaka. Jego ojciec jest moim partnerem. Nie chcesz chyba, żeby dzieciak gliniarza był notowany.

- Sam nie wiem, Nick...

- Pamiętasz, jak pomogłem ci przyszpilić tego gościa, który obrabiał staruszki? Proszę cię, człowieku.

- Wszystko jest już w papierach. Wiesz, co to znaczy.

- To wyrzucić te papiery.

- O Chryste.



- Czy mam cię błagać. Rudy?

- Dobra, błagaj.

Nick uśmiechnął się i ukląkł na oba kolana.

- Błagam cię, człowieku. Widzisz? Błagam cię na kolanach.

- Wstawaj, do cholery! Oszalałeś? Dobra, puszczę chłopaka. Tym razem. Ale jak jeszcze raz zobaczę jego albo któregoś z jego kumpli na moim terenie, nie wywinie się tak łatwo.

Na zewnątrz, pod komisariatem, Gil udzielił surowej reprymendy blademu i przerażonemu synowi.

- Jeśli jeszcze raz wywiniesz taki numer, nie kiwnę nawet palcem. Matka odchodzi od zmysłów. Wiesz, co jej zrobiłeś? A Nick przyjechał tu w środku nocy, żeby uratować twój nędzny tyłek. Gdyby nie on, poszedłbyś do poprawczaka. Wiesz, co to jest poprawczak, Doug?

Doug stał ze spuszczoną głową, wysoki i niezręczny. Czuć było od niego alkoholem, wymiocinami i komisariatem.

- Słyszysz mnie, synu?

- Tak. - Doug kiwnął głową.

- W porządku. Gil - odezwał się Nick, kładąc mu rękę na ramieniu.

- O, nie jest w porządku, ani trochę.

- Popatrz tylko na niego, Gil. Już ma za swoje. Ma mdłości, kaca i wyrzuty sumienia. Prawda, Doug?

- Tak - mruknął nastolatek.

- Jesteś uziemiony, synu. Do końca życia! - Gil się wściekał.

- Hej, daj mu już spokój - powiedział Nick. - Chodźcie, zawiozę was do domu.

- Jestem samochodem - odparł Gil. - Pewnie już zdążyli mi wlepić mandat za parkowanie w niedozwolonym miejscu.

- Trudno, Doug zapłaci. Prawda, Doug?

- Tak. - Chłopak miał zdławiony głos. W świetle ulicznych latarni lśniły łzy na jego policzkach. Biedny dzieciak się rozplakał. O Jezu, pomyślał Nick.

- Idziemy - powiedział Gil do syna.

- Do zobaczenia jutro w pracy. - Nick uśmiechnął się z wysiłkiem.

- Jeśli uda mi się tam dotrzeć. Dzięki, Nick. Jestem twoim dłużnikiem.

- Nie ma sprawy.

Gil położył dłoń na ramieniu Douga i zaczął popychać go w stronę samochodu, ale zaraz zatrzymał się i odwrócił.

- Zaraz, przecież ty się teraz wybierasz na urlop? Może wzięłbyś ze sobą tego punka? Żeby nie miał okazji znowu narozrabiać.

- Świetny pomysł - odparł Nick.

Wracając do domu, rozmyślał o propozycji Gila. Jasne, mógłby zabrać ze sobą Douga, pojechaliby we dwóch, odbyli kilka męskich rozmów. Wujek Nick, tak, to cały on.

Tyle tylko, że teraz, kiedy Mia mu odmówiła, nie był pewny, czy w ogóle wyjedzie z miasta.

## Rozdział 7

Stało się. Decyzja została podjęta. Portia zadzwoniła do wszystkich członków zarządu i powiedziała im, że przyjmuje stanowisko prezesa fundacji na ostatnie dwa lata kadencji Gary'ego. Była zadowolona z ich reakcji, zadowolona, ale także śmiertelnie przerażona.

Potem zadzwoniła do Aarona.

- Portia, jak miło cię słyszeć.

- Postanowiłam przyjąć to stanowisko.

Chwila ciszy, w której wyczuła wahanie. Potem:

- Mój Boże, to wspaniale. Gratulacje. Powiedziałaś już Reeniemu i całej reszcie?

Reenie był szefem zarządu.

- Tak, zadzwoniłam do nich dzisiaj.

- Przyznaję, że jestem trochę zaskoczony.

- Naprawdę?

- Cóż, odniosłem wrażenie, że nie miałaś ochoty się tak... angażować.

- Wiem, ale przemyślałam wszystko i doszłam do wniosku, że jest więcej za niż przeciw. Chcę, żeby praca Gary'ego była kontynuowana.

- Oczywiście. Jak my wszyscy.

- Oficjalna informacja ukaże się w okólniku w tym miesiącu i

zostanie wysłana mailem do wszystkich członków, a Reenie powiedział, że wyśle ją także do gazet.

- Cóż, wygląda na to, że pomyślałaś o wszystkim. Mam tylko nadzieję, że nie robisz tego ze względu na to, o czym rozmawialiśmy w Denver. Wiesz, chodzi o Mahoneya.

- Oczywiście, że nie. Owszem to wpłynęło na moją decyzję, ale tylko częściowo.

- Dobrze. Dostałem twój faks z dokumentacją Gary'ego dotyczącą Panorama Ranch i przesłałem go do wszystkich członków zarządu. Jeśli zechcesz wysłuchać rady starego człowieka...

- Aaron...

Słyszała, że się zaśmiał.

- Tak czy inaczej, zaczekaj, co oni na to powiedzą. Tobie może trochę brakować dystansu.

- Chcesz, żeby ktoś spojrział na to obiektywnie.

- Coś w tym rodzaju.

Portia zastanawiała się nad tym przez chwilę.

- W porządku. Ale chcę być informowana o wszystkim na bieżąco.

- Masz moje słowo.

- I chcę, żebyś wiedział, że najbardziej leży mi na sercu dobro fundacji.

- Wiem o tym, moja droga. - Urwał i podjął po chwili: - Media będą się tym interesować, zdajesz sobie z tego sprawę?

- Tak. Poradzę sobie. Będą mnie wykorzystywać, a ja też ich wykorzystam.

- Mądra dziewczynka.

- Dzięki. Polegam na tobie.

- Jestem wobec ciebie absolutnie lojalny, Portia. Wiesz o tym.

- Tak, wiem.

Informacja o przejęciu przez Portię Wells stanowiska prezesa Fundacji Ochrony Przyrody wzbudziła umiarkowane zainteresowanie. Większe niż raport na temat broni Air Force, ale mniejsze niż kolejny atak terrorystyczny na Bliskim Wschodzie. Wszystkie trzy stacje telewizyjne z Denver przysłały do niej swoich dziennikarzy, znowu też zaczęto mówić o śmierci Gary'ego, co wcześniej przewidziała. O to jej chodziło.

Padły pytania o jej matkę, ale z wdziękiem zmieniała temat. Dziennikarze nie naciskali, ale i tak odetchnęła z ulgą, kiedy w końcu wyszli, zabierając ze sobą kamerzystę.

Tego wieczoru, kiedy pracowała w gabinecie, Todd zawołał ją do salonu.

- Portia, jesteś w telewizji!

Niechętnie oderwała się od komputera i poszła zobaczyć, jak też potraktują ją w wiadomościach.

Była tam, na szklanym ekranie. W dżinsach i niebieskiej bluzce z krótkimi rękawami wyglądała swobodnie, ale schludnie. Wszystko

trwało bardzo krótko, zaledwie kilka minut, ale informacja była utrzymana w pozytywnym tonie.

- Portia Wells, wdowa po znanym aktywiście ruchu ekologów, oznajmiła, że przyjmuje stanowisko zmarłego męża i zostanie prezesem Fundacji Ochrony Przyrody. Pani Wells, czy może nam pani powiedzieć, jak wyobraża sobie swoją rolę w organizacji?

Todd kilka razy zmieniał kanały, ale na wszystkich wyglądało to mniej więcej tak samo.

- Ładnie wyglądałaś - zauważył. - Trochę tak, jakbyś była inną osobą, ale jednak tą samą.

- Dzięki. - Czasem Todd potrafił być naprawdę słodki; zazwyczaj jednak pozował na wyluzowanego cynika.

- Dziwnie tak zobaczyć cię nagle w telewizji - powiedział.

- Teraz może się to zdarzać częściej. Niepokoi cię to?

- Nie - odparł. - Uważam, że to super.

Zadzwoił telefon. Todd poszedł odebrać.

- Jezu, niech zgadnę - mruknął pod nosem. - Ciocia Lynette?

Miał rację.

- O Boże. - Lynette była zachwycona. - Pięknie wyglądałaś! Taka spokojna, swobodna, jakbyś codziennie występowała w telewizji. Zazdroszczę ci. Skąd masz tę niebieską bluzkę? Widziałam ją już wcześniej?

Rozmawiały pół godziny, aż w tle rozległ się głos Randy'ego.

- Lynette?

- Muszę kończyć. Wiesz, Randy.

- Gdzie są dzieci? - spytała Portia.

- Och, Matt przy komputerze, a pozostała dwójka bije się w salonie.

Randy oczywiście ma to w nosie. Wpadnę do ciebie jutro, to pogadamy.

Dobra?

- Dobra - odparła Portia.

Nie wiedziała, co by zrobiła bez Lynette. Uschłaby prawdopodobnie z nudy i samotności. Sąsiedzi i znajomi sądzili, że to Portia wiezie prym w tej przyjaźni, podczas gdy tak naprawdę było zupełnie inaczej. To Lynette była silna, swobodna i łatwo nawiązywała kontakty. Niska i dość pulchna, o rudobrazowych włosach, które bezustannie poprawiała, Lynette na pierwszy rzut oka wydawała się ładna, miła i zwyczajna. Typowa dziewczyna o niebrzydkiej twarzy, która powinna trochę schudnąć. Prawda jednak była taka, że mężczyźni ciągnęli do niej jak pszczoły do miodu. Lynette lubiła mężczyzn, akceptowała ich wszystkich, młodych i starych. Poza tym lubiła siebie i swoje miejsce w życiu. Facet, który poznał Lynette, po półgodzinie był jej najlepszym kumplem i zaczął jej opowiadać rzeczy, których nie wyznałby nawet w konfesjonale.

Ale Lynette wydawała się czasem zależna od Portii, ciągnęła ją za sobą do sklepów z ubraniami i do fryzjera w Castle Rock, domagając się porad co do długości i koloru włosów.

- Ja jestem beznadziejna - mawiała. - Zawsze wybieram niewłaściwy kolor i pozwalam, żeby fryzjer zrujnował mi uczesanie. Gdyby nie ty, Portia...

Ale gdyby nie Lynette, Portia oszalałaby z rozpaczy po poronieniach. Wyznała nawet szwagierce prawdę o swoim małżeństwie, że podziwiała męża i kochała go na swój sposób, ale nigdy nie była w nim naprawdę zakochana, więc wybaczała mu to, że patrzył na inne kobiety. Wiedziała, że nie jest w stanie oddać mu się duszą i ciałem.

- Nonsens - mówiła wtedy Lynette. Myślisz, że wszystkie kobiety, które wyszły za mąż, zrobiły to, bo były nieprzytomnie zakochane?

- Ty tak - odpowiadała Portia.

- Akurat. Wyszłam za Randy'ego, bo udało mu się wmówić mi, że Wellspring Ranch jest najbogatsze na Front Range.

- Och, daj spokój.

- Nie, to prawda. Kocham go, jasne, i naszych chłopców, ale to nie tak, że nie mogę z miłości spać po nocach. Nigdy tak nie było. Spójrz tylko na mnie. Jestem gruba jak maciora. Mam szczęście, że w ogóle udało mi się złapać męża. A ty...

Ulubiony temat Lynette: Portia i mężczyźni. Portia mogłaby mieć każdego, którego by zechciała, bez wyjątku. Niestety, miało to niewiele wspólnego z prawdą. Portii brakowało otwartości Lynette, odwagi, by mówić o swoich uczuciach i działać zgodnie z intuicją. Była zbyt nieśmiała. Za bardzo bała się odrzucenia. Wiedziała, że ma to związek z



ciągle nieobecny ojcem i z matką. Zawsze wydawało jej się, że musiała zrobić coś, by zasłużyć na odrzucenie.

Ale ciągle była kobietą, młodą kobietą, i kiedy kładła się wieczorem do łóżka, czuła się bardzo samotna. Przerażała ją myśl, że już nigdy nie zazna miłości. A potem ogarniały ją wyrzuty sumienia, że tak wiele żąda od życia.

Na szczęście była jeszcze Lynette.

- I co z tego, że nie minął rok od śmierci Gary'ego? Ty żyjesz i masz pełne prawo chcieć miłości. Seksu. O co chodzi? Chciałabyś zostać zakonnica czy kimś w tym rodzaju?

Lynette uważała nawet, że Portia powinna skontaktować się z tym policjantem, kiedy znowu będzie w Nowym Jorku.

- I co z tego, że wezwał tego dziennikarza? Przecież cię uratował, prawda? Wszyscy popełniamy błędy. Mój Boże, ja powiedziałabym mu, żeby przyjechał do Central Parku, i rzuciłabym mu się na szyję.

Portia nie była w stanie powstrzymać się od śmiechu.

- Rzucić mu się na szyję? Doskonały pomysł, Lynette.

A jednak żałowała, że nie stać jej na to, by to zrobić.

Następnego” dnia musiała pojechać do Colt po karmę dla cielnych krów. Wzięła furgonetkę, dziesięcioletniego dodge'a, wielki, hałaśliwy samochód z silnikiem diesla. Nie lubiła nim jeździć, wiedząc, jak szkodliwe dla środowiska są wyziewy tego typu silników. Ilekroć do

niego wsiadała, czuła się jak ostatnia hipokrytka. Ale nie było jej stać na nową furgonetkę, a dwanaście dwudziestopięciokilowych worków nie zmieściłoby się w mniejszym samochodzie.

Zatrzymała się przed sklepem i weszła do środka. Było tam mnóstwo półek z narzędziami, lekami dla bydła i koni, podkowami i ubraniami roboczymi. Podeszła do lady i poprosiła o zapisanie na rachunek rancza tuzina worków karmy.

- Co słyhać? - spytała sprzedawczyni. - Wczoraj był tu Randy, mówił, że kończy się wam woda do irygacji.

- Niestety, obawiam się, że to prawda. Nam i wszystkim innym, Sally.

- Przeklęta susza - mruknęła Sally. Portia podjechała furgonetką na tyły sklepu, gdzie załadowano worki.

- Gorąco, no nie? - odezwał się mężczyzna, wrzucając towar na pakę.

- Rzeczywiście - odparła. Zawsze to samo; pogoda, upały, susza, woda, konie i bydło. I cena siana.

Wyjechała spod sklepu i ruszyła w stronę autostrady, ale drogę zajechał jej jakiś samochód. Przyhamowała, czekając, aż będzie mogła przejechać, ale samochód nie ruszył z miejsca. Zamiast tego drzwiczki otworzyły się i wysiadło z niego dwóch mężczyzn, którzy podeszli szybko do jej furgonetki. Jeden z nich otworzył drzwiczki od strony pasażera, sięgnął do kluczyków i wyłączył silnik. Potem wyjął je ze stacyjki. Drugi otworzył drzwiczki od strony Portii i stał tam, patrząc na

nią bez słowa.

W pierwszej chwili nie mogła uwierzyć, że to się dzieje naprawdę.

- Hej - powiedziała, czując, jak podnosi jej się poziom adrenaliny we krwi.

- Zamknij się - powiedział mężczyzna trzymający drzwiczki.

Przenosiła wzrok z jednego na drugiego, przerażona, ale też coraz bardziej zła. Zastanawiała się, czy powinna zacząć krzyczeć.

- Zabierajcie się z mojego samochodu - wydusiła wreszcie przez ściśnięte gardło. - Zabierajcie się...

- Zamknij się - powtórzył ten, który siedział obok. Spojrzała na niego. Był wysoki i potężny, z rudawymi włosami, piegowatą twarzą i podwójnym podbródkiem.

- Nie mam zamiaru. - Jej głos drżał. - Proszę oddać kluczyki. Nie wiem, kim jesteście, ale wystarczy, że zawołam...

- Nikogo bym nie wołał na twoim miejscu - powiedział mężczyzna stojący koło drzwiczek. Był niższy, łysiejący, ale mówił pewnym, zimnym głosem. Miał czarne, nieprzeniknione oczy. - Mamy dla ciebie wiadomość - ciągnął. - Nie wchodź w drogę Patrickowi Mahoneyowi.

Portia wstrzymała oddech. Patrick Mahoney. Nagle zrobiło jej się zimno.

- Nie wchodź mu w drogę, rozumiesz?

- Bo inaczej będziesz miała kłopoty - stwierdził ten drugi. - Poważne kłopoty. I nawet nie myśl o tym, żeby iść z tym na policję.

Chciała coś powiedzieć, ale nie była w stanie wykrztusić słowa.

- I jeszcze jedno - dodał ten łysiejący. - Pamiętasz, co się przydarzyło twojemu mężowi? - Cofnął się i zatrzasnął drzwiczki, podczas gdy jego towarzysz wysiadł z drugiej strony.

Portia była jak sparaliżowana. Rudy rzucił jej kluczyki na kolana. Potem obaj wsiedli do swojego samochodu, zawrócili i odjechali z wizgiem opon.

Portia siedziała bez ruchu jeszcze przez chwilę. Serce waliło jej jak młotem, miała sucho w ustach i wilgotne, drżące ręce. Zamknęła oczy, po czym znowu je otworzyła. Czy to wszystko wydarzyło się naprawdę? Czy ci dwaj naprawdę jej grozili? Czy przyznali, że śmierć Gary'ego nie była wynikiem wypadku? Czy padło nazwisko Mahoneya?

Boże.

Przed nią zatrzymał się inny samochód, więc chwyciła kluczyki, trzęsącymi się rękami włożyła ten właściwy do stacyjki i cofnęła auto, robiąc miejsce. I znowu siedziała w furgonetce, zastanawiając się, czy to ona tak drży, czy to wibracje samochodu.

W końcu wyjechała na autostradę, z trudem obracając kierownicą. Nogi odmawiały jej posłuszeństwa. Była tak zdenerwowana, że ledwie panowała nad własnym ciałem. Czy powinna pojechać prosto na policję? A może lepiej zadzwonić do Aarona i zapytać go, co ma teraz robić? A może powinna zrobić to, co powiedział ten człowiek, i nie mówić nic policji?

Nie wiedziała, jak wróciła do domu. Całą drogę biła się z myślami. Nie, nie da się zastraszyć. Tego właśnie chce Mahoney. Zdemaskuje jego chciwość i zdobędzie dowody na udział w zabójstwie Gary'ego. Nie zmuszą jej do milczenia. Mimo ostrzeżeń Aarona wykorzysta swoją pozycję i niewielkie możliwości, by wyciągnąć brudne sprawy Mahoneya na światło dzienne.

Uderzyła z całej siły w kierownicę. Ten drań! Ale ciągle trzęsła się ze strachu.

Minęła dom i pojechała prosto do Randy'ego i Lynette. Chwilę została jeszcze w samochodzie, starając się zebrać myśli. Przypomniała sobie słowa tego mężczyzny: „Pamiętasz, co się przydarzyło twojemu mężowi?” Znowu ogarnęło ją przerażenie, a zaraz potem strach.

Wysiadła z furgonetki i podeszła do drzwi. Randy'ego prawdopodobnie nie ma w domu. Zapukała, pchnęła drzwi, które nigdy nie były zamknięte, i weszła.

- Randy?! - zawołała. - Lynette?

Odpowiedziało jej wściekłe szczekanie psa.

- Cicho, Nellie! - odezwała się Lynette.

- Lynette, to ja.

Lynette wyszła do holu uśmiechnięta, ale kiedy spojrzała na Portię, uśmiech znikł z jej twarzy.

- Co? Co się stało?

Portia tylko potrząsnęła głową.

- Ja... Nie jestem pewna. Muszę... Muszę porozmawiać z Randym.

- Portia...

- Posłuchaj, obiecuję, że jak tylko to sobie poukładam, opowiem ci o wszystkim.

- Nie wytrzymam tego. Co sobie poukładasz?

- Chodzi o to, że... Sama nie wiem. Gdzie jest Randy? Proszę, Lynette, pogadamy później.

Lynette niechętnie powiedziała jej, że Randy nawadnia północne pastwisko.

- Porozmawiaj z nim, a potem tu wróc. Nie cierpię sekretów.

- Przyjadę do ciebie, przysięgam.

Pojechała wyboistą polną drogą we wskazanym kierunku. Ciągle myślała o spotkaniu z wysłannikami Mahoneya. O, są: biały ford pick-up Randy'ego i jego pies Charley. Randy mocował się właśnie z wielką płachtą pomarańczowego plastiku.

Zatrzymała się obok forda i wysiadła. Było jej strasznie gorąco, zaczęła się pocić i przyszło jej do głowy, że przyjazd tu nie był najlepszym pomysłem.

- Randy! - zawołała.

Podniósł głowę. Jego twarz kryła się w cieniu kapelusza z szerokim rondem.

- Co?! - odkrzyknął.

- Możemy porozmawiać?

Randy wymruczał coś pod nosem, potem wyprostował się i ruszył ku niej wielkimi krokami. Czasami, z pewnej odległości, tak bardzo przypominał Gary'ego. W tej chwili mogłaby przysiąc, że to jej zmarły mąż idzie w jej stronę polem.

Ale Gary nigdy nie włożyłby takich starych dzinsów, zabłoconych butów i kraciastej koszuli z naderwaną kieszenią.

- Tak? O co chodzi? - spytał, otrzepując brudne ręce.

- Byłam właśnie w sklepie.

- Przywiozłaś tę karmę?

- Tak. Posłuchaj, Randy, na parkingu pod sklepem zatrzymali mnie dwaj mężczyźni... i śmiertelnie mnie przerazili. Ostrzegli mnie, żebym nie wchodziła w drogę Patrickowi Mahoneyowi.

Randy spojrzał na nią ostro.

- Dwaj mężczyźni?

- Tak, okropni. Jeden z nich powiedział... to jego słowa... „Pamiętasz, co się przydarzyło twojemu mężowi?”

- Chryste, Portia, daj spokój.

- Randy, oni mówili poważnie. Mahoney ich przysłał.

- Jasne. Jakby Mahoney miał czas na takie wygłupy. To był... do diabła, to był pewnie jakiś żart.

- To nie był żart.

- Słuchaj, wszyscy tu wiedzą, że twoim zdaniem Gary został zamordowany. Nie robiłaś z tego tajemnicy. Ktoś się z ciebie naigrywa.

- To nie był żart, Randy!

Randy przekrzywił głowę.

- Cóż, jeśli uważasz, że ci dwaj okropni mężczyźni mogą być niebezpieczni, idź do Caba.

Już chciała powiedzieć, że ci ludzie ostrzegli ją, żeby nie szła na policję, ale ugryzła się w język. Randy tylko by ją wyśmiał. nigdy niczego nie traktował poważnie, niczego poza ranczem, bydłem i pracą.

- Wiedziałem, że coś takiego w końcu się stanie. Chryste, Portia ty nie pasujesz do tego miejsca. Powinnaś być w Nowym Jorku, zwłaszcza teraz, kiedy zostałam prezesem fundacji.

- Mój Boże! - wykrzyknęła, sfrustrowana. - Czy ty mnie ogóle słuchasz? To nie ma nic wspólnego z tym, czy jestem prezesem fundacji, ani z tym, czy radzę sobie na ranczu. Ci ludzie mi grozili.

- Bzdura.

- Nie. Naprawdę nic cię nie obchodzi, że oni właściwie przyznali, iż zabili twojego brata? Naprawdę nic cię to nie obchodzi?

Randy uśmiechnął się krzywo.

- Powiedzieli to tylko po to, żeby cię wkurzyć, i zdaje się, że im się udało.

- Nie obchodzi cię, że Gary został zamordowany?

- Mój brat nie został zamordowany. Zginął w idiotycznym wypadku samochodowym. Za szybko wszedł w zakręt i tyle.

Portia dała za wygraną. Randy był głuchy na jej argumenty, nie



potrafiła do niego dotrzeć. Bóg jeden wie, że próbowała przebić ten mur, ale brakowało jej już sił.

Odwróciła się, drżąc z gniewu. Potem jednak zatrzymała się i jeszcze raz spojrzała na Randy'ego.

- A tak przy okazji! - zawołała. - To ranczo jest moim domem.

Jechała zapyłoną wiejską drogą sfrustrowana i wściekła. I przerażona. Obiecała Lynette, że do niej wstąpi, ale wiedziała, że jeśli powie jej prawdę, przyjaciółka naskoczy na męża, a wtedy Randy będzie jeszcze bardziej zły na Portię i stanie się nie do wytrzymania.

Nie, nie może teraz wciągać w to Lynette. Powie jej, że miała problem z rachunkiem w sklepie czy coś w tym rodzaju. Cokolwiek.

Kiedy uświadomiła sobie, że nie może zwierzyć się Lynette, poczuła się bardzo samotna. Nie miała nikogo, kto by jej pomógł, kto by jej wysłuchał i przytulił ją w nocy. Brakowało jej Gary'ego i zastanawiała się, czy Randy nie ma racji - może istotnie powinna podwinąć pod siebie ogon i zamieszkać w Nowym Jorku, z dala od koszmarnych wspomnień i problemów z ranczem, które tak ją wykańczały. Z dala od obojętnego, niechętnego jej Randy'ego.

Ale Gary kochał tę ziemię. Zostawił jej połowę rancza, czuła więc, że musi przyjąć na siebie tę odpowiedzialność. Musi.

A potem znowu ogarnęło ją poczucie winy. Może gdyby bardziej kochała Gary'ego, gdyby urodziła mu dzieci, lepiej radziła sobie na ranczu... ale nie potrafiła wypełnić żadnego ze swoich małżeńskich

obowiązków. Nie ma wyboru, musi tu zostać, jeśli chce bez wstydu patrzeć na swoją twarz w lustrze.

No i był jeszcze syn Gary'ego.

W kuchni panował bałagan, na blacie było pełno okruchów, plam z majonezu i ogryzków jabłek. Todd najwyraźniej przyrządził sobie lunch. Był leniwy i niechlujny. Powinien teraz pomagać Randy'emu, ale zwykle udawało mu się wymigać od pracy i wszystko uchodziło mu na sucho, bo miał tyle uroku. Zupełnie jak jego ojciec. Gary umiał osiągnąć wszystko, czego chciał, wystarczyło, że się uśmiechnął i powiedział parę komplementów.

Todda nigdzie nie było widać, ale Portia wiedziała, gdzie go znaleźć. Zapukała do drzwi jego pokoju.

- Wejź - odezwał się po chwili.

- Masz trochę czasu, Todd?

- Jasne. Właśnie wysyłałem maila do kolegi.

Usiadła na łóżku, Todd odwrócił się do niej na swoim krześle.

- Mam problem, o którym chciałabym z tobą porozmawiać. Jak dorosły z dorosłym.

Patrzył na nią oczami Gary'ego, trochę podejrzliwie.

- Będę z tobą szczerą. Nie jesteś już dzieckiem i sądzę, że zasługujesz na zaufanie.

- W porządku.

- Miałam właśnie... pewne spotkanie. Dwaj mężczyźni grozili mi na

parkingu przed sklepem. Jestem pewna, że przysłał ich Patrick Mahoney.

- Ten... ten deweloper?

- Tak. Mówię ci o tym, bo może byłoby rozsądniej, gdybyś teraz zamieszkał ze swoją matką. Nie wiem, czy ci ludzie rzeczywiście są groźni, ale nie chcę cię narażać na żadne niebezpieczeństwo.

- A ty?

- Przyjęłam stanowisko prezesa fundacji z pełną świadomością tego, z czym może się to wiązać. Ty nie. Nie powinieneś cierpieć z powodu moich decyzji.

- Cierpieć? - Todd przewrócił oczami. - Wiesz, co to jest cierpienie? To życie pod jednym dachem z Raymondem.

- Jestem pewna, że on się bardzo stara.

- Stara się - mruknął Todd kwaśno. - I tak psuje *tego* chłopaka...

- Ten chłopak jest twoim bratem - przypomniała mu łagodnie.

- Przyrodnim bratem.

- W porządku, przyrodnim bratem. Ale to tylko małe dziecko.

- Nie mam nic do Olivera, chociaż jest taki męczący, ale Raymonda nienawidzę.

- Todd.

- Nienawidzę go! Nie chcę z nimi mieszkać! Ale pewnie mnie do tego zmusisz. Chcesz się mnie pozbyć, tak jak wszyscy. Gdyby żył mój tata...

Stara śpiewka. Gdyby żył jego ojciec, wszystko wyglądałoby inaczej.

Postanowiła wypróbować inną taktykę.

- Pomyślałam też, że bardziej podobałoby ci się życie w mieście.

Ciągle powtarzasz, że...

- Lubię miasto, ale nie na tyle, żeby mieszkać tam z Raymondem.

- Jesteś pewny? - zastanawiała się, czy rzeczywiście nie powinna go zmusić do wyjazdu, ale nie była w stanie tego zrobić. Może potrzebowała Todda tak samo, jak on jej. A może znowu czuła się winna.

- Tak, jestem pewny. Poza tym - dodał po chwili tonem tak podobnym do tonu Gary'ego, że aż ścisnęło jej się serce - ty pozwalasz mi jeździć samochodem i w ogóle.

Portia wstała.

- W porządku, młody człowieku. Chodź, wyładujemy te worki. Ty prowadzisz. Dobra?

- Dobra - odparł.

Zadzwoiła do Lynette dopiero, kiedy worki z paszą zostały wyładowane. I okłamała ją; powiedziała, że miała problem w sklepie z rachunkiem, ale omówiła już tę sprawę z Randym. Oczywiście Randy mógł przyjść do domu i oznajmić żonie, że jego głupia szwagierka uważa, iż grozili jej dwaj mężczyźni, za co później niewątpliwie oberwałoby jej się od Lynette, ale w takim wypadku to Randy poruszyłby temat, a nie Portia.

Przez całe popołudnie nie potrafiła myśleć o niczym innym. Co

powinna zrobić? Nie miała dowodów na to, że ktoś jej groził, nie było przecież świadków, no i nie miała pojęcia, kim byli ci ludzie. Nie zapamiętała nawet numeru rejestracyjnego ich wozu. Zresztą pewnie przylecieli z Denver i zaraz polecili tam z powrotem, więc i tak nie udałooby się ich odnaleźć. Ani odkryć ich powiązań z Mahoneyem.

Nikt nie mógł jej pomóc, a ona tak bardzo potrzebowała pomocy. O czwartej doszła w końcu do wniosku, że jest jeden człowiek, któremu mogłaby się zwierzyć. Cab Whitefeather.

Powiedziała Toddowi, że wybiera się do Colt i nie będzie jej mniej więcej godzinę. Potem włożyła czyste dżinsy i podkoszulek i wsiadła do swojego starego samochodu. Wiedziała, że ostrzeżenie, aby nie szła na policję, było czystym blefem i że obu mężczyzn już dawno nie ma w okolicy. Mimo to bez przerwy spoglądała we wsteczne lusterko, a samochód zaparkowała dwie przecznice od biura szeryfa, znajdującego się obok budynku, który mieścił także urząd hrabstwa. Urząd miał w zasadzie swoją siedzibę w Castle Rock, ale w Colt także pracowało kilku urzędników.

Przywitała się z policjantem na służbie i spytała, czy może zobaczyć się z Cabem.

Cab był wysokim mężczyzną o wąskiej, ogorzalej twarzy, głębokich bruzdach po obu stronach zakrzywionego nosa i ciemnych, przenikliwych oczach. Miał białe włosy zebrane z tyłu głowy w kucyk. Był półkrwi Indianinem Ute, a część jego rodziny mieszkała nadal w

rezerwacie. Jego żona niedawno zmarła, miał jednak troje dorosłych dzieci. Wszystkie pracowały w policji. Żartował często, że w jego plemienu jest zbyt wielu stróżów prawa.

Kiedy Portia weszła do jego pokoju, siedział akurat za biurkiem i czytał. Podniósł głowę i uśmiechnął się na jej widok.

- Sie masz, Portia - powiedział, wstając.

- Cześć, Cab.

- Co mogę dla ciebie zrobić? Widzę, że to jakaś poważna sprawa. Usiądź, proszę.

Portia już przed wielu laty zorientowała się, że wielu mieszkańców rolniczego Zachodu celowo przeciąga sylaby. Cab był w tym niezrównany. Gary'emu także nieźle to wychodziło. Ale jak przychodziło co do czego, szybko porzucali wiejską wymowę.

Portia usiadła i wzięła głęboki oddech, nie wiedząc za bardzo, od czego zacząć. Cab patrzył na nią uważnie przez chwilę, a potem położył na biurku swoje wielkie dłonie.

- Coś się dzisiaj stało i... cóż, chyba nie wiem, co z tym zrobić. - Potarła czoło dłonią. - Powiedziałam Randy'emu, ale on nie potraktował tego poważnie. Jeśli nie chce w coś wierzyć, to w to nie wierzy i koniec.

- No, ale nie chodzi przecież o Randy'ego. Więc w czym rzecz? - Był bardzo poważny.

- Dziś rano, kiedy odjeżdżałam spod sklepu rolniczego... wiesz, na tym podjeździe prowadzącym do parkingu?

- Aha.

- No więc stanął przede mną samochód i wysiadło z niego dwóch facetów. Jeden wepchnął się do mojej furgonetki, usiadł obok i zabrał mi kluczyki, a drugi... groził mi. Powiedział, żebym nie wchodziła w drogę Patrickowi Mahoneyowi, a potem... Dodał: „Pamiętasz, co się przydarzyło twojemu mężowi?”

Cab wyprostował się gwałtownie i zagwizdał.

- Randy powiedział, że to bzdura, żart, ale to nie był żart. A ja nie wiem, co mam robić.

- Przypuszczam, że nie znasz tych mężczyzn?

Pokręciła głową.

- Zapisałaś ich numer rejestracyjny?

Portia znowu tylko pokręciła głową.

- Cóż. - Cab zamyślił się i zaczął stukać palcem w blat biurka. - Niewiele mogę zrobić. Nawet gdybym chciał, nie wiedziałbym, kogo oskarżyć. Mahoney... padło jego nazwisko, ale nic poza tym. Może zaprzeczać, że miał z tym cokolwiek wspólnego.

- Wiem. Wiem. I naprawdę nie oczekuję, że aresztujesz kogoś tylko dlatego, że ci o tym opowiedziałam. Ale... pomyślałam sobie, że może poradzisz mi, co mam zrobić.

Cab zmarszczył brwi.

- I to jest problem. Chciałbym powiedzieć, że wezwę paru policjantów, żeby cię chronili, ale nie mam tu tylu ludzi. Wiesz, jest nas

tu tylko sześciu, to i tak za mało na nasze potrzeby. Mógłbym zadzwonić do szeryfa w Castle Rock, ale obawiam się, że niewiele wskóram.

- Wiem. W ogóle nie powinnam cię tym obciążać.

- Nie, dobrze zrobiłaś. Powiem moim ludziom, żeby kilka razy dziennie przejeżdżali koło rancza i zwracali uwagę na wszystko, co może wyglądać podejrzanie. - Umilkł i zastanawiał się nad czymś przez chwilę. - Bądź ostrożna. Nie włócz się samotnie po okolicy. Bierz zawsze ze sobą Randy'ego albo Lynette. Albo przynajmniej syna Gary'ego.

- Randy uważa, że mi odbiło.

- Randy - prychnął Cab. - W takim razie wynajmij ochronę.

Portia zaśmiała się gorzko.

- Myślisz, że ochroniarze pracują za wyżywienie?

Czuła się jak idiotka. Nie powinna była zawracać tym głowy Cabowi. Nic nie mógł dla niej zrobić. Była zupełnie sama, sama przeciw Patrickowi Mahoneyowi. „Pamiętasz, co się przydarzyło twojemu mężowi?” Czy i ją ktoś zepchnie z drogi w przepaść? Może już dziś, kiedy będzie wracała do domu?

- Uważaj na siebie - powiedział Cab, wychodząc z nią przed budynek.

- Tak, dzięki.

- Za co? Nic nie mogę dla ciebie zrobić.

Wracając do domu, jechała za szybko, ciągle spoglądając we



wsteczne lusterko. Podświadomie czekała, aż pojawi się za nią jakiś samochód. Wyprzedzi ją i... Ale nic takiego się nie stało. Tyle że opony zapisały na rozgrzanym asfalcie, kiedy skręcała z drogi w stronę rancza...

W domu była roztargniona, niewiele myślała o obiedzie. Przed oczami cały czas miała scenę, która rozegrała się na parkingu pod sklepem. Pamiętała każde słowo, każdą zmianę wyrazu twarzy tych dwóch mężczyzn. Sposób mówienia tego łysiejącego. I to, jak ten drugi rzucił jej na kolana kluczyki.

Skąd wiedzieli, gdzie ją znaleźć? Musieli za nią jechać. Pewnie czekali gdzieś w ukryciu pod domem, aż zobaczyli, że wyjeżdża. Nietrudno było ją śledzić, w końcu niczego nie podejrzewała.

Próbowała przypomnieć sobie ich samochód. Kiedy zamykała oczy, widziała, jak otwierają się drzwiczki. Jasny sedan. Biały? Szary? Oparła się o kuchenny blat i starała się skoncentrować. Sedan, podobny do taurusa, którym jeździła matka Todda w Denver. Coś w tym rodzaju. Ale nawet gdyby przypomniała sobie, jak wyglądał samochód, co to da? Pewnie go wypożyczyli i teraz tkwił gdzieś na parkingu wraz z setką innych.

Czuła się taka bezradna i samotna.

Otworzyła lodówkę i wyciągnęła sałatę. Potem podniosła nóż i patrzyła na niego przez chwilę. Broń?

Strzelba Gary'ego była ciągle w szafce przy drzwiach wejściowych,

Portia wiedziała jednak, że nigdy nie będzie jej ze sobą zabierać, nie mówiąc już o tym, by miała jej użyć.

Nagle przed oczami stanął jej inny człowiek. Ciemne, kręcone włosy, szerokie usta, ten sposób poruszania... Mocna szyja, opanowanie, jakie daje władza. Milczenie.

O czym ona myśli? Ten człowiek był trzy tysiące kilometrów stąd i pewnie nawet nie pamiętał jej imienia. Nawet jeśli ona pamiętała go aż za dobrze.

Odłożyła nóż i podeszła do telefonu. Ostatnia szansa. Wystukała numer Aarona w Falls Church w Wirginii, w nadziei, że zastanie go w domu. Modliła się, by podniósł słuchawkę.

Telefon odebrała jego żona Nancy.

- O, witaj, Portia. Tak, Aaron jest w domu. Właśnie wychodzimy, ale mamy jeszcze kilka minut.

Aaron podszedł do telefonu.

- Portia? Słucham cię.

- Przepraszam, że zawracam ci głowę, ale coś się stało i chciałam poprosić cię... poprosić cię o radę.

- Więc słucham cię - powtórzył spokojnie.

Portia opowiedziała swoją historię. Aaron milczał, a kiedy skończyła, odchrząknął.

- To bardzo poważna sprawa, moja droga. Martwię się tym, że jesteś tam zupełnie sama.

- Nie jestem tu zupełnie sama.
- Mówisz o Todzie? Przecież on ma piętnaście lat.
- Co mam robić?
- Policja oczywiście niewiele może zrobić?
- Zgadza się.
- W porządku. Zajmę się tym.

Natychmiast poczuła ulgę i gardziła sobą za to. Boże, jest takim tchórzem.

- Zadzwońię do agencji ochrony i wynajmę kilku ludzi. Będą cię strzec przez okrągłą dobę. Tak długo, jak będzie trzeba.

- Aaronie, mnie nie stać na...
- Nawet o tym nie wspominaj. Zajmę się wszystkim.
- O Boże, tak mi przykro, że cię tym obarczam.
- Żaden kłopot. Gary był dla mnie jak syn, a ty jak córka. Nie chcę słyszeć więcej ani słowa.

- Dziękuję.

- Dobrze zrobiłaś, że mi o tym powiedziałaś. Dzięki Bogu, że przyszło ci to do głowy. Zadzwońię tam zaraz, ale teraz muszę cię przeprosić. Wychodzę z Nancy na kolację. Porozmawiamy później.

Portia rozłączyła się, osłabła z ulgi. Więc jednak nie jest na tym świecie zupełnie sama. Na Aarona zawsze może liczyć.

Następnego ranka o ósmej dwaj mężczyźni zapukali do jej drzwi.

Otworzył im Todd, a potem wszedł do kuchni, gdzie Portia właśnie kończyła śniadanie.

- Są tu jacyś goście z agencji ochrony - powiedział, wyraźnie zaskoczony.

- Och, tak szybko? Zapomniałam ci powiedzieć. Ci ludzie będą nas pilnować.

- Z powodu tego, co się stało?

- Tak.

Portia zaprosiła mężczyzn do środka i zaproponowała kawę. Jerry był niewysoki, ale mocno zbudowany, jego szyja wyglądała na szerszą od głowy. Lev starszy, koło pięćdziesiątki - miał szczękę buldoga. Obaj byli ubrani po miejsku; może powinna wspomnieć, że w takim stroju będą się tu za bardzo rzucać w oczy. A może właśnie o to im chodziło.

- Proszę zachowywać się tak, jakby nas tu nie było, robić to, co zwykle - powiedział Lev. Mówił z akcentem i sprawiał wrażenie jakiegoś europejskiego najemnika. Na pewno umiał o sobie zadbać.

- Gdzie się zatrzymaliście?

- Wszystko jest już załatwione.

- Och.

- Będziemy pracować na zmiany - odezwał się Jerry. - Jeden z nas zawsze będzie w pobliżu.

- A posiłki?

- Damy sobie radę. Proszę się tym nie martwić. Robiliśmy takie

rzeczy już wcześniej. Teraz poproszę o listę wszystkich osób, które mieszkają na ranczu, pracowników, dostawców i tak dalej.

Todd patrzył na nich zafascynowany. Kiedy Portia wyliczyła wszystkich, którzy przyszli jej na myśl, zapytał:

- Jesteście ochroniarzami?
- Coś w tym rodzaju. - Jerry się uśmiechnął.
- Ekstra.

Mężczyźni wyszli. Portia zauważyła teraz ich samochód - nieoznakowaną błękitną furgonetkę.

Pewnie będą w niej spać, jeść i mieszkać. Jak długo? Kilka dni? Tygodni? I skąd będą wiedzieli, że nic jej już nie grozi?

- Ochroniarze - powiedział Todd. - Ale super.
- Cieszę się, że ci się to spodobało. A teraz chyba będzie lepiej, jeśli powiadomię wujka Randy'ego.

Ale nie zadzwoniła do niego. Stała przy oknie i patrzyła, jak niebieska furgonetka odjeżdża drogą, wzniecając tumany kurzu, aż w końcu zniknęła za wzgórzem. Kurz jeszcze przez chwilę wznosił się w gorącym powietrzu, potem zaczął powoli opadać.

Co za nieznośna sytuacja - groźby, ochroniarze. A od chwili kiedy ogłosiła, że przyjęła stanowisko prezesa fundacji, minęło zaledwie kilka dni.

Więc co będzie za tydzień? Za miesiąc?

## Rozdział 8

Nick poświęcił przerwę na lunch w ostatnim dniu przed urlopem na wizytę w redakcji „Star Gazera”. Jak na taki brukowiec tygodnik wyraźnie nieźle sobie radził. Może nawet lepiej niż nieźle, gdyż miał siedzibę w Rockefeller Center.

Dobry adres, biura jednak wyglądały tak, jakby nigdy nie widziały odkurzacza. Na wszystkich biurkach i półkach piętrzyły się stosy papierów, popielniczki były pełne niedopałków, a meble sprawiały takie wrażenie, jakby zostały kupione jeszcze w latach pięćdziesiątych, i to w sklepie ze starzyzną.

Nie było recepcjonistki. Gość, taki jak Nick, albo wiedział, dokąd zmierza i kogo chce odszukać, albo był skazany sam na siebie. Jego los nikogo nie interesował.

Nick bywał tu już wcześniej po odbiór czeków, choć zazwyczaj wolał otrzymywać je pocztą. Tym razem jednak postanowił odebrać należność osobiście. Nigdy nic nie wiadomo, może jednak wynajmie domek nad morzem i spędzi tam samotnie kilka dni. W końcu co innego miał do roboty?

Kilku dziennikarzy gadało przez telefon, kilku innych siedziało przed monitorami komputerów, zawzięcie stukając w klawisze. Jeszcze inni

pochylali się nad przepelnionymi szufladami biurka.

- Cześć - powiedział Nick, nie zwracając się do nikogo w szczególności. - Zastałem Berna?

Bern Radowski był naczelnym redaktorem. Jeden z dziennikarzy wyprostował się i oparł o szafkę.

- A kto pyta?

- Nick Sinestra. Bern jest u siebie? - spytał, wskazując zamknięte drzwi po drugiej stronie zatłoczonego pokoju.

- Sinestra. - Dziennikarz podrapał się po głowie. - A, no tak, policjant. Jasne, Bern siedzi w swojej norze. - Potem otworzył segregator i podsunął mu pod nos. - I jak ci się to podoba? Naszym zdaniem dobrze się sprzeda.

Nick podszedł bliżej, przekrzywił głowę i uśmiechnął się lekko.

- Co ile lat zamieszczacie te same zdjęcia? Trzy, cztery?

- Nie, mniej więcej co pięć, ale kto by to liczył?

Zdjęcie wydało się Nickowi groteskowo znajome - ciało świni z głową młodego mężczyzny. Natychmiast przypomniał sobie wielki nagłówek sprzed kilku lat: ZDUMIEWAJĄCA KRZYŻÓWKA CZŁOWIEKA Z PRZYBYSZEM Z KOSMOSU.

- Ludzie, skąd wy bierzecie te śmieci?

- A, to przysłał nam pewien farmer z Florydy. Przysięgał, że sam zrobił to zdjęcie. Złożył oświadczenie na piśmie. Człowieku, mamy sztab prawników, którzy pilnują takich spraw. Nie martw się, Sinestra, wszyst-

ko, co drukujemy, to szczerą prawdą. - Dziennikarz uśmiechnął się drwiąco.

Nick zapukał do drzwi Berna i wszedł. Naczelnny siedział za biurkiem.

- Cześć - odezwał się Nick.

- Nick, czemuż to zawdzięczam tę niezwykłą przyjemność?

- Byłem właśnie w okolicy i pomyślałem sobie, że wstąpię i wezmę czekoladki za parę ostatnich zleceń.

- No tak, Tommy Boy i Portia Wells. Dobra robota. Ludzie ciągle interesują się jej staruszką. Nie mogę uwierzyć, że Judith Carr od tylu lat mieszkała tuż pod naszym nosem. Kto by pomyślał?

- Taa, kto.

- Przykro mi, że nasz człowiek przycisnął ją trochę za mocno.

- Hm - mruknął Nick. Nagle przed oczami stanął mu profil Portii Wells, tak, jak go widział, kiedy siedziała obok niego w samochodzie. Śliczny profil. Biała, łabędzia szyja. Nagle zaczęły palić go policzki, odruchowo rozluźnił krawat i usiadł.

- Czasami chłopcy stają się trochę nadgorliwi, zwłaszcza kiedy szykuje się gorąca historia.

- Jasne - powiedział Nick. - W końcu nie możecie co tydzień pisać o porwaniach przez UFO.

- No, mamy też sporo naprawdę dobrych tematów. W końcu umieściliśmy wywiad z ochroniarzem lady Diany, no nie?



- Skoro tak mówisz.

- Tak mówię.

- Zakładam, że wasz fotograf zrobił zdjęcia Tommy'ego Boya i tej laski?

- Tak. Doskonałe fotki, tak przy okazji. Chcesz zobaczyć?

- Daruję sobie.

- Jak sobie życzysz. W każdym razie dobra robota.

- Cała przyjemność po mojej stronie.

Redaktor wstał.

- Poszukam Marthy i zobaczę, czy może wypisać ten czek. Zajmie to jakieś dziesięć minut.

- Zaczekam.

Kiedy Bern wyszedł, Nick rozejrzał się po biurze. Był to niewielki pokój z oknem wychodzącym na patio. Jedna ze ścian była od podłogi po sufit pokryta pierwszymi stronami „Star Gazera”, od pierwszych wydań po dzień dzisiejszy. Nick nigdy w życiu nie widział niczego bardziej zdumiewającego. Były tam zdjęcia Charlesa Mansona i jedno Jeffreya Dahmera, na tle lodówki, w której przechowywał części ciał swoich ofiar. Mnóstwo ujęć Oprah, Liz Taylor, Madonny, Britney Spears i Jennifer Lopez. Dziesiątki fotografii lady Diany. A także latające spodki i istoty pozaziemskie, podobne do tych z *Bliskich spotkań trzeciego stopnia*. Były najgrubsza kobieta na świecie, i najchudsza. Był pół człowiek, pół ogórek, pod nagłówkiem FARMER ODNALEZIONY NA POLU

NADAL ŻYJE. Były Portia i Judith – tuż za biurkiem Berna po prawej stronie.

Jezu, pomyślał Nick. Zaraz potem wrócił Bern i najwyraźniej zauważył spojrzenie Nicka, bo powiedział:

- Tak, ten numer miał rekordową sprzedaż. Judith Carr wzbudziła oczywiście spore zainteresowanie, ale to Portia jest teraz na świeczniku. Słyszałeś najnowsze wieści?

- Nie.

- Zgodziła się przyjąć stanowisko prezesa Fundacji Ochrony Przyrody.

- Hmm.

- Tak. Po tej historii o pojednaniu z matką, no i biorąc pod uwagę fakt, że jej mąż zmarł rok temu, to gorący temat.

- Wyssiesz z tego, co się da - mruknął Nick.

- Jasne. - Bern podniósł telefon i nacisnął jakiś guzik. - Martha już wróciła? Dobra, więc jak tylko się pokaże... - Spojrzał na Nicka i przewrócił oczami. - Powiedz jej, że czekam na czek. - Rozłączył się. - Przepraszam, powinna być za kilka minut.

- Hm.

- Powiedz, Sinestra. - Bern pogładził się po swojej siwej bródce. - Nie masz jakiegoś kontaktu w Kolorado? Kogoś, kto mógłby pokreć się koło Portii Wells przez kilka tygodni?

Nick pokręcił głową.

- Przykro mi.

- Cóż, trudno. Szkoda, że ty nie możesz się tego podjąć. Ta kobieta to teraz gorące nazwisko i zapłaciłbym nawet kilka patyków za dobre informacje.

Kilka patyków... Nick doszedł do wniosku, że mógłby wydusić z tego osiem albo nawet dziesięć tysięcy i w jego głowie zapaliła się przysłowiowa żaróweczka.

- Mógłbym się nad tym zastanowić - powiedział, wzruszając ramionami. - Ale to by cię kosztowało dziesięć patyków.

- Zrobisz to?

- Jasne. Od jutra mam urlop. - Nick znowu wzruszył ramionami.

- No, no, no. To chyba mój szczęśliwy dzień. Powiem ci coś, dziesięć nie przejdzie, ale mogę dać ci sześć.

- Przykro mi, ale albo dziesięć, albo nic z tego.

Zadzwoił telefon, Bern odebrał. Była to najwyraźniej Martha, szafarka czeków.

- Zaczekaj, Martho. - Bern zakrył słuchawkę dłonią, - Dobra, osiem, dam ci osiem tysięcy.

Nick pokręcił głową z uśmiechem.

Bern patrzył na niego przez chwilę, potem mruknął „cholera” i zdjął dłoń ze słuchawki.

- Tak, słuchaj, dodaj jeszcze piątaka do tego czeku. Tak, pięć tysięcy. Tak, i przynieś tu czek. - Odłożył słuchawkę.

- Pięć? - spytał Nick.

- Teraz pięć, a drugie, kiedy dostanę coś o tej Wells.

Nick kiwnął głową.

- I lepiej, żeby to był naprawdę wystrzałowy materiał, Sinestra. Jezu, dziesięć tysięcy?

Z cukiem w kieszeni Nick szedł przez miasto, a uśmiech nie zniknął mu z twarzy. Nawet wtedy, kiedy wyszedł ze stacji metra na upalną, ulicę. W porządku, pomyślał, w Kolorado pewnie też jest tak gorąco, ale powinno być przynajmniej bardziej sucho.

Tego samego popołudnia posprzątał swoje biurko, jak umiał najlepiej i wyszedł z pracy wraz z Gilem.

- No, to co masz zamiar zrobić z całym miesiącem wolnego? - spytał Gil.

- Myślałem o podróży. Prawdziwej podróży. Sprawdzalem już ceny biletów lotniczych na priceline.com.

- Poważnie?

- Tak.

- Stary już się szykuje, żeby i mnie wysłać na urlop - powiedział Gil.

- Powinieneś odpocząć, chłopie. Świat się bez nas nie zawali, a tymczasem, odpukać, niewiele się tu dzieje.

- Za gorąco, by popełniać przestępstwa.

- Zazwyczaj jest dokładnie odwrotnie.

- Zazwyczaj upały nie utrzymują się tak długo. Ale Doug oczywiście zdążył wpakować się w gówno. Jestem twoim dłużnikiem, Nick, naprawdę. To, co zrobiłeś dla mnie i mojego syna...

- Daj spokój.

- Wiesz sam.

- Wprawiasz mnie w zakłopotanie. Wiesz, że nie znoszę podziękowań?

- Aha.

Kiedy wchodzili do metra, Nick wrzucił kilka drobniaków do puszeki jakiejś żebraczki.

- Kupi za to wódę albo narkotyki - zauważył Gil.

- Tak, ale jakoś nie umiem koło nich przechodzić obojętnie.

- Ty naprawdę jesteś dętym frajerem.

- Winny - odparł Nick.

Wkrótce znowu okazał się frajerem, bo jakimś sposobem zawędrował pod salon Mii. Cóż, do diabła, pierwszy wieczór urlopu, a zaraz potem wyjedzie do Kolorado.

Mia stała przy kontuarze.

- Cześć - powiedział.

- O, Nick. Cześć. - Wręczyła jakiejś kobiecie resztę, a potem przyjęła napiwek.

- Pomyślałem sobie - zaczął - że może miałabyś ochotę wyjść gdzieś dzisiaj z dziewczynkami?

- Cóż...

- Och, daj spokój, zrób sobie wolny wieczór. Może poszlibyśmy do zoo? Mówiłaś, że dziewczynki nigdy tam nie były, a zamykają dopiero o dziewiątej czy coś koło tego.

- Hm...

- Posłuchaj, wyjeżdżam na kilka tygodni i chciałbym spędzić z tobą ten wieczór. Rozumiesz.

- A gdzie się wybierasz? Nad morze?

Pokręcił głową.

- Chodźmy gdzieś dzisiaj, a wszystko ci opowiem.

- Brzmi interesująco.

- Cóż, nie dowiesz się, jeśli nie pójdziemy do zoo.

Wieczór był udany. Dziewczynkom bardzo spodobało się zoo, Mii zresztą także. Nick mógłby żyć, nie poznawszy takiego smrodu ani tylu odmian zwierzęcych odchodów. Jakoś jednak przez to przebrnął, a kiedy po wyprawie znalazł się u Mii, był zadowolony, że wpadł na ten pomysł. Poprzedniego wieczoru, kiedy zaproponował jej wspólny wyjazd nad morze, zaskoczyła go odmową, a przede wszystkim upokorzyła, ale dzisiaj było naprawdę miło.

Dziewczynki poszły oglądać telewizję, a Nick i Mia usiedli z piwem w salonie.

- Co właściwie miałaś na myśli, kiedy powiedziałaś mi, że chcesz, żeby było jak dotąd, bez zobowiązań i tak dalej?

- Nie złość się, Nick, ja tylko...

- Nie złoszczę się.

- To dobrze - powiedziała z powątpiewaniem. - Chciałam tylko powiedzieć, że dobrze nam się układa, więc po co coś zmieniać?

- Seks też jest udany.

Uśmiechnęła się.

- Tak, to też. Ale ja nie szukam niczego na stałe, rozumiesz?

- Wyjazd nad morze to chyba nie to samo, co ślub.

- Wiem. Przykro mi, że tak ci odpowiedziałam. Już dobrze?

- Jasne. - Nick upił łyk piwa i wzruszył ramionami.

- Więc gdzie się wybierasz? Obiecałeś, że mi powiesz.

- No tak. Do Kolorado.

- Kolorado? Na Zachód?

- Tak.

- Ale po co...? - Urwała i wyprostowała się gwałtownie. - Och, wiem, Portia Wells ma ranczo w Kolorado i „Star Gazer” ci za to zapłaci.

Spojrzał na nią niewinnie.

- Tak jest, prawda? Mam rację? - Żartobliwie trąciła go łokciem.

- Au. Słuchaj, to ty powinnaś być detektywem.

- Praca w salonie jest bardziej opłacalna. Ale powiedz mi, jak chcesz ją śledzić na ranczu? Będziesz się krył za krowami czy jak?

- Ha, ha.

- No więc?

- Nie wiem. Wymyślę coś, jak już tam będę.

Mia spoważniała.

- Myślisz, że poznasz ją osobiście?

- Wątpię.

- Ale to możliwe.

- Możliwe, tak. Ale wtedy diabli wzięliby zlecenie, prawda?

Mia niecierpliwie machnęła ręką.

- Gdybyś ją poznał, gdyby tak wyszło... zainteresowałbyś się nią?

Wiesz, jako kobietą? Ona jest taka piękna. Wdowa i ważna osobistość, i w ogóle.

- Rany, co to za pytanie? - Postarał się, aby w jego głosie zabrzmiał ton urażonej godności.

- Szczere. Powiedz, nie miałbyś na nią ochoty? Nie chciałbyś się z nią przespać?

Nick postawił butelkę na stoliku.

- Jezu, Mia, masz jakąś obsesję na punkcie Portii Wells. A ona jest tylko lalunią, która ma sławną matkę, i wcale nie jest taka znowu piękna.

- Nie odpowiedziałeś na moje pytanie.

- Oczywiście, że bym się z nią nie przespał - odparł.

- Naprawdę? - mruknęła Mia.

- Poza tym ona nie może się dowiedzieć, że tam będę. - Nick podniósł piwo do ust. W głębi ducha wiedział jednak, że gdyby tylko los dał mu szansę, natychmiast poszedłby do łóżka z Portią Wells.



## Rozdział 9

Wczesnym popołudniem Nick wynajął toyotę camry na lotnisku w Denver i ruszył do miasta. Radio podało, że do siedemnastej temperatura będzie wyższa niż kiedykolwiek w ciągu ostatnich stu dziesięciu lat, ale upał na razie nie dokuczał. Pewnie dlatego, że powietrze było tu bardziej suche.

Miasto wyrastało wprost z równiny, a za nim, na horyzoncie, wznosiły się ostre szczyty Rocky Mountains. Mimo zblazowania typowego dla mieszkańców Nowego Jorku musiał przyznać, że widok był wspaniały.

Wiele lat temu był w Nowym Orleanie na rozgrywkach Super Pucharu. Pojechał też kiedyś z Gwen do Maine i Montrealu, a potem do Chicago i dalej do Saint Louis. Ale na tym kończyła się jego znajomość zachodniej części kraju. W przeciwieństwie do nieustraszonych handlarzy futrami, którzy wyruszyli na podbój tych terenów kilkaset lat temu, brakowało mu awanturycznej żyłki. Jeśli chodzi o Pacyfik i Kalifornię, cóż, Kalifornijczycy, których miał okazję spotkać, byli zbyt flegmatyczni jak na jego gust. I poruszali się tak wolno. Boże, nigdy nie widział, żeby ktoś tak wolno chodził.

Bez trudu znalazł drogę do miasta. Do diabła, centrum było

doskonale widoczne z autostrady, a drogi - świetnie oznakowane. Tylko hotele, które mijał po drodze, wydawały mu się zbyt drogie, skręcił więc w Colfax Avenue, minął budynek Kapitolu ze złotą kopułą i po chwili, tak jak się spodziewał, trafił w bardziej zaniedbane okolice. Znajdowały się tu sklepy ze starzyzną, antykwariaty, sex shopy, liczne sklepy monopolowe, zapuszczone hoteliki. Kilka prostytutek stało przed wejściem do zadymionej knajpy. King Motel. Tak, tu będzie się czuł jak u siebie.

Wynajął pokój na drugim piętrze. Zawsze tak robił, w przekonaniu, że złodzieje najpierw zainteresują się pokojami położonymi na niższych kondygnacjach. Potem przez chwilę studiował plan miasta i okolic, który znalazł w książce telefonicznej. Znalazł Colt na południe od Denver, przy autostradzie numer 25, zaraz za Castle Rock. No tak, Castle Rock, przypomniał sobie, że odbywają się tam co roku zawody golfowe. Potem pojechał do centrum. Mijał przyjemne dzielnice pełne sklepów, restauracji i obiektów sportowych: Invesco Mile High Stadium, Pepsi Center, Coors Field. Bliżej był Larimer Square (bardzo trendy) i LoDo, a tuż przy Coors Field - szeregi restauracji, barów i nowoczesnych domów, których mieszkańcy, zazwyczaj młodzi, wyprowadzali na spacer swoje wielkie kudłate psy.

Wszyscy w Denver, poza biznesmenami, mieli na sobie swobodne sportowe ubrania. Nick miał wrażenie, że jest przesadnie wystrojony w swoich spodniach koloru khaki i białej koszuli z poliestru. Będzie musiał

pomyśleć o zakupach. Jezu.

Kiedy wyjechał z miasta na autostradę, była już prawie trzecia po południu. Zaraz potem utknął w potężnym korku, spowodowanym przebudową drogi. Mimo to za dwadzieścia czwarta minął Castle Rock i wkrótce potem zjechał z autostrady do Colt.

Jak dotąd nie udało mu się zabłądzić. W Kolorado nie było wielu dróg, zwłaszcza głównych. Czuł się jak kowboj z filmu, sam pośrodku tej głuszy. Zatrzymał się przed skrzyżowaniem. Ani za nim, ani przed nim nie było nikogo. W zasięgu wzroku nie rosło ani jedno drzewo. Tylko wiatr wzniecał tumany kurzu na pustej drodze. Nick nie miał pojęcia, czy powinien skręcić w prawo, czy w lewo. W końcu zdecydował, że jednak w prawo, bo dostrzegł mały czarno-biały znak z napisem **COLT - 8 KM**. Portia mieszkała nieco dalej. Nick przypomniał sobie jej adres - droga numer 187, zapewne jakiś wiejski trakt, zapomniany przez Boga i ludzi.

Po drodze minął tylko dwa rancza. Poza tym było tu płasko, pusto i sucho. Gdyby nie kilka krów, mogłoby mu się wydawać, że wylądował na powierzchni jakiejś obcej planety.

W końcu znalazł się w Colt. **LUDNOŚĆ - 253**, **WYSOKOŚĆ N.P.M. - 1748 M**. Owszem, było tu sucho, tak sucho, że już kilometr za East River nie miał czym oddychać.

Zapytał o drogę na jedynej stacji benzynowej w mieście. Trzy przecznice dalej skręcił i wyjechał z miasteczka, zaopatrzony w butelkę

coli. Szybko doszedł jednak do wniosku, że powinien był kupić jedną z tych wielkich butli z wodą mineralną. Cóż, może na następnej stacji. Jeśli będzie następna stacja.

Nie było. Znalazł jednak drogę numer 187 i skręcił w lewo. Po prawej znajdowały się tylko pastwiska. Wiedział o tym, bo przy drodze stał znak z napisem otwarte pastwiska i rysunkiem krowy.

Wkrótce pojawiły się ciągnące się całymi kilometrami ogrodzenia. Za nimi pasło się bydło, choć równie dobrze mogły to być samy albo losie - z tej odległości nie był w stanie rozpoznać zwierząt. Na polach suszyło się świeżo zżęte siano. Co do tego nie miał żadnych wątpliwości. W końcu w oddali dostrzegł położony na wzgórzu dom - białą wiktoriańską budowlę ocienioną starymi drzewami. Ranczo Portii?

Kilka minut później minął bramę wjazdową z napisem **W**ELLSPRING **R**ANCH. Zapyłona wiejska droga prowadziła prosto do białego domu.

Tak, ranczo Portii. W porządku.

Tak intensywnie wpatrywał się w budynek, wykręcając szyję, że niewiele brakowało, a wjechałby w niebieską furgonetkę, która stała pod wzniesieniem. Skręcił gwałtownie, zahamował i zatrzymał się kilka metrów za furgonetką.

- Co jest, do diabła? - mruknął. Furgonetka natychmiast wydała mu się podejrzana. Może była zepsuta, ale kierowca, zamiast grzebać pod maską, siedział w kabinie. Miał bardzo grubą szyję.

Nick wysiadł z samochodu, przeciągnął się i podszedł powoli do

furgonetki.

- Witam - powiedział z uśmiechem. - Jest pan stąd? Chyba się zgubiłem.

Mężczyzna spojrział na niego i wystawił łokieć za okno. Jego koszula była mokra od potu, musiał więc siedzieć tu już od dawna - silnik był wyłączony, a co za tym idzie, także klimatyzacja.

- Tak? A gdzie się pan wybiera?

Co jak co, ale kłamać to Nick potrafił.

- Do miasteczka, które nazywa się Colt.

- To w przeciwną stronę. Musi pan wrócić do głównej drogi i skrócić w prawo. Będzie jakieś osiem, może dziewięć kilometrów.

- To naprawdę niesamowite - powiedział Nick.

- Co?

- No, to musi być mój szczęśliwy dzień. Że też natknąłem się na pana na tym pustkowiu.

- Prawdziwy cud - mruknął mężczyzna, ale wyraz jego twarzy mówił: „Odwal się, frajerze”.

Nick uśmiechnął się i wzruszył ramionami. Wsiadł do samochodu, zawrócił i pomachał do nieznanego, odjeżdżając. Domyślił się już, że to jakiś ochroniarz. Ma na oku ranczo albo Portię, bo w zasięgu wzroku nie było żadnych innych zabudowań. Gdyby ten facet obserwował ranczo z jakichś innych powodów, starałby się mniej rzucać w oczy. Tak, to musi być ochroniarz. Dlaczego jednak siedział tu, na otwartej

przestrzeni, pozostawało tajemnicą. Może pracuje dla jednej z tych kiepskich agencji. Nick widywał wielu takich w swoim czasie.

Wrócił do Colt, cały czas się nad tym zastanawiając. Może przypadkiem trafił na coś interesującego. Może jednak nie okłamał tego faceta i to naprawdę jest jego szczęśliwy dzień.

W Colt były trzy ulice na krzyż, stacja benzynowa, kilka sklepów żelaznych, jeden rolniczy z napisem pasze, kafejka na rogu, krawiec, bar, restauracja w kowbojskim stylu o nazwie Toro i budynek urzędu hrabstwa z przybudówką, w której mieścił się mały komisariat. Jeśli w Wellspring Ranch pojawiły się jakieś problemy, szeryf albo jego zastępca na pewno o tym wiedzieli.

Nick zaparkował przy głównej ulicy, wyszedł z samochodu na niemiłosiernie prażące słońce i wszedł do przybudówki. Wiedział, jak podejść policjanta, ale szeryfa z małego zachodniego miasteczka? To mogło być zupełnie nowe doświadczenie.

Policjant na służbie, który siedział przy telefonie, powiedział mu, gdzie znajdzie Caba.

- Caba?

- Caba Whitefeathera, szeryfa. Będzie w barze. Dwie ulice dalej. Szybko tam pan trafi.

Nick wszedł do klimatyzowanego wnętrza baru, nie mając pojęcia, czego się spodziewać. Whitefeather pewnie jest rdzennym mieszkańcem

Ameryki. Cholera, pełno tu było cholernych kowbojów i Indian. Natychmiast dostrzegł Caba. Siedział przy barze, ciągle w mundurze. Na stolku obok leżał jego biały stetson. Pił colę. Albo whisky w bardzo długiej szklance.

Poza nim w barze było jeszcze paru mężczyzn. Typowi ranczerzy, w roboczych drelichach i brudnych czapczkach bejsbolowych. Popijali piwo na końcu sali. Kilku młodych chłopców grało w bilard obok drzwi do toalety. Za barem stała kobieta, widać, że swój fach miała w małym palcu. Kiedy Nick usiadł obok Whitefeathera, zręcznie umieściła przed nim podstawkę i spytała:

- Czym się dziś trujemy?

- Piwem. Co macie?

Wybrał Coors. Kiedyś, w Rzymie...

Nie tracąc czasu, napił się piwa i odwrócił się do Whitefeathera.

- Pan tu jest szeryfem? - spytał przyjaźnie.

- A kto pyta? Nie jest pan tutejszy.

- Nazywam się Sinestra. Nick Sinestra. Z Nowego Jorku.

- Zgubił się pan?

- Niezupełnie. - Nick się roześmiał. A teraz trochę kłamstewek. -

Przechodzę niedługo na emeryturę i szukam jakiegoś miłego, cichego miejsca.

- Z Nowego Jorku, co? To może spróbuje pan w którejś z Karolin.

Nick znowu się roześmiał. Podobał mu się ten Whitefeather.

- Pomyślałem sobie, że spróbuję na Zachodzie.
- Rzucił pan strzałką w mapę i trafił w Colt?
- Coś w tym rodzaju.

Whitefeather chrząknął. Mógł mieć jakieś sześćdziesiąt lat, choć jego twarz była tak zniszczona, że trudno było określić jego wiek. Twarz, ręce, przedramiona. Brązowa, pomarszczona skóra kontrastowała z białą włosów, dość długich i związanych w kucyk. Miał duży, haczykowany nos, szerokie usta i przenikliwe czarne oczy.

Whitefeather zamówił drugą colę.

- Przechodzi pan na emeryturę? A czym się pan zajmował? - zapytał.
- Pracowałem w nowojorskiej policji.

Whitefeather wyprostował się z zainteresowaniem.

- Poważnie? Jest pan gliną?
- Tak, dokładnie detektywem.

- No, no, coś takiego. Miło mi cię poznać, Nick - powiedział i wyciągnął rękę. Miał żelazny uścisk.

Po chwili rozmawiali jak starzy przyjaciele. Nick odpowiedział na dziesiątki pytań: o pracę w Nowym Jorku, gdzie był tego ranka (w Denver u prawnika Gwen), jakie są statystyki przestępstw w Greenwich Village i tak dalej.

Cab Whitefeather był wyraźnie pod wrażeniem kolegi po fachu z wielkiego miasta i jego anegdot. Nick naprawdę polubił Indianina, który okazał się pogodny i rozmowny. Jeszcze jedno piwo i męska przyjaźń



została ugruntowana.

- Do diabła, jestem tylko starym prowincjonalnym gliną - powiedział Whitefeather. - Żona zmarła, wnuki doprowadzają mnie do szału, więc siedzę sobie tutaj albo gapię się w pudło, chyba że wybuchnie pożar albo dwóch ranczerów weźmie się za łby. Przeważnie jest tu dość nudno.

Nick kiwnął głową i uśmiechnął się, a potem nagle pstryknął palcami, jakby coś mu się przypomniało.

- Zaraz, zaraz, czy to nie tu mieszkał ten facet z Fundacji Ochrony Przyrody? Ten, który zginął niedawno w wypadku samochodowym? Wszystkie gazety o tym pisały. Jak on się nazywał?

- Wells, Gary Wells.

- Właśnie, Wells. Czy on się przypadkiem nie ożenił z jakąś znaną kobietą?

- Z Portią. Tak.

- Tak, córką...

- Judith Carr.

- No właśnie, to ta aktorka.

- Tak, wielka gwiazda - zgodził się Whitefeather. - Podkochiwałem się w niej kiedyś.

- Nie mów.

- O tak. Zagrała w jednym filmie z Johnem Waynem; bronił tam Indian. Wtedy się w niej zakochałem.

Przez chwilę Nick nie wiedział, co powiedzieć, ale zorientował się,

że Cab się z niego nabija.

- Dałem się nabrać.

- Na to wygląda.

Nick zachichotał.

- Portia Wells nadal tu mieszka? - spytał, czując, że szeryf jest w nastroju do zwierzeń.

Whitefeather kiwnął głową.

- Tak, ma ranczo kilka kilometrów stąd.

- Naprawdę? Widujesz ją?

- Prawdę mówiąc, ale niech to zostanie między nami, była niedawno u mnie i skarżyła się, że jacyś ludzie grozili jej w miasteczku pod sklepem rolniczym.

- Poważnie?

Whitefeather przysunął się bliżej.

- Portia wbiła sobie do głowy, że jej mąż nie zginął w wypadku, jeśli wiesz, o co mi chodzi.

- Coś podobnego.

- Tak. Od ubiegłej jesieni ciągle napomyka o tym, że to ten deweloper od pól golfowych przyczynił się do śmierci Gary'ego.

- Niemożliwe.

- Przysięgam na Boga. Siedziała naprzeciw mnie i twierdziła, że faceci, którzy jej grozili, powiedzieli, że jeśli będzie wchodziła mu w drogę, spotka ją to samo, co jej męża.

- No, no.

Fundacja Ochrony Przyrody, pomyślał Nick. Portia przyjęła stanowisko prezesa i komuś się to nie spodobało.

Jezu, o czym on myśli? Najwyraźniej Cab Whitefeather uważa, że Portia nie ma racji, a on już wymyśla scenariusz morderstwa. Cóż, Portia w to wierzy. No i wyjaśnia to obecność niebieskiej furgonetki na jej ranczu. Ochrona.

- Tak - mówił Whitefeather. - Bardzo jej współczuję, ale nawet jeśli ta historia jest prawdziwa, niewiele mogę zrobić. Mam tylko sześciu ludzi, z czego trzech pracuje na pół etatu. Do tego co drugi tydzień wybucha tu jakiś pożar. Trzeba stawiać blokady, ewakuować ludzi i udzielać wsparcia strażakom. Mamy pełne ręce roboty. Poradziłem jej, żeby poszukała profesjonalnej pomocy.

- Ochrony?

- Czegoś w tym rodzaju.

Nick słuchał z niedowierzaniem. W „Star Gazerze” będą zachwyceni.

- Cóż - ciągnął Whitefeather. - Nie widziałem nic podejrzanego w śmierci Gary’ego. Byłem na miejscu wypadku, samochód spadł ze skarpy na zakręcie. To bardzo ostry zakręt. Może Gary chciał uniknąć zderzenia z samą albo niedźwiedziem. - Cab zmrużył jedno oko. - Wiem tylko, że Portia jest innego zdania.

- Ale historia - mruknął Nick. - Domyślam się, że znałeś Gary’ego Wellsa?

- Od dziecka. Jego i jego brata Randy'ego. Gary był przystojniejszy i zawsze miał więcej oleju w głowie. W szkole miał same piątki, grał w piłkę nożną i dziewczęta za nim szalały. Ożenił się później ze swoją dziewczyną ze szkoły średniej.

- Naprawdę?

- Tak, była jego pierwszą żoną. Zdradzał ją na prawo i lewo. Przypominał trochę Billa Clintona. Bardzo podobał się kobietom.

- Więc Portia była jego drugą żoną?

- Tak. Poznał ją jakieś dziesięć czy jedenaście lat temu. I był w niej naprawdę bardzo zakochany. Wszyscy to widzieli.

- Hm. Więc jej nie zdradzał?

- Tego nie powiedziałem. Miewał skoki w bok. To po prostu leżało w jego naturze. Poza tym Portia dwa... nie, trzy razy poroniła. - Whitefeather wzruszył ramionami. - Tak czy inaczej, biedna dziewczyna przeszła w życiu niejedno. Dlatego wolałbym, żeby w tej jej historii o pogroźkach nie było ani źdźbła prawdy.

- Rzeczywiście - mruknął Nick poważnie.

- Tak. W dodatku czuje się taka osamotniona na ranczu.

- Mieszka tam całkiem sama?

- Nie, Randy i jego żona mają dom tuż obok. Są właścicielami połowy majątku. A z nią mieszka Todd.

- Todd?

- Syn Gary'ego z pierwszego małżeństwa. Ma piętnaście lat i nie

dogaduje się z ojczymem, więc po śmierci Gary'ego Portia się nim zaopiekowała.

Nick kiwnął głową. Chryste, pomyślał.

- A z ranczem ma kłopoty. To, co zwykle. Wszyscy ranczerzy borykają się z problemami. Susza, kiepskie zbiory, drogie pasze i siano. Muszą sprzedawać bydło za grosze. Jest naprawdę źle. Portia nie narzeka, ale wiem, że też słabo przedzie, bo wszyscy tu jedziemy na jednym wózku. Pożyczki, spłaty, brak pieniędzy. Błędne koło.

- A ja myślałem, że wszyscy ranczerzy są bogaci.

- Ha!

Kiedy opuścił Colt i ruszył do Denver, było już późno. Wypił niewiele, więc mógł prowadzić, ale cały czas rozmyślał o tym, czego dowiedział się od szeryfa. O tym, że Gary zdradzał Portię i że trzy razy poroniła. Najwyraźniej miała już dość problemów. A jednak była pogodna i pełna wdzięku na tamtym bankiecie. I taka miła, kiedy jechała z nim samochodem. Mimo że bardzo się starał, nie potrafił zagłuszyć wyrzutów sumienia.

Dotarł do King Motel zmęczony i w kiepskim nastroju. W Denver była dziesiąta wieczorem, w Nowym Jorku - północ. Przyjechał do Kolorado przed dziewięcioma godzinami i już miał interesujące informacje dla „Star Gazera”. Mimo męczącej podróży samolotem powinien czuć się doskonale.

- Jasne - mruknął, wyciągając zawartość kieszeni. Położył wszystko

na nocnym stoliku, łącznie z rewolwerem, jak zawsze, i przypomniał sobie, że nie przyjechał tu, by rozczulać się nad Portią. Do diabła z nią. To nie jego problem. Zaraz z rana znajdzie jakąś kafejkę internetową, poszuka informacji o Garym Wellsie i projektach, nad którymi pracował dla fundacji. W ten sposób pewnie szybko dowie się, jak nazywa się ten deweloper. W ramach bonusu dla „Star Gazera”. Miał ochotę zapytać o to Whitefeathera, ale nie chciał przeciągać struny. Przesadna ciekawość mogła go zgubić.

Położył się do łóżka, powtarzając sobie, że odwalił kawał dobrej roboty, niezależnie od tego, czy w tej historii dla „Star Gazera” jest żdźbło prawdy, czy nie. Zasłużył na te dziesięć tysięcy. O tak. Jeszcze kilka dni tu powęszy, a potem będzie mógł zrobić sobie wolne.

Rano rzeczywiście szybko odkrył nazwisko dewelopera - nazywał się Patrick Mahoney. Był już prawie gotów, by zadzwonić do gazety. Prawie.

Zjadł lunch w LoDo i dowiedział się, że tego wieczoru w Denver będą grać Yankees. Nastrój wyraźnie mu się poprawił. Barman z pubu przy restauracji miał jeszcze bilety. Nick kupił jeden. Postanowił pozwolić sobie na małą przyjemność.

Miał przed sobą całe popołudnie, wrócił więc do Colt. Przejechał szybko przez miasteczko, w nadziei, że Whitefeather nie zauważy jego samochodu. Zresztą, gdyby nawet go zobaczył, i tak pewnie uznałby, że

Nick kontynuuje poszukiwania miejsca, w którym mógłby osiąść, kiedy przejdzie na emeryturę. A poza tym, cóż go to mogło obchodzić?

Błękitna furgonetka stała ciągle przy wjeździe na Wellspring Ranch. Najlepsza ochrona, pomyślał, to ochrona, której nie widać. Tym ludziom najwyraźniej nikt tego nie powiedział.

Tego dnia w samochodzie siedział inny mężczyzna, starszy. Dłubał w nosie, kiedy Nick przejeżdżał obok niego po raz pierwszy. Nie zwrócił na niego najmniejszej uwagi, kiedy nadjechał z drugiej strony i znowu minął furgonetkę. A droga była zupełnie pusta. Na trzykilometrowym odcinku Nick widział tylko jeden samochód.

Miał ochotę jeszcze raz przejechać obok furgonetki, żeby przekonać się, czy nie wzbudzi to wreszcie zainteresowania ochroniarza, ale doszedł do wniosku, że nie chce marnować benzyny. Przyszło mu do głowy, że Portia płaci za tę ochronę, więc powinien chyba powiedzieć jej, jak kiepską wybrała sobie firmę - ale nie miał zamiaru się ujawniać. W końcu to nie jego sprawa.

Wracając do Colt, minął starą furgonetkę, w której siedzieli kobieta i nastoletni chłopak. To mogła być Portia - niestety, kobieta miała na głowie czapkę bejsbolową, a Nick nie potrafił sobie wyobrazić Portii w innym nakryciu głowy niż elegancki kapelusz z szerokim rondem, skrywającym w cieniu połowę jej uroczej twarzy. Jak na tych starych filmach...

W pokoju motelowym w końcu wziął do ręki telefon i zadzwonił do

„Star Gazera”. Tak jak przypuszczał, Bern był szczęśliwy jak świnia w gównie.

- Jej mąż został zamordowany i ten sam człowiek, ten Mahoney, teraz jej grozi? Rany, Nick, to kapitalne! Fantastyczne! Przyślę tam kogoś...

- Słuchaj, Bern - przerwał mu Nick. - To najprawdopodobniej tylko wybujała wyobraźnia Portii, a ja dowiedziałem się o tym z drugiej ręki, więc sam rozumiesz.

- I co mnie to obchodzi?

- Może powinno.

- Cóż to, skrupuły? O co ci chodzi, Sinestra?

- Posłuchaj, nie obchodzi mnie, co drukujecie w tym szmatławcu. Nigdy mnie to nie obchodziło. Ostrzegam cię tylko, że w tej historii zapewne nie ma ani źdźbła prawdy. I na twoim miejscu nie wymieniałbym nazwiska Mahoneya, dopóki nie miałbym pewności, że to rzeczywiście o niego chodzi. Ten facet jest tu dobrze znany. Ma kupę forsy i wpływowych przyjaciół.

- Dobra, dobra, już się przejąłem. Może zostaniesz tam dłużej i dowiesz się czegoś więcej?

- Dostałeś już za swoją kasę, co ci się należało.

- No tak, jasne, ale na pewno jeszcze niejedno można tam wygrzebać, a ja zawsze jestem otwarty na negocjacje.

Nick zastanawiał się nad tym przez chwilę.



- Skontaktuję się z tobą - powiedział w końcu i odłożył słuchawkę. Cholerny Bern nie znał litości.

Po czterech rozdaniach Yankees prowadzili jeden do trzech i mieli dwóch zawodników przy bazie. Wyglądało na to, że wygrają mecz.

Nick miał doskonałe miejsce, tuż obok bazy, a kelnerki przynosiły mu piwo i najlepsze przekąski, jakie kiedykolwiek jadł na meczu.

Wieczór był piękny, bardzo ciepły, lecz nie gorący. Zachodzące słońce barwiło niebo nad górami różem i fioletem, a powietrze - zwłaszcza w porównaniu z nowojorskim - wydawało się czyste i balsamiczne. Nawet widać było gwiazdy. Gwiazdy! Wmieście!

Yankees przegrali dwie kolejne rundy, ale potem znowu zdobyli punkt. Stadion był pełny, co zdziwiło Nicka. Pod koniec sezonu w Nowym Jorku na mecze w środku tygodnia przychodziło trzy, cztery tysiące kibiców. Ale ten stadion miał co najmniej trzydzieści tysięcy miejsc i wszystkie były zajęte, choć Rockies od połowy sezonu zajmowali ostatnie miejsce.

Powinien cieszyć się ze zwycięstwa swojej drużyny, ale zamiast tego czuł się dziwnie przygnębiony i nie potrafił przestać myśleć o reporterze ze „Star Gazera”, który był już zapewne w drodze na Zachód. I o tym, że komplikuje i tak już zagmatwane życie Portii Wells. I bez tego miała dość problemów. Trzy poronienia. Jak w ogóle można znieść tyle bólu? A jeśli Whitefeather mówił prawdę, mąż za życia ją zdradzał. Czy wiedziała o tym?

Wyszedł ze stadionu podczas siódmej rundy. Samochód zostawił pod motelem. Poszedł więc pieszo na Black Street, gdzie złapał autobus. Wsiadł na Sixteenth Street Mali. Miał stąd jeszcze spory kawałek do motelu. Jakby pozostało mu coś lepszego do roboty, pomyślał, wkładając ręce do kieszeni. Do diabła, oczywiście, że był przygnębiony i znudzony. W tej chwili nie miał nawet nikogo innego, komu mógłby zapaprać życie.

Skręcił w Colfax Avenue i ruszył w stronę Capitol Building. Trzy poronienia, myślał. Jezu.

## Rozdział 10

Todd dostał właśnie jednego ze swoich nastoletnich napadów wściekłości, kiedy zadzwonił telefon. Portia chwyciła aparat i wcisnęła odpowiedni guzik. Usłyszała jeszcze, jak drzwi sypialni Todda na górze zatrząskują się z hukiem.

- Słucham? - powiedziała.

Dzwonił dziennikarz z jakiegoś magazynu o tematyce przyrodniczej, o którym nigdy nie słyszała.

- „Earthguard” - powiedział. - Mieścimy się w Phoenix. Dziś po południu wybieram się na spotkanie do Denver. Miałem nadzieję, że zgodzi się pani na krótki wywiad.

- Eee... przepraszam, jak się pan nazywa? Chyba nie...

- Dave Donaldson, pracuję dla „Earthguard”.

„Earthguard”. Oczywiście, że słyszała o „Earthguard”, ale...

- Jestem teraz bardzo zajęta - zaczęła, ale zaraz przypomniała sobie, że pracując w fundacji, będzie musiała udzielać dziesiątek nieplanowanych wywiadów dla dziesiątek niewielkich grup środowiskowych, wydających swoje gazetki, biuletyny i inne periodyki. Udzielanie wywiadów należy do jej obowiązków, jest częścią jej pracy.

Dziennikarz opowiadał jej teraz o artykule, który zamierzał napisać.

- Z uwagi na suszę i pożary na całym Zachodzie chcielibyśmy przedstawić sylwetki kilku ranczerów w Kolorado i poruszyć kwestię problemów, z jakimi się borykają. Mógłbym przyjechać do pani na ranczo. Proszę tylko wyznaczyć termin.

Był uparty. Portia zamknęła oczy, położyła rękę na czole i zaczęła myśleć o tym, co jeszcze ma tego dnia do zrobienia.

- Mogłabym się z panem spotkać o czwartej po południu.

- Doskonale. Jestem pani naprawdę bardzo wdzięczny, pani Wells.

- Portia. - Powiedziała mu, jak dojechać na ranczo i się rozłączyła. Cholera, jakbym nie miała już dość spraw na głowie, pomyślała.

Todd. Czasami nie pojmowała, co się z nim dzieje. W jednej chwili oglądał kreskówki w telewizji albo grał w coś na komputerze i w ogóle zachowywał się jak mały chłopiec. W następnej podkradał jej katalogi firm produkujących damską bieliznę i wrzeszczał na nią, że traktuje go jak dziecko.

Od początku niechętnie włączał się w prace na ranczu. Wuj bezustannie narzekał na jego lenistwo, ale Portia w głębi ducha go rozumiała. Piętnastoletni chłopiec czeka na prawo jazdy, chce spotykać się z rówieśnikami i utwierdzać się w świeżym poczuciu przynależności do rodzaju męskiego, rozmawiając z kumplami o piersiach koleżanek. W tym wieku trudno uznać nawożenie pól i podsypywanie karmy krowom za fascynujące zajęcia. Jednak tego ranka poprosiła go tylko, żeby wziął furgonetkę i pojechał poszukać Randy'ego, a on dostał nagle szału.

Oznajmił, że nienawidzi wuja i jej także.

O jedenastej Portia miała spotkanie z urzędnikiem banku w Castle Rock. Dochodziła już dziesiąta. Cholera. Weszła na schody i zawołała:

- Jadę do banku! Lepiej, żebyś znalazł Randy'ego do czasu, kiedy wrócę. Słyszysz, Todd?

Żadnej odpowiedzi.

- Doskonale. Nie odpowiadaj. Tylko dogadaj się z wujem, zanim wrócę. Aha, jest jeszcze ten dziennikarz z jakiejś gazety przyrodniczej. Będzie tu koło czwartej. Postaraj się zachowywać kulturalnie. W porządku?

- Jasne, jak chcesz - mruknął Todd zza drzwi swojego pokoju.

- Dobrze. - Odeszła kilka kroków, ale zawróciła. - Słuchaj, może w ten weekend pojedziemy na otwarcie nowego centrum handlowego w Denver? Mogłabym cię podrzucić do Petera. Może zadzwonisz do niego i spytasz, czy nie ma innych planów?

- Jasne.

- W porządku, w takim razie jadę do banku.

Portia przebrała się szybko w pasiastą koszulkę i jasne spodnie. Ranczerzy często przyjeżdżali na spotkania w interesach ubrani w swoje robocze drelichy, ale Portia starała się zachować pozory. Robiła to dla samej siebie. Poza tym po południu pojawi się ten dziennikarz.

Tyler Silverman był w wieku Portii i już piastował odpowiedzialne stanowisko szefa działu pożyczek w Fidelity Bank of Castle Rock.

Przedtem takimi sprawami zajmował się zawsze Gary. Bankierzy, agenci ubezpieczeniowi, dostawcy - wszyscy jedli mu z ręki. Miał dar przekonywania i wdzięk. Po śmierci męża Portia przez pewien czas łudziła się, że jego brat przejmie pałeczkę, ale bardzo się zawiodła. Randy wmanewrował ją w to zęczenie w ciągu kilku tygodni po wypadku Gary'ego.

- Do diabła - powiedział Randy, przeglądając dokumenty Gary'ego. - Nie wiem, jak się do tego zabrać. Nie wiem, czym się różni pożyczka od kredytu. Jak niby miałbym z nimi negocjować warunki? Chyba będę musiał kogoś zatrudnić.

Cudownie, pomyślała Portia. Jakby nas było na to stać.

Teraz trzeba było odnowić pożyczkę, a Portia już od miesiąca zalegała ze spłatą ostatniej raty. A Tyler Silverman nie awansowałby tak błyskawicznie, gdyby miał miękkie serce.

Portia usiadła naprzeciw niego, przybierając minę kobiety interesu. Uśmiechała się lekko i pewnie patrzyła mu w oczy.

- A więc, Portia, co słyhać? - zaczął Tyler. - Wiem, że to trudny rok. Ciagle nie mogę uwierzyć, że Gary nie żyje.

Gawędzili przez chwilę, po czym Portia sięgnęła do torebki i położyła na biurku czek.

- To spłata ostatniej raty. Wraz z odsetkami za zwłokę i opłatą za spóźnienie. Prawda jest taka, że bardzo cienko teraz przedziemy. Zebraliśmy mało siana i musimy dokupować więcej pasz niż kiedyś. Domyślam się, że wiesz, jak kiepsko rośnie trawa na ziemiach

federalnych.

Tyler kiwnął głową.

- Tak, wszyscy ranczerzy mają problemy.

Zazwyczaj właściciele Wellspring Ranch wypasali połowę swojego bydła na ziemiach federalnych. Każda sztuka potrzebowała około dwudziestu hektarów pastwiska. W stanach, gdzie było jeszcze bardziej sucho, takich jak Nevada, obszar ten był nawet dziesięć razy większy. Ranczerzy płacili około czterech dolarów miesięcznie za hektar, co nie wydawało się wygórowaną sumą - dopóki ktoś nie spojrział w księgi, nie zobaczył, jak ciężko było wiązać koniec z końcem. Po czterech latach następujących po sobie susz Portia tęskniła za zwykłymi kłopotami.

- Muszę... musimy renegotjować warunki spłat, Tyler - powiedziała.

- I odsetki.

- Cóż, rozumiesz zapewne, że jest duża różnica między hipoteką a pożyczką, jeśli chodzi o wysokość odsetek?

- Oczywiście.

- Właśnie. Nie jestem pewny, czy będziemy w stanie obniżyć wysokość odsetek. - Tyler Silverman założył okulary i zaczął przeglądać dokumenty. - Hm - mruknął. - Kiedy zawierałem tę umowę z Garym, dałem mu najkorzystniejsze warunki z możliwych. Odsetki są już i tak o jedną czwartą niższe niż w przypadku większości pożyczek, jakich w tym czasie udzielił bank. - Zdjął okulary i położył ręce płasko na biurku. - Będę z tobą szczery, tak jak zawsze byłem szczery w stosunku do

Gary'ego. Teraz, kiedy twoje stado zostało zredukowane o jedną trzecią, znacznie wzrosło ryzyko, jakie ponosi bank. W przypadku niewywiązania się z płatności, co, miejmy nadzieję nie nastąpi, bank będzie zmuszony cofnąć pożyczkę. Portia, chyba to rozumiesz, to nie osobistego, tylko interesy. Wiem, że to nie twoja wina. Z powodu susz i pożarów odnawiamy coraz mniej pożyczek, a ja od prawie roku nie podpisałem żadnej nowej umowy.

- Rozumiem - odparła Portia. Nie powiedział niczego, czego by już nie wiedziała. Okazał się twardym przeciwnikiem. Teraz zapewne zacznie mówić o rządowych funduszach dostępnych dla ofiar klęsk żywiołowych i tak dalej. Portia często spłacała raty z miesięcznym opóźnieniem - Gary spóźniał się jeszcze bardziej - ale w końcu zawsze zwracali wszystko co do grosza. Ranczo było zadłużone w trzydziestu różnych bankach w ciągu ostatnich stu lat i wszystko zostało uregulowane. Co by teraz zrobił Gary? Czy twardo negocjowałby dalej?

- Cóż - powiedziała - wygląda na to, że będę musiała się rozejrzeć za innym bankiem.

O Boże, pomyślała.

Tyler uśmiechnął się, jakby chciał powiedzieć: „Życzę powodzenia, żaden bank w Kolorado nie oferuje nowych pożyczek dla ranczerów”.

- Nie poczujesz się urażony, jeśli to zrobię? - spytała. - Chodzi o to, że mamy całkiem niezłą zdolność kredytową.

- Wiem o tym, oczywiście. I będę zdruzgotany, jeśli nas opuścisz,



Portio.

Zdruzgotany, akurat.

- Coś ci powiem - ciągnął Tyler. - W przyszłym tygodniu odbędzie się zebranie dyrektorów. Przedstawię twoją prośbę i zobaczymy, czy nie uda nam się zejść jeszcze trochę z odsetek.

Całkiem nieźle, pomyślała Portia z ulgą. Była z siebie dumna.

- Będę bardzo wdzięczna - powiedziała i wstała, wyciągając do niego rękę. - Zadzwonisz do mnie po spotkaniu?

- Naturalnie. - Odprowadził ją do drzwi. - Co słyhać u Randy'ego i Lynette? - spytał. - Jak dzieciaki?

- Wszystko w porządku.

- A Todd ciągle jeszcze...?

- O tak, Todd ciągle mieszka ze mną na ranchu.

- To dobrze.

- Tak, na ogół.

Tyler się roześmiał.

- Podobno przejmiesz stanowisko prezesa fundacji po Garym?

- Owszem.

- To wspaniała organizacja.

- Ja też tak myślę - powiedziała i w tej chwili zauważyła niebieską furgonetkę, stojącą na parkingu przed bankiem. Tego dnia obaj ochroniarze byli na służbie. Skutek uboczny jej decyzji o przyjęciu stanowiska prezesa fundacji. Chyba oszalałam, pomyślała. Musiało mi

całkiem odbić, żeby się na to zgodzić.

Kiedy wróciła do domu, Todda ciągle jeszcze nie było. Nie wrócił też do czasu, kiedy na ranczu pojawił się dziennikarz z „Earthguard”, w eskorcie Leva i Jerry’ego.

- O... och - powiedziała, uświadamiając sobie, że nie poinformowała ich o jego wizycie. I co on sobie teraz o niej myśli, ten Dave Donaldson z Phoenix?

Przedstawiła dziennikarza i przeprosiła ochroniarzy, którzy wyszli, by znowu zająć swoje miejsce na drodze przy wjeździe na ranczo. Potem wprowadziła gościa do salonu i podała mu mrożoną herbatę, cały czas zastanawiając się, jak wyjaśni mu obecność ochrony” na ranczu.

Oczywiście jego pierwsze pytanie tego właśnie dotyczyło.

- Mogę zapytać, dlaczego zdecydowała się pani na ochronę? - spytał, patrząc na nią uważnie spoza szkieł w grubych rogowych oprawkach.

Nie wyglądał na dziennikarza pisma ekologicznego. Widywała ich wielu, kiedy Gary udzielał im wywiadów i stworzyła na własny użytek wizerunek typowego przedstawiciela tego gatunku: jasnowłosego aktywistę w sportowym ubraniu firmy L.L.Bean albo Patagonia i zgrzebnym sandałach. Jeśli okulary, to małe, w drucianych oprawkach. A Dave Donaldson wyglądał na miejskiego chłopaka. Miał przydługie, rozczochrane włosy, małą bródkę, ciężkie okulary i był zbyt blady jak na kogoś, kto mieszka w Arizonie. Miał na sobie koszulę z krótkim rękawem i workowate brązowe spodnie, a na nogach tanie tenisówki,

nienadające się do drugich wędrówek. Do krótkich zresztą także nie. Dziwne, ale miała wrażenie, że wyczuwa zapach papierosów. Z jej doświadczeń wynikało, że ekolodzy nigdy nie palili. Ale na pewno był dziennikarzem, bo miał przy sobie notatnik i aparat przewieszony przez ramię.

Zorientowała się, że gapi się na jego buty i szybko uniosła głowę. Co on mówił? Aha, pytał o ochroniarzy.

- Cóż - powiedziała i upiła łyk mrożonej herbaty - to właściwie nie są ochroniarze. Pracują tu w związku z zagrożeniem pożarowym. Chodzi o to, by zminimalizować ryzyko podpaień, rozumie pan? - Uchwyciła się tego, bo przypomniała sobie, że niedawno koło Flagstaff w stanie Arizona w pożarze wywołanym przez podpalacza spłonęło tysiące hektarów zboża.

Ale Donaldson zdawał się o tym nie wiedzieć. Pomyślała, że to dziwne, ale wyjaśnił jej zaraz, że nie było go przez dłuższy czas w stanie.

- Byłem na Alasce - powiedział.

- Och. Z ramienia „Earthguard”?

- Oczywiście. - Zaśmiał się. - Może mógłbym zrobić pani kilka zdjęć? Tu, w domu.

Zrobił zdjęcia: Portia siedząca na kanapie, stojąca przy biblioteczce, trzymająca w ręce fotografię Gary’ego. Zwłaszcza przy tym ostatnim czuła się nieswojo, ale Donaldson nalegał. Uśmiechała się i starała pozować z wdziękiem, ale cały czas była zdenerwowana.

Dziennikarz skończył ze zdjęciami i zaczął ją znowu wypytywać o ochronę.

- Więc musi pani mieć sporo problemów z prowadzeniem rancza?

- Cóż, tak - odparła i wymieniła kilka najbardziej typowych, ale kiedy mówiła, Donaldson niczego nie zanotował.

- A pani praca dla Fundacji Ochrony Przyrody? Napotyka pani czasami na opór, na przykład ze strony deweloperów czy firm budowlanych?

Zaskoczyło ją to, ale zaraz uświadomiła sobie, że on nie mógł przecież mówić o Patricku Mahoneyu. Było to ogólne i zupełnie naturalne pytanie. Ale co mu odpowiedzieć? Może powinna skorzystać z okazji i wspomnieć o swoich podejrzeniach dotyczących Mahoneya? Nie, doszła do wniosku, że powinna poczekać na odpowiedni moment i odpowiedniego dziennikarza z jakiegoś dużego, znanego magazynu - kogoś dysponującego odpowiednimi środkami. Kogoś szukającego dobrego tematu. Nie, Donaldson z pewnością kimś takim nie był.

Musiła jednak udzielić mu jakiejś odpowiedzi.

- Panie Donaldson... Dave - rzekła z uśmiechem. - Deweloperzy i ekolodzy to woda i oliwa.

- Może to pani wyjaśnić?

- Cóż... - Uśmiechnęła się ponownie i wzięła głęboki oddech. - Powiedzmy, że ktoś ma jakiś projekt, chce postawić centrum handlowe czy osiedle mieszkaniowe. Znajduje idealne miejsce i potrafi skłonić

właścicieli ziemi, by przyjęli ofertę kupna. Pozostaje jeszcze tylko rozważyć wpływ budowy na środowisko naturalne. Czy jest to las, bagno czy nieużytki, ingerencja człowieka nigdy nie pozostaje bez wpływu. Tu, na Zachodzie, jak pan wie, największym problemem jest woda.

Teraz Donaldson zawzięcie skrobał w swoim notatniku. Zastanawiające. To, co powiedziała, nie było dla niego chyba niczym nowym? Cóż, może zajmował się tą tematyką od niedawna.

- Od jak dawna pracuje pan dla „Earthguard”? - spytała.

Donaldson ciągle notował. Podniósł na chwilę głowę.

- Od roku - odparł i wrócił do pisania.

- I nie pochodzi pan z Phoenix?

- Nie.

- Czy... czy ja mogę znać pana redaktora naczelnego? Bo...

- Ona też jest jeszcze nowa.

- A jak się nazywa.

- Och... Sue. Sue James.

- Aha - mruknęła Portia.

- A więc - powiedział, podnosząc wzrok. - Czy ma pani problemy z deweloperami?

- Problemy?

- Tak, czy nie próbują wywierać jakiegoś nacisku? Wie pani, propozycje łapówek, pogróżki i tak dalej.

Portia poczuła, że oblewa ją zimny pot. Donaldson zachowywał się

tak, jakby wiedział o tym, co ją spotkało. A nawet jakby wiedział o Garym. Ale to przecież niemożliwe. Pewnie szukał sensacji dla swojej niewielkiej gazety. Co jednak powinna powiedzieć? Prawdę, kłamstwo? Półprawdę?

- Pani Wells?

- Och, przepraszam. Właśnie zastanawiałam się nad tym pytaniem. Jest trochę dziwne, nie sądzi pan?

- Cóż, nie możemy ciągle pisać o tym, jak zabija się pałką młode foki, no nie?

- O... eee... chyba nie.

Dobry Boże, pomyślała.

- Więc? - Patrzył na nią wyczekująco.

- Cóż, czasem deweloperzy powodują problemy.

- Jakie?

- Och, to chyba oczywiste... Wydaje mi się, że wyjaśniłam Już, iż chcą budować na dziewiczych terenach, które powinny pozostać nietknięte. Rozumie pan, odwieczny konflikt cywilizacji i natury. Musimy robić wszystko, by zachować nasze naturalne dziedzictwo dla przyszłych pokoleń i chronić ekosystem. Na szczęście fundacja dysponuje odpowiednimi środkami, by blokować takie inwestycje, a nawet aby wykupować tereny, które pozostaną w nienaruszonym stanie dla przyszłych pokoleń.

- Aha - mruknął dziennikarz. - Czy przypadkiem pani mąż nie miał

problemów z pewnym deweloperem z Kolorado? Jak on się nazywał?

To zaszło zdecydowanie za daleko. Najwyraźniej Donaldson odrobił pracę domową, zanim tu przyjechał, i interesowało go coś więcej niż problemy ranczerów.

- Mam to nazwisko dosłownie na końcu języka - mówił.

- Cóż - powiedziała Portia. - Obawiam się, że nie mogę panu pomóc.

- Pomyślałem sobie po prostu, kiedy zobaczyłem tych goryli, że może ten facet sprawia pani jakieś kłopoty. I że pewnie sprawiał też kłopoty pani mężowi.

- Och. - Portia poczuła, jak pot występuje jej na czoło. - Niestety, muszę zakończyć ten wywiad, już i tak... jestem spóźniona. .. na spotkanie.

- Jeszcze tylko kilka pytań.

Portia wstała szybko.

- Naprawdę jestem spóźniona. Muszę pana pożegnać.

Z trudem doprowadziła go do drzwi. Wyraźnie interesowało go tylko wydobyć z niej nazwiska Mahoneya, jakby tylko po to tu przyjechał. Może wpadała w paranoję. A może wcale nie.

- Mogę znowu do pani zadzwonić? Wie pani, dokończyć wywiad?

- O tak, chyba tak. Czemu nie? - Nie wiedziała, co mu odpowiedzieć.

- Ma pani telefon komórkowy?

- Nie - skłamała. - Kiedy ukaże się ten wywiad?

- W przyszłym miesiącu.

- Och, więc to miesięcznik?

- Tak, miesięcznik.

- Rozumiem... Czy może mi pan dać swoją wizytówkę?

Spojrzał na nią z zakłopotaną miną i pstryknął palcami.

- Wczoraj dałem komuś ostatnią.

- Może mi ją pan przesłać mailem.

- Dobrze.

- W takim razie do widzenia.

- Do widzenia, będziemy w kontakcie - odparł i wreszcie wyszedł.

Boże, pomyślała, patrząc, jak odjeżdżał wynajętym samochodem, wzniecając tumany kurzu. Potem skręcił na główną drogę i zniknął.

Portia weszła do domu. Lepiła się od potu. Jeśli będzie musiała znosić takie rzeczy codziennie, nie wytrzyma w tej pracy nawet tygodnia.

W łazience na dole przemyła twarz zimną wodą i stała chwilę nad umywalką, głęboko oddychając. Była roztrzęsiona, a Todd dotąd nie wrócił, choć dochodziła już piąta. To niemożliwe, by tak długo pomagał Randy'emu. A może jednak?

W kuchni podniosła telefon bezprzewodowy i zadzwoniła do Lynette. Randy był już w domu. Nie, przez cały dzień nie widział Todda. Był wkurzony.

- Portia, naprawdę powinnaś wziąć w karby tego chłopaka. Jeszcze trochę, a zacnie brać narkotyki. Nie wiem, jak chcesz się nim zajmować, skoro masz zamiar włóczyć się teraz po całym kraju.



Portia nie miała ochoty na takie rozmowy. Wolałaby poprosić do telefonu Lynette, ale to tylko rozwścieczyłoby Randy'ego.

- Posłuchaj, Randy - powiedziała - muszę kończyć. Jutro rano wyślę go do ciebie.

- Jasne - mruknął Randy i rzucił słuchawkę.

Gdzie jest Todd? Nie na ranczu, w takim wypadku Randy albo któryś z pracowników widziałby furgonetkę. Musiał więc pojechać do Colt albo Castle Rock, albo, nie daj Boże, do Denver. Bez prawa jazdy. Cholera, cholera, cholera.

Miała ochotę krzyczeć. Była przerażona. Todd mógł mieć wypadek. Mógł sięgnąć do schowka albo chcieć zmienić kasetę w magnetofonie, oderwać na chwilę oczy od drogi i... i skończyć tak, jak jego ojciec.

O szóstej ciągle go nie było. Portia przygotowała kolację, nasłuchując niespokojnie, czy nie nadjeżdża samochód. Chciała zadzwonić do Lynette - przyjaciółka zawsze potrafiła ją uspokoić - ale telefon na pewno odebrałby Randy. A on był ostatnią osobą, z którą w tej chwili miała ochotę rozmawiać.

Nie tknęła kolacji. Miotła się między przeświadczeniem, że Todd miał wypadek, a myślą, że gdyby stało się jakieś nieszczęście, ktoś już by ją o tym zawiadomił.

O ósmej zaczęła dzwonić do jego szkolnych kolegów. Ale Todda u nikogo z nich nie było.

O dziewiątej pojechała do głównej drogi i porozmawiała z Jerryem,

który siedział w furgonetce. Czowała się winna, że Aaron za to płaci, ale w tej chwili miała większe problemy na głowie. Dowiedziała się, że Todd koło południa pojechał w stronę Colt.

- Ale on nie ma prawa jazdy - powiedziała.

Jerry wzruszył ramionami. Portia wsiadła do samochodu i wróciła do domu. Rzeczywiście, wielka pomoc.

Czekając na Todda - przerażona i wściekła jednocześnie - zadzwoniła do Phoenix w Arizonie. W informacji poprosiła o numer do redakcji „Earthguard”.

- Nie mamy tu gazety o tej nazwie. Może chodzi o „Mesa” albo „Tempe”?

Albo „Scotsdale”, „Suñ City” czy Bóg wie co jeszcze. Podziękowała kobiecie z informacji i znowu zaczęła myśleć o Toddzie.

O dziesiątej, wiedząc, że budzi cały dom, zadzwoniła do Randy’ego. Może tym razem odbierze Lynette. Ale to znów był Randy, który nie przejął się sytuacją bardziej niż za pierwszym razem.

- Zadzwoń na policję - poradził jej sennie - albo wyślij tych goryli na poszukiwania.

- Właśnie - powiedziała, uświadamiając sobie, że dotąd nie rozmawiała o tym z Randym. - Aaron Burkhart wynajął ich, kiedy tych dwóch groziło mi pod sklepem. Nie chcę, żebyś myślał, że opłacam ich z pieniędzy rancza.

- Mniejsza z tym. Lynette mi o tym wspominała.

- Czy cię naprawdę nic nie obchodzi?

- Chcę się wyspać. W przeciwieństwie do niektórych muszę wstać jutro przed piątą.

- Dobranoc - powiedziała chłodno Portia. - Przepraszam, że cię obudziłam.

Rozłączyła się i z niedowierzaniem spojrzała na telefon. Co za duppek. Gdyby mogła, potrząsnęłaby nim porządnie, żeby w końcu coś zrozumiał. Zaraz jednak pomyślała, że to by nic nie dało. Ten człowiek nie miał mózgu. Jak Lynette z nim wytrzymuje?

O jedenastej Todda ciągle nie było w domu. Portia leżała bezsennie w łóżku, zastanawiając się, czy jednak nie powinna powiadomić policji. Ale przecież gdyby stało się coś złego, policja już by ją o tym poinformowała.

Zastanawiała się też, dlaczego ciągle męczy się na ranczu, zamiast wrócić do Nowego Jorku. Nie potrafiła sobie poradzić z tymi wpływowymi, bezwzględными mężczyznami. I najwyraźniej nie nadawała się też na opiekunkę dla Todda. Gdyby Gary tu był... Gary, taki nieustraszony, kompetentny i swobodny... On wiedziałby dokładnie, co z tym wszystkim zrobić.

Ale, do diabła, ona też nieźle sobie radziła. Czasem może nawet lepiej niż Gary. On dłużej zalegałby ze splątami i nie odnowiłby pożyczki.

Gary. Przewracała się z boku na bok, nasłuchując, i myślała o tym,

jak bardzo Gary podobał się kobietom, jak często czuła się zazdrosna i winna. Nic dziwnego, że ją zdradzał. Nigdy nie kochała go dość mocno. Nawet nie dała mu dzieci.

Za to miała Todda, który akurat dziś doprowadzał ją do szału. Ale naprawdę *szczerze* się do niego przywiązała, a po śmierci Gary'ego powstała między nimi prawdziwa więź. Jakby był jej dzieckiem. Przeżyją razem jeszcze kilka lat, a potem Todd pójdzie do college'u. Poradzą sobie, wiedziała to. Natomiast nie miała pojęcia, jak da sobie radę z ranczem i pracą na rzecz fundacji. Zwłaszcza teraz, po tych pogroźkach. Na myśl o Patricku Mahoneyu robiło jej się słabo. Ludzie tacy jak on nie znają skrupułów.

O pierwszej w nocy w końcu usłyszała zgrzyt opon na podjeździe, a potem skrzypnięcie drzwi wejściowych. Niewiele brakowało, a wstałaby i zrobiła awanturę od razu. Powstrzymała się jednak. Nie, zbudzi go jutro wcześniej rano i wtedy się po nim przejedzie.

Przed drugą wreszcie zaczęła ją ogarniać senność. Ale czuła też pulsujący ból w dole brzucha. Ból, który przypominał jej, że już od roku nie była z mężczyzną. Cały rok, myślała w półśnie. Tuż przed zaśnięciem przed oczami stanęło jej wspomnienie pewnego upalnego letniego poranka... Samochód pędzący na Hutchinson River Parkway, światło słońca migoczące na twarzy siedzącego za kierownicą mężczyzny... Potem cień, dziwna aura tajemnicy i niebezpieczeństwa... I jej własny krótki, urywany oddech.

## Rozdział 11

Nick obudził się w parszywym nastroju, któremu towarzyszyło uczucie, że coś wisi mu nad głową. Coś nieuchwytnego, czego nie potrafił zdefiniować.

Dopiero przy śniadaniu, które jadł w małej kafejce przy tej samej ulicy, gdzie znajdował się jego motel, przypomniał sobie, co go tak dręczy.

„Star Gazer”. Kogo przyśle Bern na wywiad z Portią? Jaką historyjkę opowie jej ten dziennikarz, żeby skłonić ją do rozmowy? I jakie zada pytania? Przypomniał sobie faceta z redakcji brukowca, który trzymał w ręce zdjęcie świni z głową małego chłopca. O Boże.

Zrobiło mu się niedobrze, nie był w stanie dokończyć ociekających tłuszczem jajek. Siedział w kafejce i myślał o Portii. Widział jej twarz, delikatną złotą skórę, miękkie jasne włosy; słyszał jej głos. I czuł się coraz gorzej. Przypomniało mu się zasłyszane czy przeczytane gdzieś zdanie, zupełnie wyrwane z kontekstu: „Spuść z łańcucha psy wojny”. Cóż, właśnie to zrobił, spuścił ze smyczy kundle i poszczuł je na nią.

Z opuszczoną głową wrócił do swojego pokoju, wyobrażając sobie jakiegoś bezwzględnego dziennikarza, rzucającego się Portii do gardła. Doszedł do wniosku, że powinien coś zrobić, by choć w części naprawić

wyrządzone szkody.

Zadzwoił do Berna i dowiedział się, że chłopak ze „Star Gazera” już widział się z Portią. Cholera.

- Nazywa się Donaldson, Dave Donaldson - powiedział Bern. - Ciągłe nie mogę uwierzyć, że tak szybko dostarczyłeś mi te informacje.

- Hm - mruknął Nick.

- Cały czas nad tym pracujesz, prawda? Możliwe, że ta historia o jej mężu i deweloperze to tylko wierzchołek góry lodowej.

- Tak, jasne, wierzchołek góry lodowej.

- Masz jakiś problem, Sinestra?

- Nie, żadnego. - Nick zmarszczył brwi. - Donaldson jest jeszcze w Kolorado?

- Powinien być.

- Wiesz, gdzie się zatrzymał?

Po drugiej stronie rozległ się szelest papierów.

- W Adam's Mark Hotel w Denver. Chcesz się z nim spotkać? Dobra myśl, moglibyście wymienić informacje.

- Właśnie, Właśnie.

- Będziemy w kontakcie. Wiesz, o czym mówię.

- Oczywiście. - Nick odłożył słuchawkę.

Zadzwoił do Adam's Mark Hotel i poprosił o połączenie z pokojem Donaldsona. Po chwili w słuchawce rozległ się zaspany męski głos. Chryste, była dziesiąta rano.

- Donaldson?

- Tak, a kto mówi?

- Nick Sinestra. Bern chce, żebyśmy się spotkali i wymienili uwagi.

- A, jesteś tym gliną, który nadał nam historię.

- Zgadza się. Moglibyśmy się spotkać?

- Hm, tak, chyba tak. Wyjeżdżam po południu.

- Rozmawiałeś z nią. - To nie było pytanie.

- Wczoraj. Była spięta, dość stanowczo mnie pożegnała. Prawdę mówiąc, gównu się od niej dowiedziałem.

Nicka oblał zimny pot. Dobrze wiedział, jakie historie powstają na bazie gówna.

- Przyjadę do twojego hotelu. Gdzie się możemy spotkać?

- Zaraz, zaraz...

- No, Donaldson.

- W porządku, w holu jest parę stolików. Dla gości i personelu. Będę tam.

- Jak cię poznam?

- Ja cię rozpoznam. Widziałem cię w redakcji.

- Za pół godziny - dorzucił jeszcze Nick.

Przycisnął Donaldsona, chcąc dokładnie się dowiedzieć, co wiedział i co powiedziała mu Portia.

Donaldson pił kawę i odpalał jednego papierosa od drugiego. Cały czas poprawiał swoje wielkie okulary.

- Na wszelkie sposoby próbowałem wyciągnąć z niej nazwisko Mahoneya, ale nic nie wskórałem. Nie przyznała nawet, że ktoś jej groził. - Zaśmiała się. - Mimo że pod jej drzwi odstawiło mnie dwóch goryli. Jezu, ale mi nawciskała kitu.

- Co powiedziała?

- Powiedziała, że to nie ochroniarze, tylko strażnicy, którzy szukają podpalaczy. Z powodu pożarów czy coś w tym rodzaju.

- Więc nie mówiła nic o pogroźkach?

- Nie, ani słowa. Głędziła tylko o odwiecznej walce cywilizacji z naturą i takie tam.

- Więc właściwie niczego się nie dowiedziałeś.

Donaldson uśmiechnął się szeroko.

- Zauważyłem, że ma fajne cycki.

Nicka natychmiast ogarnął gniew. Ten dupek gapił się na piersi Portii. Jeszcze jeden taki tekst, a nauczy go moresu.

- To o czym chcesz napisać?

Dziennikarz wzruszył ramionami.

- Opiszę ranczo, wstawię trochę ckliwej poezji o Zachodzie i tak dalej. Kilka słów o fundacji, Bern ma dla mnie informacje, i o wojnie deweloperów z naturą. - Donaldson pochylił się do przodu i zgasił papierosa w fusach swojej kawy. - A na końcu napiszę, że Gary Wells został zamordowany na ciemnej, pustej wiejskiej drodze i że śliczna, urocza wdowa po nim także boi się o swoje życie. Świetna historia.



Nick zacisnął zęby.

- Masz zamiar wymienić jakieś nazwiska?

- Oczywiście, do diabła. Patrick Mahoney, czarny charakter, podejrzany o zabójstwo Wellsa.

- No, spokojnie - mruknął Nick. - Tego nie możecie wydrukować. Ta kobieta cierpi na paranoję. Rozmawiałem z szeryfem i nawet on mówi, że jej odbiło. Nie było żadnego morderstwa. To był po prostu wypadek.

- I co z tego? Jeśli prawnicy będą w stanie nas wybronić, podam nazwisko.

- Chryste, Donaldson, jak możesz z tym żyć?

- Posłuchaj, panie władzo, zajmuję się dostarczaniem społeczeństwu rozrywki. Piszę interesujące artykuły. Sprzedaję gazety

- Daruj sobie.

Pewnie ma rację, pomyślał Nick. „Star Gazer” wydrukuje wszystko, na co będzie miał ochotę. Do diabła, w ubiegłym tygodniu zamieścili historię dwugłowego chłopca z Alabamy. Jakiś farmer przysięgał, że go widział na własne oczy. W środku były nieostre zdjęcia. A tydzień wcześniej pisali o romansie pierwszej damy z jej sekretarką.

Pożegnał Donaldsona i wrócił do motelu, niespokojny i rozdrażniony. Dręczyły go wyrzuty sumienia. Wyobraził sobie reakcję Portii, gdy zobaczy okładkę „Star Gazera”, robiąc zakupy w sklepie spożywczym. Te kłamstwa, insynuacje i półprawdy. A to wszystko jego wina.

W Denver panował niemiłosierny upał, nad chodnikami i asfaltem drgało rozgrzane powietrze. Drzewa były zszarzałe od kurzu, a z urządzeń klimatyzacyjnych na budynkach kapiała woda.

Sucho, akurat.

Było już późno, by powstrzymać druk tej historii. Zresztą, dlaczego aż tak się przejmował? Pracował dla tego brukowca od lat. Nigdy dotąd nie obchodziło go, co piszą, więc dlaczego nagle miałyby być inaczej?

Wyglądało na to, że Portia miała jakieś podejrzenia co do Donaldsona. Czy mogła w jakiś sposób skojarzyć go z Nickiem? Było mu wstyd, że czuje się winny, ale przede wszystkim był na siebie zły i obawiał się, że mogłaby odkryć, iż to on wystawił ją na żer dziennikarzy z brukowca. Do diabła, pomyślał w końcu. Nigdy więcej jej już nie zobaczy, więc cóż go obchodzi, czy ona to odkryje?

Szedł chodnikiem w promieniach palącego, południowego słońca. Powietrze, gorące i suche, wysysało z niego wilgoć. Zastanawiał się, co powinien zrobić. Siedzieć w swoim klimatyzowanym pokoju motelowym? Szukać Patricka Mahoneya? Pojechać do Wellspring Ranch i sprawdzić, jak sobie radzą ochroniarze?

Za to, co tu robił, dostanie dziesięć tysięcy. Miał miesiąc urlopu i żadnych zobowiązań. Powinien być w siódmym niebie. Poza tym, z tego, co mówił Bern, wynikało, że byłby skłonny zapłacić więcej, jeśli Nick zdoła wygrzebać jakieś nowe brudy. „Czubek góry lodowej”, powiedział Bern. Może Portia wcale nie jest szalona i Mahoney naprawdę maczał

palce w śmierci Gary'ego Wellsa. Poczucie winy nagle ustąpiło i Nick zaczął snuć rozważania. A gdyby udało mu się odkryć spisek? Gdyby tak zabawił się w Marka Fuhnnana? W porządku, to nie jest morderstwo związane z rodziną Kennedych, ale i tak może być o tym głośno. Duża kasa, wielki rozgłos. Tak.

Potem nagle się opamiętał. Co on sobie wyobraża? W jednej chwili dręczą go wyrzuty sumienia, a w następnej znowu *zaczyna* myśleć o pieniądzach. Jest takim samym dupkiem jak Donaldson. A nawet gorszym. Donaldson przynajmniej nie jest hipokrytą.

W końcu doszedł do wniosku, że nie zaszkodzi, jeśli pojedzie do Colt i zobaczy, co porabia ochrona Portii. Ruszył w stronę autostrady, ale kiedy dojechał do drogi I-25, zawrócił i skręcił w przeciwną stronę. Musiał się zastanowić i podjąć decyzję: zostać w Kolorado czy wracać do Nowego Jorku.

Droga wkrótce prowadziła do innej autostrady międzystanowej, która przecinała góry. Bez wyraźnego powodu Nick ruszył w jej stronę. Do diabła, myślał, przezuwając swoje problemy, mogą przynajmniej obejrzeć okolicę.

Zatrzymał się na stacji benzynowej przed wjazdem na autostradę, kupił mapę stanu i pojechał dalej. Droga była pełna niebezpiecznych, ostrych zakrętów. Stało tu mniej budynków, podobnie jak zjazdów. Droga prowadziła go pod górę przez prawie godzinę. Rosnące po bokach krzewy i małe drzewka ustąpiły miejsca sosnom i innym wiecznie

zielonym iglastym roślinom. Przed nim był Eisenhower Tunnel, przecinający Continental Divide.

Tu w górze było chłodniej. Termometr samochodowy wskazywał temperaturę niższą o kilka stopni od tej u podnóża gór. Wokół drogi wznosiły się szczyty, ciągnące się na północ, południe i zachód. Surowe i poszarpane, w niczym nie przypominały miękko zaokrąglonych wzgórz na wschodzie. Za tunelem Nick zjechał w długą dolinę. Zatrzymał się, aby zatankować i kupić colę na stacji benzynowej pod miasteczkiem o nazwie Frisco. Potem znowu ruszył w drogę. Najpierw pod górę, na przełęcz Vail, potem znowu w dół, w dolinę o tej samej nazwie. Po prawej widział wyciągi narciarskie i domy przycupnięte na zboczach gór. Było ich mnóstwo. Nick zastanawiał się, co myślą o tym aktywiści z Fundacji Ochrony Przyrody. A to oczywiście przypomniało mu o Portii. Czy jeździła tą drogą? Co sądziła o tych wielkich domach, tak ciasno zbitych u podnóża gór?

Niewiele o niej wiedział. Właściwie nic. Co robi w wolnym czasie? Co lubi jeść? Co jest dla niej naprawdę ważne? Coraz częściej przychodziło mu do głowy, że widział tylko maskę, jaką zakładała na twarz na użytek świata. Widział tyle, ile chciała pokazać, ani mniej, ani więcej.

Przejechał przez Eagle i No Name. Teraz droga prowadziła wzdłuż Colorado River - rzeka nie była zbyt szeroka, przypominała górski potok, a przecież płynęła aż do Kalifornii.

Potem minął Glenwood Canyon o pionowych ścianach i tory kolejowe po drugiej stronie rzeki, wijące się wzdłuż skał kanionu. Piękna kraina. Jaka szkoda, że nie miał aparatu fotograficznego. Zatrzymałby się tam, gdzie stawali inni turyści, i zrobił kilka zdjęć, które mógłby potem pokazać Mii i jej córkom.

Akurat.

W końcu dolina rozszerzyła się, obejmując Glenwood Springs, w którym znajdował się ponadstuletni hotel i słynne gorące źródła. Na kolejnej stacji benzynowej przeczytał, że zatrzymywał się tu prezydent Roosevelt. Skręcił na południe i pojechał do Aspen. Piękne, staroświeckie miasto, pełne zabytkowych, wiktoriańskich kamienic i starych drzew. Narciarskie stoki porośnięte trawą. Próbował je sobie wyobrazić pokryte śniegiem. Wyglądały na bardzo strome. Ale Nick nie jeździł na nartach.

Opuścił Aspen i ruszył w górę na przełęcz Independence. Na drodze panował duży ruch. Turyści, oczywiście. A on był jednym z nich.

Znowu jechał Continental Divide, wąską, prowadzącą urwiskiem drogą. Niżej połyskiwały srebrne wody rzeki.

Bolały go plecy, ale ta Odyseja zaczęła go wciągać. Minął Stringtown, potem Leadville, gdzie kiedyś mieszkała Niezatapialna Molly Brown. Zapadł zmierzch, a on ciągle jechał. Miał otwarte okno. Do samochodu wpadało przez nie rześkie górskie powietrze. Wrócił do autostrady międzystanowej i skręcił na wschód w stronę Denver.

Zatoczył niezłe koło. Podróż przez piękne okolice, Dziki Zachód. Ale ciągle nie wiedział, co powinien zrobić, i czuł się jak ostami drań.

Kiedy zaparkował przed swoim motelem, było już zupełnie ciemno. Był zeszywniały, zmęczony i w parszywym nastroju. Cóż on sobie, do diabła, myślał? Że jadąc samochodem, dozna olśnienia?

Z kanapkami zakupionymi w Burger Kingu poszedł do swojego pokoju. Był głodny, ale zbyt poirytowany, by jeść. Zamiast tego zadzwonił do Gila. Czuł, że musi z kimś pogadać. Ale Gil miał własne problemy.

- Co zrobił?! - spytał Nick.

- Znowu narozrabiał, cholerny chłopak. Dzięki Bogu, tym razem już nie w siódmym. Został zatrzymany za kradzież w sklepie. Magazyny erotyczne.

- A niech to, Gil.

- Jeśli sąd dla nieletnich tak postanowi, będzie musiał opuścić miasto, i co ja z nim zrobię? Wyślę go do siostry? Ona go nie chce.

- Słuchaj, naprawdę mi przykro. Jeśli mógłbym coś zrobić...

- Jasne, przecież jesteś trzy tysiące kilometrów od Nowego Jorku. Ten dzieciak zabije swoją matkę.

Nick odłożył słuchawkę. Wszyscy mają jakieś problemy. Jego nie są gorsze od innych. Może nawet trochę lepsze.

Żałował, że nie może pomóc Gilowi. Dougie, Dougie, biedny dzieciak. Do diabła, wcale nie jest biedny. Gil jest jego ojcem, Gladys

matką. Ma brata i siostrę, na litość boską. Dlaczego dzieci robią takie rzeczy?

Przyszło mu do głowy, że mógłby zaprosić chłopca do Kolorado, żeby oderwać go od koleżków. Zabierać go na ryby, na wycieczki, takie jak ta, jaką odbył tego dnia. Nie żeby miał jakiegokolwiek pojęcie o wędkowaniu czy organizacji wycieczek krajoznawczych. I nie wiedział właściwie, jak długo tu jeszcze zostanie. Ale gdyby mógł go tu sprowadzić? Dobry wujaszek Nick spieszący z pomocą.

Nie, uśmiechnął się do siebie smutno. Kiepski pomysł.

Zadzwoił do Mii. Co się z nim dzieje? Może czuje się samotny i dlatego wydzwania do wszystkich?

Mia była jeszcze w salonie.

- Witaj, podróżniku - powiedziała. - Słuchaj, jestem trochę zajęta.

- Jasne, jasne, nie zabiorę ci dużo czasu.

- Jak tam w Kolorado?

- Pięknie. Gorąco.

- Tu dzisiaj padało.

- Hm.

- Widziałeś ją?

- Kogo?

- Portię Wells, a kogo by innego?

- Nie, właściwie nie. Widziałem jej ranczo.

- Ranczo. Mój Boże.

- Brązowa trawa, krowy i długi podjazd.
- Ale to ranczo.
- Jak się mają dziewczynki?
- W porządku.
- Niewykluczone, że wkrótce wrócę do miasta.
- A jak twój urlop?
- Nie najlepiej się tu bawię. Może kiedy wrócę, wybierzemy się na Coney Island albo Jones Beach?
- Eee, dziewczynki mają sporo zajęć, a poza tym wiesz, wolą przebywać z rówieśnikami, jak to dzieci.
- To co? Możemy pojechać sami. Tylko na dwa dni.
- Jestem zajęta, Nick.
- Masz pracę?
- Jestem zajęta - powtórzyła i Nick w końcu zrozumiał.
- Jest ktoś inny - powiedział głosem bez wyrazu.
- Nie, to znaczy właściwie nie, tylko... To przyjaciel i...
- Tak, przyjaciel. W porządku, Mia. Wspaniale, życzę ci dobrej zabawy z przyjacielem. Na pewno się jeszcze zobaczymy.
- Nick...
- Daj spokój - powiedział ze złością.
- Lubię cię, Nick. Naprawdę. Chciałabym, żebyśmy byli w kontakcie.
- Jasne, będziemy w kontakcie. Wyślę ci stąd pieprzoną pocztówkę.
- Nie bądź taki.



- Jaki? Taki niedojrzały?

- No...

- Na razie, Mia - powiedział i rzucił słuchawkę.

Jakim był idiotą! Nie zorientował się wcześniej, że ona kogoś ma. Wszystkie te wymówki. Praca, zajęcia dziewczynek. Jezu, rzuciła go. Rzuciła go po dwóch latach. Dziwka.

Sam nie wiedział, co czuje. Jego duma, jego ego zostały boleje zranione. Nie kochał Mii, ale było im ze sobą dobrze. A teraz? Był sam, nie miał do kogo zadzwonić, nie miał z kim wyjść. Czuł się opuszczony, jakby dryfował samotnie po wielkim, pustym oceanie. A jednak odczuwał też pewną ulgę. Nie ma Mii, nie ma więc też żadnych zobowiązań. Był wolny.

Jadł hamburgera z zimnymi frytkami i oglądał telewizję. Lokalne wiadomości wydawały mu się jakimś żartem: wypadki samochodowe i korki na drogach spowodowane rozbudową autostrady. Projekt nosił wdzięczną nazwę T-Rex. I to by było na tyle. Co właściwie robi tu policja?

Był zmęczony, ale nie mógł zasnąć. Klimatyzacja buczała monotonie, ale nawet to mu nie pomogło. Za bardzo wściekał się na Mię i za bardzo martwił się o Dougiego. No i myśl o tym, co napisze Donaldson, nie dawała mu spokoju.

Oczyma wyobraźni już widział wielki nagłówek: PIĘKNA WDOWA WYPOWIADA WALKĘ MORDERCY MEŻA. Albo: WDOWA

SZUKA ZEMSTY ZA ŚMIERĆ MĘŻA. Coś w tym rodzaju. Coś, co będzie przykuwało uwagę ludzi i każe im kupić gazetę.

Przypomniął sobie rozmowę z szeryfem. Trzy poronienia, mąż, który trochę zanadto lubił kobiety. Wypadek. Teraz Portia nie ma ani męża, ani własnych dzieci. Prasa dowiedziała się, gdzie mieszka jej na wpół obłąkana matka. Susza, pożary, kłopoty finansowe, przymusowa sprzedaż bydła.

I pogrożki, które może wcale nie są jedynie wytworem jej wyobraźni.

Powiedziała Whitefeatherowi, że dwaj mężczyźni grozili jej pod sklepem. Widział to miejsce, kiedy przejeżdżał przez miasteczko. Czy naprawdę ktoś jej groził? Może jednak poniosła ją wyobraźnia?

Pamiętał bankiet, na którym była taka opanowana i pogodna. I jazdę samochodem, kiedy zabrał ją z New Rochelle do miasta. Nie, nie sprawiała wrażenia wariatki.

Co za młyn. Dziecko zmarłego tragicznie męża, ranczo, matka z depresją. Fundacja Ochrony Przyrody. Chryste, ta kobieta miała zadatki na świętą. A on zrobił dużo, by jeszcze utrudnić jej życie.

Spocony, choć w pokoju było teraz chłodniej, przewracał się w łóżku z boku na bok. W końcu usiadł i włączył nocną lampkę. Okazał się niezłym sukinsynem! Robi to tylko dla pieniędzy. Dla nędznych dziesięciu tysięcy. Ukrył twarz w dłoniach, a potem przeczesał włosy palcami.

Włożył spodnie, koszulę i chwycił kluczyki od samochodu. Jeśli

Portia naprawdę jest w niebezpieczeństwie, niewykluczone, że jeszcze pogorszył jej sytuację, wystawiając ją Donaldsonowi. A jeżeli ktoś widział dziennikarza na ranczu... Jej ochrona jest do niczego, o czym doskonale wiedział...

Stał na parkingu ze zmarszczonymi brwiami. Co właściwie ma zamiar zrobić? Uliczne latarnie zalewały wszystko mdłym światłem, słyszał cichy szum przejeżdżających samochodów. Co on sobie wyobraża? Że pojedzie tam i wszystko jej wyzna?

Niewiele brakowało, a wróciłby do pokoju. Ale zaklął pod nosem i wsiadł do samochodu.

- Idiota - mruknął.

Wyjechał na ulicę. Nieomylny szósty zmysł policjanta podpowiadał mu, że coś tu było nie tak.

Droga zabrała mu mniej czasu niż za dnia. Gwiazdy były nieprawdopodobne, świeciły tak jasno w przejrzystym, chłodnym powietrzu. Nick nie miał jednak czasu ich podziwiać. Jechał, nie zdejmując nogi z gazu. Zjechał do Colt, przejechał uspione miasteczko i skręcił w wiejską drogę. Światła jego samochodu oświetliły niebieską furgonetkę ochroniarzy. Była pusta.

Nagle znieruchomiał za kierownicą. Przyjechał właśnie pod bramę z napisem **WELLSPRING RANCH**, znalazł się na podjeździe i zobaczył w oddali lunę. Żółtopomarańczową lunę na ciemnym nocnym niebie.

- Słodki Jezu - wyszeptał i wcisnął gaz.

## Rozdział 12

Obudził ją jakiś hałas. W pierwszej chwili przyszło jej na myśl, że Todd wyprowadził traktor, co byłoby raczej dziwne. Zaraz potem jednak dostrzegła światło migające za zasłoniętym oknem i oblał ją zimny pot.

Wyskoczyła z łóżka i podbiegła do okna. Płomienie strzelały wysoko w niebo.

Stodoła!

Serce podeszło jej do gardła. Wydawało jej się, że stoi tam całą wieczność. W końcu chwyciła telefon i wystukała 911. Ręce jej drżały, miała wrażenie, że oczekiwanie na połączenie ciągnie się bez końca.

- Pożar! Wellspring Ranch, County Road 187, osiem kilometrów na południe od Colt.

- Tak, przyjąłem. Czy są ranni?

- Nie... nie wiem. Muszę kończyć. Wellspring Ranch!

Zbiegła po schodach, minęła salon i wypadła na zewnątrz. Była boso, a na sobie miała tylko podkoszulek i spodnie od piżamy, ale nie zatrzymała się, biegła dalej.

Płomienie ogarnęły już niemal cały budynek. Słyszała trzask suchego drewna.

Mój Boże, stodoła. Co tam było? Nic żywego, nie, poprzedniego dnia

nie zachorowało żadne ze zwierząt. Ale siano... Stodoła była do połowy wypełniona sianem z pierwszego pokosu.

Zatrzymał ją podmuch gorącego powietrza. Nie była w stanie podejść bliżej. Przystanąła, dysząc ciężko. Słyszała przerażone rzenie koni. Przypomniała sobie, że kilka z nich było na padoku obok stodoły. Psy ujadają wściekle. Psy Randy'ego, widziała w ciemnościach białe łaty na ich grzbietach. Biegły w jej stronę, a za nimi wielkimi susami sadył Randy. Wrzeszczał coś, ale nie potrafiła rozróżnić słów. Płomienie huczały, wysysając tlen z powietrza. Przybiegł Todd, w rozchełstanej górze od pizamy. Miał szeroko otwarte oczy i usta, ogień rzucał czerwone błyski na jego bladą twarz. Portia była ogłuszona, nie mogła oddychać, piekły ją oczy. Gryzący dym wdierał się do jej nozdrzy i płuc.

Potem pojawiła się Lynette wraz z dziećmi. Wszyscy coś krzyczeli, ale słowa ginęły w ogólnym hałasie. Portia podbiegła do Randy'ego i chwyciła go za ramię.

- Konie na padoku! - krzyknęła mu do ucha.

Kiwnął głową i ruszył w tamtą stronę, pokazując psom, by poszły za nim. Otworzył bramę, a psy wygoniły przerażone konie na zewnątrz. Na razie mogły biegać wolno.

Ochroniarze Lev i Jerry stali trochę z tyłu. Lev rozmawiał przez telefon komórkowy. Wydawali się całkowicie zaskoczeni. Może Lev mówił właśnie Aaronowi, co się stało. O Boże, nie była w stanie teraz o

tym myśleć.

Gęsty czarny dym wznosił się sponad dachu, płonące żdźbła unosiły się w gorącym powietrzu.

Gdzie jest straż pożarna? Nie, jeszcze za wcześnie, dotrą tu najwcześniej za kilka minut. Stodołę można już było spisać na straty. Nie uda się jej uratować, nawet gdyby wozy strażackie przybyły natychmiast.

Wrócił Randy. Kątem oka dostrzegła ciemne sylwetki koni biegnących na oślep w ciemność.

Siano. Trochę narzędzi. Boże, czy był tam też ciągnik, czy też Randy zostawił go pod domem? Upręże, siodła, uzdy i koce. Czy żyjącym w stodole kotom udało się uciec?

W tym momencie - zawsze potem przysięgała, że do złudzenia wyglądało to jak scena z kiepskiego filmu - w drzwiach stodoły pojawił się jakiś człowiek. Wyszedł wprost z tego piekła, potykając się i uginając pod jakimś ciężarem... Kto...? O Boże, czy ktoś był w stodole?

Zasłoniła usta ręką, zbyt oszołomiona, by się poruszyć. Randy i Todd podbiegli do tego człowieka. Teraz widziała już wyraźnie, że niosą siodła, wielkie, ciężkie siodła. Rzucili je na ziemię, a mężczyzna upadł na kolana i z trudem chwycił powietrze.

Podeszła do nich i złapała Todda za ramię.

- Nic ci nie jest?! - krzyknęła. Todd, z poczerniałą twarzą, tylko kiwnął głową.

Randy wziął wąż podłączony do pompy. Czy on oszalał? Chce ugasić

ogień za pomocą ogrodowego węża?

Ale nie, skierował strumień wody na tego człowieka. Kto to jest? Juan? Hernando? Przecież nie mogli tu być w nocy. Na noc zawsze wracali do...

Mężczyzna otarł twarz dłonią, rozmazując sadze. Coś w jego twarzy wydało jej się znajome, mimo sadzy i grymasu...

Podeszła bliżej, chociaż uderzały w nią fale gorąca, i przyjrzała mu się uważnie. Nick? Nick Sinestra? Teraz? Patrzyła na niego, oszołomiona. Nick Sinestra. Tutaj?

Nagle przyszło jej do głowy, że to on podpalił stodołę. Drań. To on wywołał pożar!

Nick wstał i zaczął krzyczeć coś do Randy'ego. Dotarły do niej pojedyncze słowa.

- ...z powrotem. Polej mnie wodą i...

Odwrócił się w stronę stodoły, jakby miał zamiar znowu wejść do środka. Ale dlaczego? Dla kogo? Jeśli to on wywołał pożar, to po co...?

Podbiegła do niego i złapała go za ramię. Nie! Nie! Nie chciała nikogo mieć na sumieniu. Nawet jego.

Ale on chyba już sam zdał sobie sprawę, że to bezcelowe. Dach stodoły płonął żywym ogniem, płomienie strzelały na wysokość dziesięciu, może dwunastu metrów, buchały wściekle z otworu, który był kiedyś drzwiami. Rozżarzone do czerwoności deski trzeszczały. Ogień rozszalał się na dobre. Wszyscy się cofnęli, łącznie z Randym, który

ciągle trzymał w ręce ogrodowy wąż.

Portia usłyszała jakiś nowy dźwięk. Syreny. Odwróciła się i zobaczyła wozy strażackie. Trzy, w tym dwie cysterny. I karetkę pogotowia.

Kilku strażaków podłączyło węże do jednej z cystern i skierowało strumień wody na stodołę, inni zajęli się gaszeniem małych zarzewi ognia, który już zaczął się rozprzestrzeniać.

Portia spojrzała na stodołę i zrozumiała, że nic już z tego nie będzie. Ogień objął wszystko, żdźbła słomy i zwęglone kawałki drewna opadały dookoła jak czarny śnieg. W końcu dach stodoły zapadł się i budynek zmienił się w dymiące rumowisko, które syczało gniewnie pod strumieniami wody.

Wreszcie pożar ugaszono i zrobiło się dziwnie cicho i ciemno. Jedynym źródłem światła były teraz wozy strażackie. Portia, oszłamiona, siedziała na ziemi, obejmując ramieniem Todda.

Przyjechało jeszcze kilka wozów, strażacy rozeszli się wokół, szukając żarzących się miejsc, które mogły stać się zaczątkiem nowych pożarów. Było ich całkiem sporo.

Lynette tuliła do siebie dzieci i płakała, rozmazując sadzę po twarzy.

Cab Whitefeather pojawił się tuż przed piątą rano.

- Nic ci nie jest? - spytał Portię.

- Nie - odparła cicho.

- Cóż, nikomu nic się nie stało, to dobrze. A konie?



- Gdzieś się rozbiegły.

- Koszmar, co? Dostałem wiadomość, ale byłem u Aikersów, mieli pożar na północnym pastwisku.

- O Boże - szepnęła Portia.

Cab pokiwał głową.

- Mam nadzieję, że sobie poradzą, ale kto wie. - Przez chwilę patrzył na pogorzelnisko, potem się odwrócił. - Widzę, że jest tu ten policjant z Nowego Jorku.

Portia szybko podniosła głowę.

- Znasz go?

- Spotkałem go kiedyś, to wszystko.

- Co on tu, do diabła, robi?

- Powiedział mi, że szuka miejsca, w którym mógłby się osiedlić, kiedy przejdzie na emeryturę.

Portia, zaskoczona, patrzyła przez chwilę na Caba, potem pokręciła głową, wstała i podeszła do Nicka, który rozmawiał z jednym ze strażaków. Ziemia, mokra i gorąca, parzyła jej bose stopy. Na ramieniu miała niewielkie oparzenie.

- Ty - powiedziała, stając przed Nickiem.

Odwrócił się do niej. Miał ściągniętą, poczerniałą twarz.

- Pani Wells - powiedział i skłonił się lekko.

- Skąd się tu, do diabła, wzięłeś?

- To długa historia.

- Może uda ci się ją skrócić.

- Zobaczyłem łunę. - Wzruszył ramionami. W białej koszuli miał wypalone dziury, na szyi czerwony ślad.

- Co tu robisz?

Przezesął włosy palcami. Zauważyła, że ich końcówki były nadpalone i dziwnie poskręcane. Nie odpowiedział na jej pytanie, jakby sam nie wiedział, jak i po co się tu znalazł.

- Czy to ty podpaliłeś stodołę? - spytała ze złością.

Spojrzał na nią przeciągle, a potem się zaśmiał.

- Sam omal nie spłonąłem. Dlaczego miałbym...

- Nie wierzę w zbiegi okoliczności.

- To, że tu jestem, nie jest zbiegiem okoliczności.

- Czy to ty podpaliłeś stodołę?

- Do diabła, nie.

Patrzyła na niego uważnie, ale nie potrafiła nic wyczytać z jego twarzy. Co do jednego zapewne miał rację: trudno uwierzyć, by najpierw podpalił stodołę, potem ryzykował życie, by wynieść z niej siodła, a później szykował się, by jeszcze raz wrócić do tego piekła.

Ciągle jednak nie wiedziała, co tu robił. Zaczęła coś mówić, ale przerwał jej nagle.

- Słuchaj, zrób mi kawę. Wszystko ci wyjaśnię - powiedział. - I może masz coś na oparzenia.

- Kawę? - spytała z niedowierzaniem. - Z mojej stodoły zostały

zgliszcza, a ty chcesz kawę?

- Tak, jeśli masz kawę.

Nagle do Portii dotarło, że stoi na środku pobojuwiska. Pod stopami ma nasiąkła wodą ziemię, zasłaną strażackimi węzami.

Ludzie zbierają, zwęglone deski w świetle świtu. Todd siedział obok ze spuszczoną głową. Lynette pochlipywała cicho. Randy stał z rękami w kieszeniach i gniewną twarzą. Wszyscy byli wyczerpani, pokryci sadzą, w brudnych, podartych ubraniach. Ona sama właściwie nic nie miała na sobie, a jej twarz zapewne była równie czarna jak twarze wszystkich innych. Wtedy podszedł do nich Randy. O Boże, pomyślała.

- Kim ty, do diabła, jesteś? - spytał, stając naprzeciw Nicka. Był od niego wyższy i szerszy w ramionach.

- Jestem przyjacielem Portii.

Spojrzała na niego zdumiona. Przyjacieli?

- Chcę wiedzieć, co robisz na moim ranczu o tej porze - wściekał się Randy.

- Zobaczyłem płomienie. Pomyślałem, że mogę pomóc.

- Po prostu tędy przejeżdżałeś, tak?

- Tak.

- Randy - zaczęła Portia.

- Czy ten facet naprawdę jest twoim przyjacielem?

- On... tak, znam go.

Randy zmrużył oczy.

- A może właśnie od ciebie wychodził?

- Zaraz, zaraz - odezwał się Nick.

- Nie wtrącaj się - rzucił Randy i odwrócił się do Portii. - To twoja wina. Ty, te twoje pogrożki, dziennikarz. To wszystko twoja wina!

- Zdaje się, że te pogrożki miały być tylko żartem - odparła. - Sam mówiłeś, że...

- Nie powinnaś wpuszczać tu tego dziennikarza. Wkurzyłaś kogoś, to pewne. - Randy ze złością otarł twarz ramieniem.

Lynette próbowała wziąć go za rękę, ale ją odepchnął. Znowu wybuchnęła płaczem.

- Randy, na litość boską... - zaczęła znowu Portia.

- To twoja wina. To nie jest twoje miejsce, nigdy nie było i nie będzie. Zanim to wreszcie zrozumiesz, z rancza nie zostanie pewnie kamień na kamieniu! Dlaczego nie zostawisz nas w spokoju! Wystarczyło, że przyjęłaś to idiotyczne stanowisko w fundacji, i zobacz, co się stało, zobacz, co...

- Randy! - krzyknęła Lynette.

- Chyba mamy już dość - wtrącił się Nick. - Wszyscy jesteśmy zmęczeni i...

- Zmęczeni - prychnął Randy.

- Uspokój się, człowieku. Wszyscy jesteśmy zdenerwowani.

- Powiedziałem ci, żebyś się nie wtrącał - burknął Randy.

- Jasne, doskonale. Właśnie omal się nie usmażyłem, ratując twoje

siodła...

Jakby nie dość było tego, podeszli do nich Lev i Jerry. Lev położył dłoń na ramieniu Nicka, który zrzucił ją stanowczo, patrząc zimno na ochroniarza.

- Ręce przy sobie, dobrze?

Lev zawahał się, ale Jerry podszedł bliżej do Randy'ego. Randy ani drgnął.

- A wy dwaj gdzieście się podziewali, do cholery?

- O co ci chodzi? - zaczął Jerry.

- Wiesz doskonale, o co mi chodzi - odparł i wyrzucił ręce w powietrze, jakby chciał jeszcze coś powiedzieć, ale w tej samej chwili zbliżył się do niego Cab.

- No, synu, wszyscy powinniśmy się trochę uspokoić. - Patrzył przez chwilę na Randy'ego, żeby upewnić się, czy te słowa do niego dotarły.

- Wszyscy będziecie musieli złożyć zeznania. Możecie zrobić to teraz albo później, jak wolicie.

- Jezu - mruknął Randy.

Portia nie była w stanie myśleć. Nie ma mowy, by teraz składała jakieś zeznania. Nick. Spojrzała na niego. Co znajdzie się w jego zeznaniu? Boże, pomyślała, to nie dzieje się naprawdę.

Cab odłożył notatnik, ponieważ nikt do niego nie podszedł, i odwrócił się do Randy'ego.

- Chodź, Randy - powiedział - zabiorę cię do domu razem z Lynette i

dziećmi. No, idziemy.

Randy, pokonany, poszedł za nim.

Nick jednak najwyraźniej miał jeszcze coś do załatwienia. Zmierzył wzrokiem ochroniarzy.

- No, więc gdzie byliście, chłopcy?

- Nick - powiedziała Portia. To naprawdę nie była jego sprawa. Zignorował ją.

- Nic nie widzieliście, co?

Lev zrobił krok w jego stronę, ale Jerry stanął między nimi.

- Chodź, zostawmy to na razie. Złożymy zeznania. No, chodź, Lev - powiedział i odwrócił się do Portii. - Wszystko w porządku, pani Wells?

Nie było w porządku, ale nie miała siły teraz się z nimi użerać. Kiwnęła głową.

- Będziemy przy wjeździe, gdyby nas pani potrzebowała. Nick oderwał wzrok od ochroniarzy i spojrzał w stronę Randy'ego.

- Kto to jest?

- Randy.

- A, brat.

- Tak, brat mojego męża.

- To twój dom? - spytał, wskazując budynek głową.

- Tak.

- To jak będzie z tą kawą?

- Nie wierzę ci. Nie mogę... - Przyłożyła dłoń do czoła.

- Chodź, tu już nic nie działyśmy.

Co powinna zrobić? Kazać mu się wynosić z rancza? Ująć rękę, którą do niej wyciągnął? Wybuchnąć histerycznym śmiechem? A może płaczem?

Nie zrobiła żadnej z tych rzeczy. Zawołała Todda i powiedziała mu, żeby wracał do domu, po czym ruszyła za nim, starając się iść jak najostrożniej, bo piekły ją stopy. Nie zastanawiała się, czy Nick za nią pójdzie. W tej chwili było jej wszystko jedno.

W kuchni zaparzyła kawę w dzbanku, a potem poszła się przebrać. Na górze przemyła twarz wodą - pod sadzą była blada jak ściana. Wytarła się, brudząc przy tym ręcznik. Miała ochotę wziąć prysznic, ale zeszła na dół, rozlała kawę do kubków i podała Nickowi cukier.

Nick siedział na jednym z kuchennych krzeseł z wyciągniętymi przed siebie nogami i zamkniętymi oczami. Todd, oparty o zlewozmywak, powoli, metodycznie jadł banana.

- Todd, idź się umyć. I wyrzuć te pizamy.

- Dobrze. - Nie sprzeciwiał się. W ogóle zachowywał się jak zombi.

- Znasz detektywa Sinestrę?

- Nicka - powiedział mężczyzna, nie otwierając oczu.

- Tak, cześć, Nick.

- No więc słucham - powiedziała.

Usiadła naprzeciw Nicka, który otworzył oczy i sięgnął po kubek z kawą.

- Dzięki - powiedział. - Miły dzieciak. To twój pasierb?

- Skąd wiesz? Ceb ci powiedział? Czy też ma pan inne sposoby zdobywania informacji, detektywie Sinestra?

Nie odpowiedział, upił łyk kawy. On także był bardzo blady pod warstwą sadzy, jego ubranie śmierdziało dymem. Portia przypuszczała, że jej także.

Jaka zwyczajna scena. Duża wiejska kuchnia z podłogą ze złotawych sosnowych desek i starymi szafkami o przeszklonych frontach. Pasiaste zasłony na dwóch oknach wychodzących na góry, podniszczone miedziane garnki i patelnie wiszące nad piecem, zerwane wczoraj stokrotki w szklanym wazoniku.

A jednak nie był to zwyczajny poranek, a człowiek, który siedział za jej stołem, popijając kawę i zalatując spalenizną, nie był zwyczajnym mężczyzną.

- Skąd się tu wzięłeś? - spytała. - Powiedz prawdę.

- To długa historia.

Pochyliła się do przodu i oparła łokcie na stole.

- Posłuchaj, wiem, co zrobiłeś. Przed wyjazdem z Nowego Jorku zadzwoniłam do twojego komendanta, Fitzpatricka. Wiem, jaki ohydny numer mi wyciąłeś, udając ochroniarza.

- Tak, cóż...

- Wiem, że to ty nasłałeś tego dziennikarza na moją matkę. A im dłużej o tym myślę, tym większej nabieram pewności, że również tobie



zawdzięczam wizytę niejakiego Donaldsona. To twoja sprawka, prawda?

Jego czarne oczy patrzyły na nią z brudnej twarzy, czujne i przenikliwe. Mimo brudu, zmęczenia i czerwonych pręg na szyi i ramionach wyglądał dobrze. Seksownie. Niebezpiecznie.

Cóż, niebezpieczny był z całą pewnością.

- Ty to zrobiłeś. Przyznaj się.

- Tak.

- Ty sukinsynu - powiedziała spokojnie.

- Co do tego zdania są podzielone.

- W porządku, detektywie Sinestra, posłuchaj mnie teraz. Grozili mi dwaj mężczyźni. Myślę, że wiem, kto ich przysłał, i zakładam, że ten człowiek ma mnie na oku. Jeśli istotnie tak jest, musiał wiedzieć o wizycie tego dziennikarza. - Odchyliła się na oparcie krzesła, zbyt zmęczona, by odczuwać gniew. - Wie, że z nim rozmawiałam, a ponieważ ostrzegał mnie, więc... - Przerazona zamknęła oczy. - Wprowadził pogrożki w czyn. Tak więc to ty jesteś odpowiedzialny za ten pożar.

- Tak - powiedział. Otworzyła oczy i napotkała jego spojrzenie, uważne, bezpośrednie, obojętne. Spojrzenie policjanta. - Tak - powtórzył. - Wiem o pogrożkach. Od szeryfa.

- Od Caba.

- Tak, od Caba. Masz rację, to ja jestem odpowiedzialny za ten pożar.

## Rozdział 13

Todd wrócił spod prysznic w chwili, kiedy Nick był gotów wyznać wszystko. Zostałem uratowany, pomyślał. Na razie.

- Mam zrobić jajka czy coś? - spytał Todd. Miał zaczerwienione oczy i drżący głos. Stał na środku kuchni z rękami w kieszeniach zbyt dużych spodni. Ciągle sprawiał wrażenie wstrząśniętego.

Nick spojrzał na Portię, która była wyraźnie zaskoczona i nie bardzo wiedziała, co powiedzieć. Podeszła do chłopca i objęła ramieniem jego zgarbione plecy.

- Świetny pomysł. Umiesz zrobić jajecznicę, prawda? - spytała łagodnie, takim tonem, jakim przemawia się do dzieci, jednak Todd tego nie zauważył. Albo nie miał nic przeciw temu.

- Jajecznicę? Tak, umiem.

Portia odwróciła się do Nicka.

- Powinieneś wziąć prysznic.

- Posłuchaj - zaczął - mogę się wykapać później. Najpierw...

- Proszę, nie teraz. Chodź, pokażę ci, gdzie jest łazienka. Nie sądzę, żebym w tej chwili była w stanie z tobą rozmawiać.

Umyła wcześniej twarz, ale ramiona ciągle miała brudne. Na podkoszulek narzuciła męską koszulę, była bardzo blada. I piękna.

Ciągle miała bose stopy.

- No, chodź - ponagliła go, wsuwając włosy za uszy.

Nick dał za wygraną i poszedł za nią na górę po skrzypiących drewnianych schodach. Na drugim piętrze były trzy pokoje i dwie łazienki. Portia zajrzała do łazienki Todda, pokręciła głową i zaprowadziła Nicka do swojej.

- Jest wanna i prysznic, tam są ręczniki. Przyniosę ci jakieś ubrania Gary'ego. - Obrzuciła go szybkim spojrzeniem. - Będą pasowały - powiedziała i zniknęła.

Nick zamknął drzwi i spojrzał w lustro. Chryste, cały był pokryty sadzą i miał czerwone, zapuchnięte oczy. Nie zdawał sobie sprawy z tego, jak źle wygląda. Włosy nad czołem miał nadpalone i poskręcane, a na szyi oparzenie. Nie wiedział, skąd się tam wzięło.

W porządku, wygląda okropnie. Mógł się tego spodziewać, przeszedł przez piekło. Rozebrał się do naga i nie wiedząc, co powinien zrobić ze swoimi rzeczami, rzucił je na podłogę przy umywalce. Potem rozejrzał się dookoła. Tak, to była łazienka kobiety; koronkowa bielizna suszyła się przy oknie, półeczka pod lustrem była zastawiona perfumami, kremami i innymi kosmetykami, suszarka i wałki do włosów wystawały ze stojącego pod nią koszyczka. O Boże.

Prysznic wziął w wannie; widać było, że został zainstalowany znacznie później niż sama wanna - na wygiętych nóżkach, wielka, ciężka i staroświecka. Zasłonka była zapraszająco odsunięta do połowy.

Wszedł do wanny, zasunął zasłonkę i odkręcił wodę. Wysoko umieszczony prysznic działał tak wspaniale, że miałoby się ochotę stać pod nim przez cały dzień.

Mydło. Będzie musiał użyć jej mydła. Bo jakiego miałoby użyć? I szamponu. Ale kiedy otworzył butelkę i powąchał jej zawartość, doszedł do wniosku, że lepiej będzie, jeśli umyje włosy mydłem. W przeciwnym wypadku wyszedłby spod prysznicza wyperfumowany jak gej.

Mógłby stać pod strumieniem ciepłej, kojącej wody znacznie dłużej, ale uznał, że Portia też będzie chciała się umyć. Poza tym Todd robił jajecznicę i czekała go jeszcze rozmowa. No i ta cholerna stodoła, która właśnie spłonęła.

Niechętnie zakręcił wodę i sięgnął po ręcznik. Wytarł się pobieżnie, a potem wyszedł z wanny na matę. Gwen byłaby ze mnie dumna, przemknęło mu przez myśl. Nagle stanęły mu przed oczami kochanka Gwen wychodząca z wanny i Gwen podająca jej ręcznik. Jezu.

Dostrzegł porządnie poskładane męskie ubranie przy umywalce. Jak...? Cóż, najwyraźniej Portia weszła do łazienki i zostawiła je tu, kiedy brał prysznic. A gdyby akurat w chwili, kiedy tu była, odsunął zasłonkę? Ale nie zrobił tego, poza tym ona słyszała lejącą się wodę i wiedziała, że może wejść. Oczywiście. A jednak to byłoby interesujące, gdyby nagle stanął zupełnie nagi przed Portią w obcisłej koszulce, pod którą tak ładnie rysowały się jej drobne piersi...

Daj spokój, Sinestra, pomyślał, uważnie wieszając ręcznik na

haczyku i spoglądając na rzeczy Gary'ego Wellsa. Jej mąż nie żyje. Po co ciągle jeszcze trzymała w domu jego ubrania?

Dzinsy były trochę za duże, workowate, ale powinny leżeć całkiem nieźle. Biały podkoszulek także. Na koszulę, bawełnianą, kraciastą, z długimi rękawami, było zbyt gorąco. Włożył własne skarpetki, wilgotne, ale dość czyste - buty zostały na ganku - i podniósł stertę swoich ubrań. Zostawi je w motelu. W tej chwili chciał tylko jak najszybciej wyjść z zaparowanej, gorącej łazienki, w której suszyła się koronkowa bielizna i wszystko pachniało egzotycznymi kwiatami. Od tego słodkiego, mdlącego zapachu zaczęła go boleć głowa.

Portia minęła go na schodach.

- Znalazłeś wszystko? - spytała tylko i zamknęła za sobą drzwi sypialni. Prawdopodobnie zmierzała do tej samej łazienki, którą on właśnie opuścił. Starał się nie wyobrażać jej sobie, jak podnosi ramiona, by zdjąć tę cienką koszulkę, jak zsuwa spodnie z wąskich bioder. Jej białego ciała, kontrastującego z opalonymi rękami. Wejdzie pod prysznic, weźmie do ręki mydło - to samo, którego on używał - i przesunie nim wzdłuż nóg i piersi, a potem między nogami, i...

Ocknął się nagle. Był w kuchni, a ten chłopak, Todd, mówił coś do niego.

- Słucham? - wymamrotał Nick.

- Pytałem, czy chcesz, żebym to wyrzucił. Twoje ubrania.

- Ach, to. Nie, wezmę je do samochodu. Zaraz wrócę. Jak tam jajka?

- Skinął głową w stronę patelni.

- Chyba będą dobre.

- Dobra, zamieszaj jeszcze, a ja zaraz wracam.

Jajecznicą była trochę gumowata, ale kogo to obchodziło? W tej chwili jedzenie miało im po prostu przywrócić siły.

Todd usiłował jeść, ale ręce ciągle mu drżały. Nick zjadł trochę jajek i odgryzł kawałek grzanki, słuchając szumiącej w rurach wody - łazienka Portii znajdowała się dokładnie nad kuchnią. Ciągle miał przed oczami jej ciało, jej uniesione ramiona...

- Dobrze się czujesz? - spytał Todda, widząc nietknięte jajka na talerzu chłopca.

- Nie jestem głodny.

- To adrenalina.

- Dlaczego wszedłeś do stodoły?

Nick odłożył widelec.

- Dobre pytanie. Sam nie wiem. Zobaczyłem ogień i pomyślałem, że ktoś może być w środku. Wiesz, i nie może wyjść.

Todd patrzył na niego z podziwem.

- Nigdy... nigdy nie widziałem czegoś takiego. To było... wielkie.

- Taa... - Nick upił łyk kawy. - Cóż, nikomu nic się nie stało, więc mogło być gorzej.

- Nasz dom mógł spłonąć - powiedział Todd poważnie.

- Ale nie spłonął.

- Wujek Randy jest naprawdę wściekły. Uważa, że to wina Portii.
  - Słyszałem.
  - To naprawdę jej wina?
  - Nie - odparł Nick, kurcząc się w sobie.
  - Ale gdyby nie została prezesem fundacji...
  - Słuchaj, Todd, to nie jest wina Portii. Twój wujek był po prostu zdenerwowany.
  - Więc to był wypadek?
  - Tego nie wiem. Nikt tego jeszcze nie wie. Będzie dochodzenie i dowiemy się, co się wydarzyło.
  - Prowadziłeś kiedyś śledztwo w sprawie pożaru?
  - Nie! - Nick się uśmiechnął. - To leży w gestii wydziału szeryfa. Są tam specjaliści od podpaień.
  - Więc czym się zajmujesz?
  - Jestem w departamencie policji Nowego Jorku.
- Chłopiec zmarszczył brwi.
- Wiesz, narkotyki. - Nick pochylił się nad stołem i zniżył głos. - Prostyucja.
  - Rany.
  - Przewinienia internetowe.
  - Ekstra. - Todd starał się zachowywać jak dorosły, ale widać było, że ciągle jest roztrzęsiony. - To było naprawdę straszne - powiedział, spuszczać oczy. - A kiedy wyszedłeś ze stodoły i w ogóle... jak kula

ognia...

- To nie było z mojej strony zbyt rozsądne.

- Uratowałeś moje siodło... jeździłem na nim, kiedy byłem mały.

- Serio?

- Aha. Tata kupił mi je, bo byłem za mały, żeby jeździć w normalnym siodle. Miałem też kucyka.

- Twój tata musiał być wspaniałym facetem.

- Tak. - Todd bawił się widelcem, rozgrzebując jajecznicę na swoim talerzu. - Ten pożar był gorszy niż na filmach. - Potrząsnął głową. - Było tak gorąco.

- Tak.

- Wiesz, inaczej jest zobaczyć coś, co się dzieje naprawdę.

- Bo to takie bezpośrednie, prawda?

- Tak, chyba tak.

- Zjadłeś już?

Todd spojrzał na swój talerz, pełen zimnej jajecznicy i się skrzywił.

- Tak.

- Więc posprzątajmy tu trochę. Trzeba pomóc Portii.

Todd zebrał naczynia ze stołu, a Nick opłukał talerze i włożył je do zmywarki.

- Ja nie mam zmywarki - powiedział.

- Nie masz zmywarki?

- W Nowym Jorku wielu ludzi nie ma zmywarek. Zmywarki za



bardzo obciążają system kanalizacji. Wiesz, tysiące ludzi w tym samym czasie włączają te urządzenia...

- Nigdy nie byłem w Nowym Jorku. Tylko raz w Seattle i raz w Los Angeles. Ale chciałbym zobaczyć Nowy Jork.

- Mam dodatkowy pokój.

- Portia by mi nie pozwoliła.

- Dlaczego nie?

Todd wzruszył ramionami.

- Nie wiem. Ona za bardzo się martwi.

- Jak to kobieta.

- Tak.

Nick chciał położyć szklanek na suszarce, ale uderzył nią o kran. Rozprysła się w drobny mak.

- Kurwa - mruknął odruchowo. - Przepraszam - dodał zaraz.

Todd spojrzał na niego znacząco.

- Jakbym nie znał tego słowa.

- Co zrobimy?

Todd ostrożnie powybierał kawałki szkła z umywalki i wrzucił je do kosza na śmieci, a potem przykrył kawałkiem papieru.

- Nie zauważy. Te małe odłamki spłuczemy wodą.

- Robiłeś to już wcześniej.

- Nie raz.

- Chyba chodziliśmy do tej samej szkoły dla kucharzy.

Todd uśmiechnął się i podniósł rękę, a Nick przybił piątkę z głośnym plaśnięciem. W tej chwili do kuchni weszła Portia.

- Co jest? - spytała, przenosząc wzrok z Nicka na Todda i z powrotem.

Nick wzruszył ramionami.

- Nic - odparł Todd. - Lepiej pójdę sprawdzić, czy wuj Randy nie potrzebuje mojej pomocy - powiedział i wyszedł.

- Umyłście naczynia - powiedziała Portia. - Dziękuję.

- Nie ma sprawy.

Miała na sobie krótkie spodenki i podkoszulek. Zauważył też, że włożyła stanik. Jej włosy ciągle były wilgotne, skóra zaróżowiona. Była bardziej opanowana, ale wydawała się też odległa i skryta. Bez makijażu była równie piękna jak w eleganckim stroju na bankiecie. I wtedy, kiedy jechała z nim samochodem. Wyglądała młodo, ślicznie i niewinnie. A on tak ją urządził. Przez niego spłonęła jej stodoła. I zrobił to dla pieniędzy.

- Usiądź - powiedziała, podchodząc do niego z tubką jakiejś maści.

- Co to?

- Na oparzenia.

Dotyk jej palców na jego szyi wywołał u niego dziwny dreszcz. Zamknął oczy. Teraz zaczęła smarować jego ramiona. Oddychał płytko, dostał gęsiej skórki.

- No - powiedziała w końcu. - Lepiej?

- Eee... tak, lepiej... Dziękuję. Chcesz jajecznicy? Zostawiłem trochę

dla ciebie - dodał zbyt szybko.

Portia wzięła talerz z szafki, nałożyła na niego jajecznicę i włożyła go do kuchenki mikrofalowej. Potem wsadziła kromkę chleba do testera. Poruszała się po kuchni z mimowolną gracją.

- Kawy? - spytał.

Spojrzała na niego, zaskoczona, jakby zapomniała o jego obecności.

- Kawy... Tak, chyba tak.

Nalał kawy do kubka. Wzięła go z roztargnieniem do ręki i podniosła do ust. Mikrofalówka zaczęła rytmicznie popiskiwać, z testera wyskoczyła grzanka. Portia postawiła talerz na stole, obok niego kubek z kawą, usiadła i wzięła widelec do ręki. Po chwili odłożyła go i spuściła głowę.

Nick stał z rękami skrzyżowanymi na piersiach, opierając się o kuchenny blat, i patrzył na nią. Miał ochotę podejść i położyć jej dłoń na ramieniu, pogłaskać ją po głowie, powiedzieć, że wszystko potoczy się lepiej, niż myśli. Chociaż na razie było kiepsko. A właściwie bardzo źle.

Kiedy w końcu spojrzała na niego, dostrzegł w jej oczach łzy.

- Portia - zaczął.

- Nie stać nas na odbudowę stodoły - powiedziała głosem, który rozdarł mu serce. - I nie stać nas na kupno siana. I...

Zbliżył się, odsunął krzesło i usiadł obok niej. Dotknął jej dłoni, spoczywającej na stole.

- Nie myśl o tym teraz.

- Muszę o tym myśleć. Właśnie złożyłam podanie o odnowienie pożyczki w banku.

- Masz ubezpieczenie?

- Tak, ale jeśli z niego skorzystam, składki pójdą w górę i... -  
Przyłożyła dłoń do czoła i zamknęła oczy.

- Ja zapłacę za twoją stodołę - powiedział nagle, zaskoczony własnymi słowami.

Otworzyła oczy i spojrzała na niego.

- Ty?

- Tak, ja.

- Jak... jak może cię być stać na coś takiego?

- Stać mnie, wierz mi.

- Wierzyć ci?

Przyszedeł czas na szczerość.

- Mogę wybudować dla ciebie nową stodołę. Przynajmniej tyle jestem ci winien.

Nie odpowiedziała, patrzyła tylko na niego, czekając. Dostrzegł, że miała zielone oczy. Zabawne, nie widział tego wcześniej.

- Posłuchaj... - Zawahał się, tłumiąc naturalny odruch, by nieco polukrować prawdę. - Mam jeszcze inną pracę. Jestem informatorem „Star Gazera” i nieźle mi za to płacą. Chciałbym odbudować twoją stodołę. Przynajmniej tyle mogę zrobić.

Portia milczała. Nick spuścił oczy, nie mógł wytrzymać wyrazu bólu

na jej twarzy.

- Już się tego domyśliłaś - ciągnął. - Tak, śledziłem cię w Nowym Jorku. Pojechałem za tobą do twojej matki. Potem przysłali mnie tutaj, żebym dowiedział się więcej. Ten facet... Donaldson... on też pracuje dla „Star Gazera”.

- Czy teraz czujesz się lepiej? - spytała spokojnie.

- Nie.

- Więc po co mi to wszystko mówisz?

- Posłuchaj, Portio, czuję się okropnie. Twoja matka, Donaldson, stodoła.

Patrzyła na niego uważnie.

- Więc nie uważasz, że pożar był wypadkiem?

- Do diabła, nie.

- Ja też nie.

- Domyślasz się, kto to mógł zrobić?

- Tak, ale nie wiem, czy powinnam ci mówić.

- Patrick Mahoney - powiedział.

- Skąd...?

- Jestem gliną.

- No tak.

- Przysięgam, dowiem się, kto podpalił twoją stodołę.

- Nie musisz wracać do pracy?

- Mam miesiąc urlopu.

- Och.

- Dowiem się, kto to zrobił. Przygwożdżę tego człowieka. Czy to Mahoney, czy ktoś inny.

Portia się skrzywiła. Widział, że nie wierzyła w ani jedno jego słowo.

- Znajdę go. I zapłacę za twoją stodołę.

Powoli pokręciła głową, po jej policzku spłynęła łza. Starła ją ręką.

- Pozwól mi to zrobić.

- Dlaczego? - spytała szeptem.

- Powiedziałem ci, dlaczego.

Spojrzała mu w oczy. I nie powiedziała „nie”. Domyślił się, że jest naprawdę zdesperowana.

- Ci ochroniarze...

- Tak?

- Są do niczego. Wpuścili na rancho podpalacza. Nie wiem, kto ich wynajął, ale to chyba jakiś żart. Potrzebujesz porządnej ochrony, mogę się dowiedzieć, które firmy cieszą się dobrą opinią w okolicy. Ci dwaj to wyrzucone pieniądze.

- Aaron ich wynajął. Ufam mu. On wie, co robi.

Aaron. Ten siwy facet, który był z nią na bankiecie.

- Jaki Aaron? - spytał niewinnie.

- Aaron Burkhart. Mój bardzo dobry przyjaciel.

Przyjaciel.

- Ach tak, czy to nie on był z tobą na bankiecie w Nowym Jorku?

- Tak, to on.

- Cóż, twój przyjaciel Aaron, niestety, niewiele wie o ochronie.

Portia zacisnęła zęby.

- Ufam mu bezgranicznie.

- W porządku. - Nick żałował, że nie ma odwagi spytać ją, czy mógłby zostać na ranczu. Nie znał Burkarta, ale z pewnością nie podobali mu się wybrani przez niego goryle. Czułby się lepiej, gdyby mógł tu zamieszkać i mieć Portię na oku. I Todda. I wszystko inne. Ale prędzej kaktus wyrośnie mu na dłoni, niż Portia zgodzi się, aby został w jej domu.

Będzie musiał wrócić do Denver i tam się o nią martwić. Zacznie wtykać swój policyjny nos, gdzie się da, w nadziei, że czegoś się dowie.

- Posłuchaj, jeśli nie chcesz nic zrobić ze swoją ochroną, to przynajmniej nie dawaj już nikomu powodów do pogroźek. Lepiej, żeby nie widywano cię rozmawiającej z policją czy nawet z Cabem. A zwłaszcza z prasą.

- W porządku.

- Dobrze. I nigdzie nie chodź sama. Jeśli znowu ktoś zechce się do ciebie zbliżyć, na pewno będzie wolał to zrobić bez świadków. Więc zawsze musisz mieć towarzystwo.

- Nie jestem pewna, czy...

- Posłuchaj, Portio, traktuję to poważnie. I myślę, że ty też powinnaś. Naprawdę poważnie. - Ta kobieta wyzwalała w nim opiekuńczość. Nie

udało się to dotychczas żadnej innej, ani Gwen, ani małej twardej Mii.

- Naprawdę myślisz, że...

- Tak, naprawdę. Najpierw pogróżki, potem pożar. Zaraz po tym, jak przyjechałaś stanowisko prezesa Fundacji Ochrony Przyrody. Jak mawiamy w policji, nieroztropnie jest ignorować zbiegi okoliczności.

- O Boże - westchnęła i położyła dłoń na ustach.

- Wszystko będzie dobrze. Bądź po prostu ostrożna, a nic ci się nie stanie. A ja będę niedaleko. Zatrzymałem się w King Motel w Denver. Dam ci swój numer telefonu.

- Naprawdę możesz się dowiedzieć, kto podpalił moją stodołę?

- Jasne.

- Ale nie rozumiem, dlaczego to robisz - powiedziała, patrząc „a niego.

- Powiedziałem ci... To ja cię w to wpakowałem. Do diabła, nie wiem, jak ci to wytłumaczyć. Chyba chodzi o to, że czuję się odpowiedzialny. - Odwrócił wzrok i zaczął bębnić palcami po stole. - Próbuję cię w ten sposób przeprosić. Naprawić to, co spieprzyłem.

- Rzeczywiście, przeproszenie nie jest twoją najmocniejszą stroną. Więc się nie wysilaj... chciałabym, żebyś mi powiedział, jeśli się czegoś dowiesz. Może będę mogła ci pomóc. Może...

- Umowa stoi. Masz mój numer. Zadzwoń, jeśli coś się wydarzy. Cokolwiek. Będę w kontakcie z Cabem, dobrze?

- Aha.



- Nie martw się, słyszysz?

- Słyszę.

Ale kiedy wracał do Denver w blasku letniego poranka, ciągle miał przed oczami jej nieufne oczy. Niedobrze mu się robiło na myśl o tym, co zrobił. Na co ją naraził. I po co?

Jechał szybko przez surową zbrązowiałą prerię, w promieniach słońca, które wznosiło się powoli coraz wyżej na bezchmurnym, szafirowym niebie.

Dla pieniędzy, pomyślał. Zawsze chodzi o pieniądze. Zdradził tę śliczną, miłą kobietę dla pieniędzy.

## Rozdział 14

Zakupy zawsze go irytowały. Najgorzej było w dużych centrach handlowych, gdzie niemiłosiernie się pocił. Zazwyczaj prezenty na Boże Narodzenie i urodziny domowników kupował zaraz po przekroczeniu drzwi Bloomingdale's. Całe pierwsze piętro zajmowały kosmetyki. Wchodził do domu towarowego ze spoconymi, lepкими dłońmi, wybierał pierwsze z brzegu drogie perfumy, wyciągał kartę kredytową i prosił ekspedientkę o opakowanie zakupu. Chodziło o papier firmowy. Kogo by obchodziła jego zawartość? Prezent zawsze można było wymienić.

Ale znalazł się w Denver, które pod względem zakupów było terenem zupełnie mu obcym, a on rozpaczliwie potrzebował Jakichś sportowych, może nawet westernowych, ciuchów: dżinsów, kilku koszul i tak dalej. Zatrzymał dżinsy Gary'ego, ale, do diabła, ciągle zjeżdżały mu z tyłka.

Za Colt dostrzegł wielkie centrum handlowe tuż przy County Line Road. Nazywało się Park Meadows. W porządku, tu nie będzie tanich koszul z poliestru i spodni za dziewięć dziewięćdziesiąt pięć. To Denver, Kolorado. A on właśnie opuścił Portię i powinien skoncentrować się na niej, na jej problemach, na Patricku Mahoneyu lub innej szumowinie, która spaliła jej stodołę. Powinien skupić się na sprawie, jak zawsze,

kiedy pracował. Zamiast tego zawracał sobie głowę zakupami. Weź się w garść, Sinestra.

Wziął się w garść, zjechał z autostrady, wjechał na parking, znalazł miejsce i zapamiętał je, a potem ruszył po rozgrzanym do miękkości asfalcie w stronę centrum handlowego.

Tam znowu pot wystąpił mu na czoło. Wszędzie było pełno kobiet z wózkami; grupki nastolatków, młode pary trzymające się za ręce i oglądające wystawy, wrzeszczące dzieci i mężczyźni, którzy siedzieli na ławkach pod gigantycznymi roślinami w donicach i wyglądali tak, jak Nick się czuł.

Levi's. Dzięki Bogu. Wiedział, że zapłaci tam za dzinsy więcej niż gdzie indziej, ale kogo to obchodzi? A skoro już tu trafił, kupi też kilka koszul. Będzie ich potrzebował; powiedział Portii, że chce odkryć, kto podpalił stodołę, i miał zamiar to zrobić. A to zajmie mu trochę czasu.

Kupił dwie pary pięćset jedynek oraz dwie gładkie koszule z krótkim rękawem i wyszedł ze sklepu uboższy o sto dolarów, ociekając potem, jakby właśnie wyszedł spod prysznica. Po atmosferze w centrum upał na parkingu wydawał się całkiem do zniesienia. W motelu czekała na niego wiadomość od Berna.

- Cześć, Nick, zadzwoń do mnie. Jest coś nowego w sprawie tej Wells? Chciałbym zamieścić coś na ten temat w jutrzejszym wydaniu.

Jasne, pomyślał, w sprawie tej Wells jest wiele nowego. Ale postanowił, że Bern nie dowie się na ten temat niczego. Już nigdy.

Nie miał czasu, żeby się zdrzemnąć, więc wziął kolejny prysznic i włożył nowe ubranie, żałując, że nie kupił paska do dżinsów. Ale co tam, właściwie go nie potrzebował.

Ubrania Gary'ego leżały na łóżku. Czy powinien je wyrzucić? Jezu, facet nie żyje od roku. Portia nie ma chyba zamiaru trzymać jego ubrań jako relikwii. A może miała?

Potem zaczął myśleć. Tak, zwróci jej te ubrania. Będzie to doskonały pretekst, żeby znowu się z nią spotkać. Jakby ona naprawdę mogła chcieć go oglądać. Nie miał jej tego za złe. Sam nie mógł patrzeć na siebie w lustrze. Nigdy nie wynagrodzi jej tego, co zrobił. Zdawał sobie z tego sprawę. Mimo to chciał załatać choć kilka dziur, jakie za jego sprawą powstały w jej życiu.

Zacznie natychmiast.

Włożył do kieszeni kluczyki, drobne monety, kilka banknotów i policyjną odznakę. Wyszedł z motelu. Miał misję.

Jako nowojorczyk, w dodatku nawykły do długich spacerów, poszedłby chętnie pieszo na Cherokee Street, gdzie znajdował się budynek departamentu policji Denver, ale w tym upale uznał, że lepiej będzie, jeśli weźmie samochód. Poza tym w schowku na rękawiczki trzymał rewolwer i nie chciał zostawiać samochodu przed motelem.

Znalazł miejsce na Cherokee Street. Zaparkował przed jednym ze sklepów, było ich tam sporo. Najbardziej podobał mu się Mary Ellen's Bail Shop. Uśmiechnął się do siebie. Mary Ellen była prawdziwym

skarbem.

Budynek departamentu policji przylegał do dużego, otoczonego murem dziedzińca zakładu karnego. Jasne, pomyślał Nick, zakład karny. Więzienie to więzienie, bez względu na to, jak się nazywa.

W klimatyzowanym, na szczęście, wnętrzu podszedł prosto do stojącego za długim blatem sierżanta i wyjął odznakę. Powiedział, że jest na urlopie i spytał, czy ktoś mógłby go oprowadzić. Sierżant wydawał się zadowolony - policyjna więź - i zadzwonił do zastępcy komendanta. Kiedy rozmawiał z Chuckiem DeLuccą, dostrzegł duży napis na ścianie, który głosił: **ZAKAZ WSTĘPU BEZ DOWODU TOŻSAMOŚCI ZE ZDJĘCIEM.** Pod napisem stały monitor i cała, bardzo nowoczesna, aparatura. Cóż, po jedenastym wrześniu zaostorzono procedury.

Mniej więcej pięć minut później Chuck DeLucca wyszedł z jednej z wind i pozdrowił Nicka.

- Witam - powiedział. - Z Nowego Jorku?

- Tak, to ja. Nick Sinestra. - Pokazał DeLuccie odznakę i razem przeszli przez bramkę. - Proszę mi mówić po imieniu, dobrze?

- Jasne. Ja jestem Chuck, w skrócie Chuck. Moim rodzicom brakowało wyobraźni.

- Czy naprawdę nie sprawiam kłopotu? - spytał Nick.

Chuck nacisnął guzik.

- Kłopot? Cała ta robota to jeden wielki kłopot. A mówiąc poważnie, nie, naprawdę bardzo chętnie cię oprowadzę. Pracuję od miesiący nad

tymi cholernymi oszustwami w polisach ubezpieczeniowych, więc jakakolwiek przerwa jest mile widziana.

- Wiem coś o tym. - Nick się uśmiechnął.

Oczywiście nie przyszedł tu na wycieczkę. Przyszedł zebrać informacje. Ale Chuck nie musiał o tym wiedzieć.

Na czwartym piętrze Chuck przedstawił go swojemu partnerowi Leddy'emu Heckshore'owi. Podczas gdy Chuck był szczupły i żyłasty, jego partner przypominał pączka w maśle. Razem wyglądali jak Flip i Flap. Nick był pewny, że koledzy żartowali z tego za ich plecami, a może i całkiem otwarcie.

Było tu pełno biurk oddzielonych od siebie cienkimi ściankami, na końcu sali znajdowały się drzwi gabinetu komendanta. Zapach tego pomieszczenia wydał się Nickowi boleśnie znajomy: dym papierosowy - mimo znaków zabraniających palenia - pot, adrenalina, papier do kserokopiarek, przegrzany sprzęt elektroniczny, skóra i stal.

Umeblowanie było jakby żywcem przeniesione z okręgu szóstego. Zaplamione kawą blaty starych biurk i stare komputery obklejone notatkami na kolorowych karteczkach, czasem tak spłowiałymi, że niemal nieczytelnymi. Dostrzegł kubki ze styropianu, pudełka po pizzy, kubki z symbolami drużyn sportowych. Na Jednym z monitorów stała ludzka czaszka, bez wątpienia prawdziwa. Ktoś wcisnął jej peta pomiędzy zęby. Marynarki i broń wisały w skórzanych kaburach, na oparciach krzesel.

- Jak w domu - powiedział Nick.

Chuck i Leddy kiwnęli głowami. Jak na mszy w kościele.

Nick usiadł i wdał się w pogawędkę z policjantami. Gadka o pracy. Był zadowolony. Zabrali go na lunch do pobliskiej knajpy, gdzie dalej gadali o robocie, śmiali się i żartowali. Za oknem policja zatrzymała furgonetkę pełną nastolatków - schowek na rękawiczki mieli cały wypchany koką. Nick obserwował akcję, jedząc żeberka i odczuwając szczerą tęsknotę za Village i Gilem. Postanowił, że wieczorem zadzwoni do Gila i dowie się, co się dzieje z Dougiem. Tak.

W budynku departamentu Chuck i Leddy zaproponowali, że po pracy spotkają się z nim w LoDo. Nick na to właśnie miał nadzieję.

- Wiesz, że Yankees są teraz w Denver? Grają dziś wieczorem w Coors Field. Moglibyśmy obejrzeć mecz w pubie. Co ty na to, Nick?

- Jesteśmy umówieni.

- Robimy zakłady, kto wygra.

- Wchodzę.

Spotkał się z nimi o szóstej. Do siódmej zdążyli już wypić kilka piw. Telewizor był duży, Rockies prowadzili dwoma punktami. Nadszedł czas przycisnąć trochę nowych przyjaciół.

- Słyszeliście o tym pożarze na ranchu koło Colt? Stodoła spłonęła.

- Pożar? Nie. Ale jeśli interesują cię pożary, to witaj w Kolorado. Od pięciu lat mamy tu suszę, w tej chwili w całym stanie szaleje jakieś sześć czy siedem pożarów.

Nick kiwnął głową.

- Dziwne, że nie czuć tu dymu.

- Wczoraj było czuć. I wkrótce znowu będzie, jak tylko wiatr zmieni kierunek. Szczypie w oczy jak diabli. Ludzie z astmą i chorobami płuc nie są w stanie wytrzymać.

- Nie wątpię. Pewnie pożar stodoły to teraz nic wielkiego.

Leddy wzruszył ramionami. Miał pełne usta smażonej cebuli. Jadł właśnie dokładkę.

- Ta stodoła była na Wellspring Ranch - ciągnął Nick. - Czy to nie...?

- Tak, Gary Wells - powiedział Chuck. - Teraz ranczem zarządza jego żona, Portia. Wiesz, że jej matką była Judith Carr?

- Nie była - powiedział Nick - tylko jest. Tydzień temu widziałem jej zdjęcie w jakimś brukowcu. Podobno mieszka gdzieś pod Nowym Jorkiem.

- Tak - wtrącił się Leddy. - Ja też widziałem to zdjęcie. W „Star Gazerze”, jak mi się wydaje. Moja żona to kupuje.

- Gary Wells. - Nick zmarszczył brwi. - Czy to nie jakiś ekolog, czy coś w tym stylu?

- Prezes Fundacji Ochrony Przyrody. Zginął w wypadku samochodowym rok temu - powiedział Chuck.

- No właśnie... Zdaje się, że były jakieś wątpliwości co do tego, czy to istotnie był wypadek?

Leddy miał usta wypchane cebulą, więc pokręcił głową i przełknął.



- Nie, to był wypadek. O ile pamiętam. Tutaj pisały o tym wszystkie gazety.

- Wiecie - mruknął Chuck wpatrzony w szklany ekran - że żona przyjęła teraz jego stanowisko? Niedawno mówili o tym w telewizji. - Odwrócił się i spojrzał na Nicka. - Mówisz, że spłonęła jej stodoła? Kiedy?

- Podobno ubiegłej nocy, tak słyszałem. A właściwie nad ranem. Hej, nie sądzicie chyba, że została podpalona przez jakichś antyekologów?

- No, to chyba byłaby przesada - odparł Chuck. - Ale jestem pewny, że mnóstwo ludzi chętnie by się stąd pozbyło Portii Wells.

- A to dlaczego? - spytał Nick.

- Cóż, Fundacja Ochrony Przyrody zadziera z deweloperami w tej części kraju. Wiesz, próbują blokować pewne inwestycje.

- Naprawdę? Więc Portia Wells przyjęła stanowisko męża, który zginął w wypadku, i od razu płonie jej stodoła? Wydaje mi się to dość dziwne. Może Wells nadepnął na odcisk jakiejś grubej rybie. A teraz jego żona, pod tym samym sztandarem...

Dał policjantom kilka chwil na przemyślenie tej hipotezy, a potem ciągnął:

- No a poza tym, kto miał motyw?

- To jasne. - Leddy się zaśmiał. - Mahoney.

Nick uniósł jedną brew.

- Patrick Mahoney, gruba ryba w lokalnym budownictwie. Buduje

poła golfowe, kondominia, centra hippiczne. Same duże inwestycje dla sławnych i bogatych.

Chuck pokręcił głową

- A co ty możesz wiedzieć o centrach hippicznych, Leddy? Nie potrafiłbyś odróżnić konia od osła.

- Odczep się, stary. Umiem czytać i mam oczy. To więcej, niż można powiedzieć o tobie.

- Chłopcy, chłopcy - powiedział Nick z uśmiechem. - Odbiegamy od tematu.

- Odbiegamy od tematu, no, no - odparł Chuck. - Wy tam na Wschodzie naprawdę używacie takich określeń?

- Codziennie.

- Cóż, więc nie wyobrażaj sobie, że przyjadę do ciebie w odwiedziny.

Skierowanie rozmowy na interesujący go temat wymagało od Nicka pewnej finezji. Po kilku minutach pogawędki o bejsbolu powiedział:

- Więc naprawdę sądzicie, że ktoś taki jak Mahoney zaprzętałby sobie głowę Garym Wellsem? Wygląda na to, że Mahoney mógłby sobie kupić dziesięciu Wellsów. Po co miałby z nim walczyć?

- Wells miał przyjaciół. Wśród prawników i w każdym urzędzie w tym hrabstwie - odparł Chuck.

- Tak, a fundacja ma kasę. I to Wells rządził tą organizacją. - Leddy zebrał z talerza resztki ketchupu krążkiem cebuli.

- Gary Wells to nie był byle kto. Mógł w każdej chwili załatwić

Mahoneya - powiedział Chuck.

- Jak to? - spytał Nick.

- Z Wellsem trzeba się było liczyć, miał wpływy. I interesującą reputację. - Chuck spojrzał na Leddy'ego, a potem wzruszył ramionami.

- Ale to zostanie między nami, tak?

- Jasne. - Nick kiwnął głową.

- Cóż, Leddy był na akcji w pewnym drogim hotelu, jakieś trzy czy cztery lata temu. Natknął się na małą orgietkę. I jak myślisz, kogo tam zastał?

- Niech zgadnę - powiedział Nick. - Gary'ego Wellsa?

- Zgadza się. Wells i dwie smarkule, wszyscy jak ich pan Bóg stworzył, w jednym łóżku. A trzeba było zobaczyć, co się działo w drugiej sypialni - mruknął Leddy.

- Aresztowaliście Wellsa?

- Nie - odparł Chuck. - Wtedy dostaliśmy cynk o narkotykach, chodziło o kogoś innego. Ale powiedzieliśmy mu, że następnym razem będzie po nim.

Nick ściągnął wargi i skrzywił się z niesmakiem. Jezu, pomyślał. Jak mężczyzna, który miał Portię, mógł chcieć czegoś więcej? Ale wiedział, że władza i popęd są u niektórych mężczyzn sprzężone. Na ogół nie mają wtedy czasu, żeby zapiąć rozporek. Jednak zdradzać Portię... nie mógł tego pojąć. Czy ona o tym wiedziała albo chociaż podejrzewała? Czy siedziała sama na ranczu, rozpaczliwie pragnąc dzieci, i wyobrażała

sobie męża z kilkoma dziewczynkami w ekskluzywnym hotelu?

Wysłuchał jeszcze kilku anegdot o Mahoneyu, poza tym jednak niewiele się dowiedział. Po pierwsze, nie chciał wzbudzić podejrzeń. Po drugie, Yankees znowu wyszli na prowadzenie, Rockies niedługo pozostawali im dłużni i w pubie panował taki harmider, że nie słyszał własnych myśli.

Policjanci rozeszli się do domów przed dziesiątą, a Nick wrócił pieszo do motelu, pod którym zostawił samochód z rewolwerem, który - jak miał nadzieję - ciągle tkwił bezpiecznie w schowku.

Po drodze rozmyślał nad tym, czego się dowiedział. Z jednej strony Gary Wells, charyzmatyczny przywódca, człowiek wpływowy, przystojny, inteligentny działacz Fundacji Ochrony Przyrody, który najwyraźniej nie bał się wejść w drogę Mahoneyowi. Może przesadził, naraził Mahoneya na zbyt duże straty, blokując jakiś projekt. Więc ten postanowił rozwiązać problem.

Mahoney... Chuck twierdził, że facetem od pewnego czasu interesowała się prokuratura w związku z jakąś aferą łapówkową. „Wiesz, Mahoney kilka razy posmarował gdzie trzeba, zabierał urzędników do swoich ośrodków golfowych, takich jak w Cancun. Ma sporo na sumieniu, to pewne”.

Nick zauważył, że to dość powszechne praktyki. Cóż, większość inwestycji dochodzi do skutku, bo inwestorzy starają się, żeby komuś na tym zależało.

- Trochę oliwy i już wszystko idzie gładko, no nie? - powiedział.

Ale miejscowi policjanci na co dzień mieli do czynienia z innymi sprawami, w tym surowym klimacie większość z nich miała wiązek z pogodą. Zimowe zadymki i spowodowane nimi karambole na drogach albo odcięcie całych miast od świata. Wiosenne tornada i grad wielkości piłeczek golfowych, tłukący szyby w samochodach i budynkach. Letnie susze i pożary albo ulewne deszcze i powodzie. Policjanci z Zachodu mieli po kilka różnych nakryć głowy. Nick uznał ich pracę za bardzo interesującą, ale wolał swój własny śmietnik, miejskie uliczne akcje, które często zaczynały się od tego, że coś wydało mu się nie w porządku. Tak jak ubiegłej nocy, kiedy postanowił pojechać na ranczo.

Zatrzymał się w McDonalddie na Colfax Avenue, a potem ruszył w górę ulicy do motelu. Był bardzo zmęczony. Cholera, nie spał prawie od czterdziestu godzin. Chyba dopiero jutro zadzwoni do Gila.

Automatyczna sekretarka w motelowym pokoju błyskała czerwonym światelkiem. W pierwszej chwili pomyślał, że to może Portia, że może ma jakieś kłopoty... Niestety, znowu nagrał się Bern, który chciał wiedzieć, czy Nick ciągle zajmuje się sprawą.

- Zadzwoń do mnie, nawet jeśli nie dowiedziałeś się niczego nowego. Jasne, pomyślał Nick.

Włączył telewizor, zdjął dżinsy i podkreślił klimatyzację. Nie działa chyba jak należy. Zegar pokazywał dziesiątą czterdzieści pięć. Chyba już za późno, by zadzwonić do Portii? Może nie powinien jej przeszkadzać?

Może po pożarze ochrona wzięła się w garść.

Jego komórka była podłączona do ładowarki, więc sięgnął po motelowy telefon. Znalazł numer zapisany na kawałku papieru i wystukał go. Czuł, że nie zaśnie, jeśli się nie upewni, że u niej wszystko w porządku.

Odebrała po trzecim sygnale. Głos miała nieco senny, ale i trochę zniecierpliwiony. Nikt nie lubi, kiedy się go niepokoi telefonami o tak późnej porze.

- Och, Nick, to ty - powiedziała.

Nick usłyszał jakiś dźwięk, jakby siadała na krześle. A może był to szelest pościeli?

- Przepraszam, obudziłem cię? Bardzo mi przykro, jeśli...

- Tak, właśnie miałam się położyć - odparła teraz zirytowana.

- Posłuchaj - powiedział. - Zastanawiałem się właśnie, czy nie mógłbym przyjechać jutro, podrzucić ci ubrań Gary'ego i może zamienić kilka słów z Randym i jego żoną.

- Po co?

- Chciałbym im zadać parę pytań.

- Mówisz poważnie? Naprawdę się tym zająłeś? Co to ma być, jakaś kruczata? Męczycie cię poczucie winy?

- Poczucie winy, tak, bez wątplenia.

Westchnęła, ale tym razem był pewny, że było to westchnienie ulgi. Serce zabiło mu mocniej.

- Chyba możesz przyjechać - odparła w końcu. - Koło południa, dobrze?

- Jasne. Koło południa.

- A teraz chciałabym pójść spać.

- Jasne - powiedział, rozpaczliwie starając się nie wyobrazić jej sobie w łóżku. - Do jutra.

- Dobranoc.

- Dobranoc - powiedział i delikatnie odłożył słuchawkę, jakby nie chciał już w żaden sposób przeszkadzać Portii. Przesunął dłonią po oparzeniu na szyi i przypomniał sobie dotyk jej palców.

Wyłączył lampkę i położył się na łóżku, zmieniając kanały w telewizji. Ale cały czas myślał o Portii. Jeśli ma rozwiązać tę sprawę, będzie potrzebował jej pomocy. Cokolwiek się wydarzyło - podpalenie, może morderstwo. Ufała mu w Nowym Jorku, zanim odkryła prawdę. Podejrzewał nawet, że było w tym coś więcej niż zaufanie; może zainteresowanie? Policjant zawsze wie, kiedy kobieta jest zainteresowana. Takie rzeczy zdarzają się cały czas. Widział, jak na niego patrzyła w samochodzie, kiedy wracali od jej matki.

Tak, przeszył ją ten dreszczyk emocji, jaki w kobietach wzbudzają mężczyźni wykonujący niebezpieczne zawody, mężczyźni z bronią. Wtedy po prostu starał się o tym nie myśleć. Nie miał wyboru. Ale teraz... Co też by powiedziała, gdyby wiedziała, że przywiózł tu ze sobą broń? Czy byłaby zła, czy zafascynowana? Jasne, pięknie jest marzyć,

Sinestra.

Przewrócił się na drugi bok i uderzył pięścią w poduszkę. Cóż, u kobiety z klasą, takiej jak Portia, i tak nie ma żadnych szans, ale może sobie przynajmniej pofantazjować.

Teraz musi się skupić na jednym, powinien ją ochraniać. Wystawił ją na niebezpieczeństwo, więc jest jej to winny. Był to dług, który miał zamiar spłacić w całości.

Znowu przewrócił się na drugi bok i stwierdził, że nigdy nie zaśnie. Była to jego ostatnia myśl.



## Rozdział 15

Ładnie wyglądasz - powiedział Todd, a Portia poczuła rumieniec zakłopotania wypływający jej na twarz. - Co to za okazja?

- Czekam na faceta z Farmers Insurance. Pomyślałam sobie, że ubiorę się przyzwoicie.

Mogła powiedzieć, że w południe ma przyjść Nick i dlatego włożyła czyste dzinsy i białą lnianą koszulę w stylu safari. W końcu co obchodzi pracownika firmy ubezpieczeniowej, jak ona wygląda? Mogła odpowiedzieć Toddowi szczerze, ale nie chciała przyznać się sama przed sobą, że interesuje ją, co o niej myśli Nick.

Facet z ubezpieczeń przybył punktualnie, wraz ze specjalistą od podpałów.

- Pani Wells, to jest Fred Wygard z Denver - powiedział.

Wiedziała, że zajmą się przyczynami pożaru i odkryją, że użyto jakiejś łatwopalnej substancji. Uznają wtedy, że to celowe podpalenie, i będzie musiała dłużej czekać na pieniądze z ubezpieczenia. Cóż, nie miała na to wpływu.

- Więc uważacie, że pożar wzbudza pewne podejrzenia? - spytała.

- Tego jeszcze nie wiemy. W takich przypadkach zawsze przeprowadzamy rutynowe dochodzenie.

Czy powinna im powiedzieć, że ma pewne podejrzenia, kto podłożył ogień? Czy wolno jej wymienić nazwisko Mahoneya? Nie, nie może tego zrobić. Nie ma dowodów. Ale oni i tak będą rozmawiać z Cabem. Może on im powie. Lepiej, by zrobił to Cab niż ona. Gdyby Mahoney odkrył, że puściła farbę, mógłby ją dopaść bez trudu. Spalić całe ranczo. Zepchnąć ją z drogi.

Przyszedł Randy. Uścisnął dłonie obu mężczyznom, zupełnie ignorując przy tym Portię, i zaprowadził ich do dymiącego rumowiska, które jeszcze dwa dni temu było stodołą. Portia powlokła się za nimi, choć czuła się niepotrzebna. Specjalista od podpaleń wziął się do pracy, a facet z ubezpieczeń wdał się w rozmowę z Randym. Portia była ciekawa, czy Randy da się ponieść emocjom i podzieli się z nim teorią, w myśl której to ona, Portia, jest osobą odpowiedzialną za pożar. Ale nawet Randy nie był tak głupi. Wiedział doskonale, tak jak i ona, że dochodzenie opóźni nadejście czeku z ubezpieczalni.

Rozmawiali długo, cały czas nie zwracając na nią uwagi, kiedy zadzwoniła jej komórka. Odeszła kilka kroków dalej i odebrała. Dzwoniła Lynette, zmęczona przejściami ostatnich dni, ale w lepszym nastroju.

- Przepraszam za zachowanie Randy'ego wczoraj wieczorem. To znaczy przedwczoraj wieczorem. Cholera, przedwczoraj rano. Wiesz, on tak wcale nie myśli.

- Doprawdy - powiedziała Portia.

- Tak, wiedziałam, że mi nie uwierzysz. Ale to prawda, Randy od dwóch dni bardzo źle się czuje z powodu tego, co powiedział.

- Hm.

- O, nie możesz rozmawiać?

- Zgadza się, są tu Randy i dwie osoby z ubezpieczalni.

- Cholera. A chciałam, żebyś mi opowiedziała wszystko o twoim policjancie.

Portia odeszła jeszcze kawałek dalej.

- To nie jest mój policjant - wyszeptała.

- Więc skąd się wziął przy stodole? To znaczy, pomyślałam, cóż... że był u ciebie czy coś w tym rodzaju.

- To długa historia.

- No to zostaw tych ludzi z Randym i opowiedz mi wszystko. Umieram z ciekawości.

Portia zastanawiała się przez chwilę.

- Zaczekaj - powiedziała w końcu do Lynette, po czym zwróciła się w stronę mężczyzn. - Będę w domu, gdybyście mnie potrzebowali! - zawołała. Prawie nie zwrócili na nią uwagi. Męski świat. Do diabła z nimi, pomyślała.

Wyjaśnienie Lynette, skąd Nick wziął się na ranczu, zajęło całą wieczność. Spojrzała na zegarek, dochodziła dwunasta.

- Posłuchaj - powiedziała - on tu będzie lada chwila. Muszę przygotować lunch i...

- Twój policjant przyjeżdża dzisiaj?

- Nie podniecaj się tak. Przyjeżdża, bo chce porozmawiać z tobą i Randym. No, z Randym.

- Ale dlaczego?

- Lynette, on jest policjantem. Mówi, że dowie się, kto podpalił stodołę. Prowadzi dochodzenie, jak sądzę.

- Ale dlaczego chce rozmawiać z nami?

- Dlatego, głuptasku, że to także wasza stodoła.

- Och. No tak. Więc kiedy tu będzie?

- Niedługo. Dam mu jeść i przyprowadzę go do was... powiedzmy... koło pierwszej.

- O mój Boże, muszę tu trochę posprzątać - rzuciła Lynette i odłożyła słuchawkę.

Nick przyjechał w chwili, kiedy Portia kończyła robić kanapki z kurczakiem i sałatą. Położyła żółte podstawki pod talerze na kuchennym stole, a potem posypała lekko kurczaka curry, co było jej kucharską tajemnicą.

To śmieszne, jak się starała dla tego człowieka. Jak czekała na jego wizytę, jak starannie się ubrała. Umyła włosy, pociągnęła rzęsy tuszem, nawet Todd to zauważył.

Nick jest przecież zupełnie obcy. W dodatku to on wydał ją na pastwę tego brukowca. Śledził ją i okłamywał. A jednak nie mogła się doczekać jego przybycia.

Po co właściwie zadzwonił do niej wczoraj wieczorem? Pytał, czy wszystko w porządku. Dlaczego obchodzi go, co się z nią dzieje? I co właściwie robił na ranczu o trzeciej nad ranem, w samą porę, by dostrzec pożar w stodole?

Zapukał do drzwi i poszła, aby mu otworzyć. Dziś wyglądał znacznie lepiej, wypoczęty, w czystym ubraniu. Miał na sobie nowe dżinsy i koszulę, która nosiła jeszcze ślady zgięć.

- Cześć - powiedział.

- Cześć.

Wszedł do domu.

- Kurczę, ale upał.

- Owszem.

- Przynajmniej jest sucho - powiedział, uśmiechając się kącikiem ust.

Z tym uśmiechem wyglądał młodziej i trochę figlarnie. Jak jakieś greckie bóstwo, które pozwoliło sobie na żart w stosunku do Zeusa, pomyślała, ale zaraz skarciła się w duchu. Żałosna samotna kobieta zafascynowana seksownym policjantem. Draniem, który przysporzył jej tyle bólu. Jesteś idiotką, Portia.

- Wiesz, ci twoi ochroniarze mogli przynajmniej zadzwonić, żeby dać ci znać, że przyjechałem - powiedział.

- Pewnie cię zapamiętali.

- Są do niczego.

- Nie chcesz chyba znowu zaczynać?

- W porządku, zapomnijmy o tym. - Wzruszył ramionami. - Chciałem ci przywieźć rzeczy, które mi pożyczyłaś, ale nie miałem czasu ich wyprać.

Machnęła ręką.

- Nie przejmuj się tym.

- Przeszkodziłem ci w czymś?

- Właśnie przygotowywałam lunch.

- Lunch.

- Kanapki z kurczakiem. Jesteś zaproszony.

- Na pewno...?

- Och, na litość boską. To tylko lunch.

- Rzadko jadam regularnie. Zazwyczaj po prostu kupuję coś na mieście.

- To chyba niezdrowo.

- Zapewne.

- Cóż, siadajmy. Todd jest z Hernandem, pojawi się, jak skończą pracę. A Randy rozmawia teraz z facetem od ubezpieczeń. Mamy do nich pójść koło pierwszej.

Jedli kanapki, popijając mrożoną herbatą.

- Bardzo dobre - powiedział Nick.

Nuta nostalgii za domowymi posiłkami w jego głosie obudziła jej ciekawość.

- Ty... eee... nie gotujesz dla siebie?

- Bardzo rzadko.
- Jesteś zbyt zajęty?
- Zbyt leniwy - powiedział, podnosząc szklanę do ust.
- Zakładam, że nie jesteś żonaty?
- Rozwiedziony. - Podniósł na nią wzrok. - Nie mam dzieci.

Czy rzeczywiście powiedział to z żalem, czy tylko jej się wydawało?  
A może przeniosła na niego swoje własne uczucia?

Skończyli lunch dobrze przed pierwszą. Portia włożyła naczynia do zmywarki i zaproponowała, by usiedli na werandzie, gdzie wiał letni wiaterek.

Nick był spięty. A może to ona czuła się nieswojo? A jeżeli chodziło tylko o pożar? Może po prostu czuł się winny? Miała ochotę zadać mu wiele pytań, ale nie chciała być wścibska. Nie wyglądał na faceta, który chętnie opowiadałby o tym, dlaczego się rozwiodł ani dlaczego został policjantem. Ani o tym, co naprawdę robił na ranchu o trzeciej w nocy.

Nie ufała mu i wiedziała, że nie uwierzyłaby w odpowiedzi. Był nowojorskim gliniarzem, nie mieli ze sobą nic wspólnego. Znowu zaczęła się zastanawiać, co on tu właściwie robi.

- Ten Aaron Burkhart - odezwał się nagle. - Kto to właściwie jest?
- Aaron był bardzo bliskim przyjacielem Gary'ego. I moim. Był kiedyś prezesem Fundacji Ochrony Przyrody i myślę, że można by go nazwać mentorem Gary'ego.
- Skąd pochodzi?

- Mieszka w Falls Church, w stanie Wirginia, ze swoją żoną, Nancy.  
Dlaczego to cię interesuje?

- Nie wiem. Staram się dowiedzieć jak najwięcej. A zdaje się, że on odgrywa istotną rolę w twoim życiu.

- To mój przyjaciel. - Czy Nick rzeczywiście coś insynuuje, czy tylko tak jej się wydaje? - Był dla nas wspaniały... dla mnie. Bardzo mi pomógł po śmierci Gary'ego. Naprawdę nie wiem, co bym bez niego zrobiła.

Nick zmarszczył brwi, jakby się nad czymś zastanawiał.

- W naszych wzajemnych stosunkach nie ma nic niestosownego, jeśli o to ci chodzi.

- Nie, nie o to. Przykro mi, że tak to odebrałaś.

Ale nie było mu ani trochę przykro. Widziała to wyraźnie.

- Co robił Burkhart, zanim trafił do fundacji?

- Był prezesem dużej firmy inwestycyjnej. Nieruchomości, fundusze inwestycyjne, takie tam. Teraz mówi, że jest na emeryturze, ale ciągle zasiada w zarządzie fundacji i działa tam dość aktywnie.

- Więc nie chciałby ci zaszkodzić.

- Oczywiście, że nie.

- W porządku, próbuję tylko wyczuć sytuację.

- Dlaczego?

- Już ci powiedziałem.

Portia wstała i oparła się o poręcz. Gorący letni wiatr owiewał jej



wilgotną skórę.

- Aaron nie ma nic wspólnego z pożarem stodoły, jeśli do tego zmierzasz.

- Może nie.

- Na pewno nie!

- Ale to on wynajął tych beznadziejnych ochroniarzy.

- O co ci chodzi? Uważasz, że Aaron celowo wynajął niekompetentnych ludzi?

Nick wzruszył ramionami.

Portia odwróciła się i oparła plecami o poręcz.

- Obrażasz mojego bliskiego przyjaciela i nie podoba mi się to.

- Policjanci zadają czasem niewygodne pytania.

- Nie jesteś na służbie. Nie jesteś w Nowym Jorku. To nie jest twój okręg szósty.

- Masz rację. - Spojrzał na nią, ale jego oczy nic nie wyrażały. Na górnej wardze perlily się kropelki potu. - Zmieńmy temat.

- Na jaki?

- Powiedz mi coś o Mahoneyu.

- Patrick Mahoney jest deweloperem. Ale to już wiesz.

Kiwnął głową, nie spuszczać wzroku z Portii.

- Jego firma doskonale prosperuje. Zajmują się bardzo kosztownymi inwestycjami.

- Na przykład?

- Budują domy za pół miliona i więcej. Pola golfowe, kluby jeździeckie. Ale ten nowy projekt, Panorama Ranch, jest zdecydowanie przesadzony. Będzie miał zbyt duży wpływ na środowisko naturalne.

- Gdzie to jest?

- Na północ stąd. Na pogórzu. Ziemia należy do starej rodziny ranczerskiej.

- Chcą sprzedać tę ziemię Mahoneyowi czy raczej on ich naciska?

- Ranczo zostało wystawione na sprzedaż i Mahoney zaczął negocjować cenę, ale Bill Nash, właściciel rancza, rozmawiał też z Garym. Po śmierci Gary'ego Mahoney dostał prawie wszystkie zezwolenia.

- Więc już za późno, by powstrzymać budowę?

- Nie, nigdy nie jest za późno, by wstrzymać inwestycję.

- W porządku. Cofnijmy się trochę. Przed śmiercią twojego męża Fundacja Ochrony Przyrody złożyła Nashowi ofertę kupna ziemi?

Portia założyła ręce na piersi.

- Tak, Gary zaproponował mu to w imieniu fundacji.

- Ile dawał?

Zastanawiała się, czy powinna mu powiedzieć. W końcu były to sprawy fundacji.

- Kwota składała się z ośmiu cyfr. Poza tym chyba nie powinnam podawać ci innych szczegółów.

- Więc mówimy o dużych pieniądzach.

- Tak.

- Czy Nash nie grał przypadkiem na dwa fronty? Wiesz, czy nie próbował podbijać ceny, korzystając na rywalizacji Mahoneya z Garym?

- Nie, nie sędzę. Myślę, że rozmawiał ze swoim doradcą podatkowym i księgowym, żeby podjąć najkorzystniejszą dla siebie decyzję. A potem Gary zginął i wszystko na jakiś czas zostało wstrzymane. Teraz jednak, jak tylko Mahoney otrzyma zezwolenia, zakładam, że transakcja dojdzie do skutku.

- Jak układało się Gary'emu z Mahoneyem?

- Och. - Portia rozłożyła ręce. - Byli... cóż, można chyba powiedzieć, że stali po przeciwnych stronach barykady, ale szanowali się nawzajem. Na początku. Później, tuż przed śmiercią Gary'ego, coś się między nimi wydarzyło. Gary nie powiedział mi co dokładnie, ale był zdenerwowany i wspomniał, że Mahoney mu groził.

- W jaki sposób?

- Nie wiem. - Portia pokręciła głową. - Sądziłam, że chodziło o jakieś prawne groźby, coś w stylu „do zobaczenia wsadzie”. Ale po śmierci Gary'ego przypomniałam sobie o tym, co mówił i jak bardzo się denerwował. I pomyślałam, że może jednak chodziło o jakąś fizyczną groźbę.

- Mówiłaś Cabowi, że Mahoney groził Gary'emu?

- Oczywiście, nie raz. Nie traktował tego poważnie.

- Ja traktuję to poważnie.

- Dzięki - mruknęła ironicznie.
- Naprawdę. Ludzie zabijają się dla mniejszych sum.
- Myślisz, że...?
- Jeszcze nie wiem.

Portia odwróciła się i spojrzała na balustradę. Biała farba zaczynała się łuszczyć; cały dom wymagał malowania, ale na razie nie było jej stać na to, by go odnowić. Nagle Nick wstał i stanął obok niej.

- Przepraszam, że cię tak wypytyuję, ale muszę się zorientować w sytuacji.

- Nie ma sprawy. Pytaj.

Nick oparł się obiema rękami o balustradę. Miał silne dłonie o długich palcach. Portia wyobraziła sobie te palce zaciśnięte na rewolwerze.

- Strzelałeś kiedyś do kogoś? - spytała ni stąd, ni zowąd.
- Raz. Postrzeliłem gościa w ramię. Kiepsko strzelam.
- Czy on chciał cię zabić?
- Nie, celował w mojego partnera.
- Trafił go?
- Nie. Ja trafiłem go pierwszy.
- Lubisz swoją pracę?
- Którą? - spytał znaczącym tonem.
- Tę prawdziwą. W policji.
- Czy ją lubię? Kiedyś tak. Wiesz, kiedy wydawało mi się, że mogę

coś zmienić, że robię coś ważnego. Tak naprawdę to jedno wielkie bagno.

Wydawał się rozczarowany, odarty ze złudzeń.

- Tak jest z każdą pracą.

- Tak, chyba tak.

Prawie stykali się ramionami. Portia czuła ciepło bijące od jego ciała i zastanawiała się, czy on jest równie świadomy jej bliskości, jak ona jego.

- Zadzwoń do Randy'ego - powiedziała - i powiem mu, że zaraz u nich będziemy. - Ruszyła do drzwi i odetchnęła głęboko, pierwszy raz od chwili, kiedy stanął obok niej. Kiedy jechali do Randy'ego podskakującą na wybojach furgonetką, spytała:

- Dlaczego to robisz? Nie rozumiem.

- Przecież ci powiedziałem. Może zostawimy to już w spokoju?

- Właściwie nie wiem, dlaczego z tobą rozmawiam po tym, co mi zrobiłeś.

- Pewnie masz miękkie serce.

Portia parsknęła śmiechem.

- Nie wołałbyś bawić się teraz w Nowym Jorku, zamiast siedzieć na tym odludziu?

Nick się zawahał.

- Ani przez chwilę.

- Nie rozumiem cię.

- Sam siebie nie rozumiem, nie przejmuj się tym. - Urwał i podjął po chwili: - Pożar był ostrzeżeniem, to jasne jak słońce. Ty, Todd i rodzina Randy'ego możecie być w poważnym niebezpieczeństwie. Rozmawiałem z Cabem i wiem, że on nie ma ludzi, by zapewnić ci ochronę. Musiałby mieć dowód, że ktoś rzeczywiście ci zagraża. Cóż, więc teraz ma dowód.

- Sądzisz, że powinnam jeszcze raz z nim pogadać?

Nick spojrzał jej prosto w oczy.

- Jeśli pójdziesz do szeryfa, czy w Colt, czy w tym drugim mieście, jak ono się nazywa...

- Castle Rock.

- Właśnie. Więc jeśli tam pójdziesz, a ten, kto ci grozi, się o tym dowie, wystawisz się na jeszcze większe niebezpieczeństwo.

- Och, cudownie. Więc cokolwiek zrobię, pogorszę swoją sytuację - powiedziała Portia, czując, jak ogarnia ją rozpacz.

- Nie ma powodu do paniki. Dowiem się, co możemy zrobić.

- Może powinnam zrezygnować z pracy w fundacji. Nie wolno mi narażać Todda ani rodziny Randy'ego na niebezpieczeństwo. Zgodziłam się tylko dlatego, że jestem uparta.

- Mogłabyś zrezygnować.

- Ale kim wtedy będę? Tchórzem, nieudacznikiem.

- Wybór bezpieczniejszej drogi to nie tchórzostwo. Jak mówią słowa piosenki, trzeba wiedzieć, kiedy powiedzieć sobie „dość”.

Patrzyła na niego przez chwilę.

- Co byś zrobił na moim miejscu?

- Zrezygnowałbym z prezesury.

- Kłamca.

Dom Randy'ego i Lynette był nowoczesnym budynkiem, stojącym wśród drzew. Tuż za nim wznosiło się wzgórze, u podnóża którego znajdował się niewielki staw rybny.

- To jest nowy dom - wyjaśniła Portia. - Todd i ja mieszkamy w starym. Został oczywiście trochę odnowiony. Pradziadek Gary'ego i Randy'ego był ranczerem z Nebraski, przyjechał w te strony po wielkiej zamieci w 1888. Uważał, że tu ziemia jest lepiej ochraniana. Choć i tu zdarzają się, oczywiście, zadymki.

- To musi być coś, zadymka tutaj.

- O tak.

Randy, Lynette i dzieci właśnie skończyli lunch. Chłopcy wybiegli z psami przed dom, a Lynette wycierała ręce w kuchenną ściereczkę, kiedy Portia podeszła, by przedstawić jej Nicka.

- Więc to ty jesteś tym policjantem z wielkiego miasta - powiedziała Lynette, zarumieniona z przejęcia. - Myślę, że to wspaniałe, co robicie, takie odważne. Nie płacą wam należycie, a to taki ryzykowny zawód. Czytuję różne straszne historie o tym, przez co czasami musicie przechodzić - mówiła, nie wypuszczając dłoni Nicka z rąk. Portia mogłaby przysiąc, że się zaczerwienił.

Kolejny podbój Lynette. Jak ona to robi? Portia zaczęła się zastanawiać, czy Nick kiedykolwiek spojrzy z taką chłopcęcią nieśmiałością na nią.

- Może - odparł - powinnaś do kogoś zadzwonić, na przykład do burmistrza, i powiedzieć mu, że zasługujemy na podwyżkę.

- Powiedz tylko kiedy i do kogo, a zrobię to na pewno - powiedziała Lynette.

Randy patrzył spod oka na żonę i pokręcił głową. Wiedział, jak działała na ludzi, i wydawało się, że mu to nie przeszkadza. Portia była nerwowa, nie wiedziała, jak Randy zareaguje na pytania Nicka. Wczorajszego ranka omal się nie pobili. Ale wtedy wszyscy byli wykończeni. Modliła się w duchu, by Randy nie wyjechał znowu ze swoimi uwagami na jej temat. Nick nie powinien być świadkiem rodzinnych niesnasek.

- Jesteś policjantem? - zaczął Randy.

- Na to wygląda.

- Lynette mówiła, że poznałeś Portię w Nowym Jorku?

- Zgadza się.

- Hm - mruknął Randy, najwyraźniej usiłując zrozumieć, skąd Nick wziął się na ranczu podczas pożaru.

Nick postanowił go uspokoić.

- Muszę ci powiedzieć, jak źle się czuję w związku z wczorajszym porankiem. Mogłem się lepiej przedstawić.



- Och, cóż - mruknął Randy, ale Lynette poklepała go po ramieniu, jakby chciała powiedzieć: „No, dalej, możesz powiedzieć »przepraszam«, nie umrzesz od tego”. - Chyba za bardzo mnie poniosło.

- Randy wydał z siebie coś w rodzaju śmiechu. - Nie chciałem nikogo urazić. Wiem, że nie powinienem wyciągać tak pochopnych wniosków. Choć ciągle nie rozumiem, skąd się tam wziąłeś.

Nick miał odpowiedź na każde pytanie.

- No więc - powiedział przyjaźnie - Portia powiedziała mi, że ma problemy i pewne podejrzenia. Zacząłem się o nią martwić. Nie mogłem zasnąć i w końcu postanowiłem przyjechać tu z Denver.

- Dobrze się stało - wtrąciła Lynette. - Czy nazywacie to przecuciem?

- Niektórzy tak - odparł Nick - ale ja nazywam to węchem.

Lynette wiedziała wszystko o Nicku, „Star Gazerze” i Donaldsonie, ale trzymała język za zębami. A Nick kłamał jak z nut.

Wydawało się, że Randy uwierzył w „węch” Nicka.

- Więc przyjechałeś tu, żeby pomóc Portii? Z powodu tych... eee... tych pogrózek?

- Tak, mniej więcej o to chodzi.

- Hm. Co mogę zrobić, żeby ci pomóc? Lynette mówiła, że masz do nas kilka pytań?

Nick milczał przez chwilę.

- Tak, kilka. Na przykład, czy sądzisz, że ktoś mógł celowo podpalić

waszą stodołę?

Randy uśmiechnął się krzywo.

- Masz na myśli to, co powiedziałem w czasie pożaru? Tak, wiem, że to słyszałeś. Byłem w szoku. I muszę przyznać, że Portia i ja nie zawsze umiemy znaleźć wspólny język. Ale wtedy plotłem bzdury.

- Więc uważasz, że to był wypadek?

Randy założył nogę na nogę.

- To możliwe. Choć nie wykluczam też, że to sprawka któregoś z tych zafajdanych miejskich ekologów. Wiesz, czego chcą. - Żeby wydano zakaz wypasania bydła na ziemiach federalnych. Bardzo im na tym zależy.

Portia wielokrotnie słyszała już zdanie Randy'ego na ten temat. Znała wszystkie za i przeciw i wiedziała, że ranczerzy będą lido upadłego bronić prawa do wypasania bydła na państwowych pastwiskach. Fundacja Ochrony Przyrody promowała ideę tak zwanego „holistycznego rancerstwa”, nowej koncepcji łączenia natury, wartości społecznych i ekonomii w celu ochrony ziemi i hodowli zdrowszego bydła. Był to konik Gary'ego, a ona chciała kontynuować jego dzieło. Miała ochotę porozmawiać o tym z Nickiem, ale nie teraz. Teraz Nick chciał zadać jeszcze kilka pytań Randy'emu.

- Taa... Możesz wskazać jakąś konkretną osobę lub grupę ludzi jako ewentualnego podpalacza?

- Do licha, nie.

- Nikt nie przychodzi ci do głowy?

- Chryste, nie wiem. Nie mogę uwierzyć, że ktoś mógłby celowo podpalić naszą stodołę. A ty, Lynette?

Lynette siedziała obok męża z rękami na kolanach.

- Żaden ranczer by tego nie zrobił. Jeśli rzeczywiście ktoś podłożył ogień, to był to ktoś obcy, jestem tego pewna.

- Ale jaki mógłby mieć motyw? - spytał Nick.

Randy wzruszył ramionami.

- Ty mi to powiedz. Może ktoś chciał się nas stąd pozbyć?

- Myślisz, że to mogło mieć jakiś związek z faktem, że twój brat był prezesem Fundacji Ochrony Przyrody, albo z tym, że teraz stanowisko to zajmuje Portia?

Randy spojrzał na niego pustym wzrokiem.

- Mówisz o tych rzekomych pogroźkach?

- Więc nie wierzysz, że ktoś jej groził?

Randy spojrzał na Portię, po czym znowu przeniósł wzrok na Nicka.

- Cóż, słyszała to, co słyszała. Mnie tam nie było.

Portia miała ochotę wstać i wyjść, ale zmusiła się, by pozostać. A Nick znowu zmienił taktykę.

- Wiesz, nigdy wcześniej nie byłem na takim ranczu. Pięknie tu.

- Powinieneś zobaczyć to miejsce, kiedy nie ma suszy - odparł Randy. - Na przykład wiosną. Morze zieleni, aż do podnóża gór.

- Słyszałem, że susze mocno dają się wam tu we znaki.

- Tak, od czterech lat. Tragiczna sytuacja. Gary zawsze mówił, że tu na Zachodzie jest zbyt sucho, że za dużo tu upraw i że kiedyś za to zapłacimy. Cóż, choć niechętnie, muszę mu przyznać rację. Jest tu za mało wody. A pomyśl o tych wszystkich trawnikach i ogródkach wokół Denver.

- Więc hodowla bydła to ciężki kawałek chleba.

- Owszem. Jest naprawdę ciężko. Zawsze mnie wkurzało, że mój brat zajmuje się bzdurami, a ja haruję. - Randy pokręcił głową. - Ale teraz, kiedy nie żyje, a my musimy przetrwać kolejną suszę, zaczynam rozumieć, o co mu chodziło. Czego chciał. Dla nas wszystkich.

Portia nie mogła uwierzyć własnym uszom. Randy nigdy nie mówił takich rzeczy. Nigdy dotąd z jego ust nie wyszły tak rozsądne słowa. Czy chciał zrobić dobre wrażenie? Czy może po prostu zareagował na zainteresowanie Nicka?

- Tak, wiesz - ciągnął swoją refleksję Randy - widzę teraz, do czego zmierzał mój brat. Rozbudowa Denver, zwłaszcza w naszym kierunku, nie jest korzystna. Wiesz, że Douglas County jest jednym z najszybciej rozwijających się hrabstw w kraju? Może nawet najszybciej. Ranczerzy sprzedają ziemię. Do diabła, czemu nie? Z hodowli trudno wyżyć. Więc sprzedajesz ranczo, bierzesz forszę i idziesz na emeryturę.

- Co Gary myślał o sprzedaży rancza?

- Mój Boże, nigdy nie brał tego pod uwagę. Gospodarstwo należało do naszej rodziny od ponad stu lat.

- A ty?

Randy sprawiał wrażenie zszokowanego.

- Nigdy bym go nie sprzedał. Ta ziemia to moje życie.

Portia nie знаła takiego Randy'ego. Może był taki przy innych ludziach. Inna rzecz, że przy Garym zwykle zachowywał się jak dupek. No, zawsze.

- Prawda jest taka - mówił Randy - że, w pewnym sensie, zawsze rywalizowałem z bratem. Jak to rodzeństwo, rozumiesz.

- Tak, też mam brata. Zawsze skakaliśmy sobie do oczu - powiedział Nick.

- Więc wiesz, co mam na myśli. A teraz, kiedy Gary nie żyje. Łatwiej mi przyznać, że w pewnych sprawach miał rację. Nabijałem się z tej jego ekologii, ale widzę teraz, że coś w tym jest. Na przykład susza. Susza to normalne zjawisko, ale kiedy na takiej ziemi mieszka tyle ludzi, cóż, wtedy susza to kataklizm. I pożary. Pożary są korzystne dla ziemi. Ale nie dla ludzi. Na przykład dla nas.

- Jasne - odparł Nick.

Portia czuła się tak, jakby oglądała *Strefę 11* i patrzyła, jak w ciało jej szwagra wstępuje kosmita. Co się stało z Randym? Nawet Lynette patrzyła na niego szeroko otwartymi ze zdumienia oczami. Jedyne wyjaśnienie tego niezwykłego zjawiska było takie, że Randy'emu zaczęło w końcu brakować brata i to nagłe zrozumienie jego przekonań wynikało z poczucia winy.

Lynette uśmiechnęła się do męża i położyła dłoń na jego rękę.

- Nigdy mi o tym nie mówiłeś - powiedziała. - Jestem z ciebie taka dumna. Szkoda, że Gary nie może cię słyszeć. Byłby taki szczęśliwy.

- Tak - mruknął z żalem Randy. - Gary.

Portia nie wierzyła własnym uszom. Czyżby przez wszystkie te lata oceniała go niesprawiedliwie? Może uważała go za gorszego, bo patrzyła na niego oczami Gary'ego? Jakie to niskie z jej strony. Przekrzywiła głowę, jakby chciała mu się przyjrzeć z innej perspektywy. Ale zaraz przypomniała sobie, co przed chwilą powiedział: „Słyszała, co słyszała”. Wyprostowała się. To nie była nowa ulepszona wersja Randy'ego. To był Randy Król Zakłamania. Koniec rehabilitacji.

Krótko potem pożegnała się i wyszła wraz z Nickiem.

- Cóż, miałeś okazję poznać lepszą stronę Randy'ego - powiedziała w samochodzie.

- Rozumiem, że nie układa się między wami.

- Och, ależ układa się, oczywiście - odparła - pytanie tylko, jak.

- Chciał porozmawiać.

- Na to wygląda.

- Wydaje się w porządku.

Portia milczała.

- Co?

- Och, równie dobrze mogę ci powiedzieć... Człowiek, z którym rozmawiałeś, to nie był prawdziwy Randy. Nie Randy, jakiego znam.

Nie wierzę, że nagle zrozumiał punkt widzenia Gary'ego. To po prostu nie był Randy.

- Hm. A jego żona?

- Lynette? Och, ona jest kochana. Sam zresztą się o tym przekonałeś.

Kupiła cię.

- Hej... - zaprotestował Nick.

- Widziałam, jak się zaczerwieniłeś.

- Daj spokój.

- Skoro tak mówisz. - Uśmiechnęła się do niego. - Tak czy inaczej, dowiedziałeś się czegoś od Randy'ego? Poza tym, że mam problemy psychiczne?

- Powoli tworzę sobie pewien obraz. Każdy dodatkowy szczegół jest bardzo pomocny. - Zawahał się i oparł dłonią o szybę, kiedy samochód podskoczył na jakiejś dziurze. - Opowiedz mi o wypadku.

- Nazywasz to wypadkiem... Ty też mi nie wierzysz. - Była zaskoczona, że tak ją to rozczarowało.

- To tylko słowo. Powiedz mi, jak zginął twój mąż.

Portia wzięła głęboki oddech.

- Na drodze na południe od Colt jest ostry zakręt. Po jednej stronie drogi jest strome urwisko. Samochód z niego spadł. Mówią, że Gary jechał za szybko.

- A ty w to nie wierzysz.

- Nie. Jeździł tą drogą, odkąd był nastolatkiem.

- Jaki był Gary?

- Gary. - Portia skrzyła w podjazd na ranczu. - Gary był wspaniały. Miał bardzo jasne włosy, tak jak Randy, ale był znacznie przystojniejszy. Czarujący. Miał wielką siłę przekonywania. Potrafił skłonić każdego, żeby zrobił to, czego on chciał. Nie, potrafił sprawić, że ludzie sami zaczęli tego chcieć. Życie z nim było ekscytujące. Miał w sobie tyle energii. - Zatrzymała się przed domem i siedziała z rękami na kierownicy. Silnik ciągle pracował, przez otwarte okna wpadał kurz.

- Jak się poznaliście?

Odwróciła się i spojrzała na Nicka. Jego twarz nie wyrażała absolutnie nic. Dlaczego zadaje jej takie pytania?

- Czy takie informacje pomogą ci ustalić, kto podpalił stodołę?

- To możliwe.

Patrzyła na niego uważnie jeszcze przez chwilę.

- Poznałam Gary'ego na przyjęciu charytatywnym, na które zabrał mnie mój ojciec. Zbierano fundusze na ratowanie raf koralowych u wybrzeży Florydy. Nie słyszałam nigdy, by ktoś mówił tak przekonywająco. Przedstawiono nas sobie, zaczęliśmy rozmawiać. Gary był krótko po rozwodzie i... potem wszystko poszło tak szybko. Pobraliśmy się... - zamyśliła się - ..jedenaście lat temu. - Nie podobało jej się, że rozmawia o Garym z tym człowiekiem. Właściwie był jej zupełnie obcy. Czuła się trochę winna, jakby w ten sposób szargała pamięć Gary'ego.



- I zamieszkałaś tutaj - ponaglił ją Nick.

- Tak, przeprowadziłam się na ranczo. Spodobało mi się tu. Podróżowałam z Garym, a potem wracałam do domu, do tej pięknej i spokojnej krainy. Było idealnie. - No, niezupełnie idealnie, ale Nick nie musiał o tym wiedzieć. - To było udane małżeństwo - powiedziała ostrożnie. - Ludzie gadali różne rzeczy i wiem, że Gary... lubił kobiety. Ale to był udany związek. Przeszliśmy razem... - prawie wyrwało jej się „trzy poronienia”, ale ugryzła się w język - ...przez bardzo wiele.

- A potem zginął - powiedział Nick łagodnie.

- Tak, zginął. A ja musiałam przejąć jego obowiązki, płacić podatki, rachunki, załatwiać sprawy bankowe. Randy zajmuje się codziennymi obowiązkami.

- Musiało ci być bardzo ciężko.

- Tak, ale jakoś sobie radziłam. Aż do tego. - Wskazała głową zgliszczą stodoły, które ciągle wydzielały ostry swąd spalenizny. - Nie wierzę, że to tylko zbieg okoliczności. Najpierw pogrożki, a potem to. Gary'emu też ktoś groził, zanim zginął.

- Mogłabyś pokazać mi miejsce, w którym samochód Gary'ego spadł z urwiska?

Portia wzdrygnęła się lekko.

- Nie, nie mogę. Nie jeżdżę tą drogą.

- Rozumiem.

- Posłuchaj... - Podniosła na niego wzrok. - Gary nigdy nie

przekroczyłyby prędkości w tamtym miejscu. Mówiłam ci to już.

- Tak, mówiłaś.

- Nie wierzysz mi?

- Wstrzymam się z wygłoszeniem swojej opinii do chwili, kiedy poznam wszystkie fakty - odparł i wysiadł z samochodu.

- Mówisz jak prawnik.

- To prawda.

Portia otworzyła drzwi, wysiadła z samochodu i podeszła do Nicka. Słońce powoli chyliło się ku zachodowi. Z okna pokoju Todda dobiegała głośna muzyka. Rap.

- Co teraz zrobisz? - spytała.

- Mam kilka pomysłów.

- Jakich pomysłów?

- Powiem ci, kiedy poznam odpowiedzi na wszystkie swoje pytania.

- Teraz naprawdę mówisz jak prawnik - powiedziała, usiłując się uśmiechnąć.

- Portia, ja... powiedzmy, że pójdę za tropem. Będę cię informował.

Podszedł do swojego wynajętego samochodu, otworzył drzwiczki i gwizdnął. Z wnętrza toyoty buchnął żar. Nick spojrzał na Portię.

- Zadzwoń do swojego przyjaciela Aarona i poproś go, żeby zrobił coś z tą ochroną, którą ci tu przysłał.

- Och, na litość boską - mruknęła.

- Będziemy w kontakcie - powiedział, wsiadł do samochodu i

wycofał.

Oślaniając oczy ręką, patrzyła, jak kieruje się w stronę autostrady, tak długo, aż wszystkim, co mogła zobaczyć, była chmura kurzu rozplywająca się powoli w nagrzanym powietrzu.

## Rozdział 16

Nick zatrzymał się przed biurem szeryfa w Colt, gdzie powiedziano mu, że Cab wyjechał do pożaru na jakieś ranczo piętnaście kilometrów na południe od miasteczka.

- Ranczo Aikensów - dodała policjantka. Wstała i podeszła do mapy wiszącej na ścianie. - My jesteśmy tu, a tu mieszkają Aikensowie. Wyjeżdżając z miasteczka, proszę skrócić w prawo. - Przesunęła palcem po mapie. - Potem jakieś pięć, może sześć kilometrów drogą 113 i zobaczy pan pożar po swojej lewej stronie. Proszę jechać dalej i skrócić tuż za starym kinem letnim. Tam jest ranczo Aikensów.

- Nie będę przeszkadzał szeryfowi?

- Nie, Cab pojechał tam tylko dla porządku. Na miejscu jest już straż pożarna.

Policjantka udzieliła mu dokładnych informacji. Jakies sześć kilometrów za Colt Nick zobaczył dym i ogień ponuro płonący w oddali. Niezwykły widok. Bezchmurne niebo, wyraźna linia przymglonej żółci odcinająca się od jego błękitu i wznoszące się nad nią kłęby śnieżnobiałego dymu. Chmura pożarowa, jak się później dowiedział. Dziwna, samotna chmura na gorącym, niebieskim niebie.

Mimo klimatyzacji nawet w samochodzie czuł duszny swąd

spalenizny. Nie minął jeszcze tydzień, odkąd tu przybył, a już zaczął tęsknić za deszczem.

Droga na ranczo Aikensów była wyboistym traktem i prowadziła wzdłuż niskiego ogrodzenia. Potem skręcała gwałtownie w górę wzniesienia, na którym stało kilkanaście krów. Do diabła, Nick nie widział jeszcze bydła, które nie jadło ani nie wydaląo. To pewnie z powodu pożaru.

Jechał powoli, nie chcąc uszkodzić wynajętego wozu, i myślał o rozmowie z Randym i o tym, jak niewiele się dowiedział mimo najszczerzych chęci. Przede wszystkim jednak myślał o Portii. Widział ją oczyma wyobraźni tak wyraźnie, jakby siedziała obok niego. Czuł jej zapach i widział jasne włosy na jej karku. Widział jej brwi i wygięte lekko rzęsy. Dzisiaj były delikatnie pociągnięte tuszem. Czy zrobiła to dla tego faceta od ubezpieczeń? I dlaczego nie zauważył wcześniej, jak bardzo zielone są jej oczy? Zielone, lekko nakrapiane złotem, pięknie harmonizowały z jej złotawą skórą. Wszystko to wywołało u niego dziwny ból w okolicy serca.

- Cholera - mruknął.

Rozmawiali o wypadku Gary'ego. Dlatego właśnie musiał zobaczyć się z Cabem. Ale Portia powiedziała też kilka *rzeczy* o swoim mężu, które nie były ściśle związane z tematem i zaskoczyły Nicka. Zaskakujące było może nawet nie to, co mówiła, ale sposób, w jaki to zrobiła. Jakby nie wszystko w tym małżeństwie było usłane różami.

Odczuł pewną ulgę, kiedy to sobie uświadomił, zaraz jednak pomyślał, że tylko ktoś bardzo małoduszny mógłby cieszyć się z cudzych problemów. Jej mąż zginął. Czyż matka nie powtarzała mu zawsze, że nie należy źle mówić o zmarłych? Problem w tym, że zdaniem Nicka Portia ciągle o nim myślała. Bo dlaczego przyjęła jego stanowisko w fundacji? Naraziła się na niebezpieczeństwo? Najwyraźniej ciągle jeszcze kultywowała jego pamięć. Jak kapłanka jakiegoś bóstwa. Nie była to jego, Nicka, sprawa, ale myśl o tym dziwnie go wkurzała.

Zjechał ze wzniesienia, przejechał skrzypiący drewniany mostek i zobaczył stojące w oddali wozy strażackie i inne samochody, w tym karetkę pogotowia i kilka samochodów policyjnych.

Tu powietrze było gęste od dymu, dostrzegł jednak strażaków, którzy pracowali bez wytchnienia. Zdumiewające, że w ogóle byli w stanie się poruszać w takiej temperaturze. Ci mężczyźni - a zapewne także i kobiety - zasługiwali na medale za męstwo.

Wysiadł i ruszył przed siebie, mijając nowoczesną blaszaną przyczepę z otwieranym bokiem. Kilka kobiet podawało stamtąd strażakom wodę w butelkach, różne napoje i kanapki. Za przyczepą stało kilka kolorowych namiotów. Domyślił się, że mieszka w nich ekipa ratunkowa. Jak ci ludzie mogą pracować dzień i noc, latając od pożaru do pożaru, ze stanu do stanu, przez cały okres suszy? Nie mieściło mu się to w głowie.

Cab Whitefeather właśnie rozmawiał z jednym ze strażaków.

- No, nie marnujesz czasu - powiedział do Nicka. - Chciałbyś kupić tę posiadłość i zamieszkać tu, jak przejdziesz na emeryturę? Na pewno udałoby ci się tanio ją dostać.

Nick wiedział, że Cab będzie podejrzliwy, i wszystko miał dokładnie obmyślane. Tak, jakby miał zeznawać w sądzie. Postanowił, że doda do swojej historii trochę prawdy, by stała się bardziej przekonująca.

- Cóż - odparł, wytrzymując spojrzenie szeryfa bez jednego drgnienia powieki, choć dym niemiłosiernie gryzł go w oczy. - Rzeczywiście, szukam domu, ale prawda jest taka, że obstawiałem z kolegami ten bankiet w Nowym Jorku, w którym wzięła udział Portia Wells. Nawiasem mówiąc, celem była zbiórka funduszy na straż pożarną... Tam się, w pewnym sensie, poznaliśmy.

- Och - mruknął Cab. - Och, i pomyślałeś sobie, że może uda ci się ustrzelić ładną wdówkę na miejscu?

- Nie miałem takich planów. Zawsze chciałem zwiedzić Kolorado, a akurat dostałem urlop. - Wzruszył ramionami. - Ale naprawdę zainteresowałem się sprawą, kiedy zobaczyłem tę jej beznadziejną ochronę, która stoi przy wjeździe na ranczo.

- Hm - mruknął znowu Cab. - Mogę spytać, co właściwie robiłeś na ranczu, kiedy zapaliła się stodoła?

- Martwiłem się o Portię, nie mogłem zasnąć, więc w końcu pojechałem na ranczo. Można to chyba nazwać przecuciem.

- Taki jesteś dobry, co?

- Czasami. - Nick się roześmiał. - Tak, czasem mam nosa. - Potarł powieki. - Chryste, te pożary.

- Ano tak. - Cab spojrział w stronę ognia. - Do diabła z tym.

- Jak się zaczęło?

Uderzenie pioruna. Dużo łatwiej było dojść do tego niż do przyczyn pożaru u Portii.

- Więc specjalista już wie, co było przyczyną?

- Tak, rozmawiałem z nim dzisiaj; wygląda na to, że użyto jakiejś łatwo palnej substancji.

- A więc to podpalenie.

- O tak. Pytanie tylko, kto to zrobił. Gdybym zapytał o to Portię, powiedziałaaby, że to ten deweloper. A co myśli Randy... Trudno powiedzieć.

- Jak to?

- Randy jest dość skryty. Dużo gada, ale co innego mówi, a co innego robi. Zawsze żył w cieniu brata. Całe życie usiłował mu dorównać. To w sumie równy gość, ale nie mogę powiedzieć, że go znam. Jest wiele spraw, o których nie można z nim pogadać, bo zaraz chowa głowę w piasek. Radzi sobie na ranczu, ale poza tym... To ranczo to całe jego życie. Na niczym innym się nie zna. A podpalenie... - Cab zdjął swojego stetsona, otarł pot z czoła i założył kapelusz na głowę. - Randy nigdy nie przyzna, że ktoś chciał spalić jego stodołę.

- Hm. Właściwie dlaczego ktoś miałby ją podpalić? To znaczy znamy



opinię Portii, ale może masz inny pomysł.

- Cóż, myślę sobie, że Portia musiała kogoś bardzo wkurzyć, kiedy przyjęła stanowisko prezesa fundacji.

- Myślisz o Patricku Mahoneyu?

- Tego nie powiedziałem.

- Ale tak myślisz.

- Wierzysz w dowody?

- Zawsze?

- Więc wierz mi, nie będzie żadnego śladu, prowadzącego do człowieka takiego jak Mahoney. Masz to jak w banku, synu. Co gorsza, zobaczysz, że towarzystwo ubezpieczeniowe wstrzyma czek za stodołę.

- Ponieważ to było podpalenie.

- Tak. Będą podejrzewać, że Portia albo Randy sami podłożyli ogień. Będą musieli udowodnić swoją niewinność.

- Mógłbyś im w tym pomóc.

- Jasne.

- I zrobisz to?

- Najprawdopodobniej.

- Ale to zajmie trochę czasu.

- Owszem.

Jeszcze jeden powód, dla którego Nick powinien zapłacić za stodołę. To jego wina, jak by na to nie patrzeć.

- Opowiedz mi o tym, jak zginął Gary - poprosił Nick. - Byłeś na

miejscu wypadku.

- Właśnie się zastanawiałem, kiedy wreszcie o to spytasz - powiedział Cab.

Miejsce, gdzie zginął Gary, znajdowało się zaledwie kilka kilometrów od rancza Aikensów. Nick dojechał tam drogą wskazaną przez Caba, zastanawiając się, dlaczego Wells wracał do domu akurat wtedy. Nie żeby to teraz miało jakiegokolwiek znaczenie. A jednak to go zastanawiało.

Z daleka zobaczył kilka ostrych zakrętów na drodze wiodącej w górę wzniesienia. Wszystko wyglądało dokładnie tak, jak opisywał to Cab: długa, prosta droga, rów irygacyjny wzdłuż pobocza, ranczo po prawej stronie, a potem strome wzgórze, na którym zaczynały się zakręty. Wells spadł z urwiska na trzecim zakręcie, przed którym stał znak ograniczający dozwoloną prędkość do trzydziestu kilometrów na godzinę. „Po prawej zatoczka - powiedział Cab - po lewej wysokie urwisko. Wells dachował trzy, może nawet cztery razy. Nie miał szans”.

Najwyraźniej, pomyślał Nick, zatrzymując się w zatoczce, policja uznała, że Wells albo jechał za szybko, albo jakieś zwierzę, łoś, jeleni albo zbłąkana krowa, wyszło mu nagle pod maskę, a on zbyt gwałtownie skręcił, by uniknąć zderzenia. Koła zjechały z wysypanego żwirem pobocza i samochód runął z urwiska.

Cab twierdził, że Wells musiał jechać bardzo szybko, żeby samochód obróciło tyle razy. „Jak szybko?” - spytał Nick, a Cab odparł:

„Siedemdziesiąt, osiemdziesiąt kilometrów na godzinę”.

Nick przeszedł pieszo na drugą stronę drogi i spojrzał w dół urwiska. Niemożliwe, pomyślał. Tylko szalowiec mógłby wejść w ten zakręt z taką szybkością. Wells, z tego, co Nick zdążył się o nim dowiedzieć, lubił brawurę, ale z pewnością nie był szalony. A w jego krwi nie było alkoholu ani narkotyków.

Nick stał na zapyłonej drodze, patrząc w dół, z rękami w kieszeniach, i myślał. Próbował sobie wyobrazić samochód zsuwający się w przepaść, uderzający w jakiś głaz, obracający się powietrzu raz, potem drugi i trzeci, jakby w zwolnionym tempie, aż w końcu zatrzymał się na dole. Może silnik jeszcze pracował, może grało radio, a Gary Wells siedział za kierownicą przypięty pasami, ze skrzyżowanymi rękami.

Nick podniósł głowę i spojrzał na jastrzębia kołującego gdzieś wysoko po błękitnym niebie, po czym wziął głęboki oddech.

- Rany, co za śmierć - mruknął.

Poszedł kawałek do góry, a później zawrócił, usiłując wyobrazić sobie wypadek tak, jak widziała go Portia. Samochód jadący za Garym, światła świecące we wsteczne lusterka Gary'ego, oślepiające, bliskie, coraz bliższe. W końcu Gary zmuszony był przyspieszyć. Może ten, kto za nim jechał, kilka razy stuknął go od tyłu, żeby go zdenerwować, potem zrównał się z nim, trącił go kilka razy bokiem. Gary wpadł w panikę, przyspieszył. Aż w końcu nastąpiło ostatnie uderzenie, po którym samochód zjechał z urwiska.

Po szyi Nicka spływał pot, zostawiając wilgotny ślad na kołnierzyku koszuli. Ale ciągle stał na pustej drodze i zastanawiał się, czy były tu wtedy ślady innego samochodu, czy policja w ogóle takich śladów szukała. A jeśli tak, czy zrobili pomiary i zdjęcia? A samochód Wellsa? Trafił na złom wiele miesięcy temu. Czy Cab albo któryś z policjantów dostrzegł na nim jakieś zasapania, a może nawet lakier z innego samochodu?

Nick wrócił do swojej toyoty, wyjął telefon komórkowy, zadzwonił do biura szeryfa i poprosił o połączenie z Cabem.

- Tak, samochód poszedł na złom - powiedział Cab. - Do diabła, mogło być wiele śladów, ale nikt i tak by niczego nie zauważył. A jeśli chodzi o lakier, to chyba żartujesz. Nikt nie szukał lakieru z innego samochodu. Zdaje się, że oglądasz za dużo telewizji. To jest prawdziwe życie.

Nick nie mógł powstrzymać uśmiechu.

- Ale Portia twierdzi, że samochód jej męża został zepchnięty z urwiska.

- Portia zaczęła te swoje historie dopiero, kiedy Gary był już zimny jak lód, a samochód przerobiony na żyletki. Ale coś ci powiem. Wstąp po drodze do Colt, to dostaniesz kopię raportu z wypadku. W porządku?

- Jasne, dzięki.

- A może - powiedział Cab - spotkamy się później w saloonie i napijemy coli?

Nick myślał przez chwilę.

- Nie mogę. Muszę wrócić do Denver i odwiedzić biuro Mahoneya.

Już miał się rozłączyć, kiedy Cab powiedział:

- To w centrum, na Larimer Street.

- Co?

- Biura Mahoneya. Są na Larimer Street - powtórzył Cab i to on odłożył słuchawkę.

W motelu czekała na Nicka kolejna wiadomość od Berna, tym razem zdradzająca pewną irytację. Dzięki Bogu, że nigdy nie dał mu numeru komórki, bo nie miałby chwili spokoju. Przestał myśleć o Bernie i „Star Gazerze” i poszedł wziąć prysznic.

Było już po czwartej, kiedy zaparkował na Larimer Square, w drogiej dzielnicy handlowej.

Siedziba firmy Mahoneya znajdowała się w niewielkim, ale bardzo eleganckim budynku na samym środku placu, między kawiarnią a sklepem z wyposażeniem kuchennym. Nick znalazł ją od razu, bo w oknie na dole stała makieta Panorama Ranch.

No proszę, pomyślał, otwierając drzwi. Zebrane tu materiały o budowie pól golfowych mogłyby wypełnić Bibliotekę Kongresową.

Powitała go zgrabna, ładnie ubrana ruda dziewczyna.

- Dzień dobry, proszę wejść i rozejrzeć się - powiedziała uprzejmie, wyciągając do niego rękę. Zauważył, że nie miała na palcu obrączki. -

Jestem Cheri Morris, szefowa działu sprzedaży.

Ujął podaną mu dłoń.

- Nick Sinestra.

- Nowojorczyk - powiedziała z uśmiechem.

- To ten akcent, prawda?

Zaśmiała się. Zaczęli rozmawiać.

Spodziewał się twardej bizneswoman, ale był w błędzie. Cheri była przemiła, rozmowna, ale nie gadatliwa, umiejętnie podtrzymywała rozmowę. Opowiedział jej tę samą bajkę co szeryfowi - praca w policji, emerytura i tak dalej. Ona oczywiście nie wiedziała, jakimi funduszami dysponuje, ale mogła zakładać, że dostał spadek. Policjantów, nawet w stopniu detektywa, nie stać zazwyczaj na działki budowlane za dwieście pięćdziesiąt tysięcy dolarów. A to była jedna z niższych cen.

Stali obok makiety, a Cheri rozwodziła się nad pięknem okolicy, klubem golfowym, centrum jeździeckim i innymi atrakcjami. Działki pod budowę domów, przestronne apartamenty, prywatne drogi dojazdowe, ochrona. Pole golfowe. Trzydzieści sześć dołków. Nickowi omal nie wyrwało się, że zawsze myślał, iż pole golfowe ma osiemnaście dołków, ale nagle go oświeciło. Dwa pola golfowe? Jezu.

- Grasz w golfa, Nick?

- Do Tigera Woodsa mi daleko - powiedział z uśmiechem i wzruszył ramionami.

Cheri pokazała mu kolorowe broszury, których druk musiał

kosztować fortunę. A przynajmniej sięgać jego rocznego dochodu.

- Panorama Ranch... Gdzie to właściwie jest? Od niedawna Jestem w Kolorado.

- Naturalnie. Zaraz wszystko wyjaśnię. Wiesz, gdzie jest Castle Rock?

- Na południe stąd.

- Tak. A ranczo znajduje się na zachód od Castle Rock. Na tak zwanym pogórze. To przepiękne okolice.

- Więc to prawdziwe ranczo?

- O tak. Wspaniały przykład...

- I teraz jest w budowie? - przerwał, czując, że nie zniesie kolejnej porcji zachwyków.

- Otrzymaliśmy już prawie wszystkie zezwolenia.

- To znaczy?

- Och, to wielka inwestycja, więc trzeba uregulować kwestię wody i ścieków. - Cheri zmarszczyła nos. - A także sprawy dotyczące dróg dojazdowych, zagadnień ekologicznych...

- Zagadnień ekologicznych? To znaczy?

- O Boże, na przykład ustanowienia stref ochrony roślin i zwierząt, poszanowania tras wędrówek pewnych gatunków, ustalenia odpływów wody z pól golfowych na okoliczne tereny, co ma związek z użyciem nawozów sztucznych.

- Chyba trudno to wszystko załatwić, co?

- Cóż, to może być problem, ale pan Mahoney jest dobrze zorientowany w tych kwestiach. Sam bardzo angażuje się w ochronę środowiska. A my mamy już prawie wszystkie zezwolenia.

- Doprawdy.

- O tak. Oba pola golfowe zostaną otwarte za dwa lata. Na takim terenie to bardzo szybko. Planujemy, że cała zabudowa zostanie ukończona za osiem do dziesięciu lat.

- Zabudowa?

- Mamy dziewięćset działek pod budowę domów.

- No, no.

- To wcale nie przesada, panie... Nick. Większość projektów obejmujących taki areal zakładałaby budowę tysiąca do tysiąca dwustu domów. Najważniejsze, że teraz można wybrać działkę i dostać upust w wysokości dziesięciu procent plus dożywotnie członkostwo w klubie, którego wartość szacuje się w tej chwili na pięćdziesiąt pięć tysięcy dolarów.

- Och - mruknął Nick. To zdecydowanie przechodziło jego pojęcie.

- A najlepsze, Nick, jest to, że można zarezerwować działkę za jedyne osiemnaście tysięcy dolarów, które zostaną złożone na naszym koncie, i otrzymywać z tego jeszcze pięć i pół procent w skali roku.

- Bardzo interesujące - powiedział, kiwając głową. - A jeżeli coś pójdzie nie tak z tymi zezwoleniami? Jeśli, na przykład, okaże się, że żyją tam sowy?



- Sowy?

- Tak, sowy. Kilka lat temu coś takiego zdarzyło się na północnym zachodzie. Grupa ekologów zablokowała wielką inwestycję budowlaną, bo na drzewie siedziało kilka sów.

- Och. Cóż, nie sądzę, żeby sowy były problemem w tych stronach.

- To tylko taki przykład, Cheri.

- Och. Tak, rozumiem. - Uśmiechnęła się do niego.

- Czy pan Mahoney mógłby się teraz ze mną spotkać? Może odpowie na kilka pytań.

- Oczywiście. Miał konferencję telefoniczną w swoim biurze, ale zaraz sprawdzę, czy jest już wolny - powiedziała i się odwróciła.

Nick lekko dotknął jej rękawa.

- Nie chciałbym się narzucać, ale może poszłabyś ze mną na kawę po pracy? - Spojrzał na zegarek. - Dochodzi piąta.

Zawahała się, więc uśmiechnął się do niej niewinnie.

- Jasne, dlaczego nie - odparła. - Może do tej kafejki obok? Pójdę sprawdzić, czy Patrick jest wolny.

- Dziękuję, Cheri.

Patrick Mahoney był przystojnym mężczyzną po czterdziestce. Wysoki, dobrze zbudowany, miał krótko przystrzyżone jasne wąsy i bródkę. Trzymał się bardzo prosto. Uścisk jego dłoni znamionował siłę i wydawał się szczery, podobnie jak uśmiech. W innych okolicznościach Nick uznałby go za człowieka wzbudzającego natychmiastową sympatię.

Nikt nie mógł mieć wątpliwości, dlaczego tak daleko zaszedł w życiu. Miał styl i urok osobisty. Oczywiście był Irlandczykiem i Nick, jako Włoch, był odporny na jego czar.

- Proszę usiąść - powiedział Mahoney, wskazując skórzany fotel przed swoim biurkiem. - Czy mogę zaproponować coś do picia? Kawę, herbatę, wino, wodę?

- Nie, dziękuję.

Mahoney usiadł.

- Cheri powiedziała mi, że martwi się pan o sowy? - Mahoney roześmiał się jowialnie. - Cóż, zapewniam, że nikt jeszcze nie widział sowy na Panorama Ranch.

- To wielka ulga - odparł Nick sarkastycznie. - Ale mogą pojawić się inne problemy związane z ochroną środowiska. Ciągłe o tym piszą w gazetach, a zanim zainwestuję, chcę się jak najwięcej dowiedzieć.

- To całkiem zrozumiałe. Ale zapewniam, że mamy już to wszystko za sobą.

- To wszystko?

- Kwestie ekologiczne.

- Więc budowa wkrótce się rozpocznie?

- Oczywiście.

- To znaczy kiedy?

- W najgorszym razie pod koniec października, ale sądzę, że dostaniemy wszelkie zezwolenia na piśmie już w sierpniu.

- Rozumiem. Cóż, chyba odpowiedział pan na wszystkie moje pytania. - Nick wstał.

- Mam nadzieję, że Cheri wspomniała o zniżkach przysługujących przy zakupie działki przed rozpoczęciem budowy. - Mahoney także się podniósł.

- Owszem.

- A także o dożywotnim członkostwie w klubie?

- Tak.

- To dobrze. Nie chcę, żeby pan myślał, że cena jest zbyt wysoka. Proszę pamiętać, że Panorama Ranch będzie jednym z najpiękniejszych kompleksów mieszkalnych w zachodnich stanach. Cheri zawiezie pana na miejsce, oprowadzi i wszystko pokaże. Jutro albo jakiegoś innego dnia, kiedy znajdzie pan na to czas. Ale ostrzegam, gdy raz ujrzy pan piękno tej ziemi, zakocha się pan w niej na zawsze.

- Brzmi nieźle - zgodził się Nick. - Porozmawiam o tym z Cheri.

W tym momencie zadzwonił telefon, więc Nick wskazał Mahoneyowi, żeby go odebrał. Ten odpowiedział przeproszającym gestem i się uśmiechnął. Nick pośpiesznie wyszedł z gabinetu. Gdyby jeszcze raz usłyszał słowo „piękny”, chyba by zwymiotował.

Cheri wyłączyła swój komputer, zgasiła światła i kiwnęła ręką pracodawcy przez otwarte drzwi. Potem dołączyła do Nicka czekającego przed budynkiem.

- Następne wejście po prawej, chyba że chcesz pójść gdzie indziej -

powiedziała.

- Nie, podoba mi się to miejsce. Moglibyśmy zająć ten stolik z prawej, na zewnątrz. Oczywiście, jeśli chcesz siedzieć na świeżym powietrzu.

- Na zewnątrz będzie dobrze.

Usiedli przy stoliku ocienionym zielonym parasolem i zamówili dwa kieliszki merlota i nachos z serem. Nick wypił swoje wino i zamówił piwo. Cheri pozostała przy merlocie.

Poderwał ją, ponieważ wydawała się miła i trochę samotna. Po godzinie niezobowiązującej pogawędki skierował rozmowę na Panorama Ranch.

- Wiesz - powiedział - mam wrażenie, że słyszałem coś o waszym projekcie, coś o Mahoneyu i Fundacji Ochrony Przyrody, ale nie mogę sobie przypomnieć, o co chodziło. - Wpatrywał się w nią wyczekująco.

- Och. - Machnęła ręką, co miało zapewne uspokoić jego obawy, więc nacisnęła mocniej.

- Czy nie dotyczyło to także tego działacza ekologicznego, Gary'ego Wellsa?

Słyszac to, westchnęła.

- Biedny człowiek. Nie mogłam uwierzyć, kiedy się dowiedziałam.

- O czym?

- Nie wiedziałeś? Zginął w zeszłym roku w wypadku samochodowym. Takie nieszczęście.

- Musiałem gdzieś o tym czytać. Tu w Kolorado?

- Tak.

- I rzeczywiście zaszło coś pomiędzy Mahoneyem a Wellsem?

- Och, może. Teraz to zupełnie nieistotne, ale Wells próbował zablokować budowę Panorama Ranch.

- Naprawdę?

Kiwnęła głową.

- To było na samym początku. Ranczer, na którego ziemi ma powstać kompleks, prowadził rozmowy z Mahoneyem i Wellsem jednocześnie. Fundacja chciała wykupić ranczo i przekształcić je w naturalne tereny.

- Hm. I co się zdarzyło?

- Mahoney doszedł do porozumienia z Wellsem i Fundacją Ochrony Przyrody. Wtedy ranczer zdecydował się sprzedać ziemię Patrickowi, kiedy ten dostanie wszystkie zezwolenia.

- Czyli?

- Mniej więcej za miesiąc.

- Hm - zastanawiał się Nick - ciekawe, na jaki rodzaj kompromisu mogli pójść działacz ekologiczny i deweloper.

- Myślę, że ustanowiono strefę ochronną dla orłów żyjących obok rancza i, oczywiście, wytyczono miejsca, gdzie wolno poruszać się jedynie pieszo. Pozostawiono też otwarte niezabudowane tereny. Och, no i jeszcze wydzielono obszar ochronny dla bagna.

- To ma sens. - Nick wyobrażał sobie całą sytuację. Ogromna suma

pieniędzy zmieniająca właściciela. Wydawało się, że Wells ani fundacja nie pożąдали ich zanadto, ale Nick widział już zbyt dużo korupcji.

- Zastanawiam się, czy Fundacja Ochrony Przyrody znalazła się na bożonarodzeniowej liście Mahoneya.

- Słucham?

- No, czy Patrick nie wsparł ich hojną darowizną.

- Musiałbyś go o to sam spytać.

Być może to zrobi. Rzecz w tym, że blokowana inwestycja uzyskiwała potrzebne zezwolenia. A przecież to wszystko nie działo się z dnia na dzień. Z tego, czego się dowiedział od Portii, jej mąż i Mahoney doszli w pewnym momencie do porozumienia i wtedy właśnie Wells miał wypadek. Czy Mahoney mógł to zaplanować? Może poszło o pieniądze? Tylko jedna osoba mogła znać wszystkie szczegóły - dobry przyjaciel i mentor Garry'ego, Aaron Burkhardt.

Cheri zaczęła już mówić o czymś innym, ale Nick ledwie to słyszał. Był zbyt zajęty porządkowaniem zasłyszanych informacji. Tyle że nic nie wydawało się pasować do siebie. Na początku Mahoney i Wells darli koty o ziemię pod zabudowę. Potem poszli na jakiegoś rodzaju kompromis. Czy to wtedy pieniądze zmieniły właściciela? Być może. W każdym razie właśnie wtedy znów się pokłócili. Mahoney zaczął grozić Wellsowi i ten zginął.

W każdym razie, jakoś tak to było.

Nagle pewna myśl zaświtała Nickowi. Jeżeli Aaron Burkhardt

naprawdę był przyjacielem Gary'ego i Portii, to dlaczego po śmierci kumpla nie zainteresował się bliżej jego działaniami i nie zablokował ostatecznie budowy Panorama Ranch? Co robił przez ostatni rok? Oczywiście oprócz wynajmowania wątpliwej jakości ochroniarzy, którzy mieli pilnować Portii?

Coś mu umykało, spora część tej zagadki była zupełnie niezrozumiała. Siedział i przez kolejną godzinę rozmawiał z Cheri, zanim się pożegnali. Ale przez cały ten czas nie zdołał rozgryźć tego problemu.

Wrócił do motelu i ponownie usiłował wszystko sobie poukładać. Portia wierzyła, że Mahoney jest odpowiedzialny za śmierć jej męża. Teraz ktoś na nią czyhał. Czyżby Mahoney? Wszystko na to wskazywało.

Tyle że Nick nadal nie mógł dopasować do tego wszystkiego Burkharda. Miał reputację, pieniądze i wpływy. Dlaczego nie zablokował inwestycji? Bał się zemsty Mahoneya? Wiedząc, że Portii grozi niebezpieczeństwo, wynajął idiotów, by ją chronili. Nic tu nie trzymało się kupy, obojętnie, na jak wiele sposobów Nick usiłował dopasować do siebie fragmenty układanki. Co jeszcze dziwniejsze, Burkhard zaoferował Portii stanowisko prezesa fundacji, wystawiając ją w ten sposób na niebezpieczeństwo, a potem opłacił ludzi, którzy mieli ją chronić.

Usiadł na krawędzi łóżka i zmarszczył brwi. Być może, ale tylko być może, Burkhard nie traktował tej oferty poważnie. Może oczekiwał, że Portia odmówi przyjęcia stanowiska, a gdy tego nie zrobiła, nie mógł się

do tego przyznać.

Jego komórka właśnie się ładowała, więc podniósł słuchawkę motelowego telefonu. Wybrał numer Portii i usłyszał ją po trzecim sygnale.

- Czy Burkhart mówił poważnie, składając ci propozycję objęcia stanowiska prezesa fundacji? - zapytał.



## Rozdział 17

O siódmej rano Nick zadzwonił do Gila. Na wschodnim wybrzeżu była dziewiąta, domyślił się więc, że zastanie przyjaciela przy biurku.

- Co słyhać na Dzikim Zachodzie? - spytał Gil.

- Jest dość dziko - odparł Nick. A potem musiał opowiedzieć Gilowi, co właściwie robi w Kolorado. Opisał pożar stodoły, Upomniał o groźbach, jakie otrzymywali Gary Wells i Portia, opowiedział o pieniądzach i Burkharcie. O wszystkim z wyjątkiem „Star Gazera”; Gil nie musiał o tym wiedzieć.

- Cholera - mruknął partner. - Podpalenie, morderstwo? Człowieku, co za urlop!

- Muszę cię prosić o przysługę.

- Jestem twoim dłużnikiem. Wiesz o tym.

- Poproś tego gościa z Homeland Security, Rocka, żeby sprawdził wyciągi bankowe Fundacji Ochrony Przyrody z ostatnich osiemnastu miesięcy. Organizacja ma siedzibę w Waszyngtonie. Niedawno ochranialiśmy ich bankiet. I niech zerknie na wyciągi firmy Mahoney Enterprises z Denver. I Wellspring Ranch w Colt, Kolorado. Właścicielem był Gary Wells, nie żyje. Teraz ranczo należy do Portii Wells, Randy’ego i Lynette Wells. Zapisaleś?

- Tak.

- Jeśli będzie się wykręcał, powiedz mu, że... Do diabła, powiedz mu, że podejrzewam, iż Fundacja Ochrony Przyrody jest jedną z tych organizacji pozarządowych, które finansują al-Kaidę.

- Jezu, Sinestra.

- Myślisz, że to zrobi?

- Postaram się go przekonać. Słuchaj, on lubi gry komputerowe, nie?

- I postaraj się, żeby Wes o niczym nie wiedział.

- Co? Twój najlepszy przyjaciel?

- Tak, właśnie o nim mówię.

- Zrobię, co w mojej mocy.

- Och, i niech sprawdzi też podatki dochodowe ich wszystkich za ostatni rok.

- Rany boskie, przecież...

- Jak się ma Dougie?

- Jest nieznośny.

- Biedny dzieciak - mruknął Nick.

- Biedny dzieciak? To rozwydrzony bachor. Rujnuje nam życie. Wpędza matkę do grobu. Biedny dzieciak, rzeczywiście.

- No dobrze już, dobrze. Nie pamiętasz, jak to było, kiedy sam miałeś czternaście lat?

- Próbuję o tym zapomnieć.

- O tym właśnie mówię, przyjacielu.

Ktoś zostawił bramkę w ogrodzeniu pastwiska otwartą, więc kilkanaście koni uciekło i galopowało drogą, jakby chcąc uczcić nagle odzyskaną wolność. Choć nawodnione pastwisko zieleń się trawą, a za płotem nie było nic prócz suchego kurzu.

Portia, Todo, Randy, Juan i psy zdołali wreszcie zagonić konie za ogrodzenie, gdzie dzikie rumaki zmieniły się znowu w potulne kuce, leniwie skubiące zieloną trawkę.

Jedną klacz należało oddzielić od stada, bo zraniła się w nogę. Trzeba wezwać weterynarza, żeby zszyl ranę, i pożegnać się pewnie z trzema studolarowymi banknotami.

- Kto otworzył tę cholerną bramkę? - spytał Randy po raz dziesiąty.

- Nie wiem. - Portia była mokra od potu, a w ustach miała pełno piasku, który końskie kopyta wzbijały w powietrze. Dwa owczarki border collie leżały pod płotem, dysząc ciężko, z głowami między wyciągniętymi do przodu łapami.

- Todd? - powiedział Randy. - Czy to ty, do diabła, zostawiłeś otwartą bramkę?

- Nie. Masz mnie za idiotę? - odparł Todd. Trzymał zranioną klacz. Po jej nodze ściekała krew.

- Kto ostatni jeździł konno? - dopytywał Randy. - Kto ostatni brał konia?

- Wydaje mi się, że Hernando odprowadził konia, na którym jeździł wczoraj po południu - powiedział Todd.

- On doskonale wie, że trzeba zamykać bramkę!

- Pytałeś, więc ci odpowiedziałem.

- Zadzwoń do Hernanda - wtrąciła Portia. - Może widział kogoś w okolicy...

- A dlaczego ci twoi ochroniarze nikogo nie widzieli?

- Naprawdę nie wiem, Randy. Ich też o to spytam. Powiem, żeby byli czujni.

Randy odwrócił się i ruszył przed siebie, mrużąc coś gniewnie pod nosem.

- Zadzwoń do doktora Coffmana - powiedziała do jego pleców. Randy tylko machnął ręką. - To chyba oznacza zgodę - zwróciła się do Todda,

- Ja nie zostawiłem otwartej bramki - powtórzył Todd z naciskiem.

- Wiem, wiem.

Opatrzyli pobieżnie nogę klaczy i zostawili ją w małej zagrodzie. Zazwyczaj zwierzęta czekały na weterynarza w stodole, ale stodoły już nie było. W powietrzu ciągle jeszcze unosił się zapach spalenizny i wilgotnego drewna. Portia starła się nie patrzeć w stronę miejsca, gdzie kiedyś stała stodoła. Wkrótce ona i Randy będą musieli usunąć resztki z pogorzelniska - znowu koszty, których nie mają jak pokryć.

Portia chciała posprzątać dom po południu. Zmienić pościel, uprać ją, odkurzyć podłogi i meble, wyszorować łazienki. Klęczała właśnie na kaflach i myła wannę, kiedy usłyszała pukanie do drzwi wejściowych na

dole.

- Chwileczkę! - zawołała, ściągnając gumowe rękawiczki i odsuwając włosy z czoła wierzchem dłoni.

- Portia?

To był Nick.

Zeszła ze schodów, bosą, w koszulce bez rękawów, ciągle spocona po porannej gonitwie za końmi.

- Masz chwilkę? - spytał, kiedy go wpuściła.

- Prawdę mówiąc, nie bardzo. Właśnie sprzątam. A rano konie uciekły, bo ktoś zostawił otwartą bramkę. Jeden się zranił, weterynarz pojechał godzinę temu. Musiał założyć szwy. Oczywiście Randy jest wściekły.

- Ktoś zostawił otwartą bramkę?

- Chyba że któremuś z koni wyrosły palce.

- Domyślasz się, kto to mógł zrobić?

Portia usiadła na kanapie, opierając łokcie na kolanach.

- Nie.

- Może to był przypadek? Wiesz, może ktoś po prostu niedokładnie zamknął tę bramkę?

- Zasada jest prosta: bramki należy zamykać bardzo dokładnie. I jeszcze jedna: zostawiaj wszystkie bramki tak, jak je zastałeś.

- Więc ktoś otworzył tę bramkę celowo?

Spojrzała na niego.

- Nie wiem.

- Cudownie. - Stał w salonie w swoich nowych dżinsach i kolejnej koszuli z krótkim rękawem, tym razem w odcieniu koralowym, i marszczył brwi. - Groziło ci dwóch mężczyzn. Spłonęła stodoła. Teraz ktoś otworzył bramkę i jeden z koni jest ranny.

- Zapomniałam dodać, że ktoś dzwoni do mnie w środku nocy.

- Kto?

- Nie *wiem*, odkłada słuchawkę. Numer zastrzeżony. Więc teraz wyłączam telefon na noc.

- Chryste, Portia, dlaczego mi o tym nie powiedziałaś? - Nick w zdenerwowaniu zaczął pocierać kark.

- Cóż... Najpierw, kilka nocy temu, pomyślałam, że to pomyłka albo któryś z kolegów Todda się wygłupia. Ale rozmawiałam z Toddem i to nie jest żaden z jego kolegów. - Wzruszyła ramionami. - Wczoraj telefon zadzwonił dwa razy, potem go wyłączyłam.

- Próbowełaś zidentyfikować numer?

- Tak, mówiłam ci, jest zastrzeżony.

- W porządku, w porządku. Czy mówiłaś o tym ochroniarzom?

- Eee... ja... Jeszcze nie.

- Rozumiem. I domyślałam się, że oni oczywiście nie zauważyli niczego podejrzanego, kiedy konie uciekły? Tak jak wtedy, kiedy spłonęła stodoła?

- Więc co mam zrobić? Iść tam i powiedzieć im, jak mają

wykonywać swoją pracę?

- Nie - odparł Nick. - Ja to zrobię.

Wskoczył do swojego samochodu i wyjechał na drogę. O Boże, pomyślała Portia, wyobrażając sobie to spotkanie. Czy tylko powie im, co o nich myśli, czy też dojdzie do rękoczynów? I czy któryś z nich może mieć przy sobie broń? Była to okropna myśl.

Nick wrócił po kwadransie.

- I co? - spytała.

- Nic - odparł sucho.

- Ale przecież coś musiało się wydarzyć.

- Owszem. Zwolniłem ich.

- Ty ich... co?

- Do diabła, zwolniłem ich. Powiedzieli, że nie mam prawa. Więc odparłem, że przywiozę do nich ciebie.

- I co?

Wzruszył ramionami.

- Pojechali.

- Tak po prostu?

- Tak.

- Nie mówisz mi wszystkiego.

- Mówię ci tyle, ile powinnaś wiedzieć.

Doprowadzał ją do szafu.

- Cóż, nie sądzisz, że najpierw powinienesz być skonsultować to ze

mną? Boże!

- Tak, chyba powinienem. Przepraszam.

- Przepraszasz za bardzo wiele rzeczy.

- Jakbym sam o tym nie wiedział - mruknął. A potem, zanim zdążyła zebrać myśli, dodał: - Myślę, że powinnaś stąd wyjechać, przynajmniej na jakiś czas.

Portia nie wierzyła własnym uszom.

- Niby dokąd?

- Nie wiem. W jakieś bezpieczne miejsce.

- Nie mogę nagle stąd wyjechać. Jest Todd. I mam wiele zobowiązań.

Nick zaczął się przechadzać tam i z powrotem.

- Nie podoba mi się to.

Portia obserwowała go spod oka.

- Myślisz, że mnie się to podoba? - spytała.

- Ktoś chce cię zastraszyć. Mam pewne podejrzenia, ale potrzebuję jeszcze trochę czasu i obawiam się, że nie jesteś tu bezpieczna. Im dłużej będę w tym grzebał, tym większe niebezpieczeństwo będzie ci grozić.

- Mnie? A może tobie?

- Nie, to ty jesteś słabym ogniwnem. Niby co mogą mi zrobić?

- Oni? Rozumiem, że mówisz o Mahoneyu i jego oprychach?

- Nie jestem pewny, czy to Mahoney. To tylko jedna z możliwości.

Wiem, co o tym myślisz, ale...

- Dowiedziałeś się czegoś nowego?



- Właściwie nie. Prawie dałem się namówić na kupno działki budowlanej na Panorama Ranch - odparł sucho. - Teraz oferują duże zniżki.

- On jest bardzo pewny siebie, prawda?

- Tak, bardzo pewny siebie gość.

- Czy przyjechałeś tu, żeby mi to powiedzieć?

- Nie.

- Więc?

- Chciałem się upewnić, że wszystko w porządku. No i chciałem... - Stał i spojrzał na nią. - Chciałem pogadać o tej stodole.

O Boże, więc o to chodzi.

- Ja nie mogę... - zaczęła.

Nick podniósł dłoń.

- Posłuchaj tylko.

- Nick, proszę, jestem zbyt zmęczona, żeby się kłócić. Nie mogę przyjąć twoich pieniędzy.

- Nie moich, tylko „Star Gazera”.

- To bez znaczenia, nie mogę...

Rozległ się trzask frontowych drzwi i do kuchni wszedł Todd.

- Konam z głodu. Co mamy na...? - Urwał, stając na progu salonu. - O, cześć.

- Cześć, Todd - odparł Nick.

- Możesz sam zrobić sobie coś do jedzenia? Ja muszę skończyć na górze - powiedziała Portia.

Todd patrzył na nich pytająco. Z zainteresowaniem. Portia poczuła, że się czerwieni.

- W kredensie jest puszka ciastek - powiedziała, wstając.

- Coś wam powiem - odezwał się nagle Nick. - Zabieram was oboje na obiad.

Portia, zaskoczona, zaczęła szukać wymówek.

- Nie, naprawdę, mam tysiące rzeczy do zrobienia.

- Więc zrobisz je jutro. - Nick spojrzał na Todda. - Gdzie tu można dobrze zjeść?

- W Toro - szybko odpowiedział Todd. - W Colt. Mają świetne burritos.

- Podają tam mięso? - spytał Nick z powątpiewaniem.

- Tak, dobre steki, żeberka. Tata zawsze brał żeberka z grilla.

- W porządku, w takim razie jedziemy do Toro.

- Nick, naprawdę...

- Och, daj spokój, Portia - powiedział Todd.

Przez chwilę przenosiła wzrok z jednego na drugiego.

- Chyba zostałam przegłosowana.

- Tak - przyznał Todd.

Portia poszła wziąć prysznic. Nick zaczekał na dole z Toddem. Dobrze, że jest Todd, pomyślała, splukując szampon z włosów. Był czymś w rodzaju bufora. Przyszedł w samą porę, by przeszkodzić w czymś, co zanosilo się na niezbyt przyjemną rozmowę. I zdaje się, że polubił Nicka.

Nick powiedział, że nie ma dzieci. Ale miał taki dobry kontakt z Toddem i wydawał się *szczerze* go lubić. Nie ma dzieci. Tak jak ona.

Zastanawiała się, czy Nick kiedykolwiek pragnął dzieci. Położyła dłoń na swoim nagim brzuchu. Takim pustym. Trzy razy była w ciąży, raz dotrwała nawet do czwartego miesiąca, wtedy brzuch zaczynał się już lekko powiększać. Za każdym razem była taka szczęśliwa. I za każdym razem jej szczęście kończyło się w szpitalu kolejnym poronieniem.

Dość. Nie ma sensu teraz o tym myśleć. W jej życiu nie było nawet mężczyzny, który mógłby zostać ojcem jej dzieci, więc po co się tym zadreć?

Ubierała się, trochę zdenerwowana. Słyszała ich głosy na dole, niewyraźne, ale ożywione. O czym rozmawiali? O męskich sprawach, sporcie? A może o ranczu... albo o niej.

Włożyła białe spodnie i różową bluzkę. Sandałki. Nigdy nie miała czasu na manikiur, paznokcie nie wyglądały najlepiej. To przez tę pracę na ranczu. Wysuszyła włosy i rozczesała je szczotką. Powinna pójść do fryzjera. Nagle doszła do wniosku, że wygląda zbyt oficjalnie jak na taką okazję. Zdjęła różową bluzkę i włożyła dzinsową bez rękawów, a potem spięła włosy kłamrą.

Kiedy zeszła na dół, okazało się, że Todd poszedł się wykapać. Nick siedział na kanapie z książką pod tytułem *Tom Horn i wojna Wyoming Range*.

- Interesujące - zauważył. - Nie miałem o tym pojęcia.

- Gary zbierał książki o historii ranczerstwa.
- Czytałaś to? - Podniósł książkę.
- Tak.
- Tom Horb to była osobowość.
- Widziałeś film o nim? Grał w nim Steve McQueen.
- Chyba nie przepadam za kinem.

Portia patrzyła na niego, przekrzywiając głowę.

- Więc co lubisz robić w wolnym czasie?

Nick starannie odłożył książkę na miejsce.

- Chodzi ci o hobby czy coś w tym stylu?
- Tak.

- Właściwie nie mam hobby. Z Gwen, moją byłą żoną, uprawialiśmy czasem jogging w weekendy. Wyciągała mnie też do wszelkich możliwych muzeów wmieście. Ale teraz... - Wzruszył ramionami.

- Od jak dawna jesteś rozwiedziony?
- Od trzech lat.

Widziała, że nie miał ochoty o tym rozmawiać. Gwen. Dlaczego im się nie udało? Czy był to namiętny związek, pełen pasji i emocji? W Nicku coś było, coś przed nią ukrywał. Wyczuwała to, ale nie wiedziała, co to jest. A może stanowili konwencjonalne małżeństwo, wygodny, lecz pozbawiony głębszego uczucia związek? Może z czasem przestali się kochać. Gwen. Ciekawe, czy Gwen była piękna.

- A kobiety? Nie stoją w kolejce pod twoimi drzwiami? - spytała

lekko.

Nick odwrócił wzrok.

- Ani jedna - powiedział sztywno.

Pojechali jego samochodem. Portia siedziała obok Nicka, Todd na tylnym siedzeniu. Nick chciał wyłączyć radio, ale Portia rozpoznała stację nadającą wielkie przeboje lat pięćdziesiątych i sześćdziesiątych. Piękne, stare piosenki.

Toro było restauracją utrzymaną w westernowym stylu - żyrandole zrobione z kół starych wozów, akcesoria kowbojskie na ścianach, zdjęcia Johna Wayne'a, Toma Miksa i Roya Rogersa. Otwarty grill, na którym skwierczało kilka gatunków mięsa. Bar sałatkowy. Gary często zabierał tu Portię.

Zauważyła, że Nick rozgląda się po wnętrzu.

- Niezbyt elegancko - powiedziała.

- Rzeczywiście - przyznał - ale mnie się podoba.

Kelnerka w obcisłych dżinsach i koszulce bez rękawów zaprowadziła ich do stolika. Na głowie miała stetsona - jak wszystkie inne kelnerki - a na imię Mindy. Znała Portię i Gary'ego od lat.

- Dawno cię tu nie było - zauważyła.

- Tak, byłam dość zajęta.

- Słyszeliśmy o pożarze. Bardzo mi przykro.

- Dziękuję.

Podawała im menu i odeszła.

- Ładna, nie? - spytał Todd cicho, nachylając się nad stolikiem do Nicka.

- Niezła - odparł Nick.

- Ale uważa mnie za dzieciaka.

- Bo jesteś dzieciakiem - powiedziała Portia.

- Nie znoszę, kiedy kobiety są takie - mruknął Todd.

- Ja też - zgodził się z nim Nick.

Złożyli zamówienie. Burritos dla Todda, stek dla Nicka i kurczak z grilla dla Portii. Nick wziął piwo, Portia kieliszek wina.

Potem przyszła pora na bar sałatkowy. Todd wyładował swój talerz po brzegi i wylał na niego mnóstwo sosu. Portia poleciła Nickowi marynowane grzyby, które były specjalnością zakładu.

Usiedli i Portia uśmiechnęła się do Todda, który z zapalem zabrał się do jedzenia.

- To był bardzo dobry pomysł - powiedziała do Nicka. - Naprawdę nie wiedziałam, co przygotować na obiad. Dziękuję.

- Pracujesz zbyt ciężko - powiedział, przyglądając się jej uważnie.

- Cóż, jest mnóstwo pracy.

- Dlaczego zostałeś na ranczu? To znaczy... teraz, kiedy twój mąż...

- Lubię ranczo. Lynette jest moją najlepszą przyjaciółką. A Todd potrzebuje domu.

Todd przewrócił oczami.

- Dom - mruknął. - W Hicksville.

- Daj spokój - powiedział Nick. - To fajne miejsce.
- Ale ty mieszkasz w Nowym Jorku. Tam na pewno jest fajniej.
- Nie zawsze.
- Byłeś kiedyś w Strefie Zero?

Portia zauważyła, że twarz Nicka pociemniała nieco.

- Tak, byłem. Znałem parę osób, które tam zginęły.
- Och. - Todd milczał przez chwilę. - Chciałbym to zobaczyć. Portia tam była, prawda?

- Tak.
- Nosisz przy sobie broń?
- Jasne.
- Masz ją teraz przy sobie?
- Niezupełnie przy sobie, ale niedaleko.
- W samochodzie?
- No, dość tego wypytywania.
- Mój tata pozwalał mi czasem strzelać ze swojej strzelby. Umiem ją naładować i tak dalej.

- To dobrze - odparł Nick i Todd, co było dość rozsądne z jego strony, porzucił ten temat.

Kelnerka przyniosła talerze. Jedzenie było proste i smaczne. Nick dostał upieczonego ziemniaka i stek, a do tego sos i kwaśną śmietanę. Jadł z apetytem.

Portii ulżyło, kiedy okazało się, że Todd z zapalem podtrzymuje

rozmowę. Czowała się trochę winna z tego powodu, bo w pewnym sensie go wykorzystywała, ale dzięki temu mogła lepiej przyjrzeć się Nickowi, obserwować jego reakcje. Przy niej wydawał się spięty i czujny, z Toddem rozmawiał bardzo swobodnie i naturalnie.

Jadła, słuchała i żałowała, że nie potrafi rozmawiać z Nickiem Sinestrą równie swobodnie jak Todd.

- Ta prostytutka... - powiedział Nick i spojrzał na Portię, jakby chciał spytać: „Czy mogę o tym mówić przy Toddzie?” Portia nie wierzyła w skuteczność cenzury, a Todd i tak pozna kiedyś prawdę o świecie, więc nie zgłosiła sprzeciwu. - Była naprawdę piękna i miała duże wzięcie. Problem w tym, że kradła portfele swoich klientów. Nie uważam, że należy dręczyć te dziewczęta, w końcu każdy musi z czegoś żyć, ale kradzież to co innego. - Nick pokręcił głową. - Więc jeden z naszych policjantów poszedł i udawał klienta, a kiedy próbowała go okraść, aresztował ją. Tyle tylko, że okazało się, że to facet.

- Rany - powiedział Todd.

- Tak.

- A narkotyki? Widziałem kiedyś taki program w telewizji. Naprawdę tak jest?

- Czasami. Są dzieciaki w twoim wieku, które tak dużo zarabiają na handlu krakiem, że nie wiedzą, co robić z forszą. Nie mogą jeszcze kupować samochodów. Do diabła, nie mogą nawet jeszcze dostać prawa jazdy.



- Och.

- Więc kupują złote łańcuszki.

- Aresztujesz ich?

- W moim okręgu rzadko mamy takie problemy, ale oczywiście, kiedy się takiego dzieciaka przyłapie, wysyła się go do sądu dla nieletnich.

- Naprawdę chciałbym zobaczyć Nowy Jork - powiedział Todd z żalem. - Założę się, że jest tam ciekawie.

- Owszem.

- Może złożę tam papiery do szkoły. Wiesz, do Columbia albo New York University. A gdzie ty studiowałeś?

- W CCNY - Nick się zaśmiał - to znaczy w City College of New York. Dostałem stypendium. Nie było mnie stać na żadną sławną szkołę.

- Podobało ci się tam?

Nick zastanawiał się przez chwilę.

- Wkuwałem, aż mi dupa przyrastała do krzesła, przepraszam za wyrażenie. Mieszkałem w domu, miałem dwie prace i w sumie niewiele czasu na naukę, ale dałem radę. Pamiętam, że ciągle byłem zmęczony.

Portia jadła swojego kurczaka i uświadomiła sobie, że właśnie dowiedziała się o Nicku więcej niż w czasie wszystkich poprzednich rozmów. Przyglądała mu się i próbowała wyobrazić sobie tego młodego chłopca, który dostał stypendium, pracował i cały czas był zmęczony. Nagle zrobiło jej się wstyd, kiedy pomyślała o latach spędzonych w

ekskluzywnym Sarah Lawrence College.

Zrozumiała też, dlaczego Nick sprzedał ją „Star Gazerowi”. Świadomie czy nie chciał zapewne odegrać się na bogaczach, na tych, którym wszystko przychodziło bez trudu, którzy na wszystko mieli pieniądze. Tak, teraz to zaczęło mieć sens. Słuchała kolejnej policyjnej anegdoty, którą Nick zaczął opowiadać Toddowi. Przypomniała sobie wszystko, co zrobił, ale teraz inaczej już na to patrzyła. Jakby nagle zobaczyła stary, czarno-biały film w kolorze i wszystko stało się bardziej prawdziwe.

Todd i Nick zamówili deser, gorące banany z lodami; Portia wzięła tylko kawę. Zastanawiała się, czy Nick zauważył, jaka była przez cały czas milcząca, ale on najwyraźniej dobrze bawił się z Toddem.

Nick odłożył łyżeczkę i odwrócił się do niej.

- Chciałbym ci coś powiedzieć. Nie chcę psuć miłego nastroju, ale myślę, że powinnaś się nad tym zastanowić.

- Słucham.

- Todd...?

- Nie jestem małym dzieckiem!

- W porządku. - Nick pochylił się do przodu i położył łokcie na stole. Szafa grająca zaczęła grać *Don't Let Your Babies Grow up to Be Cowboys*. - Myślę, że powinienem zamieszkać teraz u was.

- Och, sama nie wiem...

Nick podniósł dłoń.

- Posłuchaj. Czuję się znacznie lepiej, gdybym był na miejscu. Powiedziałaś, że nie możesz wyjechać. W porządku, zostań, ale potrzebujesz ochrony z prawdziwego zdarzenia. Te telefony, wszystko, co się do tej pory stało... Ktoś musi cię chronić.

Portia westchnęła.

- Wpadłeś w obsesję.

- Nie, jestem tylko ostrożny. Robię to, czego się nauczyłem. Dlaczego nie miałabyś z tego skorzystać?

- Miałam już ochronę.

- Miałas dwóch palantów, którzy zarabiali, drzemiąc w swoim samochodzie.

Portia czuła się dziwnie rozdarta. Z jednej strony bała się, była samotna i potrzebowała pomocy. Z drugiej tęskniła za niezależnością.

- Portio, posłuchaj mnie - powiedział Nick z naciskiem.

Poddała się. Poddała się, bo tak było łatwiej, a ona nie miała teraz siły, aby się z nim kłócić, a poza tym w głębi ducha była przerażona.

- Dobrze - powiedziała. - Dobrze. Możesz spać w pokoju gościnnym.

Nick odchylił się na oparcie krzesła i patrzył na nią przez chwilę.

- W porządku - powiedział.

Todd przenosił wzrok z Portii na Nicka i z powrotem, ale nic nie powiedział. Była mu za to wdzięczna. Wyjaśni mu wszystko później, powinien zdawać sobie sprawę z tego, że grozi im niebezpieczeństwo. Może jeszcze raz spróbuje go przekonać, żeby Pojechał do matki.

- Muszę się wyprowadzić z motelu - powiedział Nick. - Podrzucę was na ranczo i zaraz tam pojedę. To nie potrwa długo.

- Możemy pojechać z tobą? - spytał Todd. Jak małe dziecko.

Nick pytająco spojrział na Portię.

Nie wiedziała, dlaczego to powiedziała, po prostu słowa same wypłynęły z jej ust.

- Możemy pojechać wszyscy.

- Super - ucieszył się Todd.

Słońce wisiało nisko nad górami, szczyty rzucały długie cienie aż na równinę. Nick zjechał z autostrady, skręcił w Colfax Avenue i zatrzymał się na parkingu przed niewielkim motelem. Portia czekała w samochodzie, kiedy poszedł po swoje rzeczy do pokoju. Nie trwało to dłużej niż pięć minut. Miał tylko jedną małą torbę.

Wymeldował się i wrócił do samochodu, wkładając rachunek do kieszeni spodni.

- Skasowali mnie za kolejną noc - mruknął z niezadowoleniem. Powiedzieli, że trzeba się wyprowadzić do pierwszej.

- Cóż, tak jest wszędzie - powiedziała Portia.

- Jasne, jakby nie mógł wieczorem wynająć tego pokoju komuś innemu.

W drodze powrotnej Portia czuła się coraz bardziej nieswojo. Nick Sinestra w jej domu. Zobaczy go rano. Czy jest śpiochem? Wstaje o świcie czy też śpi do późna? Czyjego obecność będzie jej przeszkadzać?

Będzie za nią chodził przez cały dzień? Może zostawia włosy w umywalce po goleniu? Miał ciemny zarost, zawsze wyglądał, jakby golił się dwa dni temu. Gary miał jasne włosy - nie musiał golić się codziennie. Jak to będzie mieć Nicka w domu na co dzień?

A potem pomyślała: Boże, co też powie Lynette, kiedy się dowie, że Nick zamieszkał na ranczu? Przypuszczała, że uzna to za doskonały pomysł. To na pewno nie zaszkodzi, powie pewnie. Potrzebujesz kogoś, kto się tobą zaopiekuje.

Kiedy wrócili do domu, Todd zniknął w swoim pokoju. Portia miała ochotę poprosić go, żeby jeszcze z nimi posiedział. Pokazała Nickowi pokój gościnny, który znajdował się naprzeciw pokoju Todda.

- Możesz dzielić łazienkę z Toddem. Posprzątałam ją dzisiaj.

- Niewiele mi trzeba - odparł Nick.

- A ja nie jestem Marthą Stewart.

Roześmiał się. Uśmiech całkowicie zmienił jego twarz.

- To dobrze.

W pokoju gościnnym stały toaletka z klonowego drewna, takie same stoliki nocne i podwójne łóżko z mosiężnym wezgłowiem. Na łóżku leżała kolorowa narzuta. Prosty pokój, mały, z wykuszowym oknem, wychodzącym na góry. Koronkowe firanki.

- Ładnie tu - powiedział Nick. - Przyjemniej niż w motelu.

- Czy ty... to znaczy... co jadasz na śniadanie?

- Zazwyczaj mam czas tylko na kawę i ciastko w kafejce koło metra.

- Nie jadasz regularnie?

- Nie.

- Cóż, my jadamy. W każdym razie się staramy.

- Spróbuję się dostosować - odparł sucho.

Położył torbę na bujanym fotelu, otworzył ją i wyjął rewolwer w kaburze.

Portia szeroko otworzyła oczy.

- Czy... czy musisz...

- Musisz wiedzieć, że w domu jest broń - powiedział poważnie. - Czy to cię niepokoi?

- Tak - wyszeptała.

- Przykro mi. - Ale wcale tak nie było. Powiedział to tak rzeczowo, obojętnie. Broń stanowiła część jego życia. I właśnie wniósł ją do jej domu.

Wyszła z pokoju. Była zaniepokojona. Nie czuła się jeszcze zmęczona i miała ochotę zadzwonić do Lynette, ale było już za późno. Poza tym Nick mógł zejść na dół i usłyszeć, jak o nim mówi. Nie, do Lynette zadzwoni jutro rano.

Włączyła telewizor i starała się skupić na lokalnych wiadomościach, ale myślała o Aaronie. Powinna powiedzieć mu, że Nick zwolnił Jerry'ego i Leva, a sam przeniósł się do jej domu. Cały czas była świadoma jego obecności na górze. Pewnie teraz się rozpakowuje. Albo jest w łazience. Słyszała skrzypienie podłogi na korytarzu na piętrze. Czy

cały czas będzie myślała o tym, że Nick jest w domu? I jak długo to potrwa?

Powinna czuć się lepiej teraz, kiedy z nią zamieszkał, ale wcale tak nie było. Była dziwnie podenerwowana i zastanawiała się, dlaczego tak łatwo zgodziła się na jego propozycję. Zbyt łatwo. Nick zszedł na dół. Wydawał się równie skrepowany zaistniałą sytuacją jak Portia.

- Oglądam wiadomości - powiedziała.

Usiadł w skórzanym fotelu. Fotelu Gary'ego. Jakie to dziwne, obcy mężczyzna w ulubionym fotelu jej męża. W jej domu. W jej życiu.

- Ten Mahoney - zaczął - to śliski facet. Ale nie widzę motywu. Po co właściwie miałby zabić twojego męża? Jest zbyt sprytny, by ryzykować morderstwo. To byłoby zbyt oczywiste.

- A kto inny mógłby to zrobić?

- Nie przychodzi ci do głowy nikt inny, kto mógłby mieć motyw? Ktoś, kogo twój mąż wkurzył?

Pokręciła głową.

- Nie wierzysz mi?

Zawahał się, a potem podniósł dłoń.

- Wierzę w twoje przeczucia, jest w nich pewna logika. Ale to nie dowód.

Portię ogarnęła nagle złość i frustracja. Nikt jej nie słucha. Nikt.

- Zrobił to Mahoney - powiedziała stanowczo. - Mahoney zamordował mojego męża.

## Rozdział 18

Lynette była jak zwykle pełna optymizmu.

- Słuchaj, to fantastycznie. Upieczesz dwie pieczenie przy jednym ogniu. Masz policjanta, który ochrania cię dwadzieścia cztery godziny na dobę, i szansę na romans.

- Lynette!

- Tak to widzę.

- Po prostu łatwiej było się zgodzić. Nie miałam siły się z nim kłócić.

- To dobrze. Widzę, że się uczysz. - W słuchawce rozlegał się szum wody i brzęk naczyń. Lynette sprzątała po śniadaniu. - Gdzie on teraz jest? - spytała.

- W gabinecie. Powiedział, że oczekuje kilku faksów.

- Spotkajmy się dzisiaj. Na kolacji - powiedziała Lynette. - Umieram z ciekawości. Musisz mi wszystko opowiedzieć.

- Przecież nie lubisz gotować.

- To co? Ciekawość przewyciężyła moją awersję do kuchni. Zrobię coś z kurczaka.

- Nie musisz...

- Nie wykręcisz się. Chcę znowu zobaczyć Nicka. Poznać go bliżej.

Dzięki niech będą Bogu za Lynette, nawet mimo jej wścibstwa.



- A gdzie jest Randy?

- Chyba poszedł do stodoły. Mówił, że trzeba będzie wezwać kogoś, kto wywiezie te zgliszcza.

- Och.

- Wiem. To będzie kosztowało.

- Jak wszystko, prawda?

Portia odłożyła słuchawkę i przez chwilę siedziała, zatopiona w rozmyślaniach. Dlaczego nie potrafi być tak otwarta jak Lynette? Nie mówi tego, co myśli, nie potrafi wywołać rumieńca na twarzy Nicka, co tak łatwo przyszło przyjaciółce? Cóż, nawet jeśli nie potrafi okazywać ciepła w taki sposób, to przynajmniej dzięki Lynette dowiedziała się o Nicku jednego - nie był takim twardzielem, jakiego udawał. To tylko maska, fasada. W środku jest równie spragniony miłości i ciepła jak każdy inny. Tyle że nie potrafi tego pokazać. Ciekawe, co musiałaby zrobić, żeby wywołać na jego twarzy taki rumieniec i uśmiech.

W końcu poszła do pokoju, który kiedyś służył Gary'emu jako gabinet. Miała coś do zrobienia na komputerze, ale Nick ciągle jeszcze tam siedział. Stał przy faksie, z którego wychodziły kolejne zadrukowane kartki.

- Chcesz skorzystać z komputera? - spytał Nick i przesunął się, zasłaniając faks. Celowo?

- Nie, mogę zaczekać.

- Zaraz kończę.

Portia poszła posprzątać kuchnię. Z okna widziała Randy'ego, który chodził wokół spalonej stodoły z rękami w kieszeniach i pochylonymi ramionami. Kopnął ze złością jakąś szerniałą deskę.

Zostawiła naczynia w zlewie i podeszła do drzwi. Randy odwrócił się do niej.

- Koszmar - powiedział, kiedy się do niego zbliżyła. Wydawał się naprawdę przygnębiony.

- Lynette mówiła, że znalazłeś kogoś, kto to wywiezie.

- Tak. Huey Gleason. Wiesz, syn Erica.

- Aha.

Randy ciągle winił ją za to, co się stało. Zaczynała podejrzewać, że istotnie była to jej wina. Jej i Nicka.

- Martwi mnie to wszystko. - Machnął rękaw stroną zgliszcz. - Będzie nas to kosztowało. Ubezpieczenie tego nie pokryje.

- Wiem.

- Przekłeta susza. Będziemy musieli sprzedać więcej bydła.

Czy powinna mu powiedzieć, że Nick chce odbudować stodołę? Nie, to bez sensu. Powie Nickowi, że nie może przyjąć jego propozycji. Randy zapewne także nie zechciałby jej przyjąć.

- Jakoś sobie poradzimy - powiedziała.

- Łatwo powiedzieć.

Zostawiła go tam i ruszyła w stronę domu. Nie powiedziała, że to Mahoneya należałoby obwiniać za pożar. Była pewna, że znowu

wyśmiałyby jej podejrzenia.

Ona jednak nie miała wątpliwości, że to Mahoney kazał komuś podpalić stodołę. Wiedziała też, że Nick nie miał tej pewności, ale on przecież nie znał okoliczności wszystkich wydarzeń tak dobrze jak ona. Nie widział niepokoju Gary'ego, jego zdenerwowania i bezsenności. A to wszystko zaczęło się z powodu Mahoneya.

Kto inny przesłałby jej tak wyraźną wiadomość?

Szła powoli, czując, jak poranne słońce praży jej głowę i odsłonięte ramiona. Kto jeszcze chciałby ją skrzywdzić? Nikt. No, Randy marzy zapewne o tym, by zniknęła z rancza, tym bardziej że Gary zostawił jej połowę majątku. Ale Randy nie spaliłby własnej stodoły. Więc został tylko Mahoney.

Zauważyła, że Nick przygląda jej się z okna gabinetu. Ciekawe, co widzi, kiedy na nią patrzy? Kobietę zbliżającą się do wieku średniego, ciągle zajętą, która nie wie, dokąd zmierza? Jak mu się podoba ubrana w dżinsy i podkoszulek? Albo w piżamie, tak jak wtedy, kiedy płonąła stodoła?

W nocy prawie nie spała, zbyt świadoma jego obecności w domu. Czy on śpi w piżamie? Na pewno ma silne ciało. Powiedział, że z byłą żoną często uprawiał jogging. W myślach widziała go, jak biegnie, z chustką zawiązaną na głowie i lśnącymi od potu ramionami. Obok żona - Gwen, tak miała na imię - ale jej nie potrafiła sobie wyobrazić.

Weszła do domu i usłyszała faks, który ciągle wypluwał z siebie

kartki. Stała w drzwiach gabinetu.

- Co to jest, na Boga? - spytała, wskazując na dokumenty.

- Nic takiego. - Odwrócił kartki zadrukowaną stroną do dołu.

- Jeśli to ma jakiś związek ze mną, to wołałabym wiedzieć.

- Pewien facet z Nowego Jorku przysyła mi raporty.

- Jakie raporty?

- Techniczne.

- Nick, sądzę, że jesteś mi winny tę informację.

- To nic takiego, mówię ci. Nuda. O Mahoney Enterprises.

- Wiesz co? Nie lubię, kiedy ktoś traktuje mnie jak dziecko. - Miała ochotę powiedzieć mu, żeby spakował ubrania i swoje faksy i wracał do King Motel, ale się powstrzymała. Odetchnęła głęboko.

- Pokażę ci to wszystko, jeśli dasz mi szansę... - zaczął.

Zadzwonił telefon. Podeszła do biurka, spojrzała na wyświetlacz. Jej matka. To tylko jej matka. Podniosła słuchawkę i odwróciła się do Nicka plecami.

- Mamo?

- Portia, kochanie, tak się cieszę, że cię złapałam... - W jej głosie brzmiała nuta zdenerwowania. Portia wstrzymała oddech. - Nie wiem... - zaczęła Judith, a potem w słuchawce rozległ się zduszony szloch. - Och, przysięgałam sobie, że się nie rozkleję. Mówiłam, że... A Anna mnie ostrzegała, ale...

- O co chodzi, mamo? - Portia czuła, że serce zaczyna jej bić bardzo

szybko. Wiedziała, że coś się stało. Na pewno matkę dopadł kolejny dziennikarz.

- Dzwonili do mnie. Ludzie. O Boże, chciałam... Ale to taki szok. I czułam się dużo lepiej ostatnio... wychodziłam... z domu. - Znowu szloch. - A teraz nie mogę wyściubić nosa za drzwi, nie mogę odebrać telefonu. Mam wrażenie, że rozpadam się na kawałki.

- Tak mi przykro, mamo. - Portia kurczowo zaciskała palce na słuchawce. Słyszała taks i wiedziała, że Nick słucha tej rozmowy.

- Wiem, co się stało. Anna mi powiedziała. Wiem, że to nie twoja wina. Wiem... - W słuchawce zapadła cisza.

- Mamo?

- Tak, jestem... Och, to okropne.

- Mamo, dzwoniłaś do lekarza?

- Anna dzwoniła. Niewiele może zrobić. Chce, żebym do niego przyjechała.

- Och, mamo.

- Było lepiej, a potem to się stało i... - Szloch. - Wiesz, jak ciężko... Jestem taka nerwowa.

- Powiedz, co mogę zrobić, żeby ci pomóc. - Portia starała się mówić spokojnie.

- Och, myślę... lepiej dam ci Annę. Ona ci powie. Nie mogę już rozmawiać...

- Portia, kochanie - rozległ się po chwili głos Anny.

- Jest z nią bardzo źle?
- Raz lepiej, raz gorzej.
- Czuję się strasznie. To moja wina.
- Nie, daj spokój. Co się stało, to się nie odstanie, ale możesz coś zrobić, żeby jej pomóc.
- Zrobię wszystko, Anno, wiesz o tym.
- Znasz ten program, wiesz, *Po zmroku*? Zadzwonili do mnie i zadali mi milion pytań. Bardzo wścibscy ludzie. Oczywiście nie pozwoliłam im rozmawiać z twoją matką. Zadawali mnóstwo osobistych pytań, nie uwierzysz, jacy byli bezczelni.
- Owszem, uwierzę we wszystko.
- Cóż, rozmawiałam o tym z Judith. Była bardzo zdenerwowana, ale doszła do wniosku, że gdyby wystąpiła w tym programie, porozmawiała z tym okropnym człowiekiem... wiesz, prowadzącym... może prasa przestałaby ją nękać. Wystąpić w telewizji i pokazać tym wszystkim ludziom... Wiesz, o co chodzi.
- Matka chce wystąpić w telewizji? - Portia była bardzo zaskoczona.
- Naprawdę powiedziała, że tego chce?
- Tak, ale potem się przestraszyła i stwierdziła, że sama będzie się bała to zrobić. Uznała, że to byłoby za dużo. Więc chce, żebyś ty tam z nią poszła.
- Co?
- Chce, żebyście wystąpiły w tym programie razem.

- Anno, ja... nie wiem, co powiedzieć.
- Po prostu się zgódź.
- Myślisz, że powinna to zrobić?
- Jeśli ty z nią będziesz.
- Kiedy mają to kręcić?
- W niedzielę wieczorem.
- W tę niedzielę?! Za trzy dni?
- Zgadza się.
- O mój Boże.
- Zrobisz to?
- Ja... Tak, oczywiście.
- Wiedziałam. Od razu jej to powiedziałam.

Portia odłożyła słuchawkę i stała przez chwilę bez ruchu, patrząc na telefon, kompletnie osłupiała.

- Co się stało? - spytał Nick.
- Moja matka...
- Tyle wiem.
- Chce wystąpić w programie *Po zmroku*. Właściwie chce, żebyśmy zrobiły to razem.
- Chryste.
- Za trzy dni.
- Ale po co, u diabła...
- Żeby prasa przestała się nią interesować. Jest strzępem nerwów.

Nick podrapał się po głowie.

- W porządku - powiedział. - Pojadę z tobą i zabiorę was do telewizji.

W pierwszej chwili chciała odmówić, ale coś kazało jej przyjąć propozycję. Upór byłby głupotą. Musi pomóc matce, ale dlaczego nie miałyby sobie tego nieco ułatwić?

Nick patrzył na nią wyczekująco.

- Dobrze? - spytał.

- Dobrze - odparła. I znowu pomyślała: Czy nie za szybko się zgodziłam?

Nick chciał jak najszybciej zapoznać się z dokumentami przesłanymi przez Ricka Jacobsona z Homeland Security, ale Portia miała zamiar wyjść. Po akcji, jaką przeprowadził z jej beznadziejnymi ochroniarzami, nie mógł pozwolić, żeby jeździła gdzieś sama.

Poszedł więc za nią, kiedy wsiadała z Toddem do samochodu. Pojechali do weterynarza, a potem Todd przypomniał, że musi odebrać zezwolenie, potrzebne do wyrobienia prawa jazdy. Najpierw jednak zatrzymali się przy sklepie spożywczym. Nick szedł za nią wzdłuż półek. Czuł się tam zupełnie niepotrzebny, ale było zbyt gorąco, by stać na zewnątrz. Potem pomógł jej zapakować zakupy do samochodu. Widział jej nagie ramiona, gładką złocistą skórę, kropelki potu na dekolcie. Starał się na nią nie patrzeć, ale, do diabła, był tylko człowiekiem.

Następnie udali się do lokalnego wydziału komunikacji, gdzie Todd



przeszedł przez denerwującą procedurę, aby uzyskać zezwolenie. Denerwującą dla nastolatka. Nick ukrył uśmiech.

W domu na Portię czekały kolejne zadania. O trzeciej po południu Nick był wykończony snuciem się za nią po ranczu. Przytrzymał konia, kiedy zmieniała mu opatrunek. Wielkie zwierzę podnosiło głowę i wywracało oczami, pokazując białka, podczas gdy Portia kucała przy nim, usiłując owinąć zranioną nogę bandażem.

- Przemawiaj do niej - zaleciła mu Portia. - Głaszcz ją po nosie. Podrap za uszami.

Próbował, ale nie miał wyczucia. Klacz go przerażała, poza tym cały czas miał świadomość, że Portia klęczy przy jej potężnych kopytach.

Potem musieli napełnić zbiornik na wodę i nakarmić cielęta.

- Ile masz krów? - spytał.

- To nie tylko krowy. Krowy to samice. Ogółem mamy czterysta sztuk bydła.

- To dużo.

- Nie tak znowu dużo. - Zakręciła kurek i otrzepała ręce. - Kiedyś mieliśmy pięćset, ale ta susza...

- Ile sprzedajecie co roku?

- Mniej więcej osiemdziesiąt procent cieląt. Pozostałe dwadzieścia procent zatrzymujemy, aby zastąpić stare krowy.

- Gdzie jest byk?

- Mamy trzy byki. Są na federalnym pastwisku z resztą stada.

- Więc ostatnie lata były ciężkie? - spytał, idąc za nią.

- O tak. Jedną suszę można wytrzymać, może dwie, ale kiedy trwa to tak długo... Nie wiem, co z nami będzie. Jest naprawdę ciężko. Robimy, co możemy, naprawdę się staramy. Randy opracował program żywienia w taki sposób, żebyśmy mogli wykarmić czterysta sztuk, wydając tylko o dwadzieścia procent więcej niż przy dwustu.

- Randy, co?

- Wiem, czasem trudno z nim wytrzymać, ale to dobry ranczer. - Urwała, żeby poprawić włosy. Nick zauważył, jak białe było od spodu jej ramię. - A tak przy okazji, zostaliśmy dzisiaj zaproszeni do nich na kolację.

Nick zatrzymał się przy wężu ogrodowym.

- To miłe.

- Zaciekawileś Lynette.

Jedli na werandzie za domem, w cieniu drzew. Lynette cały czas otwarcie przyglądała się Nickowi i zadawała mnóstwo pytań. Poczuliby się pewnie nieswojo, gdyby nie jej humor, ciepło i zaraźliwy śmiech.

- Rozwiedziony - powiedziała Lynette, spoglądając znacząco na Portię.

Portia tylko pokręciła głową. Wiedziała, że i tak nic nie powstrzyma jej przyjaciółki.

- Jezu, Lynette, daj człowiekowi trochę spokoju - wtrącił Randy.

Na trawniku chłopcy grali z Toddem w piłkę. Nie bardzo im to

jeszcze wychodziło, ale Todd był bardzo wyrozumiały. Nick pomyślał o Gilu i Dougu. Jak wspaniale by było, gdyby Dougie mógł mieszkać w takim miejscu. Spotykać takie dzieciaki.

- Byłam kiedyś w Nowym Jorku - mówiła Lynette. Miała różowione policzki, włosy na jej karku, trochę wilgotne, zwijały się w urocze loczki. - Bardzo mi się podobało. Ale nie mogłabym tam mieszkać.

- W mieście nie jest łatwo - zgodził się Nick.

- A gdzie jest? - spytał kwaśno Randy.

Dopiero wieczorem miał czas przejrzeć taksy. Portia pracowała w gabinecie, poszedł więc do swojego pokoju. Usiadł na łóżku, włączył lampkę na nocnym stoliku i zaczął przeglądać dokumenty. Nie najlepiej radził sobie z papierkową robotą, ale wiedział, czego szukać. Mniej więcej po półgodzinie dotarł w końcu do zwrotów podatku Fundacji Ochrony Przyrody. W załączeniu znajdowała się długa lista darowizn powyżej dziesięciu tysięcy. Wszystko było należycie zaksięgowane. Przesunął palcem w dół kolumny cyfr. Po chwili gwizdnął przeciągle, a jego palec zatrzymał się na jednej nazwie. Mahoney Enterprises. Sto tysięcy dolarów. Cholera.

Cheri wspomniała, że Wells i Mahoney osiągnęli kompromis. Czy mówiła o tym? Gigantyczne pieniądze, darowane w celu przekonania fundacji, aby zaniechała swoich działań?

A jednak Wells pokłócił się potem z Mahoneyem, a ten w na-

stepstwie owej kłótni zaczął mu grozić. Tak przynajmniej twierdzi Portia. Skąd ta zmiana? Czy Wells najpierw dał się kupić, a potem zmienił zdanie?

Próbował dociec motywów działania Wellsa. Czy czuł się winny z powodu przyjęcia tych pieniędzy? Czy doszedł do wniosku, że ta darowizna może być postrzegana jako łapówka? Czy nagle przestraszył się na myśl, że mogłoby się to dostać do publicznej wiadomości, i chciał się wycofać? Nic dziwnego, że deweloper się wkurzył.

Teraz, po śmierci Wellsa, inwestycja pójdzie zapewne pełną parą. Mahoney zaczął przyjmować rezerwacje na działki budowlane. Wszystko było zapięte na ostatni guzik. Tak, Mahoney wiedział, że jego projekt musi uzyskać zezwolenia. Przy dziewięciuset działkach, z których każda kosztowała przynajmniej dwieście pięćdziesiąt tysięcy, a niektóre nawet milion... Mahoney szykował się do zgarnięcia grubej forsy, a Wells mógł zniweczyć jego plany. Czy to mógł być motyw morderstwa? Z całą pewnością tak. Potem, kiedy Portia ogłosiła, że przyjęła stanowisko prezesa fundacji, i można było się spodziewać, że będzie kontynuować politykę zmarłego męża, nagle zaczęły się groźby, pożary, głuche telefony. Czyżby Mahoney starał się upewnić, że Portia nie będzie wtykać nosa w jego interesy? To wydawało się prawdopodobne.

No, ale oczywiście Nick mógł się mylić.

A gdzie było miejsce Aarona Burkarta w tej układance? Musiał

przecież wiedzieć o darowiznie. Dlaczego nie postarał się o to, by pieniądze zostały zwrócone ofiarodawcy? Mógł też zatrzymać pieniądze i kazać Gary'emu się wycofać. Do diabła, w końcu chodziło tylko o pole golfowe, a za sto tysięcy można chyba kupić trochę dobrej woli.

Burkhart. Burkhart był zagadką. Nick nie widział żadnego sensu w jego działaniach. Skoro był takim inteligentnym, wspaniałym starym człowiekiem, za jakiego uważała go Portia, jego zachowanie wydawało się podejrzanym. Był mentorem Wellsa, niemal zastępował mu ojca, jak twierdziła Portia. Powinien więc albo kazać Gary'emu się wycofać, albo znaleźć jakiś sposób, by udobruchać Mahoneya. Nick odłożył papiery i spróbował się skupić. Z pokoju Todda dobiegały dźwięki gry komputerowej. Portia była na dole, w gabinecie. Wyobraził sobie jej smukłe palce na klawiaturze komputera. Tak ciężko pracowała, by utrzymać ranczo. Robiła to ze względu na pamięć męża. Choć jej mąż ją zdradzał i - jak się wydaje - zdradzał też fundację.

Musiała go bardzo kochać. Niepokoiło to Nicka. Mówił sobie, że martwi się, bo Gary wcale nie był tak kryształowy, za jakiego go uważała. W głębi ducha wiedział jednak, że był po prostu zazdrosny. O człowieka, który nie żył.

Usłyszał kroki na schodach. Portia poszła do łóżka. Miał ochotę wyjść z pokoju i porozmawiać z nią przez chwilę, może ją pocieszyć. Chciałby jej dotknąć, popatrzeć na nią. Objąć ją i scałować troskę z jej twarzy. Z trudem skupił uwagę na leżących przed nim dokumentach.

Słyszał, jak Portia wchodzi do łazienki, odkręca wodę. O czym myślała? Czy czuła się samotna? Skąd brała siłę? Był dla niej pełen podziwu.

Podniósł kolejną kupkę papierów. Były to kopie wyciągów z osobistego konta Portii. Źle się czuł, grzebiąc w ten sposób w jej życiu. Oczywiście nic tam nie znalazł, ledwo wiązała koniec z końcem. Potem przyszła kolej na wyciągi z konta Randy'ego i Lynette - tu też nie było nic ciekawego - i z konta rancza, z którego najwyraźniej korzystano, by płacić rachunki. Kilka większych wpłat, najprawdopodobniej dochody ze sprzedaży bydła. I kilkanaście czeków.

Kolejna porcja papierów. Rachunek oszczędnościowy o nazwie Wellspring Ranch, z numerem polisy ubezpieczeniowej Randy'ego. W Colorado Springs Bank. Jezu, Portia mówiła, że ranczo ma kłopoty, a na ten rachunek wpływały kwoty w wysokości od trzech do ośmiu tysięcy dolarów. Żadnych wpłat powyżej dziesięciu tysięcy, które musiałyby zostać zgłoszone do urzędu skarbowego. W sumie w czasie ostatnich dwunastu miesięcy na rachunek wpłynęło nieco ponad sześćdziesiąt tysięcy dolarów. Skąd wzięły się te pieniądze? Przerzucił kilka kartek i jeszcze raz sprawdził zeznanie podatkowe Randy'ego i Lynette. Wpłaty zostały tam ujęte jako darowizny. Darowizny? Od kogo?

Trzeba pójść za tym tropem. Musi tylko zdobyć więcej informacji. Powinien spytać o to konto Portię, ale nie śmiał tego zrobić. Byłaby wściekła, że zaczął grzebać w jej wyciągach bankowych i zeznaniach podatkowych. Na pewno kazałaby mu się wynosić. I miałaby rację. Ale

dlaczego Randy miał konto w Colorado Springs, podczas gdy wszyscy inni korzystali z usług banku w pobliskim Castle Rock? I czy Lynette wie o tym koncie?

Chciałby wiedzieć, skąd wzięły się te pieniądze. A może warto zapukać do pokoju Portii i spytać, czy coś o nich wie? Czy Portia już śpi? Starał się nie myśleć o niej, leżącej samotnie w łóżku, przy otwartym oknie. Czy brakowało jej mężczyzny? Czy tęskniła za Garym?

W końcu zszedł na dół, usiadł przy stole i oparł głowę na rękach. Nie potrafi przestać myśleć o Portii. Czy od śmierci męża czuła się samotna? Nalał sobie szklanek wody, wypił ją i zabębnił palcami po blacie stołu.

Ciekawe, co kombinuje Randy? Ma okrągłą sumkę na swoim koncie, a ledwo starcza im na pokrycie rachunków rancza. Czy Randy celowo ukrywa to przed Portią? Czy chce, aby wydawało się, że ranczo jest na skraju bankructwa, w nadziei, że Portia w końcu zrezygnuje ze swojej części?

Siedział tam, w świetle lampy wiszącej nad stołem. Okno nad zlewozmywakiem było otwarte. Słyszał cykady, dalekie głosy nocnych ptaków i ciche porykiwania krów. Dźwięki obce mieszkańcowi wielkiego miasta. Poza tym panowała cisza. Ale spokój nocy był zwodniczy. Ktoś mógł czaić się w ciemności. Ten stary dom stał na takim odludziu.

Teraz Nick miał przed sobą dwa zadania. Musi dowiedzieć się czegoś więcej o Mahoneyu oraz o Randym i jego finansach. Sprawdzić, skąd

biorą się wpłaty na jego konto. No i, przypomniał sobie, wkrótce czeka ich wyjazd do Nowego Jorku. Znowu będą razem w mieście i postara się, aby w niczym nie przypominało to ich ostatniego spotkania tam. Myślał o Bernie i jego brukowcu... Od tygodnia ignorował liczne telefony od niego. Facet będzie wściekły, kiedy się dowie, że Nick, choć na krótko, wrócił do Nowego Jorku nie tylko z Portią, lecz także z jej matką. Nic się z tym nie da zrobić. Zresztą Nick i tak najprawdopodobniej skończy współpracę z tą szmatą.

Stanie się innym człowiekiem. Tak.

Myślał o tym, ile czasu zmarnuje w mieście. Tu, w Kolorado, spędziłby ten czas zupełnie inaczej. Dowiedziałby się więcej o Mahoney Enterprises, nie wspominając już o koncje Randy'ego. Nagle przyszedł mu do głowy pewien pomysł. Może jednak czas spędzony w Nowym Jorku nie będzie zupełnie zmarnowany. Warto wybrać się trochę dalej, do Waszyngtonu, i odwiedzić starego, dobrego Aarona Burkarta. Zadać mu kilka pytań.

Tak, pomyślał, dlaczego by nie?

W końcu wstał od stołu i sprawdził, czy wszystkie drzwi i okna są zamknięte, choć zapewne i tak można je ,było otworzyć byle scyzorykiem albo kartą kredytową.

Potem zgasił światło i poszedł na górę, starając się nie nastąpić na skrzypiące deski. Mijając drzwi pokoju Portii, zawahał się. Potem pokręcił głową i ruszył do siebie.



## Rozdział 19

Obudziła się tuż przed piątą nad ranem i przypomniała sobie wszystko, co powinna załatwić przed wylotem do Nowego Jorku. Jak długo jej nie będzie? Dwa dni, trzy? Musiała zarezerwować pokój w Peninsula Hotel. Może dostanie zniżkę? Mogłaby się zatrzymać u matki w New Rochelle, ale wiedziała, że nie wytrzyma tam całych dwóch dni. Może matka zapłaci za jej pokój?

O Todda już zadbała. Lynette obiecała, że będzie go miała na oku. A żona Juana, Maria, przyjdzie, żeby posprzątać dom. Może więc też przypilnować chłopaka,

Rachunki? Czy są jakieś, które nie mogą poczekać? Powiedzmy do wtorku?

Nagle zadzwonił telefon przy łóżku. Pewnie znowu głuchy. Na pewno. Dla większości ludzi piąta rano to środek nocy. Może to Jakiś dziennikarz? Po pożarze kilku dzwoniło, prosząc o wywiad. Odmówiła wszystkim. Ale nie, żaden dziennikarz nie zadzwoniłby o tej porze.

Z drugiej strony to może być coś pilnego. Może to matka. Odebrała. Ale to był Randy. Powiedział, żeby natychmiast przyjechała na pastwisko.

- W zbiorniku na wodę jest martwe ciele - powiedział. - I to nie jest

wypadek, tego możesz być pewna.

Poszła do łazienki, wciągnęła dzinsy i podkoszulek, ale nawet nie umyła zębów ani nie przeczesła włosów. Serce waliło jej jak młotem. Kolejny atak. Kolejne ostrzeżenie: „Zostaw Mahoneya w spokoju”.

Nick był już na nogach. Siedział w kuchni, ubrany, i pił kawę. Nie miała nawet czasu, by pomyśleć, jak miło mieć w domu kogoś, z kim może napić się kawy przed wschodem słońca.

- Dzwonił telefon? - spytał, marszcząc brwi.

Kiwnęła głową.

- Martwe ciele w zbiorniku na wodę. Randy tam czeka.

- Ja poprowadzę - powiedział i chwycił kluczyki od furgonetki, które leżały na kuchennym blacie. Portia nie miała siły się z nim spierać. Nagle Nick znieruchomiał. - A Todd?

- Śpi przynajmniej do ósmej. - Portia wzięła telefon komórkowy. - Zadzwoń do niego, jeśli do tej pory nie wrócimy.

Randy był wściekły. Chodził w mdłym świetle poranka wokół wyciągniętego ze zbiornika martwego cielecia.

- Dzwoniłeś do Caba? - spytał Nick.

- Owszem.

- Nie przyszło ci do głowy, żeby zostawić wszystko tak, jak było?

- Co?

- To jest miejsce, w którym dokonano przestępstwa. Grunt jest błotnisty, bo ze zbiornika wycieka woda. Na pewno zostały tu jakieś

ślady stóp czy opon samochodowych.

Randy zatrzymał się i rozejrzał wokół. Potem zdjął kapelusz i otarł czoło rękawem.

- Nie myślałem o niczym, człowieku, od razu zacząłem działać. Było jeszcze ciemno. Zatrzymałem się, żeby sprawdzić zbiornik... A teraz Cab nie będzie w stanie rozpoznać śladów. O Jezus,

Portia spojrzała na Nicka.

- Nie przejmuj się, Randy, ja pewnie zrobiłabym to samo. Co teraz zrobimy z wodą? Zastanawiam się, czy...

- Cholerne cieleń leżało w wodzie od kilku dni - powiedział Randy. - Musimy spuścić wodę i oczyścić zbiornik. Co za koszmar. - Spojrzał na Portię. - Naprawdę nie chcę cię dręczyć, kobieto, ale chyba już czas, żebyś się zastanowiła poważnie nad tą całą fundacją. Najpierw straciliśmy stodołę, a teraz znowu to.

Portia kiwnęła głową i zagryzła wargi. Starła się nie patrzeć na biedne zwierzę, które leżało w kałuży wody. Po chwili przyjechał Cab w swoim policyjnym samochodzie. Rozejrzał się, a potem stanął nad martwym cieleciem, opierając ręce na biodrach.

- Przypuszczam, że nikt z was nie słyszał na ranczu samochodu w ciągu kilku ostatnich nocy?

Portia i Randy pokręcili głowami.

- A czy ktoś w ogóle mógłby usłyszeć samochód w tym miejscu? - spytał Nick. - Chodzi mi o to, czy jest jakaś droga na to pastwisko, która

nie prowadzi obok domów?

- Tak, jest polna droga. - Randy wskazał kierunek ruchem głowy. - Znajduje się na ziemi federalnej, ale za tym wzniesieniem jest bramka, przez którą można na nią wjechać.

- To na pewno jest jedno z waszych zwierząt? - spytał Cab.

- Tak, można rozpoznać znak. - Portia wskazała cieleń, a potem odwróciła głowę.

- Pasło się tutaj?

- Tak - odparł Randy. - Mieliśmy zamiar zabrać stąd stado w przyszłym tygodniu.

Jeszcze zanim Cab powiedział im, że nie znalazł żadnych śladów, Portia wiedziała, że temu, kto to zrobił, ujdzie to najprawdopodobniej na sucho. Tak jak pożar i głuche telefony. Jak morderstwo Gary'ego. Nick chciał ją chronić. Mógł chronić Todda i dom, ale nie był w stanie wszystkiego jednocześnie.

- O Boże - wyszeptała, kręcąc głową.

Cab rozmawiał z nią, a Nick zabrał Randy'ego na bok, żeby zamienić z nim parę słów. Zastanowiło ją to. Czyżby nie chciał, żeby to słyszała? Cab notował coś i zadawał głupie pytania, które do niczego nie prowadziły.

- Na twoim miejscu - powiedział w końcu - trzymałbym się rancza. Komuś bardzo się nie podoba twoja praca w fundacji.

- A więc to znowu moja wina. - Zrobiło jej się niedobrze. Czy

wszyscy chcą, żeby zrezygnowała z prezesury?

- Nikt nie mówi, że to twoja wina. Ale zanim odkryjemy, kto cię nęka, może upłynąć sporo czasu. Możliwe też, że nigdy się tego nie dowiemy. To nie jest sklep, gdzie można zamontować kamery.

- Poważnie? - mruknęła ironicznie i westchnęła. - Przepraszam, Cab. Jestem taka sfrustrowana. Ile minęło... tydzień? Tydzień, odkąd przyjechałam to stanowisko, i zobacz, co się stało.

Pomyśleć, że jeszcze niedawno miała ambitny plan napuszczenia mediów na Mahoneya, w nadziei, że zwróci to ich uwagę na przedwczesną śmierć Gary'ego, rzuci jego mordercę na kolana i zmusi go, by za to zapłacił. Co za nonsens. Teraz bała się udzielić jakiegokolwiek wywiadu. Wystarczy przypomnieć sobie, co wydarzyło się po ostatnim. Stodoła spłonęła doszczętnie. Mahoney wygrał bitwę. A wkrótce zapewne wygra całą wojnę.

- Pomóżcie mi załadować cieleń na wóz. Zawiozę je do weterynarza. Niech sprawdzi, co je zabiło - powiedział Cab.

- A ja będę musiał zapłacić za badanie, tak? - rzucił ze złością Randy.  
- Mowy nie ma.

- Szeryf musi sprawdzić, od czego zginęło to zwierzę - wtrącił Nick.

- Widać od razu, że od strzału - mruknął Randy.

- Może od strzału, a może nie - odparł Cab. - Sprawdźmy, czy uda nam się ustalić, z jakiej broni strzelano.

Randy burknął coś pod nosem.

W drodze powrotnej do domu Portia spytała Nicka:

- O czym rozmawiałeś z Randym?

- Kiedy?

- Nie udawaj, że nie wiesz.

- W porządku. - Wziął głęboki oddech. - Zapytałem go o konto bankowe.

- Co?

- Te fakсы... Niektóre z nich to były wyciągi bankowe.

- Tak, mówiłeś mi. Mahoney Enterprises...

- I Wellspring Ranch - powiedział, nie spuszczać wzroku z jej twarzy.

- Nasze konta bankowe?

- Wiedziałem, że będziesz zła.

- Dziwi cię to?

- Nie, ani trochę.

Portia poszła posprzątać kuchnię. W środku ciągle gotowała się ze złości. Co za bezczelność. Jak śmiał wtykać nos w jej konto bankowe. Czy to legalne, na litość boską? Zamiotła podłogę, podlała kwiaty na ganku i wrzuciła pranie do pralki, żeby mieć co na siebie włożyć w Nowym Jorku. Potem wróciła do gabinetu, gdzie Nick znowu przeglądał przefaksowane dokumenty.

Stanęła w drzwiach i skrzyżowała ręce na piersi.

- W porządku, chyba rozumiem, dlaczego chciałeś sprawdzić nasze

konta. Nie podoba mi się to, ale co się stało, już się nie odstanie. A teraz może mi powiesz, o czym rozmawiałeś z Randym.

Podniósł głowę i spojrzał na nią przeciągle, co wzbudziło w niej niepokój.

- Wiedziałaś o koncie założonym w Colorado Springs Bank na nazwisko Randy'ego?

- Konto? W Colorado Springs?

Pokazał jej wyciąg. Portia nie chciała przyznać, jak przykro jej było, że Lynette nie powiedziała jej, iż mają z Randym oszczędności przekraczające sześćdziesiąt tysięcy, które leżą spokojnie w banku w Colorado Springs i generują całkiem niezły procent.

- Cóż, nie jestem zaskoczona - powiedziała. - Lynette ma dużą rodzinę, jestem pewna, że te pieniądze pochodzą od któregoś z jej członków. Może od jej rodziców.

- Hm. Mniej więcej to samo powiedział mi Randy.

- Nie wierzysz mu?

- W tej chwili sam nie wiem, w co wierzyć. Jedno wiem na pewno, muszę się spotkać z Aaronem Burkhartem.

- Z Aaronem? Ale...

- Spokojnie. - Nick podniósł dłoń. - Chcę po prostu polecieć do Waszyngtonu, kiedy będziemy w Nowym Jorku, i zadać mu kilka pytań.

- Nadal nie...

- Portia, to rutynowa procedura. Burkhart dobrze wie, przez co tu

przechodzisz. Do diabła, to przecież on wynajął tych ochroniarzy, prawda?

- No tak.
- Więc chętnie nam pomoże.
- Cóż...
- Zaufaj mi, nie będzie miał nic przeciw temu.
- Zaufać ci? Hm...
- Tak.

Miała ochotę mu powiedzieć, że nie ufa już samej sobie, a co dopiero jemu, ale przeszkodził im Todd.

- Właśnie rozmawiałem z Raymondem. Kupi mi bilet, żebym mógł polecieć z wami do Nowego Jorku.

- Raymond? - Nick sprawiał wrażenie skołowanego.

- Mój ojczym. Powiedziałem mu, że będę musiał spędzić z nimi tydzień w Denver, więc zaproponował, że kupi mi bilet... Wymyślił to tak szybko, że to aż żalosne.

Portia była tak zaskoczona, że nie wiedziała, co powiedzieć.

- Todd - zaczęła w końcu, przełykając ślinę. - Zadzwoń do Raymonda i wyłudź od niego bilet, nawet nie pytając mnie o zdanie?

- Aha. I jadę z wami. Nie mów, że nie pojedę, bo pojedę.

Portia z niedowierzaniem pokręciła głową. Nie stać jej na dwa pokoje, a nie może przecież zwalić matce i Annie na głowę nastolatka, który właśnie po raz pierwszy przyjechał do wielkiego miasta. Nie, to



niemożliwe.

- Posłuchaj, Todd - powiedziała. - To nie jest odpowiedni moment. Musisz zrozumieć, że to nie jest wycieczka krajoznawcza, to...

Ale Nick jej przerwał.

- Mam pomysł.

- Nick - zaczęła. - Naprawdę myślę...

- A gdyby tak Todd zatrzymał się u mnie? Mam dodatkowy pokój.

- Ale ty polecisz do Waszyngtonu, zapomniałeś? Na spotkanie z Aaronem. A ja będę zajęta z mamą i nie mogę...

Nick pstryknął palcami i sięgnął po swoją komórkę.

- Gil - powiedział tylko.

- Gil? - spytał Todd.

- Mój partner. Ma troje dzieci. Jedno mniej. Jedno więcej, to mu nie robi różnicy. A jego Dougie jest prawie twoim rówieśnikiem. Poza tym Gil jest mi winny przysługę.

- Ale ekstra. - Todd uśmiechnął się szeroko.

Nick zadzwonił do Gila i wszystko zostało ustalone, zanim Portia zdołała temu zapobiec.

- Spisek - mruknęła, wychodząc z pokoju. Najpierw Nick wprowadził się do jej domu, potem matka zapragnęła wystąpić z nią w telewizji, a teraz Todd oznajmił, że wybiera się do Nowego Jorku. Miała wrażenie, że to koszmarny sen.

W jakiś cudowny sposób zdążyła załatwić wszystkie sprawy, zanim

w sobotę rano udali się na lotnisko wynajętym samochodem Nicka. Udało jej się też spakować *rzeczy* swoje i Todda i spędzić godzinę z Lynette. Ale nie miała odwagi zapytać ją o konto w Colorado Springs.

Randy znalazł chwilę, żeby przed odjazdem przejrzeć dokumenty związane z odnową pożyczki, które przysłał Tyler Silverman. Dostała zniżkę, na jakiej jej zależało. I całkiem nieźle spała w piątkową noc, choć Nick był przecież zaledwie kilka metrów dalej, w pokoju gościnnym.

W samolocie zajęła miejsce w przejściu. Nick i Todd zagłębili się w rozmowie o Nowym Jorku. Portia natomiast dziwiła się, że jest w stanie zajmować się tyloma rzeczami naraz. Właściwie powinna rozpaść się na tysiąc kawałków. I nikt nie zdołałby jej już skleić w jedną całość.

No i Partick Mahoney... Po powrocie z Nowego Jorku wszystko będzie tak samo. Może Mahoney już teraz planuje kolejny atak.

Nagle coś przyszło jej do głowy. Trąciła Nicka w ramię.

- Może w czasie tego programu w telewizji powiem, co robi Mahoney, i poproszę o przeprowadzenie śledztwa w tej sprawie.

- Kiepski pomysł - odparł Nick. Potem odwrócił się do niej i zniżył głos, kładąc dłoń na jej kolanie.

- Znajdę tego, kto to zrobił. Nawet gdybym miał go szukać do końca życia. Znajdę go, kimkolwiek jest.

- Wydajesz się bardzo pewny siebie.

- Bo jestem.

- Żałuję, że ja nie mam takiej pewności.

- Ja się tym zajmę - powiedział Nick. - Zajmę się wszystkim. W porządku?

- W porządku - odparła. Tak bardzo chciała mu wierzyć, ufać mu. W głębi serca żałowała, że nie powiedział: „Zajmę się tobą”.

Wylądowali w Newark o czasie. Gil czekał już na nich na lotnisku, wraz z Dougiem. Portia obserwowała powitanie. Jak Todd zareaguje na swojego pierwszego znajomego afrykańskiego pochodzenia? Ale chłopcy zdawali się nie zważać na kolor skóry.

- Hej, witamy w Nowym Jorku - powiedział Doug.

Todd podał mu rękę.

- Tu jest super - odparł. - W Denver jest dość nudno.

Nick przedstawił Portię Gilowi, a potem zwrócił się do Douga.

- Dobrze się sprawujesz, chłopie?

- Jasne. - Doug się uśmiechnął.

Potem Gil położył swoje wielkie dłonie na ramionach chłopców.

- Pamiętajcie o jednym, dzieci. Powiem to tylko raz i więcej nie powtórzę. Jak będę miał z wami jakiegokolwiek kłopoty, obaj pożałujecie, żeście przyszli na świat. Zrozumiano?

Nick uśmiechnął się pod nosem.

Doug spojrział na Todda.

- On nosi broń, brachu.

Portia przewróciła oczami, wzięła głęboki oddech i zastanawiała się, jak dała się wmanewrować w taką sytuację.

## Rozdział 20

Kiedy się jest w Nowym Jorku, życie jakby przyspiesza. Mimo weekendu wszyscy jeżdżą za szybko, za często naciskają klaksony, wyskakują na jezdnię na czerwonym świetle. Lipcowy upał niczego pod tym względem nie zmienił.

Gil zawiózł ich do Peninsula Hotel, gdzie Portia zajęła swój pokój. Potem pojechali do Nicka po jego samochód. Todd, z ustami otwartymi z podziwu i zdumienia, wykręcał szyję na wszystkie strony, chłonąc nieznane widoki. Doug ze swadą opowiadał o „swoim mieście”, dość często przeinaczając fakty. Ale nikt go nie poprawiał. Chłopcy tak doskonale się bawili.

Kiedy Gil wysadził ich przy samochodzie Nicka, Portia podziękowała mu wylewnie za propozycję opieki nad Toddem.

- Nie ma sprawy - odparł Gil. - Mam właśnie urlop.
- Poważnie? - zdumiał się Nick. - Nic mi o tym nie mówiłeś.
- Cóż, bawiłeś na Dzikim Zachodzie. Byłem tylko ciekaw, czy zastanawiasz się, kto cię zastępuje.
- No więc, kto mnie zastępuje?
- Freddo.
- O nie. - Nick pochylił się do okna samochodu.

Potem Portia i Nick pojechali do New Rochelle, a Gil z chłopcami ruszyli do Yonkers, do domu Gila. Następnie, zgodnie z tym, co mówił Doug, cała rodzina miała pokazać Toddowi Strefę Zero i zjeść obiad w Chinatown.

Portia niestety nie miała czasu na zwiedzanie. Stała pod drzwiami domu matki, usiłując wziąć się w garść. To zły pomysł, pomyślała. Nagle ogarnęła ją panika - wystąpi z matką w programie telewizyjnym. Chyba oszalała. A co Nick pomyśli o Judith Carr? O Boże.

Jakby czytając w jej myślach, Nick delikatnie dotknął jej ramienia.

- Wszystko będzie dobrze - powiedział.

- Łatwo ci mówić - szepnęła Portia, a potem drzwi otworzyły się i na progu stanęła Anna.

Dziwne, że tak bardzo obchodziło ją, jakie wrażenie zrobią na Nicku dom, Anna, a zwłaszcza Judith. Właściwie dlaczego to dla niej takie ważne? Wiedział już przecież, jak ekscentryczna jest jej matka.

Judith siedziała na obitej aksamitem sofie w słabo oświetlonym pokoju, wypełnionym ciężkimi ciemnymi meblami, i piła popołudniową herbatę. Nie wstała, by ich powitać. Rzadko wstawiała, by powitać kogokolwiek. Ludzie przychodzili do niej jak na audiencję. Portia nachyliła się więc, pocałowała matkę w oba policzki, a potem dokonała prezentacji.

- A więc to pan jest tym policjantem - powiedziała Judith, co zaskoczyło Portię. Oczywiście opowiedziała matce, w jaki sposób prasa

zdobyła jej adres. Judith była trochę roztargniona, ale z pewnością nie była głupia.

- Proszę usiąść obok mnie, panie Sinestra. Czy może raczej detektywie Sinestra?

- Nick. Proszę mi mówić po imieniu - powiedział, siadając na wskazanym miejscu.

Portia wymieniła spojrzenia z Anną.

- Powinam być na ciebie wściekła, Nick - powiedziała Judith. Po czym zwróciła się do Anny: - Nie stój tak... na litość boską, kobieto, Portia i detektyw... to znaczy Nick... na pewno chętnie napiją się herbaty.

- Ja to zrobię, mamó. - Portię ogarnęło zdumienie. Anna była przyjaciółką i towarzyszką, a nie pokojówką. Ale Anna tylko machnęła ręką i nalala herbatę do filiżanek. Cóż, zapewne przywoła matkę do porządku, kiedy zostaną same.

- Denerwuję się tym wystąpieniem przed kamerami - powiedziała nagle Judith. - Od lat tego nie robiłam. I to wszystko twoja wina, młody człowieku.

- Hm. - Nick wrzucił właśnie kolejną kostkę cukru do swojej herbaty. Wydawał się całkowicie pochłonięty tą czynnością.

- Nick nas tam zawiezie, mamó - wtrąciła Portia. - Będzie po wszystkim, zanim zdążysz się zorientować.

- Ale co ja mam na siebie włożyć?

Byłe nie którąś z tych czarnych sukien zdobionych czarnymi

koronkami, czarny kapelusz i te twoje wielkie czarne okulary, pomyślała Portia. Boże, tylko nie to.

- Wszystko już przygotowałam - odezwała się Anna.

- A jeśli mi się to nie spodoba? - Judith wyprostowała się lekko.

- Spodoba ci się.

Nick pewnie z trudem powstrzymywał wybuch śmiechu, choć jego twarz, jak zwykle, nie wyrażała niczego. Ciągłe metodycznie mieszał herbatę łyżeczką.

Judith, ze zmarszczonym czołem, rozmyślała przez chwilę nad strojem, a potem nagle odwróciła się do Nicka.

- Spotykasz się z moją córką? Jesteś jej kochankiem? - spytała. - Dlatego tu przyjechałeś i chcesz nas zawieźć do studia?

- Judith - upomniała ją Anna.

- Mamo - jęknęła Portia.

- Ja... eee... cóż... - Judith udało się wyprowadzić Nicka z równowagi.

- Ja... chyba można powiedzieć, że jesteśmy przyjaciółmi.

- Przyjaciele mogą też być kochankami - drażyła Judith. - Nie odpowiedziałeś na moje pytanie. Chyba mam prawo wiedzieć. Portia jest w końcu moją córką. Moim jedynym dzieckiem.

Dzieckiem?

- Mamo, proszę - powiedziała Portia, tak zakłopotana, że z trudem oddychała.

- Cóż... - zaczął znowu Nick. Spojrzał na Portię i coś w jego wzroku

sprawiło, że jej serce zabiło mocniej. Ale zaraz odwrócił się do Judith. - Nie, nic z tych rzeczy. Jesteśmy tylko przyjaciółmi.

Anna próbowała ratować sytuację.

- O której mamy być jutro gotowe? Dzwonili ze studia, chcą, żebyśmy tam były o ósmej. Makijaż i tak dalej. - Anna wiedziała wszystko o takich rzeczach. Ona także, oczywiście, miała z nimi pojechać. Nigdy nie pozwoliłaby Judith wystąpić w telewizji, gdyby nie mogła czuwać nad nią zza kulis.

- Przyjedziemy po was mniej więcej kwadrans po siódmej - odparł Nick. - Może być?

- Wystarczy nam czasu? - Judith spojrzała pytająco na Annę.

- Cóż, w razie czego włączysz syrenę - odparła Anna.

Judith, zadowolona, że wszystko zostało dokładnie zaplanowane, skupiła swoją uwagę na Portii.

- Oczywiście zostanieie na obiedzie.

Na szczęście Nick pospieszył jej z pomocą.

- O Boże, Judith - powiedział - właśnie sobie przypomniałem, że musimy być u moich rodziców za... - rzucił okiem na zegarek - za godzinę. Potem odwiozę Portię do hotelu.

- Skąd pochodzi twoja rodzina? - chciała wiedzieć Judith.

- Z Bronksu.

- To miła okolica?

- Dość miła. - Wzruszył ramionami.



- W takim razie wszystko w porządku.

Po wizycie u matki upał na zewnątrz wydał się Portii rajem. Nick otworzył przed nią drzwi od strony pasażera. Wślizgnęła się do nagrzanego wnętrza i odetchnęła z ulgą, jakby właśnie została wypuszczona z więzienia.

Nick usiadł za kierownicą, przekręcił kluczyk w stacyjce i włączył klimatyzację.

- Teraz już wiesz, dlaczego zawsze zatrzymuję się w hotelu - powiedziała Portia, wachlując się gazetą, którą wzięła z tylnego siedzenia. - Nie mogę uwierzyć, że zgodziłam się to zrobić. Po tym wszystkim, co się ostatnio wydarzyło w moim życiu, to po prostu... po prostu zbyt stresujące.

- Dasz radę.

- Wydajesz się tego pewny.

Nick zawrócił na ocienionym podjeździe. Jego ramię spoczywało na oparciu jej siedzenia. Zbliżył głowę do jej głowy.

- Jeszcze nie widziałem, żebyś sobie z czymś nie poradziła.

Serce Portii znowu zabiło szybciej. Gdyby jej dotknął, nawet niechcący, przysunęłaby się bliżej i pocałowała go.

- Gdzie teraz? - spytał. - Do miasta?

- Och, myślałam, że jedziemy do twoich rodziców.

- Co? - Nick zahamował gwałtownie. - To była tylko wymówka.

- Qui pro quo. Ty znasz już straszną prawdę o mojej rodzinie, ja też

chciałabym poznać twoich rodziców. Są teraz w domu?

- Słuchaj, nie sądzę, żeby...

- Są w domu? - powtórzyła. - Może najpierw powinniśmy do nich zadzwonić?

- Zaraz, zaraz, nigdy nie mówiłem, że...

- Jaki to numer? Ja wystukam, a potem możesz się zatrzymać i porozmawiać.

- Naprawdę chcesz to zrobić?

- Oczywiście. Numer?

Nie miała pojęcia, dlaczego postanowiła poznać jego rodziców, zobaczyć, skąd pochodzi. Ale podświadomie czuła, że chciała się dowiedzieć, kim on naprawdę jest i dlaczego robi to, co robi. Słuchała, kiedy rozmawiał z matką, i próbowała wyobrazić sobie tę kobietę. Na pewno jest silna, prosta, zdecydowana. Portii podobał się ten wyimaginowany wizerunek. Ale jego ojciec... Jego nie potrafiła sobie wyobrazić.

Matka Nicka dokładnie odpowiadała oczekiwaniom Portii, ojciec okazał się trochę sztywny. Sophia była szczerą i gościnną, zaraz zaczęła pokazywać Portii zdjęcia Nicka z czasów, kiedy był małym chłopcem, i swoją kolekcję figurek, zajmujących uroczą staroświecką szafkę. Anthony milczał i sprawiał wrażenie wyniosłego. Wydawał się poirytowany faktem, że z powodu niespodziewanych gości musi wyłączyć telewizor.

Zostali na kolacji. W ceglany domu panował nieznośny upał, ale kiedy Sophia przyniosła wentylator do niewielkiego saloniku, Anthony natychmiast zaczął narzekać.

- Jeśli mamie jest gorąco, niech włączy sobie wentylator - wtrącił się w końcu Nick.

Anthony wymruczał coś pod nosem, a potem powiedział głośno:

- Nikko zawsze chce więcej, niż ma. Dla niego nigdy nie jest dość dobrze.

Nick, który nie zaczął jeszcze jeść przygotowanego przez matkę mięsa, odłożył widelec i spojrzał na ojca.

- A co w tym złego, tato, że człowiek chce poprawić swój los? Ty zawsze musisz mnie zgasić.

- Zgasić? Do diabła, chłopcze, cały czas powtarzam kumplom w fabryce, że mój syn jest policjantem. Detektywem. Że ma wykształcenie.

Portia spojrzała na Nicka i zauważyła, że był bardzo zaskoczony. Sophia wyciągnęła rękę i pogłaskała syna po ramieniu, jakby chciała powiedzieć: „Widzisz? Jest z ciebie taki dumny”.

W końcu odezwał się Nick.

- Jak to się stało, że nigdy mi o tym nie mówiłeś?

Anthony wzruszył ramionami.

- Bo to niczego nie zmienia. Mógłbyś być ministrem spraw wewnętrznych i dalej byłoby ci mało.

- O Boże - westchnął Nick. - Nigdy z tobą nie wygram, tato.

- A kto powiedział, że to jakieś zawody? - odpalił ojciec.

Zostali przy stole, ciągnąc tę rozmowę, a Portia pomagała Sophii zbierać naczynia.

- Przepraszam za nich - powiedziała Sophia w kuchni. - Zawsze się kłóca. Ale Anthony jest z niego naprawdę dumny, przechwala się nim przy każdej okazji.

- Chyba często tak bywa z ojcami i synami - powiedziała Portia. - Nick jest najstarszy?

Sophia podłączyła starą zmywarę do naczyń do zlewozmywaka.

- Tak, jest najstarszy. - Zniżyła głos. - I o niego najbardziej się martwię. Odkąd Gwen...

- Jego była żona?

- Tak, cóż, odkąd od niego odeszła... - Sophia zawahała się nagle. - Wiedziałaś o Gwen?

- Właściwie nie.

- To lepiej niech Nick ci o niej opowie.

- Hm - mruknęła Portia, zsuwając resztki z talerza. Teraz naprawdę zaczęła ją palić ciekawość. Ale nie udało jej się już naprowadzić rozmowy na Gwen, bo Sophia chciała wiedzieć wszystko o Judith Carr.

- Kiedy poznałam Tony'ego, zabrał mnie kiedyś na Broadway, żebym zobaczyła twoją matkę. Wyobrażasz sobie? On mnie! Było tak romantycznie. Pojechaliśmy na Czterdziestą Drugą ulicę metrem i poszliśmy na kolację, a potem do teatru. Twoja matka grała Ofelię.

Wyglądała tak pięknie. Widziałam jej zdjęcia w gazetach. Była naprawdę urocza.

Kiedy wyszli godzinę później, na dworze było już ciemno. Nick miał zaciśnięte wargi, a jego koszula była wilgotna od potu. Portia także pocila się przez cały wieczór.

- Cholera - powiedział Nick. - Wiesz, tysiąc razy proponowałem, że kupię im klimatyzator do salonu, ale ojciec nie chce o tym słyszeć. Możesz w to uwierzyć?

- Nie lubi zmian.

- Tak. Ale to nie tylko to.

- Jest z ciebie naprawdę dumny. Widać to w jego twarzy.

Nick prychnął.

- Naprawdę.

- Szkoda, że nie powiedział mi tego dwanaście lat temu.

- Pewnie powinien był to zrobić - zgodziła się Portia. - Ale twoja matka jest naprawdę kochana.

Powoli pokiwał głową.

- Pewnie zadreżczała cię pytaniami o Judith?

- Właściwie nawet chętnie z nią o tym porozmawiałam. Przypomniałam sobie dzięki temu lepsze czasy.

- Miło mi to słyszeć.

- Ciągłe jesteś zły, że zmusiłam cię do tej wizyty, prawda?

- Nie.

- Kłamczuch.

- Tak - powiedział. - Skłamałem.

Cóż, dla Nicka nie była to może miła wizyta, ale Portii się podobała. Podobało jej się wszystko, z wyjątkiem temperatury. Przede wszystkim wiele się dowiedziała. Teraz rozumiała, dlaczego Nick jest taki twardy i sarkastyczny. Rozumiała też lepiej, dlaczego pracował dla „Star Gazera”. Wstydził się swojego pochodzenia, nosił w sobie wiele gniewu i był gotów na wszystko, by poprawić swój los.

Doszła do wniosku, że potrzeba mu miłości i troski. Kogoś, kto by go akceptował i przekonał go, że jego rodzina jest w porządku, że to przyzwoici, silni, dobrzy i ciężko pracujący ludzie. Kogoś, kto by mu powiedział, że on sam także jest w porządku.

- Jak to było z twoim małżeństwem? - spytała.

- Co?

- Twoja matka wspomniała coś...

- O nie.

- Niczego nie powiedziała, tylko odniosłam wrażenie, że wydarzyło się coś przykrego.

- Nic się nie wydarzyło. Rozwiedliśmy się.

- Kiepsko kłamiesz.

- Hm - mruknął.

- Więc co się stało? Czy Gwen znalazła sobie kogoś innego?

- Można tak powiedzieć.

- Opowiedz mi o tym.

- Nie.

- Tak po prostu, nie?

- Zmieńmy temat, proszę. Wysadzę cię przed hotelem i chcę, żebyś od razu poszła do swojego pokoju. Zamknij drzwi na klucz. Gil przyjedzie po ciebie rano, z chłopcami, żeby pokazać ci trochę miasta.

- Ale ja...

- Żadnych ale, moja pani. Muszę polecieć wcześniej rano do Waszyngtonu i spotkać się z Burkhartem, a nie chcę, żebyś sama chodziła po Manhattanie. Masz trzymać się Gila i chłopców do mojego powrotu. Potem przyjadę po ciebie, zabierzemy twoją matkę i Annę i pojedziemy do studia. W porządku?

Wyjechał z za rogu ulicy i zatrzymał się przed Peninsula Hotel.

- W porządku? - powtórzył.

- W porządku. - Nie była głupia. Jeśli Mahoney potrafił osiągnąć jej w Kolorado, równie łatwo mógłby to zrobić w Nowym Jorku. - Jesteś pewny, że chcesz lecieć do Aarona?

Nick machnął ręką do portiera.

- Jestem pewny - odparł.

- Czy... czy myślisz, że to posunie sprawę do przodu?

- O tak.

Potem nastąpiła chwila ciszy i niewiele brakowało, żeby Portia wyznała, że choć to szaleństwo, wcale nie chce, aby ta sprawa dobiegła

już końca. Bo wtedy będą musieli się pożegnać i pewnie już nigdy się nie zobaczą. Zamiast tego wzięła głęboki oddech i otworzyła drzwi samochodu.

- Cóż, dobrej nocy.

Spojrzał jej w oczy i mogłaby przysiąc, że dostrzegła w tym spojrzeniu żal.

- Dobrej nocy - odparł.

Portia zamknęła drzwi i weszła na schody prowadzące do hotelu.



## Rozdział 21

Udało mu się dostać bilet na lot o siódmej piętnaście rano z LaGuardia na Dulles International, lotnisko najbliższe Falls Church w Wirginii. Pokazał odznakę i nawet dostał zniżkę, gdyż oznajmił, że leci w sprawie służbowej. W końcu, w pewnym sensie, pracował nad sprawą.

Na samochód nie dostał już zniżki, choć w wypożyczalni policzyli mu za godziny, a nie za cały dzień. Myślał o tym, żeby wziąć taksówkę, ale wyliczył, że droga w obie strony plus napiwek kosztowałyby go więcej niż wynajęcie samochodu.

Burkhart już czekał. Poprzedniego dnia, kiedy Portia poszła do hotelu, Nick zadzwonił do niego, przedstawił się i otrzymał wskazówki, jak dotrzeć do posiadłości. Kiedy zatrzymał się na kolistym podejździe i wyłączył silnik, była już prawie dziesiąta.

Ładne miejsce. Wysoki, georgiański dom otoczony wypielegnowanym trawnikiem. Ogród. Stare drzewa od południa, od zachodu coś, co wyglądało na basen ukryty za kamiennym murkiem.

Drzwi otworzyła pokojówka i zaprowadziła Nicka do słonecznego pokoju, w którym panował przyjemny chłód. Klimatyzacja.

Dziewczyna przyniosła mu filiżankę kawy, a zaraz potem pojawił się Burkhart. Nick zdążył już zapomnieć, jaki ten facet jest wysoki. Miał

białe włosy, przystojną twarz o regularnych rysach i nieskazitelną opaleniznę. Najwyraźniej wybierał się na golfa. Albo po prostu gustował w jasnych golfach i sportowych butach.

- Detektyw Sinestra - powiedział, ściskając dłoń Nicka. Miał mocny, pewny uścisk. - Proszę usiąść i wypić kawę. Czy Franny proponowała panu tosty albo ciasto?

Nick usiadł i kiwnął głową.

- Dziękuję za kawę. Jadłem w samolocie.

Nie jadł, ale nie chciał tracić czasu na pogawędki o śniadaniu.

Burkhart usiadł naprzeciw niego. Franny podała mu szklanekę gęstego brązowego płynu.

- Mieszanka mojego własnego pomysłu. Zboża, orzechy - wyjaśnił. - Może chciałby pan spróbować?

- Dziękuję, zostanę przy kawie. - Nick się uśmiechnął.

- A więc - zaczął Burkhart - jest pan przyjacielem Portii i pomaga jej pan rozwiązać pewne problemy w Kolorado?

- Mniej więcej. Ochraniałem bankiet, na którym była w Nowym Jorku pod koniec czerwca, a potem spotkałem ją przypadkiem w Kolorado, gdzie byłem na urlopie. Nadal mam urlop, więc zaproponowałem jej, że zajmę się tymi pogrózkami, które dostawała. No a potem spłonęła jej stodoła.

- Tak, to okropne, okropne. Rozumiem, że zwolnił pan tych ochroniarzy.

- Tak.

Burkhart z niesmakiem pokręcił głową.

- Powinienem był sprawdzić tę firmę, zanim zdecydowałem się skorzystać z jej usług. Ale rozmawiałem z przyjacielem, który ma doświadczenie w tych sprawach i on mi ich polecił. Zapewnił mnie, że są najlepsi. Najwyraźniej się mylił.

- Tak.

- Cóż, jestem pańskim dłużnikiem. To dobrze, że ich pan zwolnił.

- Cała przyjemność po mojej stronie.

- Co słyhać u Portii? Mówił pan, że jest w mieście i ma wystąpić z matką w *Po zmroku*?

- Zgadza się.

- Judith Carr. - Burkhart się zamyślił. - Mój Boże, była olśniewająca. Tak jak Portia.

- Owszem - zgodził się Nick.

- Poznał pan jej ojca, Richarda? Był kiedyś ambasadorem ONZ.

- Nie miałem przyjemności.

- Cóż, niewiele pan stracił. Ma nową rodzinę, mieszka na Hilton Head Island... tak mi się przynajmniej wydaje. Portia dość szybko zeszła na dalszy plan.

- Interesujące - powiedział Nick.

- A więc proszę mi powiedzieć, co mogę zrobić, by pomóc Portii. Czuję się częściowo odpowiedzialny za kłopoty, które ją spotkały.

Gdybym nie zaproponował jej stanowiska prezesa Fundacji Ochrony Przyrody, zapewne nic takiego by się nie wydarzyło.

Nick patrzył na niego przez chwilę.

- Proszę mi powiedzieć... To była poważna propozycja czy tylko gest?

- Och, zupełnie poważna. Ale po spotkaniu z Portią w Denver, kiedy się dowiedziałem, że Todd nadal z nią mieszka, zacząłem się zastanawiać, czy nie wzięła na siebie więcej, niż jest w stanie udźwignąć. W końcu ma jeszcze na głowie ranczo.

- Wspominała panu o swoich podejrzaniach dotyczących Patricka Mahoneya?

- Tak.

- I?

Burkhart pociągnął długi łyk ze swojej szklanki.

- I nie wiem, co o tym myśleć. Wszyscy uważaliśmy, że Gary zginął w wypadku.

- Nadal pan tak uważa?

- Chce pan poznać moje zdanie na ten temat?

- Oczywiście.

- Obawiam się, że Portia chce nadać znaczenie bezsensownej śmierci swojego męża.

- Hm. - Teraz Nick upił łyk kawy, a potem podniósł wzrok na Burkhearta. - A jak pan wyjaśni pogroźki, które otrzymywała? Musi pan

mieć jakąś teorię na ten temat.

- Naprawdę nie potrafię tego wyjaśnić. Nie wszystkim podoba się działalność fundacji, są grupy ekstremistów, które zdecydowanie się nam sprzeciwiają, ale podpalić stodołę? - Pokręcił głową. - To byłaby przesada, zwłaszcza podczas suszy. Przecież całe ranczo mogło spłonąć.

- A Mahoney? Portia jest pewna, że to on stoi za wszystkimi jej problemami, nie wspominając już o śmierci jej męża.

- Szczerze mówiąc, nie wydaje mi się. Gdyby znał pan dokładnie stosunki łączące Mahoneya z Garym, zgodziłby się pan ze mną.

- Chętnie posłucham.

- Cóż - rzekł Burkhart - Gary był bardzo inteligentnym człowiekiem, pełnym determinacji, ale nieco naiwnym. Brakowało mu dyplomacji niezbędnej do zarządzania organizacją taką jak Fundacja Ochrony Przyrody. Uczył się, świeć Panie nad jego duszą, ale wszystkim nam zdarza się czasem popełniać błędy, zwłaszcza kiedy musimy nader delikatnie pociągać za odpowiednie sznurki. Gary spotkał się z Mahoneyem jakieś dwa lata temu, kiedy ten zaczął negocjować z jakimś ranczerem...

- Z Nashem. Z Billem Nashem.

- Zgadza się, z Nashem. W każdym razie od pierwszej chwili Gary i Mahoney nie mogli się dogadać. Zamiast próbować negocjacji z Mahoneyem, Gary doszedł do wniosku, że najlepiej będzie, jeśli fundacja kupi tę ziemię i całkowicie zablokuje inwestycję.

- Czy nie taka jest właśnie polityka Fundacji Ochrony Przyrody?

- Nie zawsze. Kupno ziemi to ostateczność, posuwamy się do tego tylko wtedy, kiedy realizacja projektu byłaby bardzo szkodliwa dla środowiska i nie ma innego wyjścia.

- Więc realizacja projektu Panorama Ranch nie byłaby szkodliwa dla środowiska? To chce pan powiedzieć?

Burkhart się roześmiał.

- Patrick Mahoney zrealizował wiele projektów. Wie, jak to wygląda równie dobrze jak każdy inny deweloper w tym kraju. Wie, kiedy negocjować, kiedy należy ustąpić, a kiedy można naciskać.

- Mówi pan o kwestiach takich, jak ochrona mokradeł i tak dalej?

- Oczywiście, to część procesu negocjacji, którego wynikiem są pewne ustępstwa na rzecz przeciwnika. Nie zawsze można zablokować projekt. I nie zawsze powinno się to robić. Zawsze Jednak można domagać się zmian w projekcie, które uwzględnią dobro środowiska naturalnego.

- Aha. Więc Gary żądał zbyt wiele?

- Tak, na początku, ale Mahoney to stary wyga i ma ogromne doświadczenie. W każdym razie przekazał na rzecz fundacji darowiznę. To była bardzo duża suma.

Sto tysięcy, pomyślał Nick, zastanawiając się, w co właściwie pogrywa Burkhart. Dlaczego się do tego przyznał?

- Gary nie bardzo wiedział, jak potraktować tę darowiznę -

powiedział Burkhart. - Co więcej, nie wiedział też, jak poradzić sobie z konsekwencjami tego faktu.

- Można by na to patrzeć jak na łapówkę - podsunął Nick.

- Właśnie. Prawda jest jednak taka, że wielu deweloperów przeznaczają znaczne sumy na organizacje zajmujące się ochroną środowiska, takie jak Fundacja Ochrony Przyrody.

- Czy to jednak nie oznacza, że obdarowana w ten sposób organizacja musi wtedy udzielić swojej zgody na realizację projektu, który wcześniej starała się zablokować? W przeciwnym wypadku kasałby rękę, która ją karmi.

- Darowizny po prostu ułatwiają negocjacje.

Gada jak polityk, pomyślał Nick.

- Jak więc zachował się w tej sytuacji Gary?

- Cóż, wykazał się pewnym brakiem doświadczenia. Bał się, że przyjęcie darowizny mogłoby zostać źle zrozumiane, i wystąpił do sądu o tymczasowe zablokowanie projektu. Bardzo, doprawdy, bardzo niefortunne posunięcie. Gdybym o tym wiedział...

- A nie wiedział pan o tym?

- Detektywie, założyłem fundację, teraz jednak jestem już na emeryturze. Zasiadam w zarządzie, ale nie zajmuję się bieżącymi decyzjami.

- I gra pan w golfa.

- Tak. - Burkhart się uśmiechnął. - Prawdę mówiąc, za godzinę

jestem umówiony.

- W porządku. Z tego, co mi pan powiedział, wynika, że Mahoney wiele by dał, aby Gary Wells zniknął, i to na dobre.

- O tak, zgadzam się z panem. Mahoney przyleciał do Waszyngtonu i usiadł dokładnie tam, gdzie pan teraz. I dał upust swoim emocjom.

- Ale pan jest przecież na emeryturze. - Nick się uśmiechnął.

- W tym wypadku uznałem, że powinienem wkroczyć na scenę i zaprowadzić pokój. Było to cenne doświadczenie także dla Gary'ego.

- Więc uspokoił pan Mahoneya?

- Tak, tak. Wyjaśniałem mu, że Gary po prostu wpadł w panikę ze względu na wielkość darowizny i związane z tym implikacje i że na pewno dojdziemy do porozumienia odnośnie do kwestii środowiskowych.

- A ten pozew do sądu, który złożył Gary?

- Zapewniłem Mahoneya, że zostanie wycofany w ciągu tygodnia. Tego samego dnia wrócił do Kolorado w znacznie lepszym nastroju.

- A co na to Gary Wells?

- Nie rozmawiałem z nim. - Burkhart odstawił szklanekę, złożył ręce i spojrzał na Nicka z powagą. - Mahoney był tu we środę. Gary zginął w sobotę wieczorem.

- Hm - mruknął Nick.

- Teraz rozumie pan, dlaczego tak trudno mi uwierzyć w to, co mówi Portia. Mahoney nie miał powodu, aby zabić Gary'ego. Żadnego.



- I uważa pan nadal, że pogrożki, jakie otrzymywała Portia, pożar stodoły i kilka innych incydentów to sprawka jakiejś ultraprawicowej grupy?

Burkhart kiwnął głową.

- Albo ultralewicowej. Portia jest także ranczerką.

- Zdaje pan sobie sprawę z tego, że ludzie, którzy jej grozili, wymienili nazwisko Mahoneya? Powiedzieli, żeby zostawiła go w spokoju? Jak może pan to wyjaśnić?

- Myślałem o tym, oczywiście. Ale naprawdę sędzę, że była tak zszokowana, kiedy ci ludzie do niej podeszli, że mogła usłyszeć wszystko. Musi pan zrozumieć, że świadomie czy podświadomie, Portia chce obwinić kogoś za śmierć męża. I sędzę, że chciała usłyszeć nazwisko Mahoneya. - Pochylił się do przodu. - Poza tym musi pan także wiedzieć, że kocham ją szczerze. Nancy i ja uważamy Portię za członka naszej rodziny. Ale to... te oskarżenia... Myślę, że nie ma w nich żdźbła prawdy. Chciał pan poznać moją opinię; teraz ją pan zna.

- Hm. Uważa pan, że powinna zrezygnować ze stanowiska prezesa fundacji? Skoncentrować się na prowadzeniu rancza?

- Gdyby Portia siedziała tu na pana miejscu, powiedziałbym, *żeby* zrobiła to, co jej serce dyktuje. Powiedziałbym jej też, że dobro jej i Todda są daleko ważniejsze niż to stanowisko. Gdyby rzeczywiście miało to zakończyć ataki na ranczo, poradziłbym jej, aby się nad tym zastanowiła.

- Dobrze. - Nick położył dłonie na kolanach, wstał i uściskał dłoń Burkhearta. - Dziękuję, że zechciał pan poświęcić mi swój czas.

- Mam nadzieję, że udało mi się panu pomóc.

- O tak - odparł Nick.

Jadąc na lotnisko i później, w samolocie, myślał o tej rozmowie. Wiedział jedno: - Aaron Burkheart kłamał. Wierzył w jego historię do momentu, w którym Mahoney przyjechał do niego na spotkanie. Nie wierzył jednak w to, że po tej wizycie Mahoney wrócił do domu spokojny i zadowolony. Dwóch bogatych, wpływowych mężczyzn, różniących się w swoich zapatrywaniach na dość zasadniczą kwestię, w jednym pokoju - to musiało wywołać eksplozję. Bardziej prawdopodobne było, że Mahoney przyleciał do Waszyngtonu wściekły jak wszyscy diabli, przysięgając, że załatwi Burkhearta i Fundację Ochrony Przyrody, zapewne informując prasę o darowiźnie. Media z całą pewnością nazwałyby to łapówką. Mahoney nic sobie nie robił z opinii mediów. Nie raz już zdarzały mu się takie sytuacje. Kolejna historyjka w gazetach? Spłynęłoby to po nim jak woda po kacze. Ale Burkheart... Gruba ryba. Gdyby prasa oskarżyła go o wzięcie łapówki, byłby to jego koniec. Zniszczyłoby to jego reputację i wiarygodność.

Nick patrzył przez okno samolotu na zamglone niebo i próbował sobie wyobrazić to spotkanie. Rozwścieczony, czerwony na twarzy Mahoney, miotający pogroźki. Burkheart, rozpaczliwie szukający jakiegoś wyjścia z sytuacji.

Więc Mahoney wrócił do Kolorado i wynajął zbirów, którzy załatwili Wellsa. A może to Burkhart uznał, że jedynym wyjściem dla niego i jego wspaniałej organizacji jest pozbyć się zasadniczego prezesa.

Jeśli miał rację, jeden z nich zabił Wellsa. Ale który? I jak to udowodnić?

Samolot przeleciał nad południowo-wschodnią Pensylwanią i znalazł się nad New Jersey. Nick pomyślał, że zapomniał o jeszcze jednym istotnym elemencie tej układanki - o bracie Gary'ego. Niezbyt rozgarnięty, zazdrosny brat, który miał sześćdziesiąt tysięcy w banku w Colorado Springs. Skąd wziął te pieniądze? Od rodziny Lynette? A może Mahoney albo Burkhart zaproponowali mu, aby przemówił swojemu bratu do rozumu? Może nawet płacili mu za usługi? Aż w końcu zapłacili po raz ostatni, za to, że zamordował rodzonego brata? Nick wiedział, że prawie wszystkie morderstwa popełniane są przez członków rodziny. A Randy mógł liczyć na to, że odziedziczy ranczo. Może ciągle spodziewał się, że ranczo przypadnie mu w całości - wystarczyłoby wyeliminować Portię.

Samolot zaczął podchodzić do lądowania, a Nick ciągle rozmyślał nad hipotezą, zgodnie z którą głównym podejrzanym był Randy. To wyjaśniałoby stosunek Randy'ego do Portii. Cóż, Nick przysiągł jej, że odnajdzie mordercę jej męża. Jeśli tym mordercą jest Randy, to w tej chwili musi być mocno zaniepokojony. Na tyle, żeby wynająć dwóch zbirów, którzy grozili jej pod sklepem. Randy chciał przestraszyć Portię,

by wycofała swoje oskarżenia. Chciał zamknąć jej usta. Może sam kazał tym oprychom wymienić nazwisko Mahoneya, bo wiedział, że ją to przerazi. Ale Portia się nie wycofała, więc pojawiły się kolejne ostrzeżenia.

Nie, to tylko domysły, na które pozwolił sobie dlatego, że Randy i Lynette mieli własne konto bankowe. Poza tym Randy nie niszczyłby swojej własności. Po co miałby piłować gałąź, na której siedzi? Zapewne wybrałby inną taktykę, żeby nastraszyć Portię.

Wysiadł z samolotu z bólem głowy. Trzech ludzi, z których każdy miał motyw, by zabić Wellsa. W dodatku od morderstwa minął już prawie rok i szansę na rozwiązanie tej zagadki malały z każdym dniem. Wiedział jednak, że nie powie o tym Portii.

Odnalazł swój samochód na parkingu pod lotniskiem. Wsiadł do auta i wystukał numer jej komórki, ale włączyła się poczta głosowa. Albo wyłączyła telefon, albo go nie odbierała.

Pomyślał, że pewnie skończyła już zwiedzanie miasta z Gilem i chłopcami i wróciła do hotelu. Teraz, po rozmowie z Burkhartem, Nick miał kilka pytań, na które tylko ona mogła udzielić odpowiedzi. Potem miał zamiar poszukać Ricka Jacobsona i skłonić go do wyświadczenia mu jeszcze jednej przysługi.

Ciężka sprawa, pomyślał Nick, parkując przed hotelem. Ale czuł, że ciągle jeszcze ma szansę ją rozwiązać.

Portia była w swoim pokoju. Najwyraźniej właśnie wyszła spod

prysznic i przebrała się, choć chyba nie w rzeczy, w których miała zamiar wystąpić wieczorem w telewizji.

- Dzwoniłem na komórkę - powiedział od progu.

- Brałam prysznic. Wejdz, proszę, chciałabym się dowiedzieć, jak ci poszło z Aaronem.

Miała na sobie białą bawełnianą bluzeczkę bez rękawów, lekkie, letnie džinsy i czarne sandaalki na wysokim obcasie. Naprawdę bardzo wysokim. Była w nich niemal tak wysoka jak Nick. Wysuszyła włosy suszarką, opadały teraz na jej ramiona puszyste i lśniące. Na twarzy miała delikatny makijaż. Użyła nawet perfum. Pozostawanie z nią w jednym pokoju było dla niego torturą. Nawet nie mógł jej dotknąć. Przyszło mu do głowy, że gdyby dotknął jej choćby palcem, nikt nie byłby go w stanie od niej oderwać.

- Dobrze się bawiliście? - spytał, wkładając ręce głęboko do kieszeni.

- O tak, to był wspaniały dzień. Gil świetnie sobie radził z chłopcami. Gdyby nie to, że moja matka... a właściwie Anna, ale z jej polecenia... dzwoniła trzy razy, dzień byłby idealny.

- Twoja matka czuje się dobrze?

- Och, jest bardzo zdenerwowana, ale jakoś się trzyma.

Nie musiał mówić, że to jego wina. Oboje to wiedzieli. Jak na ironię studio telewizyjne, do którego mieli pojechać wieczorem, mieściło się przy Rockefeller Center, dokładnie naprzeciw redakcji „Star Gazera”.

- Opowiedz mi, jak ci poszło u Aarona.

- Jak po maśle.

- Nick. Przestań mnie zbywać. Czego się dowiedziałeś?

Patrzył na nią przez chwilę, a potem podszedł do okna i wyjrzał na ulicę.

- Opowiem ci wszystko, jeśli chcesz, ale najpierw odpowiedz mi na kilka pytań.

- Chętnie, jeśli tylko potrafię.

Cholera, podeszła bliżej. Odsunął się trochę.

- Gary złożył pozew do sądu. Domagał się czasowego wstrzymania inwestycji. Wspominał coś o tym, że wycofał pozew? Na przykład tuż przed śmiercią?

Portia podniosła rękę do ust i zmarszczyła brwi.

- Nie, nie wydaje mi się.

- W porządku. Teraz zastanów się dobrze... Czy Aaron dzwonił do Gary'ego w ciągu tego tygodnia, kiedy zginął? Może wspominał coś o tym, że Aaron do niego dzwonił.

- Ja... Wiesz, to możliwe.

- W ciągu tego tygodnia?

- O Boże, nie jestem pewna. Widzisz, oni dużo ze sobą rozmawiali, ale nie mam pewności, czy akurat wtedy. Myślę, że tak, ale... - Wzruszyła ramionami. - To bardzo ważne, tak? To, czy wtedy ze sobą rozmawiali?

- Tak, to może być ważne.

- Powiedz mi dlaczego.

- Burkhart twierdzi, że Mahoney był u niego w środę przed śmiercią Gary'ego. Zapewnił Mahoneya, że pogada z Garym i skłoni go do wycofania pozwu. Potem mieli negocjować, a nie szarpać się przez prawników, takie przynajmniej odniosłem wrażenie. Ale Burkhart twierdzi, że nie miał już więcej okazji rozmawiać z Garym.

- Och - powiedziała Portia. - Och, wiem już, do czego zmierzasz. Myślisz, że Gary został zamordowany, bo Aaron nie zdołał się z nim skontaktować? Mój Boże.

- Może. - Nie miał zamiaru mówić jej, że uważa jej przyjaciela Burkhardta za głównego podejrzanego i kłamliwego drania, któremu groziła ruina, bo jego protegowany nie chciał zrezygnować z zablokowania inwestycji Mahoneya. Nie miał też zamiaru informować jej o swojej najnowszej hipotezie, zgodnie z którą to jej szwagier mógł skorzystać ze sposobności pozbycia się brata. Przypomniał sobie w związku z tym, że chciał jeszcze pogadać z Jacobsonem, aby dowiedzieć się nieco więcej o pieniądzach leżących na koncie Randy'ego. Spojrzał na zegarek. - Posłuchaj - powiedział - muszę jeszcze zajrzeć do mojego okręgu, zanim pojedziemy po twoją matkę. Jest czwarta. Wrócę tu, powiedzmy, koło...

- Pojadę z tobą - powiedziała szybko Portia. - Spakuję rzeczy do torby i przebiorę się w studiu.

- Naprawdę chcesz ze mną jechać?

- Tak. Chcę zobaczyć, jak pracujesz. Mogę, prawda?

- Cóż; tak, chyba tak - odparł zdumiony. Dlaczego, na Boga, interesuje ją jego praca?

Petunie przed wejściem na komisariat wyglądały równie żałośnie jak zwykle. Nick otworzył drzwi i wpuścił Portię.

- Ktoś powinien podlać te biedne kwiaty - powiedziała.

- Nie mów nic sierżantowi, dobrze? On się naprawdę stara.

Na górze było tak gorąco i wilgotno, że prawie nie dało się oddychać. Nick przeprosił Portię za te warunki. Właściwie miał ochotę przeprosić ją za cały budynek.

- Myślę, że tu jest wspaniale - szepnęła, idąc za nim między niezliczonymi biurkami. - Jak na filmach.

- Hm.

Musiał przedstawić ją kolegom, wszystkim po kolei. Zachowywali się tak, jakby nigdy wcześniej nie widzieli kobiety, zwłaszcza pięknej kobiety. Ale Portia była zupełnie swobodna, uścisnęła ich dłonie, uśmiechając się z wdziękiem. Śmiała się i nie pozwalała, by zanadto żartowali z Nicka.

Najgorszy był Ramsey. Dobry stary Weston Ramsey. Kiedy Nick zabrał Jacobsona na stronę, Wes podszedł do Portii. Rozpoznał ją, oczywiście. Nick obserwował go, rozmawiając z Jacobsonem. Prawie życzył sobie, żeby Portia zauważyła rozcięcie na jego wardze i spytała go o to. O tak.



- Ile czasu, twoim zdaniem, zajęłoby zdobycie wyciągów z tego konta? - spytał Ricka.

- Jeśli będę miał szczęście, kilka dni.

- Tak długo?

- Do diabła, wszyscy myślą, że możemy wchodzić na prywatne konta, kiedy tylko przyjdzie nam ochota. Niestety jest trochę inaczej. Dostanę te wyciągi, ale daj mi trochę czasu, dobrze?

Nick spojrzał na Wesa, który zdołał odciągnąć Portię na bok i mówił coś do niej, pochylając się lekko w jej stronę. Miał ochotę zwymiotować.

- Dobrze? - powtórzył Rick, który zauważył roztargnienie Nicka.

- A tak, dobrze, dobrze. I dzięki, chłopie. Jestem twoim dłużnikiem.

- Nie ma o czym mówić. - Rick trącił go w ramię. - Naprawdę ładna, Nick. Jesteście razem? Tym się zajmowałeś w Kolorado?

Razem. Mógł tylko marzyć.

- Nie - odparł. - Pomagam jej tylko.

- Cóż, gdybyś potrzebował więcej pomocy...

- Dam ci znać.

Wes nie tracił czasu. Kiedy Nick podszedł do niego, właśnie zapraszał Portię na randkę.

- Na pewno masz trochę wolnego czasu, kiedy przyjeżdżasz do Nowego Jorku - mówił. - Chciałbym pokazać ci miasto... A może moglibyśmy też pójść gdzieś na kolację?

Portia już miała odpowiedzieć, kiedy dostrzegła Nicka.

- O, jesteś już - powiedziała, uśmiechając się do niego. - Właśnie rozmawiałam z Westonem. - Odwróciła się do Wesa. - Dziękuję za zaproszenie, ale Nick zabiera mi cały mój wolny czas.

Nick zaniemówił, a ona wsunęła mu dłoń pod ramię i zajrzała mu w twarz.

- Gotowy? - spytała, rzucając mu kolejny, zapierający dech w piersiach uśmiech.

Od zapachu jej perfum zakręciło mu się w głowie.

- Eee... jasne... tak, gotowy - odpowiedział, czując, jak miękną mu kolana.

## Rozdział 22

Nie miałam okazji ci powiedzieć - odezwała się Portia w samochodzie, kiedy jechali do New Rochelle. - Rozmawiałam z Randym. Mamy kolejny problem.

- O nie.

- Ktoś przeciął ogrodzenie i kilka zwierząt wyszło na główną drogę. Jedną krowę potrącił samochód.

- Jezu. Są ranni?

- Na szczęście kierowcy nic się nie stało, ale Randy jest naprawdę przerażony. Błagał mnie, żebym odeszła z fundacji... Jak on to ujął? Aha, chce, żebym zaniechała swojej wendety przeciw Patrickowi Mahoneyowi.

- Hm.

- A nawet... Może nie powinnam ci tego mówić... A zresztą płakał przez telefon. Nick, on szlochał. Nie wiem, co robić. Czy myślisz... że powinnam się poddać?

Nick zmarszczył brwi.

- Musisz walczyć. Pieprz to wszystko.

Portia parsknęła śmiechem.

- To francuskie słowo?

- Nie, czysto amerykańskie. Nauczyłem się na ulicy. - Spojrzał na nią z ukosa, kiedy stali przed światłami, a potem odchrząknął. - To, co zrobiłaś tam... wiesz, na komisariacie... przed chłopakami? Cóż, chciałem ci podziękować. Wiesz...

Zamknij się, Sinestra, pomyślał. Dzięki Bogu światło się zmieniło.

Kiedy wraz z Judith i Anną dotarli do Rockefeller Center, była prawie ósma. Anna i Portia nie przejęły się tym małym spóźnieniem, ale Judith była bliska ataku paniki.

- Nie ma mowy, żebym zdążyła się przebrać i pomalować do jedenastej - biadoliła, kładąc dłoń na sercu.

- Mamo, to nie jest teatr. Czasu mamy aż nadto. Zanudzimy się na śmierć, czekając na rozpoczęcie programu.

Anna, która siedziała z tyłu z Portią, otworzyła torebkę, wyjęła fiolkę z pigułkami, wytrząsnęła jedną na dłoń i dotknęła ramienia Judith.

- Weź to.

- Nie wezmę.

- Weź to, albo zawrócimy i pojedziemy do domu, a wtedy już nikt nigdy cię nie zaprosi. I nikt nie będzie o tobie pamiętał, nawet twoi wielbiciele.

- Nie mam żadnych wielbicieli. Już nie.

- Skoro tak mówisz.

- Och, daj mi tę cholerną tabletkę - mruknęła Judith. - Nie mam ochoty słuchać twojego narzekania przez następne pół roku.

Nick we wstecznym lusterku dostrzegł uśmiech na twarzy Anny. Portia z niewinnym wyrazem twarzy patrzyła przez okno.

O jedenastej dwadzieścia Mike Graham, gospodarz programu, przedstawił Judith Carr jej córkę, nową prezes Fundacji Ochrony Przyrody, Portię Carr Wells.

Nick miał miejsce w drugim rzędzie i kiedy błysnęło światelko, zaczął klaskać wraz z resztą publiczności.

Jego zdaniem obie, matka i córka, wyglądały olśniewająco. Judith miała na sobie beżowy jedwabny kostium i białą koszulową bluzkę, a Portia zielonkawe spodnie i tunikę w tym samym kolorze, która przylegała do ciała, podkreślając jego kształty.

Mike Graham nie tracił czasu i natychmiast przystąpił do ataku.

- A więc, drogie panie, nasi widzowie zobaczyli was ostatnio razem na okładce pewnego brukowca. Jak też brzmiał tytuł?

Na ekranie za nimi natychmiast ukazało się zdjęcie ze „Star Gazera”. Mike nie pozwolił jednak żadnej z nich odpowiedzieć, parł do przodu.

- Musiałyście się pogodzić, bo gościmy was tu dziś razem. Nie chcecie się tu chyba pobić?

Publiczność zaśmiała się posłusznie. Portia odczekała chwilę, a potem zabrała głos.

- Boże, Mike, nie wiedziałam, że czytujesz brukowce. Ale odpowiadając na twoje pytanie, postanowiłyśmy zachowywać się grzecznie.

Śmiech.

Mike także się zaśmiał.

- A mówiąc poważnie, jak się poczułyście, widząc swoje zdjęcia na wszystkich stojakach na gazety? Judith Carr nie pokazywała się publicznie od jakichś... dwudziestu lat, prawda? Atu nagle taka historia.

Portia zaczęła coś mówić, ale przyszedł czas na przerwę na reklamy. Kiedy znowu znaleźli się na wizji, Mike przypomniał w kilku słowach historię kariery Judith. W końcu Portii udało się wtrącić coś inteligentnego i dowcipnego, a potem znowu mówił Mike.

- A więc, Judith, masz nam pewnie coś do powiedzenia? - zakończył.

Judith wyprostowała się, pochyliła lekko do przodu i spojrzała na niego twardo.

- Młody człowieku - powiedziała. - Dotychczas nie miałam okazji się odezwać. Najwyraźniej lubisz słuchać własnego głosu.

Publiczność wybuchnęła śmiechem, podobnie jak Mike Graham. Portia z uśmiechem spojrzała na matkę, ale Judith, wytrawna aktorka, nie spuszczała z Mike'a lodowatego wzroku, rozkoszując się swoją chwilą triumfu.

Kilka minut później wywiad dobiegł końca, kamery zwróciły się na kolejnego gościa, gwiazdę rocka, która trzymała w ręce mikrofon bezprzewodowy i zaczęła śpiewać. Nick wyszedł i spotkał się z Judith, Portią i Anną za kulisami. Wszyscy zostali odprowadzeni do prywatnego wyjścia.

- Byłaś doskonała, Judith - powiedział Nick. - Naprawdę, to był twój show.

- Oczywiście - odparła rzeczowo. - Robiłam to kiedyś zawodowo. I to całkiem nieźle, prawda, Anno?

- Zawsze byłaś najlepsza - odparła Anna.

Nick był gotów odwieźć je do New Rochelle, ale Judith uparła się, że weźmie taksówkę.

- Nie pozwolę, byś jeździł tam i z powrotem. Ale najpierw pojedziemy do Sardi, dobrze? Boże, nie byłam tam od wieków.

- Teraz chyba nikt już nie chodzi do Sardi po teatrze - zauważyła Anna.

- Cóż, ja chodzę - oznajmiła Judith. - No, Nick, gdzie zostawiłeś samochód?

Judith postawiła wszystkim kolację w pięknej starej restauracji, gdzie zbierała się artystyczna śmietanka Nowego Jorku. Kilka osób rozpoznało ją i zatrzymało się przy ich stoliku, by uścisnąć jej dłoń, powiedzieć, jak pięknie wygląda i jak miło ją widzieć. Judith zarumieniła się z radości. Anna tylko pokręciła głową. Portia wyglądała tak, jakby jej ulżyło. Nick odgrywał rolę milczącej eskorty trzech dam.

Po kolacji zgodnie z zapowiedzią Judith wzięła taksówkę, by wrócić z Anną do New Rochelle. Zanim wsiadła do samochodu, położyła suchą, pomarszczoną dłoń na ręce Nicka.

- Jest pan przystojnym młodym człowiekiem - powiedziała. - Mimo

przykrości, na jakie mnie pan naraził, gdyby miał pan ochotę kiedyś do nas wstąpić, zapraszam. - Odwróciła się do Anny. - Chciałybyśmy go jeszcze kiedyś zobaczyć, prawda, Anno?

- Dziękuję - odparł Nick. - To bardzo miłe.

Judith i Portia objęły się i ucałowały lekko. Stosunki między nimi prawdopodobnie nigdy nie będą ciepłe. Nie będą do siebie codziennie dzwonić ani nic z tych *rzeczy*, ale może, pomyślał, Portia będzie teraz częściej przyjeżdżać do Nowego Jorku. Oczywiście, jeśli przedtem ktoś jej nie zabije z powodu tej nieszczęsnej fundacji. Ale jeśli kiedyś, w przyszłości, przyjedzie znowu do miasta, może zechce się z nim spotkać. A może nie. Chyba był niepoprawnym marzycielem.

O pierwszej w nocy zatrzymali się przed Peninsula Hotel. Oboje wypili tego wieczoru trochę szampana. Nick był więc dość śmiały, by powiedzieć:

- Wejdę na górę i upewnię się, że zamknęłaś drzwi.

- Dam sobie radę, naprawdę - odparła. - Od razu pójdę na górę. To musiał być dla ciebie męczący dzień. Mój Boże.

- To żaden problem.

- Więc dobrze - powiedziała lekko.

W windzie rozmawiali o wywiadzie i o tym, jak świetnie poradziła sobie Judith.

- Moja matka właściwie powinna być ci wdzięczna za to, że nasłałeś na nią tego dziennikarza. Kto by pomyślał? - Portia się zaśmiała.



Nick także się roześmiał.

- Tak, kto by pomyślał?

- Będziesz dalej dla nich pracował?

Wzruszył ramionami.

- Bern, redaktor z tej gazety, jest na mnie wściekły, więc pewnie nie będzie miał ochoty więcej mnie zatrudniać.

Drzwi rozsunęły się i wysiedli.

- Nie odpowiedziałeś na moje pytanie.

- Chyba... Chyba nie, zbyt łatwo można w ten sposób kogoś skrzywdzić. Kogoś, kto niczym nie zawinił.

- Kogoś takiego jak ja?

Położył dłoń na jej plecach, kiedy szli korytarzem, i mógłby przysiąc, że zadrzała pod jego dotykiem.

- Kogoś takiego jak ty, oczywiście - powiedział. - Poza tym ciągle pracuję nad twoją sprawą, więc i tak nie mam czasu, żeby przyjmować zlecenia od Berna.

Portia, która niosła torbę z džinsami i koszulką, zaczęła grzebać w torebce w poszukiwaniu klucza. Nagle znieruchomiała i spojrzała mu prosto w oczy.

- Wiesz, właściwie to jesteś szczurem.

- Szczurem, co?

- Tak pomyślałam, kiedy zrozumiałam, jaki wyciąłeś mi numer. Ale teraz... powiedzmy, że okazało się, iż jesteś dość miłym szczurem.

Uśmiechnął się. Może to z powodu szampana, a może złote włosy i oczy lśniące w łagodnym świetle sprawiły, że nagle wyciągnął dłoń i dotknął jej policzka.

Pochyliła ku niemu głowę.

W następnej chwili tulił ją do siebie, przesuwając dłońmi po jej plecach i ramionach. Portia upuściła torbę na podłogę i zarzuciła mu ręce na szyję. Ich usta spotkały się w pierwszym pocałunku.

Nick w końcu przyszedł do siebie na tyle, by otworzyć drzwi. Weszli do hotelowego pokoju, ciągle się obejmując.

- Och, moja torba - wyszeptała Portia. Musiał otworzyć drzwi i ja zabrać. Kiedy wrócił, Portia, zrzuciwszy buty, zaczynała ściągać tunikę.

- Pozwól, ja to zrobię - powiedział.

Nie mógł uwierzyć w siłę swoich uczuć. Nie mógł uwierzyć, że to się dzieje naprawdę. Portia. Portia, tu i teraz, w jego ramionach. Jej piersi przyciśnięte do niego, jej aksamitne ramiona na jego szyi, jej usta...

Skierował ją delikatnie w stronę łóżka - a może to ona pociągnęła tam jego? Usiadła, naga, na narzucie i zaczęła rozpinać mu spodnie smukłymi palcami, podczas gdy on prawie oderwał sobie guziki od koszuli, usiłując ją rozpiąć. Podniosła głowę, uśmiechnęła się do niego i pocałowała jego brzuch. Nick poczuł, że miękną mu kolana.

- Jezu - wydyszał.

Kiedy oboje byli już rozebrani, Portia położyła się na łóżku i wyciągnęła do Nicka ramiona. Wtedy zmartwiał.

- O Boże - powiedział. - Masz jakieś, wiesz, zabezpieczenie? Ja nic przy sobie nie mam.

Zaśmiała się.

- Och, Nick - wyszeptała. - Gdybym zaszła w ciążę, byłabym najszczęśliwszą kobietą na ziemi. Trzy razy... trzy razy poroniłam i... - Głos jej się załamał. Odwróciła głowę. - Przepraszam, po prostu nie byłam... nie byłam z nikim od śmierci Gary'ego. Chyba jestem zdenerwowana. A ty...? Byłeś... byłeś z kimś? Po rozwodzie?

Nick usiadł obok niej na łóżku i delikatnie odsunął włosy z jej twarzy.

- Był ktoś w moim życiu, ale to już skończone.

- Z powodu... Przeze mnie?

Uśmiechnął się.

- Nie. Dlatego, że nie byliśmy dla siebie wystarczająco ważni. - Pocałował ją w ramię i przesunął dłonią po jej biodrze. Czuł, jak zadrżała. Była taka ciepła i pachniała egzotycznymi kwiatami. Od tego zapachu kręciło mu się w głowie.

Pocałowała go w szyję.

- Dlaczego się rozwiodłeś? - wyszeptała mu do ucha.

- Nie teraz - wykrztusił.

- Nick? - Znowu go pocałowała. - Powiedz mi.

- Ona... to znaczy Gwen... - Do diabła, pomyślał. - Zostawiła mnie dla kobiety.

- I to jest ta wielka tajemnica.

- Myślisz, że nie taka wielka?

- Przecież to nie twoja wina.

- Skąd wiesz?

- Wiem, Nick, wiem. Jesteś taki inny niż... niż Gary. Jesteś... najuczciwszym człowiekiem, jakiego znam. To, co się stało, to nie twoja wina. - Leżeli blisko siebie, obejmowali się, ale teraz wyczuł w niej wahanie. - Muszę ci coś powiedzieć - rzuciła nagle.

- Później. - Była tak blisko, a on tak bardzo jej pragnął. - Później - powtórzył i dotknął ustami jej brwi.

- Nie, pozwól mi to powiedzieć - wyszeptała - dopóki mam odwagę. Ja... ja nigdy nie byłam szaleńczo zakochana w Garym. Ja... On miał inne kobiety. Ale to była moja wina, Nick, gdybym tylko...

Odsunął się od niej i spojrzał jej w twarz. Nie wierzył własnym uszom.

- Portio - powiedział - na litość boską, mówisz jak te maltretowane kobiety, które powtarzają, że mąż je bije, ale dlatego, że na to zasłużyły. Czyś ty zupełnie oszalała? Twój mąż cię zdradzał, bo to leżało w jego naturze. To nie miało nic wspólnego z tobą. Nigdy nie ma. Na Boga, jesteś inteligentną kobietą, powinnaś o tym wiedzieć.

- Ale, Nick, ja... gdybym kochała go bardziej, gdybym...

- Zamknij się - powiedział łagodnie. - To nie była twoja wina.

- Skąd możesz wiedzieć?

- Wiem i już. Wierz mi.

- Boże, tak bym chciała ci uwierzyć.

- Uwierz - powiedział. Po chwili Portia westchnęła, ujęła jego głowę w dłoń i przytuliła ją do swoich piersi. Był zgubiony.

Otworzył jedno oko, spojrzął na zegarek i zobaczył, że jest osiem po czwartej. Usłyszał szum wody w łazience i coś, co zabrzmiało, jak szklanka odkładana na marmurową toaletkę.

Portia wślizgnęła się z powrotem do łóżka minutę później.

- Wszystko w porządku? - wyszeptał.

- Bywało lepiej. Ten szampan... Wypiłam chyba litr wody, ale w głowie ciągle mi pulsuje.

- Tak mi przykro. Może powinienem już pójść?

Nie odpowiedziała i serce mu się ścisnęło. Cholera.

- Pójdę już.

- Nie musisz - powiedziała, ale bez przekonania.

Nick usiadł, przesunął dłonią po twarzy i opuścił stopy na dywan.

- Lepiej się już pozbieram. Powiem Gilowi, żeby przyjechał wczesnym rankiem.

- Och.

Zaczął wciągać spodnie, ale nagle znieruchomiał.

- W porządku? Wiesz, pytam o... o to, co się stało... między nami.

Nie mógł uwierzyć, że o to pyta.

- Oczywiście, wszystko w porządku. Mam tylko nadzieję, że nie

sądziysz... że ja... że mnie... często zdarzają się takie rzeczy. Wiesz?

Stał bez ruchu, ze spodniami wciągniętymi do kolan.

- Oczywiście, wiem. Mnie także.

- Och, posłuchaj. - Zaśmiała się, ale w jej głosie zabrzmiała fałszywa nuta. - Co się stało, to się stało. Jesteśmy dorośli.

- Owszem - odparł.

Jakoś udało mu się ubrać i odnaleźć drogę do drzwi. Czy powinien ją pocałować? Może w czoło? Nie, to głupi pomysł. Zamiast tego sięgnął do gałki i powiedział:

- Musisz zamknąć drzwi na łańcuch.

- Dobrze - rozległ się w ciemności jej głos.

- Przyjadę z Gilem i chłopcami za kilka godzin.

- Dobrze - powtórzyła.

- Prześpij się trochę.

- Spróbuję. Ty też spróbuj.

Wymamrotał coś, a potem otworzył drzwi i uciekł. Kiedy był w połowie korytarza, zatrzymał się i nadśluchiwał, aż dobiegł go szczeł zasuwanego łańcucha. Ruszył dalej, dotarł do windy i nacisnął guzik. Miał za sobą najbardziej zdumiewającą noc, a czuł się jak coś, co kot przywłókł ze śmietnika. Jak mógł dopuścić do tego, żeby zdarzyło się między nimi coś takiego? Wsiadł do windy i nacisnął guzik z napisem **PARTER**. Przede wszystkim, pomyślał, jak to możliwe, że ona do tego dopuściła?

## Rozdział 23

Portia miała czas zastanowić się nad tym, co zaszło, dopiero w samolocie. Poranek upłynął na pakowaniu, planowaniu i rozmowach telefonicznych, więc nie miała ani chwili dla siebie.

Co ona narobiła?

Przespała się z Nickiem. Mój Boże, jak to się stało? Teraz siedział dwa rzędy za nią. Ciągle miała ochotę odwrócić się i spojrzeć na niego. Na mężczyznę, który całował ją ubiegłej nocy, pieścił ją, szeptał do niej i kochał się z nią. Na mężczyznę, który zapytał ją, czy wszystko jest w porządku.

W porządku? Nie, nie było w porządku, było cudownie. Przepelniała ją radość i inne emocje, które nie pozwalały jej zebrać myśli.

Todd siedział tuż przy niej, a po drugiej stronie - Gil i jego syn, Doug.

Jak to się stało?

Todd zwierzył się jej, kiedy przyjechał do hotelu.

- Doug pił piwo wczoraj wieczorem i dzisiaj rano musiałem przez niego kłamać. Byłem trochę wkurzony.

- Nie wątpię.

- Jego tata był bardzo zły i pomyślałem, że to dobrze, że wy-

jeżdżamy, bo wydaje mi się, że jego rodzice mnie też obwiniają.

- Och, Todd.

- Próbowałem go powstrzymać.

- To nie twoja wina. - To chyba wtedy przyszedł jej do głowy ten pomysł. Wzięła Gila na stronę i powiedziała, że powinien pojechać z synem do Kolorado i spędzić trochę czasu na ranchu.

- Żeby zacząć jasno myśleć.

- Ekstra - powiedział Todd.

Gil patrzył na nią przez chwilę.

- Jesteś pewna?

Nie była pewna niczego tego ranka, ale kiwnęła głową, zastanawiając się, czy nie skorzystała po prostu ze sposobności, aby zapobiec następnemu zbliżeniu z Nickiem. Lynette na pewno nazwałaby ją tchórzem.

Potem nastąpiła seria rozmów telefonicznych, podekscytowane piski chłopców, pytające spojrzenia Nicka.

- Toddowi to dobrze zrobi - powiedziała, unikając jego wzroku.

A teraz samolot kołował przed startem. Wracała do Randy'ego, Patricka Mahoneya i wszystkich swoich problemów, małych i dużych, którym będzie musiała stawić czoło.

Co powie Lynette? A jeśli wyzna jej wszystko, jak to wytłumaczy? Poczuciem osamotnienia, lękiem, pociąganiem fizycznym? Ze wszystkich mężczyzn Sinestra był ostatnim, który... którego...



Ale lubiła go. Więcej niż lubiła. Coś między nimi było od samego początku - jakaś iskra zainteresowania. Przez pewien czas nie wiedziała, jak to nazwać, bo nigdy nie czuła tego w stosunku do Gary'ego. I podejrzewała, że wszystkie te poronienia były karą za to, że nie dość kochała męża.

A jednak ubiegłej nocy... Ubiegłej nocy Nick prawie przekonał ją, że się myliła. Porównała swój ból do poczucia winy maltretowanych kobiet. Czy Nick mógł mieć rację? Czy mogła się mylić przez wszystkie te lata? Boże, modliła się, by miał rację. Gdyby tylko miała czas, żeby zastanowić się nad tym, co od niego usłyszała. Teraz jednak była zbyt zmęczona, zbyt rozchwiana emocjonalnie. Później, tak, później pomyśli o jego słowach. Na pewno.

Siedziała w samolocie, słuchając miarowego warkotu silników, i zamknęła oczy. I nagle pojawił się przed nią Nick. Poczowała jego zapach, jego dłonie na swoim ciele. Usłyszała jego głos. Podniosła dłoń i odruchowo dotknęła policzka, otartego lekko jego zarostem.

Co ona narobiła?

- Mogę zabrać Douga na konie?

Todd przerwał jej rozmyślenia. Otworzyła oczy.

- Tak, ale lepiej, żeby zaczynał na Tansy albo Noodle.

- Dobra.

- Może obaj pomożecie trochę wujowi Randy'emu.

- Tak.

Gil pochylił się ku niej.

- Nigdy w życiu nie byłem na ranczu. Doug też nie.

- Cóż, więc to najwyższy czas.

- Widziałaś kiedyś *City Slicker*st

- Oczywiście. Będzie dokładnie tak samo, poza tym, że nie spotkacie Jacka Palance'a.

- Kiedyś byłem w policji konnej. Jeździliśmy po Central Parku - powiedział. - Więc wiem trochę o koniach.

- Świetnie, będziesz naszym kowbojem.

- Kowbojem - powtórzył Gil w rozmarzeniu, rozkoszując się tym słowem.

Na ranczo dotarli o czwartej po południu. Nick stanął na środku salonu, z torbą w ręce, a Portia zaczęła oprowadzać gości po domu. Pokazała Gilowi gabinet, w którym miał spać, a potem Todd zabrał Douga do siebie.

To wszystko wydarzyło się tak szybko, za szybko jak na jego gust. Miłosna noc, a potem wątpliwości. Rozgrzana metropolia, a potem dzika głusza.

Czekał na chwilę, kiedy mógłby być z Portią sam na sam, usiąść i spokojnie porozmawiać. Ale ona była zajęta przygotowywaniem w gabinecie pośłania dla Gila i pytaniem chłopców, co mieliby ochotę zjeść na kolację.

Zadzwoił telefon. Portia odebrała i jej twarz natychmiast się wydłużyła.

- Dobrze, Randy - powiedziała. - Tak, rozumiem. Możemy porozmawiać o tym jutro? Mam gości.

Słuchała przez chwilę, ze spuszczoną głową. Czego ten dupek znowu od niej chciał?

Odruchowo zacisnął pięści i zaraz je rozluźnił. Nie przyjechał tu, żeby kochać się z Portią ani po to żeby ułatwić Dougowi powrót do świata porządnym ludzi. Był tu, żeby się dowiedzieć, kto zabił Gary'ego Wellsa, kto podpalił stodołę i kto groził Portii. Skoro nie może jej do siebie tulić i całować, zapewni jej przynajmniej bezpieczeństwo.

Chłopcy pojechali do Randy'ego. Doug podziwiał Todda za to, że tak łatwo manewruje dużym samochodem. Gil siedział na ganku, opierając stopy o balustradę, i patrzył w stronę wzgórz, gdzie na polnej drodze powoli zniknął tuman kurzu wzbity przez furgonetkę.

- Do diabła, Sinestra - powiedział. - Cudowne miejsce.

- O tak.

- Ile mają ziemi?

- Och, chyba jakieś tysiąc dwieście hektarów.

Gil gwizdnął przeciągle, a potem spojrzał na Nicka.

- Co się dzieje? Jesteś jakiś milczący. I ciągle na nią patrzysz.

- Nie twój interes - burknął Nick w odpowiedzi.

- Ach, więc to tak...

- Posłuchaj, Gil, lubię ją. A ona potrzebuje pomocy, więc jestem tu, żeby zająć się jej problemami. To również jeden z powodów, dla których ty tu jesteś.

- A te inne powody?

- Niech mnie diabli, jeśli wiem.

Gil się roześmiał.

- Więc jaki będzie twój następny krok? Domyślam się, że masz jakiś plan.

- Pojadę do Colt.

- Colt?

- Miasteczko, przez które przejeżdżaliśmy.

- A tak, widziałem jakiś znak... ale tylko dlatego, że akurat nie mrugnąłem.

- Mam zamiar spotkać się tam z szeryfem, nazywa się Cab Whitefeather.

Gil pokręcił głową.

- Whitefeather. Nie mów mi, że to Indianin.

- Zgadłeś. Ty zostań tu, nie spuszczaj Portii i dzieciaków z oka. Pilnuj wszystkiego.

- Człowieku, muszę ci powiedzieć, że nie czuję się tu w swoim żywiole.

- Przepięstwo to przepięstwo.

W drodze do Colt Nick myślał o tym, czego się dowiedział: Randy,

Burkhart, Mahoney. Motywy i środki. Kto jest winny? Bolała go głowa. A kiedy próbował się skupić, przed oczami stawała mu Portia. Jej gładka złocista skóra, miękkie jak jedwab włosy, usta, głos.

Do diabła z tym wszystkim.

Cab był w swoim biurze. Wstał, by uścisnąć dłoń Nicka.

- Widziałem obie panie w *Po zmroku* wczoraj wieczorem. Całe miasteczko to oglądało.

- Obie świetnie sobie poradziły - powiedział Nick.

- Jasne. Ale Mike Graham to dupek.

- Zgadza się.

Cab usiadł.

- Nie przyjechałeś tu, żeby gadać o programach telewizyjnych.

Nick opowiedział mu o wizycie u Burkhardta, starając się przedstawić wszystko jak najdokładniej. Kiedy skończył, Cab patrzył na swoje splecione dłonie.

- Podejrzewasz Burkhardta?

- Coś mi w nim nie leży. Możesz to nazwać policyjną intuicją. Myślę, że Gary zabrnął w to za daleko i Burkhart nie był w stanie przekonać go, by się wycofał. Ale czegoś mi jeszcze brakuje.

- Na przykład, po co Burkhart proponował Portii stanowisko prezesa fundacji, jeśli tak naprawdę wolałby mieć tam jakąś posłuszną marionetkę?

- Właśnie.

Cab pochylił się do przodu.

- Problem z Burkhartem jako podejrzanym polega na tym, że on nie jest ranczerem. Nie mieszka tu. Ktokolwiek bruździ Portii w interesach, musi być stąd.

- Burkhart mógł wynająć kogoś z miejscowych.

- Ryzykowne. Zbyt wielu ludzi by o tym wiedziało.

- Tak, też o tym myślałem. - Nick zmarszczył brwi i potarł policzek wierzchem dłoni. - Jeszcze jedno nie daje mi spokoju. Randy Wells. Czy to możliwe, by aż tak nienawidził brata, żeby go zabić?

- Randy? - Cab podniósł wzrok i ściągnął wargi. - Nie sędzę. On jest raczej bierny. Może planować mnóstwo rzeczy i gadać, ale nie ma dość jaj, by wprowadzić to w czyn. Randy to typ naśladowcy.

Nick wyszedł z biura szeryfa, nie znajdując odpowiedzi na żadne ze swoich pytań. Ruszył na ranczo. Chciał usiąść z Gilem i przedstawić mu sprawę. Może Gil doszuka się jakichś konkretów.

Ale kiedy wrócił do domu, zastał Gila spacerującego nerwowo po salonie i klnącego pod nosem.

- Wyjechała - powiedział. - Kiedy chłopcy wrócili, zabrała furgonetkę i gdzieś pojechała. Do diabła, nie zorientowałem się nawet. Dopiero chłopcy mi powiedzieli.

- Chryste - powiedział Nick.

Wiedziała, że nie powinna samotnie opuszczać rancza. Nick się

wścieknie, a ona będzie musiała zrobić wszystko, aby nie winił Gila. Ale musiała pojechać, choćby tylko po zakupy do Safewaya w Castle Rock.

Pchała wózek między rzędami półek i usiłowała się skupić. Co powinna kupić? Płatki śniadaniowe. Owoce do płatków. Mleko, kawę, sos pomidorowy, mieloną wołowinę, sałatę. Trochę brzoskwiń i winogron. A teraz jeszcze po ziemniaki. Przyjemna, uspokajająca rutyna zakupów. Cały czas starała się nie myśleć o Nicku, ale nie bardzo jej się to udawało.

W końcu będą musieli porozmawiać. Sam na sam. Odpowiedzieć sobie na kilka trudnych pytań. A może nagle, bez słów, wróci ta cudowna bliskość?

Pójście z Nickiem do łóżka było zapewne błędem, ale nie żałowała, że to zrobiła. Ani trochę. Jedna noc, ale warta całego roku poczucia winy, żałoby i samotności.

Cukier, pomidory, dwa kartony soku pomarańczowego, torebka czekoladowych ciasteczek dla chłopców. Czy to już wszystko? Może powinna też kupić lody. Nie, zanim dojedzie do domu, zupełnie się rozpuszczą. Jeśli będą mieli ochotę na lody, pojedą później do delikatesów w Colt.

Nick, Nick. Musi mu na niej zależeć, choć odrobinę. Musi. Gdyby wiedział, ile dla niej znaczy, pewnie by się przestraszył? Człowiek, którego żona zraniła tak boleśnie, na pewno jest teraz bardzo ostrożny.

Podeszła do kasy, zapłaciła za zakupy, a potem wypchnęła wózek na

rozgrzany parking. Włożyła torby do kabiny, bo było zbyt gorąco, żeby położyć je na pace. Wsiadła do furgonetki i ruszyła pod słońce, w stronę rancza. Niebo było błękitne, bezchmurne, słońce rzucało długie cienie na drogę. Podskakując na wybojach w rozklekotanej furgonetce, Portia cały czas myślała o Nicku. O jego obietnicy, że odkryje, kto jej groził. O swoim stanowisku w fundacji. O Toddzie i ranczu. Może powinna dać sobie spokój z ranczem i wrócić z Toddem do Nowego Jorku, oddać wszystko Randy'emu; Nigdy jej nie akceptował. Może powinna zapomnieć o Patricku Mahoneyu.

Co ona ma zrobić? Co byłoby właściwe, a nie tylko łatwe? Dla niej, dla Todda, dla fundacji. Dla Gary'ego i jego pamięci.

Wszystko zdawało się popychać ją do powrotu do Nowego Jorku. Instynkt samozachowawczy. Matka. Nick.

O Boże, nie może tak myśleć. Jedna upojna noc nie powinna zmieniać całego jej życia.

Zjechała na drogę prowadzącą do Colt. Po powrocie zrobi kolację. Coś prostego, hamburgery z grilla, kukurydza, sałata. Zapomniała o bułkach. Może są jakieś w zamrażarce? Chłopcy na pewno są już bardzo głodni. I te lody...

Tym razem wyjątkowo źle prowadziło jej się furgonetkę. Może siadło wspomaganie kierownicy. Kolejny wydatek.

Nick. Nie powinna go unikać. Była mu winna przynajmniej uczciwość. Powinna wyznać, że skłamała tego ranka. Powiedzieć mu, że



noc z nim była cudowna i wspaniała. Kiedy mówiła, że co się stało, to się stało, wcale tak nie myślała. Chciała się z nim kochać od chwili, kiedy po raz pierwszy go zobaczyła. Tak, musi mu to powiedzieć.

Cholerna furgonetka. Poprosi Hernanda, żeby do niej zajrzał. Zdecydowanie ściągało ją na prawo.

Zadzwoniła schowana w torebce komórka. Sięgnęła po nią jedną ręką, nie spuszczając wzroku z drogi. Odebrała, wiedząc doskonale, kto dzwoni.

- Halo?

- Gdzie ty, u diabła, jesteś?

- W drodze do domu.

- Od godziny próbuję się z tobą skontaktować, na litość boską.

- Miałam wyłączony telefon. Będę w domu za kilka minut - powiedziała. - Pojechałam na zakupy. Mam...

Furgonetka gwałtownie zjechała na prawo. Portia wypuściła telefon i chwyciła oburącz kierownicę. Słyszała głos Nicka, ale nie mogła podnieść aparatu. Wcisnęła z całej siły hamulec, skręciła w lewo, usłyszała stłumiony odgłos uderzenia. Zaraz potem straciła panowanie nad kierownicą, opony zjechały z asfaltu. Krzyknęła i znowu usłyszała głos Nicka, który także coś krzyczał. A potem świat wywrócił się do góry nogami, Portia uderzyła w szybę i zapadła ciemność.

Ocknęła się, oszołomiona. Słońce już zaszło. Widziała światła samochodów policyjnych i karetki pogotowia. Spróbowała podeprzeć się

na ręce i usiąść.

- Spokojnie - usłyszała głos Nicka. Jak on...?

Nagle zobaczyła nad sobą jego twarz.

- Nick? - wyszeptała. Głowa bolała ją tak bardzo, że prawie nie była w stanie mówić.

- Wszystko będzie dobrze. Jest tu pogotowie.

- Co...? Nie pamiętam...

- Samochód się przewrócił i uderzyłaś się w głowę.

- Och... samochód...

- Nie martw się tym.

Znowu próbowała się podnieść, ale ogarnęły ją mdłości. Podeszło do niej dwóch sanitariuszy z noszami.

- Zabieracie do szpitala - wyjaśnił Nick.

- Do szpitala - powtórzyła. Nagle przypomniała jej się ostatnia chwila przed wypadkiem, kiedy kierownica wyślizgnęła jej się z rąk.

- W porządku? - spytał Nick.

Coś się stało z układem kierowniczym. Furgonetka...

- Portia?

- Zaraz... zaczekaj... - wydyszała.

- Czekaście, chłopcy - rozległ się głos Caba.

- Portia, musisz pojechać do szpitala - ponaglał Nick.

- Krwawię? - spytała. Wszystko zaczęło do niej powoli docierać.

Leżała na ziemi przy drodze, Nick trzymał ją w ramionach.

- Nie, masz tylko kilka siniaków, no i wstrząs mózgu.

- Nic mi nie jest.

- Akurat - warknął Nick.

Cab kucnął tuż przy niej.

- Portia?

- Och, Cab, ale narozrabiałam.

- Może to nie twoja wina.

- Co? - spytał Nick szybko.

- Coś było nie tak z furgonetką?

- Tak... ściągała... w jedną stronę.

- Wygląda na to, że przednie opony zostały przecięte. Wjechałaś na coś?

Chciała pokręcić głową, ale za bardzo ją bolała.

- Nie.

Nick zaklął.

- Czuję się całkiem dobrze - skłamała. - Chcę wrócić do domu.

- Jedziesz do szpitala.

- Nie, naprawdę nic mi nie jest.

- Portia...

- Proszę, Nick, zabierz mnie do domu - powiedziała, usiłując unieść się lekko. Dotknęła dłonią skroni.

- Zabierz ją do domu - odezwał się Cab.

Bogu dzięki. Nie miała siły dłużej się kłócić.

- Jest dorosła. Może sama decydować.

- Dziękuję - powiedziała do Caba.

Spojrzała na Nicka i zobaczyła, jak bardzo był niespokojny. Ujęła jego dłoń i uścisnęła ją lekko.

- Naprawdę nic mi nie jest.

Pomógł jej dojść do samochodu i zapiął jej pas tak starannie, że nie mogła powstrzymać uśmiechu.

Potem usiadł za kierownicą. Cab pochylił się do okna.

- Opiekuj się nią dobrze, słyszysz?

- Jasne.

Wezmę furgonetkę na lawetę i przyjrzę się jej dokładniej. Może nawet zadzwonię do dochodzeniówki.

- Och. - Nie mogła w to uwierzyć, ale pamiętała, jak kierownica wyrwała jej się z rąk, jak jakieś żywe stworzenie. Ktoś przeciął opony? Jeszcze jedno ostrzeżenie? Nie. Ostrzeżenia dobiegły końca. Boże, tym razem omal jej nie zabili.

Nick zawiózł ją do domu. Cały czas pytał, jak się czuje, i co chwilę na nią spoglądał, jakby się bał, że mogłaby zniknąć.

- Patrz na drogę, na litość boską - powiedziała w końcu.

- To było głupie z twojej strony, samotnie wyjechać z rancza.

- Wiem. Tylko że...

- Czy teraz zaczniesz mnie słuchać?

- Tak - szepnęła.

Skrećali na prowadzący do rancza podjazd, kiedy nagle coś jej się przypomniało.

- O Boże, nie.
- Co?! - spytał, przerażony.
- Zakupy. Wszystko... w furgonetce...
- Jezu, Portia - mruknął, kręcąc głową.

W domu była Lynette. Zdażyła już przygotować Gilowi i chłopcom posiłek, a potem nie pozwalała im męczyć Portii pytaniami.

- Dzięki Bogu, że nic ci się nie stało - powiedziała, obejmując Portię.
- Nic mi nie jest. Proszę, nie róbmy przedstawienia.

Lynette położyła dłonie na biodrach.

- Jasne, po prostu przejdziemy do porządku dziennego nad faktem, że omal nie zginęłaś.

Portia spojrzała na przyjaciółkę.

- Tak mi przykro, że narobiłam tyle...
- Dość tego męczeństwa. I nie martw się o chłopców. Poradzą sobie.

Teraz muszę wracać do domu, do swoich dzieciaków.

- Dzięki, Lynette. Nigdy nie będę w stanie...
- Och, cicho bądź. Ty zrobiłabyś dla mnie to samo. Nick, zajmij się nią.

- Mam taki zamiar.

Objęły się jeszcze raz i Lynette wyszła.

- Co za kobieta - mruknął Gil z podziwem. Jeszcze jeden członek

fan-klubu Lynette.

- Masz ogromnego siniaka na głowie - powiedział Todd. Był trochę przerażony, ale widać było, że odczuł też wielką ulgę.

Portia dotknęła obolałego miejsca.

- Nie wątpię. Na pewno wyglądam okropnie.

- Wyglądasz całkiem dobrze - odparł bez przekonania.

Była zadowolona, że nie pojechała do szpitala. Todd by się denerwował. Podeszła do niego i uścisnęła go lekko.

- Nic mi nie będzie.

Szybko wysunął się z jej objęć. Wiedziała, że krępuje go obecność Douga.

- Mam zamiar położyć Portię do łóżka - powiedział Nick. - Zachowujcie się cicho, dobrze?

Nagle zdała sobie sprawę z tego, jak bardzo jest wyczerpana. Głowa ciągle ją bolała. Czy to możliwe, że jeszcze rano była w Nowym Jorku, w hotelowym łóżku, a obok niej leżał Nick?

- Lekarz powiedział, że musisz być pod obserwacją - poinformował ją Nick, kiedy szli na górę.

- Słucham?

- Kiedy ktoś ma wstrząs mózgu, musi być pod obserwacją przez dwadzieścia cztery godziny. Chodzi o możliwe komplikacje.

Na korytarzu odwróciła się do niego.

- Nick...

- Dwadzieścia cztery godziny, tak powiedział. A skoro nie chciałaś iść do szpitala...

- Och, na litość boską. Idę spać. Rano na pewno poczuję się lepiej.

- Musisz być pod obserwacją.

- Ale mogę sobie sama umyć zęby?

Spojrzał jej prosto w oczy.

- Śmiertelnie mnie przeraziłaś, Portia.

Spuściła wzrok. Musi z nim porozmawiać. Musi, ale nie teraz. Była zmęczona, kręciło jej się w głowie. Jutro.

Wyciągnęła swoją ulubioną długą koszulę do spania. Nick kręcił się po pokoju, ale była tak wykończona, że nie zwracała na to uwagi. Weszła do łóżka i położyła głowę na chłodnej poduszce.

- O, jak dobrze.

Nick przyciągnął do łóżka fotel na biegunach i usiadł.

- Dobrze się czujesz? Lekarz mówił, że gdybyś miała mdłości albo zawroty głowy...

- Nic mi nie jest. Nie panikuj. - Spojrzała na niego. - Chcesz tu siedzieć przez całą noc?

- Tak.

- Jesteś szalony.

- Jeszcze jak.

Zamknęła oczy i przytuliła się do poduszki. W głębi serca była zadowolona, że Nick nad nią czuwa. Dobrze się czuła w jego

obecności... A jutro... powie mu...

Portia obudziła się i spojrzała na zegarek. Za piętnaście czwarta. W bladym świetle księżycy, które sączyło się przez okno, widziała Nicka. Siedział pochylony, opierając głowę na ręce. Patrzyła na niego przez chwilę, na jego ciemne włosy i brwi, usta i ocienione policzki. Dłoń, spoczywającą na kolanach. Czuwał nad nią. Ścisnęło ją w gardle.

Wyciągnęła rękę i dotknęła jego kolana.

- Nick.

Drgnął.

- Tak?

- Nick, to tylko ja.

- Coś się stało? Niedobrze ci?

- Nie, w porządku, tylko... obudziłam się... Dlaczego się nie położył? Na pewno jest ci tu niewygodnie.

Po chwili wahania wstał i ostrożnie położył się na łóżku. Na kołdrze, w ubraniu.

- Spróbuj zasnąć - powiedział.

- Ty też.

- O mnie się nie martw.

- Dobrze - odparła. Westchnęła i znowu zapadła w sen.



## Rozdział 24

Nie mógł uwierzyć, że była taka uparta. Wstała rano, wzięła prysznic, włożyła spodnie i podkoszulek. A potem postanowiła zejść na dół i zrobić śniadanie. Nie był w stanie jej powstrzymać. Była blada, ale poza tym wyglądała dość dobrze. Poza wielkim siniakiem na skroni i paroma innymi na ramionach i udzie.

Zauważyła, że się im przyglądał.

- Brzydkie, prawda?

Odwrócił wzrok.

- Znikną.

Wyciągnęła pudełko płatków śniadaniowych, zaparzyła kawę, a Nick usiadł przy kuchennym stole, czując się jak piąte koło u wozu. Ciągłe miał na sobie wymięte *rzeczy*, w których spędził całą noc. Choć spał niewiele.

- Może pójdziesz się umyć? - zaproponowała.

- Później. Mogę ci jakoś pomóc? Umyć naczynia czy coś?

- Lynette zostawiła wszystko w najlepszym porządku. Naprawdę. Poradzę sobie. Chłopcy nawet jeszcze nie wstali.

Nick potarł twarz dłonią. Patrzył na Portię, kiedy pochyliła się, by wyjąć coś z kredensu. Włosy miała jeszcze lekko wilgotne, związane z

tyłu w koński ogon. Jeden kosmyk wysunął się z gumki; założyła go za ucho. Leżał przy niej na łóżku przez kilka godzin, drzemał trochę, ale głównie patrzył na nią, na jej podnoszącą się i opadającą rytmicznie pierś, na zaokrąglony kształt jej biodra pod lekką kołdrą. I ledwo się powstrzymywał przed tym, żeby wyciągnąć rękę i dotknąć jej nagiej skóry.

Nie chciał myśleć o tej chwili, kiedy usłyszał przez telefon jej krzyk. Chwili, kiedy jak sądził, utracił ją na zawsze.

- Sądzę, że powinnaś pojechać do lekarza - spróbował.

- Nie wydaje mi się.

- Boli cię głowa? Może jest ci niedobrze?

- Przestaniesz wreszcie? - Odwróciła się i oparła plecami o kuchenny blat. - Ale jestem ci wdzięczna za troskę. Naprawdę.

Troska.

- I... dziękuję, że zostałeś przy mnie na noc.

- Jezu, Portia, nie musisz mi dziękować.

- Wyglądasz na niewyspanego.

- Na pewno.

- Idź i zdrzemnij się trochę, Nick.

- Później.

Westchnęła.

- Naprawdę zaczynam czuć się winna.

- Więc czujemy to samo.

Portia nalala kawy do kubków i usiadła przy nim.

Czuł jej zapach - szampon, balsam do ciała i jej własna, delikatna woń.

Zamieszała kawę w swoim kubku.

- Chcę ci powiedzieć... Chcę, żebyś wiedział... Chodzi o tamtą noc. Była wyjątkowa. - Spuściła wzrok. Jej głos był cichy, miękki. - Wiesz, chciałam ci to powiedzieć wczoraj, ale tyle się działo. A potem ten wypadek...

Nick wyciągnął rękę i dotknął jej podbródka.

- Dla mnie to również było coś bardzo wyjątkowego - powiedział.

Miała takie duże, zielone oczy, taką opaloną szyję. Chciał przesunąć po niej palcami. Jej usta były tak blisko, różowe, lekko rozwarte. Pochylił się ku nim. Nie potrafił się powstrzymać.

- Och - jęknęła, kiedy zaczął ją całować. Objęła go ramionami.

Jej usta były słodkie i ciepłe, miały smak miodu. Podniosła jedną rękę i pogłaskała go po głowie. Tulili się do siebie w zalanej słońcem kuchni. Za otwartym oknem szpaki śpiewały na drzewie.

W końcu Nick wypuścił ją z objęć. Usiedli naprzeciw siebie. Słyszał jej urywany oddech. Słyszał szybkie uderzenia własnego serca.

Potem rozległ się tupot nóg na schodach i chłopcy wtargnęli do kuchni. Portia wstała, trochę za szybko. Kopnęła niechcący w stół i kawa chlusnęła na blat.

- Umieram z głodu - oznajmił Todd.

- Są tylko płatki śniadaniowe - powiedziała. - Zakupy zostały w furgonetce.

- Płatki? Może być.

Gil zszedł na dół kilka chwil później. Nalał sobie kubek kawy i usiadł przy stole. Spojrzał na Portię, potem przeniósł wzrok na Nicka.

- Wszystko w porządku? - spytał.

- W jak najlepszym - odparł Nick.

- Po śniadaniu idziemy na konie - poinformował go Doug. - Dobrze?

- To na pewno dobry pomysł? - spytał Gil Portię.

- Tak, Todd pokaże mu wszystko. Zna się na koniach.

- Czy wy dwaj zdajecie sobie sprawę, że jestem tu naczelnym kowbojem? - spytał Gil.

- Naczelnym kowbojem? - Doug przekrzywił głowę.

- A tak, Portia mnie zatrudniła.

- Twój tata mówił, że był kiedyś w konnej policji, więc... - odezwała się Portia.

- Był - powiedział Doug. - Ciągłe opowiada historie o swojej klaczy. Nazywała się Martha.

- Martha. - Nick uśmiechnął się krzywo, spoglądając na przyjaciela.

- Tak, była siwa, coś jak Martha Washington. Wiem, że to trochę naciągane - tłumaczył się Gil.

- Kiedyś go zrzuciła. - Doug uśmiechnął się szeroko.

- To był wypadek przy pracy.

- Jasne, jasne.

- Myślę, że moglibyśmy dać Dougowi El Diablo - zaproponował Todd.

- El Diablo?

Nick zauważył, że Portia odwróciła się, by ukryć uśmiech.

- Nie przejmuj się, to bardzo łagodny koń. - Todd wzruszył ramionami.

- El Diablo?

Gil dopilnował, by chłopcy sprzątnęli po sobie, a potem zabrał ich na przejażdżkę. Nick poszedł na górę i wziął prysznic, rozmyślając nad tym, co musi zrobić tego dnia. Zdecydowanie powinien jeszcze raz odwiedzić Mahoneya. Tym razem go przyciśnie.

Zastanawiał się, stojąc pod prysznicem, czy dlatego dotąd nie rozwikłał jeszcze tej sprawy, że dzięki temu mógł widywać Portię. Niemal cieszył się, że pracował dla „Star Gazera”, choć było to takie brudne zajęcie. Gdyby nie „Star Gazer”, nigdy by jej nie poznał.

Kiedy zszedł do kuchni, na dole było pusto i cicho. Portia robiła pranie. Zegar na ścianie tykał miarowo.

- Och - powiedziała Portia, wychodząc z pomieszczenia, w którym stała pralka. Zatrzymała się i spojrzała na niego nieśmiało, a on znowu miał ochotę chwycić ją w objęcia i zacząć całować.

- Nie... nie możemy... To znaczy - wzięła głęboki oddech - nie możemy się tak zachowywać. Chłopcy...

- Oczywiście, wiem.

Ale stali tam, patrząc sobie w oczy.

Zadzwoił telefon, Portia odebrała. Zesztywniała, a potem się rozłączyła.

- Głuchy telefon?

- Tak - odparła poważnie.

Może dobrze, że telefon zadzwonił. To pozwoliło mu otrzeźwieć, przypomnieć sobie, co tu robi. Usiadł przy stole i opowiedział Portii o swoich planach.

- Dziś po południu Gil będzie was pilnował. Ja pojedę pogadać jeszcze raz z Mahoneyem. Teraz, kiedy znam wersję Burkhardta, przycisnę go trochę.

- On ci się nie przyzna.

- Nie. Ale może uda mi się coś z niego wyciągnąć. Są na to sposoby.

- Przepraszam. - Portia machnęła ręką. - To było głupie z mojej strony.

- Mam nadzieję, że nie wybierasz się dziś nigdzie sama?

- Nie! - Uśmiechnęła się. - Dostałam nauczkę. - Położyła mu dłoń na ramieniu. - Myślałam o tym koncercie bankowym. Koncercie Randy'ego i Lynette. Nigdy nie rozmawiałam z Lynette o pieniądzach, ale pamiętam, jak Gary powiedział mi, wiele lat temu, że Lynette chciała założyć rachunek oszczędnościowy dla chłopców. Wiesz, na studia.

- I?

- Cóż, myślę, że Gary powiedział coś o Randym... na przykład, że on nie jest tak zorganizowany albo że brak mu odpowiedzialności... Więc pewnie Lynette go do tego namówiła, a pieniądze z pewnością pochodzą od jej rodziny. - Wzruszyła ramionami.

- Hm - mruknął Nick. Portia była za dobra, by podejrzewać innych o oszustwa czy nieczyste intencje. Oszczędności na studia? Poznał już Randy'ego na tyle, że trudno mu było w to uwierzyć.

- Pamiętasz, pytałeś mnie, czy Gary rozmawiał z Aaronem tuż przed wypadkiem.

- Tak?

- Myślałam o tym i... - Głos jej się załamał.

- Posłuchaj, nie musisz...

- Muszę. - Podniosła głowę i się uśmiechnęła. - Myślę, że Gary rozmawiał z Aaronem. Rozmawiał przez telefon w gabinecie, a kiedy tam weszłam, był bardzo zdenerwowany. Pamiętam, bo spytałam go, kto to był, ale zbył mnie, co było zupełnie do niego niepodobne. Byłam zaskoczona i chyba dlatego to zapamiętałam.

- Może rozmawiał z Mahoneyem.

- Może, ale odniosłam wrażenie, że to był Aaron. Nie pytaj dlaczego, naprawdę nie wiem.

- Gary zwrócił się do niego po imieniu?

- Naprawdę, Nick, nie pamiętam.

- Jeśli to był Aaron, dlaczego myślisz, że rozmowa z nim mogła

zdenerwować Gary'ego?

- Och, Aaron bywa taki... Chce, żeby wszystko było zawsze po jego myśli. Czasem próbuje narzucać swoją wolę.

- Rozumiem.

- Czy to ci w czymś pomoże?

- Możliwe.

Kiedy Gil i zgrzani, zakurzeni chłopcy wrócili na lunch, Nick był gotów, by pojechać do Denver.

- Nie pozwólcie jej nigdzie samej wychodzić - powiedział do całej trójki.

- Muszę odebrać furgonetkę po południu - przypomniała sobie Portia.

- Cab dzwonił. Założył nowe opony.

- Zawiozę cię tam, jak wrócę - powiedział Nick.

- Może Randy mógłby mnie tam zabrać - zaproponowała.

- Nie, zaczekaj do mojego powrotu.

- Muszę ją odebrać przed piątą.

- Wrócę do tego czasu.

Głowa ciągle ją bolała, siniaki były napuchnięte, ale poza tym czuła się całkiem dobrze. Przy chłopcach udawała pogodną, w głębi ducha jednak była niespokojna. Nick pojechał dobrać się Mahoneyowi do skóry - wiedziała to. Usłyszała w jego głosie stanowczą nutę, widziała zimny błysk w jego oczach. Jeśli zdobędzie dowód winy Mahoneya, gra będzie



warta świeczki. Jeśli jednak niczego nie osiągnie, ona znajdzie się w jeszcze większym niebezpieczeństwie.

Ubiegłego wieczoru ktoś próbował ją zabić. Nie wolno jej o tym zapomnieć ani na chwilę. A gdyby nie zapięła pasa? Nie zawsze go zapinała, zwłaszcza kiedy jechała tylko do Colt albo rozwoziła coś po ranczu. Boże, uzmysłowiła sobie nagle, chłopcy mogli wziąć furgonetkę, zanim wyjechała do Castle Rock, a gdyby...

Ale nie. Najprawdopodobniej opony zostały przecięte, kiedy robiła zakupy. A jednak... gdyby nie była sama? Czy ci ludzie nie dbają o to, ile osób zginęłoby lub zostało rannych? Czy samo przebywanie z nią nie stanowi teraz niebezpieczeństwa?

Czuła, że Gil dyskretnie ją obserwuje. Chłopcy także. Nick zapewnił jej solidną ochronę. Trzy pary oczu patrzyły na nią bez ustanku. Byłoby to zabawne, gdyby nie było takie straszne.

Powiedziała Gilowi, że musi dostarczyć Randy'emu rachunki książeczkę czekową i miesięczny bilans.

- Chciał, żebym wpadła do niego po lunchu - powiedziała.
- Może zawiozę cię tam, zaczekam i odwiozę do domu?
- Nie, bez przesady. Będę siedzieć z Randym i wypisywać чеки. Nie chcę, żebyś tracił przede mną czas.
- Chyba po to tu właśnie jestem - odparł Gil sucho.
- Ale ja czuję się... ciągle stwarzam jakieś problemy.
- Nie, powinnaś raczej uważać się za damę w ciężkim położeniu.

- Jakie to krepujące.

Gil spoważniał.

- Nie, ani trochę. Nick chce ci zapewnić bezpieczeństwo.

- Może pójdziemy na kompromis? - zaproponowała. - Zawieziesz mnie do Randy'ego, a potem weźmiesz chłopców na ryby, nad staw za domem. Sprzęt jest w garażu. Kiedy skończę, zadzwonię do ciebie na komórkę i przyjedziesz po mnie.

Gil zastanawiał się przez chwilę.

- Dobrze. Umowa stoi.

Tym razem Nick tylko kiwnął głową w stronę rudowłosej Cheri i ruszył prosto do drzwi gabinetu Mahoneya.

- Jest u siebie? - spytał krótko.

- Tak, ale...

- Żadnych telefonów, dobrze?

- Ale...

Minął ją i pchnął drzwi. Mahoney był w koszuli, pod szyją miał poluzowany błękitny krawat. Rozmawiał przez telefon.

- Słuchaj, oddzwonię do ciebie - powiedział. - Muszę coś załatwić. - Odłożył słuchawkę i spojrzał na Nicka pytająco. - Pan Sinestra, prawda? Mogę zapytać...

Nick wyciągnął z kieszeni odznakę i pokazał ją Mahoneyowi, który spojrzał na nią przelotnie, po czym znowu podniósł wzrok.

- Czy to oficjalna wizyta?

- Zgadł pan.

Mahoney wyprostował się w fotelu i zmarszczył brwi.

- Przypuszczam też, że pańska poprzednia wizyta nie miała nic wspólnego z zakupem działki?

- Znowu ma pan rację.

- O co chodzi? - Był wyraźnie zły. Jego twarz poczerwieniała.

- Prowadzę dochodzenie w sprawie morderstwa. Mam kilka pytań.

- Morderstwa?

- Gary'ego Wellsa.

- Wellsa? To był wypadek. O czym pan, do diabła, mówi?

Nick usiadł, choć nikt mu tego nie zaproponował. Pochylił się do przodu.

- Możemy to zrobić spokojnie albo na ostro.

- Nie wiem, o co w tym wszystkim chodzi, ale może lepiej będzie, jeśli wezwę adwokata.

- Oczywiście, proszę bardzo - zablefował Nick. - Wcześniej czy później będzie pan musiał odpowiedzieć na moje pytania.

Mahoney przeżuwał to przez chwilę.

- Nie mam nic do ukrycia. Wells zginął w wypadku.

- Tak, tak. Ale teraz, kiedy go nie ma, pańskiej inwestycji nic już nie zagraża.

- Zostałaby zrealizowana tak czy inaczej. Nie był w stanie jej zablokować.

- Aaron Burkhart jest innego zdania.

- Aaron Burkhart?

- Zna go pan?

- Słabo.

- Burkhart twierdzi, że przyleciał pan do Waszyngtonu i rozmawiał z nim o pozwie, który złożył przeciw panu Gary Wells.

- To możliwe. - Mahoney wzruszył ramionami.

- Powiedział mi też, że wszystko było w najlepszym porządku, kiedy go pan opuszczał. Mieliście podobno rozwiązać wszystkie problemy na drodze negocjacji. Pozew miał zostać wycofany.

Mahoney spuścił wzrok i zaczął oglądać sobie paznokcie, nerwowo poruszając ustami. Nick czekał chwilę.

- To prawda? - spytał w końcu.

- Aaron tak powiedział?

- Tak.

- Proszę posłuchać, chodziło o interesy. W grę wchodziły duże pieniądze. Poleciałem spotkać się z Aaronem, tak, przyznaję, byłem wściekły. On także, jeśli chodzi o ścisłość. Pogadaliśmy i wszystko zostało ustalone. W każdym razie odniosłem takie wrażenie.

- A potem nagle Wells zginął.

- To był wypadek.

- Bardzo wygodny.

Mahoney wyrzucił ręce w powietrze.

- Na litość boską, proszę polecieć do Aarona. To on twierdził że potrafi wyperswadować Gary'emu zakup tej ziemi. Nie mam pojęcia, co między nimi zaszło. Przykro mi, ale nic więcej nie mam panu do powiedzenia.

Nick wstał i zabębnił palcami w blat biurka.

- Wczorajszego wieczoru znowu wydarzył się wypadek. Ale domyślam się, że i o tym nic pan nie wie.

Mahoney spojrzał na Nicka i odwrócił wzrok.

- Wypadek? - Na jego czole lśniły krople potu.

- Ktoś przeciął opony w furgonetce pani Wells. Samochód zjechał z drogi.

- To... to straszne.

Nick milczał przez chwilę.

- W razie gdyby był pan tego ciekaw, pani Wells wyszła z tego niemal bez szwanku. Ale założę się, że już pan o tym wie. - Pochylił się nad biurkiem i zbliżył twarz do twarzy Mahoneya. - Jeśli kiedykolwiek zbliży się pan do jej rancza albo do pani Wells, albo wyśle tam pan kogoś, odpowie mi pan za to.

- Nie może mi pan grozić - odparł Mahoney.

- Nie mogę? Wydaje mi się, że właśnie to zrobiłem.

Nick wyszedł z budynku i odetchnął głęboko. Drżał z gniewu. Zawsze tak było, kiedy zaczynał go ponosić temperament. Gil ciągle mu powtarzał, że powinien nad sobą panować. Złość ponoć skracała

człowiekowi życie.

W drodze powrotnej jechał za szybko. Nad powierzchnią autostrady drgało rozgrzane powietrze. Mrużył oczy, choć miał na nosie ciemne okulary. Tuż za Castle Rock niebo pociemniało, góry nie wyglądały już tak pogodnie. Czyżby zanosilo się na deszcz?

Mahoney kłamał. Burkhart kłamał. Obaj powiedzieli tylko tyle prawdy, ile musieli, reszta była wyssana z palca. Teraz będzie musiał oddzielić prawdę od łgarstw. Jechał, spoglądając od czasu do czasu w górę, w stronę nadciągającej burzy. Cały czas myślał o rozmowach, jakie odbył z Mahoneyem i Burkharciem. Chryste, jakby się umówili. Mówili to samo, rozbieżności było naprawdę niewiele. Tak, ich historie były bardzo podobne, zbyt podobne. To niemożliwe, by dwaj ludzie tak dokładnie zapamiętali rozmowę, która miała miejsce ponad rok wcześniej. Mowy nie ma.

To był brakujący fragment układanki. Nick widział go wyraźnie. Czuł, że cały czas miał go przed oczami, tylko go nie zauważał.

Obaj.

- O Boże - szepnął, uderzając dłonią w kierownicę.

Burkhart i Mahoney. Połączyli siły przeciw Wellsowi, którego upór kosztowałby Mahoneya miliony, a Burkhartha jego reputację i fundację. Spotkali się, o tak. Wymienili poglądy i szybko wymyślili - jak to inteligentni, ambitni ludzie interesu - jak pozbyć się problemu.

Cholera, zrobili to razem. Chociaż Nick dałby głowę, że żaden z nich

nie splamił się brudną robotą. Kogo wynajęli, by zrealizował ich plan? Może tych dwóch podejrzanych typów, którzy odgrywali tu później rolę ochroniarzy? Dwóch innych groziło Portii przed sklepem; może to właśnie oni próbowali ją wczoraj zabić? Ci ludzie mogli być z Las Vegas albo z Los Angeles. Tania pomoc.

Doskonale, pomyślał. Ciągle jednak czuł - podobnie jak Whitefeather - że chłopcy z Las Vegas czy skądkolwiek indziej nie wiedzieliby, jak dezorganizować życie na ranczu, nie wpadliby na to, że można otwierać bramki na pastwiska, zatrzuwać wodę w zbiornikach. To wymagało pewnego doświadczenia. Tak. To musi być jakiś miejscowy.

- Popatrz, Randy - powiedziała Portia.

- Co?

- Chmury. Widzisz? Tam, nad górami.

Randy wyjrzał przez okno.

- Akurat.

- Nie zapowiadali deszczu?

Wzruszył ramionami.

- Jak zwykle, dwadzieścia procent szans. Od dwóch tygodni tak gadają, i nic.

Portia znowu spojrzała w okno. Na zachodzie zdecydowanie formowała się linia chmur, odcinając się coraz wyraźniej od błękitu nieba.

- Byłoby wspaniale, gdyby...

- Pewnie opady nawet nie sięgną gruntu. Wyparują gdzieś po drodze.
- Może nie.

Siedzieli w gabinecie Randy'ego. Portia wypisywała czeki. W pokoju było gorąco i duszno. Cieszyła się, że to już prawie koniec.

Lynette zabrała dzieci na zakupy do Colt, zostali więc w domu sami. Tyle rachunków, a tak niewiele na koncie. Pomyślała o koncie, które odkrył Nick. Sześćdziesiąt tysięcy. Ciągle jednak nie miała odwagi spytać o nie Randy'ego.

Randy wydawał się niespokojny. Chodził nerwowo po pokoju. Nie usiadł ani na chwilę. Portia wiedziała, że nie cierpiał papierkowej roboty. Wolałby teraz pewnie pracować na dworze, nawet w tym skwarze. Albo na mrozie.

Rzuciła okiem na zegarek. Dochodziła czwarta. Cholera. Kiedy Nick wróci? Potrzebowała furgonetki.

- Muszę z tobą porozmawiać - powiedział nagle Randy.

Portia wpięła rachunek do segregatora.

- Jasne.

Randy się zatrzymał.

- Dlaczego jesteś taka uparta? Mówię o ranczu i fundacji.

Znowu to samo, pomyślała, ale nic nie powiedziała. Wiedziała już, że kiedy Randy zaczynał jedną ze swoich tyrad, lepiej było milczeć. Kto to powiedział, że człowiek nigdy nie wpada w kłopoty z powodu tego, czego nie powiedział? Otworzyła książeczkę czekową.



- A Mahoney? Nawet jeśli wybuduje tu pole golfowe, kogo to obchodzi? Jeśli nie on, zrobi to ktoś inny.

Portia odłożyła długopis. No tak, pomyślała z rezygnacją.

- Nie chodzi tylko o pole golfowe, Randy. Chodzi o morderstwo Gary'ego. Morderstwo twojego brata.

- Morderstwo - prychnął.

- Ten człowiek musi za to zapłacić. Zabił Gary'ego i nie może mu to ująć płazem. Nick właśnie tam pojechał.

- Co... Co?

- Nick pojechał spotkać się z Mahoneyem.

- Nie ufam temu twojemu gliniarzowi.

- Ale ja mu ufam.

- Widzę, że zawrócił ci w głowie.

- To dobry człowiek, Randy.

Randy tylko machnął ręką i zacisnął usta. Portia czuła, że jeszcze chwila, a uda mu się wyprowadzić ją z równowagi. Miała ochotę powiedzieć mu, żeby przestał się wtrącać do jej życia, kiedy przed dom zajechał samochód. Usłyszała głosy Lynette i chłopców, trzaśnięcie drzwiczek, szcęk otwieranych drzwi frontowych.

Uspokoila się.

- Muszę odebrać furgonetkę - powiedziała. - Nick ma mnie podwieźć. Muszę tam być przed piątą.

- A gdzie twój cień?

- Gil? Wędkuje z Toddem i Dougiem. Zadzwońię do niego.

- Nie dodzwonisz się.

- Dlaczego? Ma przy sobie komórkę.

- Nad stawem nie ma zasięgu.

Wystukała numer Gila, ale Randy miał rację, nie odebrał.

Potem wystukała numer Nicka. On na pewno już wraca, pomyślała. Ale Nick także nie odebrał telefonu. Musiał być właśnie w jednej z tych martwych stref między Denver a Castle Rock.

- Cóż, chyba będę musiała poczekać z tym do jutra.

Randy spojrział na nią.

- Ja cię zawiozę.

Była trochę zaskoczona, zazwyczaj nie był taki usłużny.

- To tuż przed Colt, prawda? - Spojrział w okno, na gęstniejące chmury.

- Tak, jest w warsztacie.

- Nie ma sprawy. I tak jest już za późno, żeby zaczynać przychody. - Odwrócił się i sięgnął do kieszeni po kluczyki.

Portia pomyślała, że Nick będzie wściekły, ale w końcu nie wybierała się nigdzie sama. Szwagier wyświadczy jej po prostu przysługę. A w drodze powrotnej poprosi go, żeby cały czas za nią jechał.

Randy zajrzał do kuchni, gdzie Lynette wyciągała zakupy z toreb.

- Podwiozę Portię po furgonetkę - powiedział i wyszedł, zanim żona

zdążyła otworzyć usta.

- Cześć, Lynette. - Portia wetknęła głowę w drzwi. - Gdyby dzwonił Gil, powiedz mu, gdzie jestem. Powiedz mu też, że nie pojechałam sama. A jeśli przyjedzie Nick, koniecznie powiedz mu to samo.

- Jasne - odparła Lynette. - Jedź ostrożnie, słyszysz?

Portia usiadła w furgonetce i Randy wyjechał z podjazdu. Był dziwnie milczący. Pewnie już żałował, że na nią nakrzyczał. Cały Randy, najpierw mówi, a potem myśli. Wiedziała, że nigdy nie będzie jej kochał, ale na pewno jakoś się dogadają. Muszą.

Znad gór nadpływały chmury. Były coraz bliżej. Zerwał się wiatr i wzniecał tumany kurzu na drodze.

- Będzie padać - powiedziała Portia.

- Może.

- Na pewno.

Na skrzyżowaniu dróg Randy skręcił w lewo, zamiast w prawo.

- Eee... warsztat jest w przeciwną stronę, prawda? W Colt? - powiedziała ostrożnie.

Nie odpowiedział, tylko przyspieszył. Wiatr sypnął zwirom w przednią szybę, w oddali błysnęło. Zaraz potem rozległ się ogłuszający łoskot grzmotu.

Randy znowu przyspieszył.

- Randy - powiedziała. Coś tu było nie tak. - Randy?

Patrzył przed siebie. Na szybę spadły pierwsze krople deszczu.

## Rozdział 25

Nick jechał w stronę Colt i rozważał wszystko. Jak przyszpilić Mahoneya i Burkhearta? Może jeden wsypie drugiego i dostarczy dowodów w zamian za łagodniejszy wymiar kary? Ale potrzebne będą niezbite dowody, coś więcej niż tylko jego policyjna intuicja. Ciągłe nie potrafił sobie wyobrazić Pana Idealna Opalenizna i Pana Genialnego Dewelopera, jak osobiście wrzucają martwe ciała do zbiornika z wodą. Musi odnaleźć ich pomocnika, miejscowego, który zna się na rzeczy. Cab Whitefeather był pewny, że ktoś taki istnieje.

Włączył telefon, kiedy wyszedł z biura Mahoneya, i wystukał numer Portii. Nie mógł się jednak połączyć. Wystukał numer Gila. To samo. Brak zasięgu.

Zauważył, że pociemniało, po prawej stronie niebo było szaro-granatowe, góry niknęły we mgle. Przed nim błysnęło, zerwał się wiatr. Na ziemię spadły pierwsze krople deszczu.

Naprawdę będzie padać. Zdumiewające.

Nagle jego telefon zadzwonił. Chwycił go szybko.

- Tak?

- To ja, Gil.

- Już jadę. Powiedz Portii...

- Właśnie o to chodzi - zaczął Gil. Nickowi nie spodobał się ton jego głosu.

- Z Portia wszystko w porządku? - przerwał mu.

- Wyjechała z Randym jakieś dziesięć minut temu. Pojechała po furgonetkę.

- Cholera. Miała poczekać na mnie.

- Wiem. Próbowałem się do niej dodzwonić kilka minut temu, ale nic z tego.

- O Boże. - Nick wiedział, że między ranczem i Colt był zasięg. Może wyłączyła komórkę. Może bateria...

Co ona, do diabła, wyprawia? Pojechała z Randym jak ostatnia idiotka.

Zaczął mówić coś do Gila, ale nagle poczuł, że podnoszą mu się włosy na głowie. Randy.

- Czy jest tam z tobą Lynette? - wykrztusił.

- Tak.

- Zatrzymaj ją tam. Będę na ranczu za pięć minut.

Za całą cholerną wieczność.

Wycieraczki poruszały się miarowo po przedniej szybie, rozmazując martwe owady. Deszcz lał jak z cebra, zacinając lekko. Bezcenny deszcz. Ale teraz nie przyniesie jej nic dobrego.

Zadzwoniła jej komórka i serce podskoczyło jej w piersi. Nick, to

musi być Nick. Wie, że wpadła w kłopoty. Drżącymi rękami wyciągnęła telefon z torebki. Ale Randy wyrwał jej go, opuścił szybę w oknie i wyrzucił bez słowa. A potem podniósł szybę.

- Randy - zaczęła, starając się panować nad głosem. - Mig musisz tego robić. Zawróć i odwieź mnie do domu.

Nic.

Przycisnęła się do drzwiczek. Randy jechał tak szybko, że samochód podskakiwał gwałtownie na wybojach. Deszcz zalewał szybę, tak że prawie nic nie wiedziała.

- Randy - zaczęła znowu.

Zwolnił nagle i skręcił kierownicą. Koła zachrzęściły na mokrym żwirze. Wjechał gdzieś... na parking. Próbowwała dojrzeć coś przez okno, ale szyba była zaparowana.

Randy... Nie mogła uwierzyć, że to on... zrobił to wszystko. Zabił Gary'ego? Własnego brata? Nie, niemożliwe, a jednak...

Przyhamował i objechał jakiś budynek. Teraz widziała, co to jest. Opuszczone kino letnie, zamknięte od lat. Znajdowało się przy drodze, której używano, dopóki nie pojawiła się autostrada. Niski budynek, o małych okienkach, z których większość straszyla teraz powybijanymi szybami. Obok stała jakaś mniejsza konstrukcja z popękanego betonu. Bar z przekąskami.

Dlaczego przywiózł ją tutaj? Co ma zamiar zrobić?

Zgasił silnik, wyjął kluczyki ze stacyjki i wysiadł z samochodu,

ciągnąc ją za sobą.

- Randy! - krzyknęła. - Pomyśl, co robisz. Przecież masz dzieci. O Boże, Randy.

Deszcz oślepił ją zupełnie. Niebo rozdarła błyskawica, ziemią wstrząsnął huk grzmotu.

Próbowała mu się wyrwać, jej skóra była mokra i śliska. Ucieknie, ukryje się gdzieś. Wskoczy do furgonetki... Czy zostawił tam kluczyki?

Walczyła, ale był zbyt silny. Trzymał jej ramię w żelaznym uścisku i włókł ją jak cielę na rzeź. Poślizgnęła się nagle na mokrej ziemi i upadła na kolana, ale on poderwał ją do góry. Nie ucieknie mu, nie w tym deszczu. Nie będzie w stanie biec po śliskiej, grząskiej ziemi, nic nawet nie widzi...

Nick. Nick ją znajdzie. On wie... Lynette mu powie... Ale nie będzie wiedział, gdzie jej szukać.

Randy otworzył tylne drzwi budynku kopniakiem i pchnął ją do środka tak mocno, że upadła. Stał teraz nad nią, dysząc ciężko, z włosów spływała mu woda, koszula lepiła mu się do ciała.

Portia rozejrzała się wokół gorączkowo, szukając jakiejś drogi ucieczki. Popękane blaty, naga podłoga, rozbite szkło i brudne ściany, oświetlane od czasu do czasu światłem błyskawic.

- Randy - jęknęła z rozpaczą. Przerażone serce łomotało jej w piersi.

Nick wpadł do domu kompletnie przemoczony. Wystarczyło, że

wysiadł z samochodu. Otarł twarz dłonią. Zobaczył Lynette, siedziała sztywno na kanapie, i Gila, który wstał i podszedł do niego.

- Dzwoniłem na jej komórkę. Ciągle nie odbiera. - Rozejrzał się. Chłopcy... - Gdzie są dzieci?

- U Portii. Todd i Doug się nimi zajęli - odparł Gil. - O nich się nie martw.

Lynette była wyraźnie przerażona, obejmowała się ramionami, a jej pogodna zazwyczaj twarz była blada jak ściana.

- Wróciłam... wróciłam do domu z zakupów i... oni byli w gabinecie. Wszystko było w porządku... normalnie...

- Jak zachowywała się Portia? - spytał Nick.

- Normalnie. Nie wiem... Randy... on powiedział, że podrzuci ją do warsztatu.

- Cholera, mówiłem jej, żeby zaczekała - mruknął Nick pod nosem.

- Co... co się stało? - spytała Lynette. - O co chodzi?

Światło w domu było dziwnie przyćmione, deszcz bębnił w dach, wiatr szarpał drzewami za oknem.

- Posłuchaj, Lynette, muszę ich odszukać. - Odwrócił się do Gila. - Sprawdzałeś w warsztacie?

- Lynette tam dzwoniła. Nie było ich.

Rozpaczliwie szukał jakiegoś rozwiązania, usiłując opanować ogarniający go strach. Wyjechali piętnaście, może dwadzieścia minut temu, nie mogą być daleko.



- Gil, skontaktuj się z Cabem, niech zaczną szukać furgonetki Randy'ego. Lynette, pamiętasz numer?

- Tak. - Głos jej drżał. - Ford pickup z dziewięćdziesiątego czwartego roku, 441 DBG.

- Dobra dziewczynka. - Podeszedł do niej i położył jej dłoń na ramieniu. Spokojnie, spokojnie, to jej mąż, ojciec jej dzieci.

- Proszę, proszę, powiedz mi, co się stało - powiedziała. - Co... - Zaczęła płakać.

- Spokojnie, wszystko będzie dobrze. No, nie ma powodu do łez - powiedział łagodnie, choć miał ochotę zakląć, a potem wybiec w deszcz, by szukać Portii. Chciał działać.

Błysnęło, zaraz potem rozległ się ogłuszający huk grzmotu, tak blisko, że szyby w oknach zadrżały.

Nick kucnął, oparł łokcie na kolanach i opuścił głowę.

- Powiem ci, o co chodzi, Lynette. - Spokojnie, strofował się. - Myślę, że Randy ma jakieś powiązania z Aaronem Burkhartem i Mahoneyem. To chyba oni zaaranżowali wypadek Gary'ego.

Lynette krzyknęła i zakryła usta dłonią.

- Nie, nie...

- Nie mam dowodu, ale na to wygląda. Rozumiesz teraz, dlaczego musimy ich odszukać? I to jak najszybciej?

- Randy nigdy by nie... Randy...

- Ty znasz go najlepiej, Lynette. Możesz nam bardzo pomóc.

Musimy ich odszukać, zanim będzie za późno. Gdzie mógł ją zabrać?

Pospiesz się, na litość boską.

- O Boże... O Boże, nie wiem... - Znowu zaczęła płakać.

Poklepał ją po kolanie.

- Pomyśl. Nie mogą być daleko. Są gdzieś w pobliżu. W miejscu, które Randy dobrze zna, gdzie czuje się bezpiecznie.

Lynette przełknęła i oderwała dłonie od twarzy. Miała zaczerwienione oczy i czerwone plamy na policzkach. Na zewnątrz znowu zagrzmiało. Szyby i porcelana w kredensie zabrzęczały cicho.

- Wczoraj wieczorem... O mój Boże, nie można z nim było dojść do ładu. Nie wiedziałam... Myślałam, że chodzi o ranczo, o pieniądze... Skąd mogłam wiedzieć?

Pospiesz się, Lynette. Nick z trudem zachowywał spokój.

- Co mówił?

- On... on płakał. Zachowywał się tak, jakby chciał się poddać. Mówił, że dłużej tego nie wytrzyma. Objęłam go. Chciałam. .. chciałam go pocieszyć, ale on... tylko... - Otarła nos wierzchem dłoni, jak dziecko.

- Powtarzał, że chciałby, żeby było już po wszystkim... żeby było jak przedtem...

Pozwolił jej mówić. Miał ochotę zacząć krzyczeć z frustracji, ale spokojnie czekał.

- Był taki... nieszczęśliwy. Zdenerwowany. Bałam się. Nigdy wcześniej nie bałam się Randy'ego. - Spojrzała na Nicka. - Płakał i

mówił o różnych dziwnych rzeczach... o tym, jak zaczęliśmy się spotykać... i kiedy mi się oświadczył, i... - Urwała.

- Dalej, Lynette, świetnie ci idzie.

Pociągnęła nosem.

- Mówił o starym kinie letnim... kiedyś tam jeździliśmy... Tam poprosił mnie o rękę.

- Kino letnie?

- Jest zamknięte od lat... stoi przy starej drodze...

Ale Nick już nie słuchał. Znał to miejsce, przejeżdżał koło kina tej nocy, kiedy spłonęła stodoła.

Gil podał Lynette chusteczkę. Wzięła ją drżącymi rękami.

- Mam szeryfa - powiedział Gil.

Nick wstał.

- Zadzwoń do niego jeszcze raz i powiedz mu, że spotkam się z nim przy starym kinie letnim. On wie, gdzie to jest. Jezu - szepnął.

- Jedź - odparł Gil. - Ja zostanę tu, na wypadek gdyby wrócili.

Ale obaj wiedzieli, że to mało prawdopodobne.

Nick wybiegł na zewnątrz, w strugach deszczu dopadł samochodu, wsiadł i wyjechał z podjazdu. To niedaleko. Powinien tam dotrzeć za dziesięć minut. Wycieraczki poruszały się szybko. Skupił uwagę na drodze, która lśniła upiornie w świetle błyskawic rozdzierających od czasu do czasu niebo.

A jeśli Randy nie zabrał jej wcale do kina? Co wtedy?

Pochylił się do przodu, chcąc lepiej widzieć drogę, i zacisnął palce na kierownicy. Strugi deszczu chłostały samochód. Kilka razy omal nie wpadł w poślizg. Ciągłe grzmiało, ale jakby dalej.

Dziesięć minut. Wiejską drogą aż do skrzyżowania. Potem w lewo. Kino będzie po prawej przy starej drodze. Zamrugał. Wszystko było szare, przesiąknięte wodą, zamazane.

A jeśli jej tam nie będzie?

Spod kół samochodu prysnął żwir. Szybciej, szybciej.

Jest... zjazd... Skrecił. Koła zabuksowały na żwirze. Dalej... Parking, ekran, kilka zapomnianych betonowych mównic. Niski szary budynek.

Żadnej furgonetki, nic. Opuszczone kino letnie. Skąd, u diabła, przyszło mu do głowy, że ich tu znajdzie?

Ruszył powoli wokół budynku. Jego dłonie, mokre od potu i deszczu, ślizgały się po kierownicy. Na wszelki wypadek...

Nagle serce zabiło mu mocniej. Furgonetka. Biała furgonetka.

Zahamował. W tej burzy nikt go na pewno nie usłyszy. Chyba że Randy obserwuje, co dzieje się pod budynkiem. Ale dlaczego miałby to robić?

Ogarnął otoczenie taksującym spojrzeniem. Słabe światło, hałas. Idealnie. Niski betonowy budynek. Lekko uchylone drzwi. Od frontu zapewne także jest wejście. Wyjął rewolwer ze schowka na rękawiczki i go sprawdził.

Szybko, do diabła. Wysiadł z samochodu, nie zamykając za sobą

drzwiczek, na wypadek gdyby Randy mógł go usłyszeć. Skulił się i podbiegł w deszczu do furgonetki. Otworzył drzwiczki jedną ręką, w drugiej trzymał broń. Samochód był pusty. Dobrze.

Przyłgnał plecami do ściany budynku tuż przy drzwiach i wyteżył słuch. Głosy? Nie, nic. Deszcz zagłuszał wszystko.

Otarł twarz i zamrugał, a potem szybko pchnął drzwi, wyciągając przed siebie trzymany oburącz rewolwer.

Krzyk. Z półmroku nagle wyskoczył jakiś cień. Odskoczył odruchowo, ale napastnik chwycił go za rękę, tak że nie był w stanie użyć broni.

Randy był silny, próbował wyrwać mu rewolwer z rąk. Cofnął się. Randy rzucił się za nim. Rozegraj to dobrze. Szybki ruch, podniósł oswobodzoną rękę i uderzył Randy'ego rewolwerem w głowę. Randy zachwiał się i runął na ziemię jak worek kartofli.

Nick stał nad nim przez chwilę, ciężko dysząc. Nagle usłyszał inny głos.

- Nick, och, Nick!

Portia rzuciła mu się w ramiona, przemoczona i drżąca, bliska łez. Powtarzała jego imię. Przycisnął ją do siebie tak mocno, że bał się, iż zrobi jej krzywdę. Stali tak przez długą chwilę, przytuleni do siebie w tym smutnym, opuszczonym budynku, słuchając bębniącego o blaszany dach deszczu.

W końcu puścił ją niechętnie. Miał jeszcze kilka spraw do zała-

twienia.

- Wszystko w porządku? - spytał.

Tak tylko najadłam się strachu. - Portia miała łzy w oczach. Z jej włosów i ubrania ściekała woda. - Jak mnie znalazłeś?

- Lynette.

- Mój Boże, Lynette... Biedna Lynette! Co ona teraz zrobi?

Nick zadzwonił do Gila. A potem do Caba, który powiedział, że będzie na miejscu za pięć minut. Cały czas trzymał Randy'ego, który zaczął się poruszać i jęczeć, na muszce rewolweru.

Portia była bardzo blada.

- Nie mogę uwierzyć, że to Randy. Nie mogę...

- Lepiej uwierz - odparł Nick.

## Rozdział 26

Portia uścisnęła Lynette.

- Będzie mi ciebie bardzo brakować.

- Mnie ciebie też - powiedziała drżącym głosem Lynette.

- Ale będę cię odwiedzać. Ilekroć będę mogła.

- Wiem. A ja przyjadę do Nowego Jorku. W przyszłym miesiącu.

Mama zostanie z dziećmi. Wszystko jest już ustalone.

- Poradzisz sobie - powiedziała Portia. - Zobaczysz, wszystko się ułoży.

Lynette cofnęła się i spojrzała na nią ze smutkiem.

- Nowe życie, tak?

- Tak.

Nick spojrzał na zegarek.

- Musimy się zbierać.

Portia otarła oczy.

- Dobrze, za minutę.

- Tak mi ciężko - westchnęła Lynette. - Teraz wszystko będzie takie... inne.

- Będzie dobrze. Niedługo zaczniesz się opędać od mężczyzn.

Lynette spróbowała się uśmiechnąć.

- Chyba jeszcze nie jestem na to gotowa.
- Masz czas.
- Portia... - odezwał się Nick.
- Już idę. - Uścisnęła dłoń Lynette. - Opiekuj się chłopcami.
- Dobrze.
- Zadzwoń. Codziennie będziemy rozmawiać.
- Codziennie - powtórzyła Lynette. - Przyjadę do ciebie za kilka tygodni.

Portia nie mogła uwierzyć, że opuszcza to miejsce, by rozpocząć nowe życie.

Podczas gdy ona wyjeżdżała do Nowego Jorku z mężczyzną, którego kochała, Lynette wybierała się do rodziców do Castle Rock. Miała tam zostać do czasu, kiedy zapadnie wyrok w sprawie Randy'ego, a ona sama zdecyduje, co chce dalej robić.

- To straszne - westchnęła Portia.
- Tak.
- Ale ona sobie poradzi. Lynette jest silna. Jej rodzina... - Umilkła.

Patrzyła przez okno. Nick skręcił właśnie z podjazdu na drogę. Po obu jej stronach rozciągały się pastwiska, które zieleńiły się po deszczu. Bydło leniwie skubało trawę. Był wrzesień, letnie upały zelżały, na polach krągłe beły siana czekały na zwiezenie do stodół. Zbiory nie były szczególnie obfite, ale deszcz bardzo pomógł. Będzie tęskniła za ranczem, za tą ziemią. Ale tak jest lepiej.



Ustaliły z Lynette, że wyznaczą kuratora, który zajmie się ranczem do czasu, aż Todd i synowie Lynette dojdą do pełnoletności. Kiedy Lynette opuści dom, wprowadzą się do niego Juan i Hernando z rodzinami. Będą doglądać bydła. To dobrzy ludzie.

Wszystko się ułoży. Wierzyła w to.

- Smutna? - spytał Nick, przejeżdżając pod drewnianą bramą oznaczającą granicę rancza.

- Tak, smutno mi. Ale czuję się też szczęśliwa.

- To dobrze. - Wyciągnął rękę i uścisnął jej dłoń. - Chcę, żebyś była szczęśliwa.

Uśmiechnęła się do niego.

- Jestem.

- Mam nadzieję, że malarze już skończyli.

- Zamieszkamy u ciebie do czasu, aż skończą, jeśli będzie trzeba.

Skrzywił się.

- Kiepski pomysł.

- A więc to prawdziwa nora starego kawalera. Na pewno sobie z tym poradzę.

Portia czuła teraz, że poradzi sobie ze wszystkim. Od aresztowania Randy'ego minęło kilka tygodni. W sierpniu Nick wrócił do Nowego Jorku, do pracy. Portia była u niego raz, pomagała mu szukać nowego mieszkania.

Spytała Todda, gdzie chciałby zamieszkać. Wybrał Nowy Jork, choć

był trochę rozczarowany faktem, że na początku będzie musiał zatrzymać się u Judith i Anny i chodzić do szkoły w New Rochelle. Ale i tak wszystko ułożyło się nadspodziewanie dobrze.

- Jest strasznie hałaśliwy - narzekała Judith przez telefon.

- Jak wszystkie dzieci - odparła Portia.

- I strasznie dużo je. Nie możemy teraz przechowywać jedzenia w domu.

- Cóż, rośnie, więc ma apetyt.

- Za to smakuje mu moje ciasto marmurkowe.

Zarząd fundacji ratyfikował wybór Portii na stanowisko prezesa pierwszego września. Była teraz bardzo zajęta. Poza pracą na rzecz fundacji załatwiała mnóstwo spraw związanych z ranczem, pakowała się i wraz z Nickiem szukała mieszkania.

Tak, była zajęta i bardzo szczęśliwa.

Nick pozostawał w ścisłym kontakcie z prokuratorem hrabstwa Douglas, w związku ze sprawą o morderstwo wytoczoną przeciw Aaronowi Burkhartowi, Patrickowi Mahoneyowi i Randy'emu Wellsowi. Cała trójka w osobnych celach oczekiwała procesu. Burkhart i Mahoney wzięli najlepszych i najdroższych adwokatów, ale Randy, idąc za radą swojego obrońcy z urzędu, wyśpiewał wszystko.

Portii ulżyło trochę, kiedy Randy wyznał, że nie zrobił nic poza udzieleniem Burkhartowi i Mahoneyowi informacji o miejscu pobytu Gary'ego owej feralnej nocy. To nie Randy zepchnął brata z drogi.

Przysiągł Lynette, że byli to mężczyźni, którzy grozili Portii przed sklepem. I to nie Randy podpalił stodołę. Jeśli mówił prawdę, zrobili to wynajęci przez Aarona ochroniarze - którzy oczywiście wcale nie byli ochroniarzami. Ale to Randy otworzył bramkę na pastwisko, dzwonił do Portii i odkładał słuchawkę, a także zastrzelił cielaka i wrzucił go do zbiornika na wodę.

Portia ciągle nie wierzyła, że Randy niszczył swoje ukochane ranczo. W końcu doszła do wniosku, że nigdy nie wiadomo, do czego może się posunąć zdesperowany człowiek.

Nick zapewnił ją, że mają wystarczające dowody, by skazać Burkhardta i Mahoneya, a także ich współników za morderstwo. Randy prawdopodobnie pójdzie do więzienia na krócej, ze względu na to, że miał mniejszy udział w śmierci brata. Nie można mu też będzie wytoczyć sprawy o podpalenie; nie można oskarżyć kogoś o niszczenie własnego mienia. Portia i Nick będą musieli zeznawać, ale wszystko to miało się rozegrać dopiero za parę tygodni.

- Kocham cię. Wiesz o tym? - powiedziała, kiedy Nick wjeżdżał na autostradę.

- Tak, wiem.

- Nie bądź taki pewny siebie.

- Kto, ja?

- Powinieneś odpowiedzieć: „Ja też cię kocham”.

- Ja też cię kocham.

- Tak, wiem - odrzekła złośliwie.
  - Uważam, że jak najszybciej powinniśmy się pobrać - ciągnął Nick.
  - Dobrze. Kiedy?
  - Och, dziewczyno, naprawdę jesteś łatwa.
  - Cichy, spokojny ślub. Moja matka i Anna. Twoi rodzice, twój brat z rodziną. Todd. Lynette.
  - Nie zapominaj o Gilu i Gladys.
  - Racja.
  - Jakoś nie wyobrażam sobie moich rodziców trącających się kieliszkiem z Judith - powiedział, kręcąc głową. - Może powinniśmy się pobrać w urzędzie?
  - Jak chcesz.
  - Naprawdę? Myślałem, że...
  - Miło byłoby potem pójść ze wszystkimi na kolację.
  - Moja matka na pewno będzie chciała się zająć gotowaniem - ostrzegł ją Nick.
  - O nie, nikt nie będzie gotował.
  - Ty jej to powiedz.
  - Powiem jej, nie ma sprawy. - Położyła mu dłoń na kolanie. - A co sądzisz o dzieciach? - Czuła, jak szybko bije jej serce.
- Spojrzał na nią z ukosa.
- Chodzi o to, że... - Wzięła głęboki oddech. - Byłam u specjalisty w Denver.

- Nic mi nie mówiąc?
  - Najpierw sama chciałam usłyszeć, co mi powie.
  - No i co powiedział?
  - Cóż, to dość skomplikowane. Hormony i tak dalej.
  - I?
  - Mam niski poziom progesteronu. Dlatego nigdy nie byłam w stanie donosić ciąży. Gdybym zaczęła przyjmować progesteron, to mogłoby się zmienić.
  - Ciągłe chcesz mieć dzieci, prawda?
  - Chcę mieć dzieci z tobą.
  - Więc spróbujemy.
  - Tak się cieszę, że się odnaleźliśmy - wyszeptała, kładąc dłoń na jego ramieniu.
  - Myślisz, że to było przeznaczenie?
  - Nie, właściwie myślę, że to „Star Gazer”.
- Nick jęknął.
- Czy masz zamiar przypominać mi o tym codziennie?
  - Nie, nie codziennie. Tylko co drugi dzień.
  - Do końca życia?
  - O tak, do końca życia.